P.9786 chr. Arch.

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/490 - 8/491 1988

• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. ORLIŃSKI: **O POSZUKIWANIU WYJŚĆ Z SYTUACJI BEZ WYJŚCIA**

L. UNGER: **KRZYSZTOF REAGAN CZY RONALD SKRZETUSKI**

K. LASKOWICZ: **WYPĘDZONY**

T. JERZ: **PACYFIKACJA**

M. ZIELIŃSKI: **CZAS NAJWYŻSZY**

SPIS RZECZY

Jan Orliński:	*O poszukiwaniu wyjść z sytuacji bez wyjścia*	3
František Janouch:	*Druga podróż do Moskwy (24-31 stycznia 1988)*	22
Gustaw Herling-Grudziński:	*Parma*	49
Stanisław Nowicki:	*Jajo węża*	55
	WIERSZE	
Ivar Ivask:	*Elegie bałtyckie*	80
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Leopold Unger:	*Widziane z Brukseli*	87
Charles Urjewicz:	*Armenia*	97
	WYWIADY „KULTURY"	
Krystyna Laskowicz:	*Wypędzony (wywiad z Andrzejem Machalicą)*	102
	KRAJ	
Tomasz Jerz:	*Pacyfikacja*	125
Wojciech Giełżyński:	*Strajk w stoczni*	135
—	*Rozliczenie Komitetu Kultury Niezależnej*	143
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	145
Andrzej J. Chilecki:	*Kronika niemiecka*	152
Józef Darski:	*Kronika białoruska*	155
	KRONIKA KULTURALNA	
Renata Gorczyńska:	*Furia słów Mariana Pankowskiego*	158
Janusz Głowacki:	*Dookoła Gombrowicza*	163
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Marek Zieliński:	*Czas najwyższy (rozmowa z dominikaninem Aleksandrem Hauke-Ligowskim, OP)*	167
	WOLNA TRYBUNA	
Zbigniew Romaszewski:	*Odrodzenie ruchu związkowego — kasy samoobrony*	179
	CI, CO ODESZLI	
Andrzej Gawroński:	*Dziesiąta rocznica śmierci Andrzeja Chciuka*	188
—	*Henryk Szeryng*	194
	KSIĄŻKI	
Michał Heller:	*Jaka droga? Do jakiej świątyni?*	195
Antoni Pospieszalski:	*Aaron Lutetiae*	198
Janina Katz Hewetson:	*Ballada o zaginionym plemieniu*	202
Krzysztof Rutkowski:	*Tadeusz Konwicki: szósta pieczęć*	207
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	211
	◆	
—	*Wydarzenia miesiąca*	212
(amp):	*Kronika austriacka*	214
B.H.:	*Kronika kanadyjska*	216
	◆	
Dr Mykoła Barabolak, Dr Jan Andrzej Betley, Marek Łatyński, Jan Nowak:	*Listy do Redakcji*	217
—	*Odpowiedzi Redakcji*	220
	Z OSTATNIEJ CHWILI	
Andrzej Vincenz:	*Millenium Rusi-Ukrainy w Rawennie i w Rzymie*	221
—	*Oświadczenie*	222

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1988

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

S. M. Bala, San Rafael, CA (USA) — $ 22,00	F. 125,40
Pp. Drukier i pp. Świątek, Hvidovre (Dania) — zamiast kwiatów na grób tragicznie zmarłego Leona Cangiera (nadesłała M. Hansen) — Dkr 100,00	F. 88,43
Kazimierz Greuszka, Los Angeles, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Brata — Jana, w I-szą rocznicę Jego tragicznej śmierci — $ 50,00	F. 285,00
Janina Katz-Hewetson, Kopenhaga	F. 881,10
Irena Kretowicz, San Diego, CA (USA) — $ 25,00	F. 142,50
Komitet Stot Solidarność, Hvidovre (Dania) — zamiast kwiatów na grób naszego przyjaciela, zmarłego tragicznie w Kopenhadze, Leona Cangiera — Dkr 100,00	F. 88,43
Dr Stanisław N. Korzeniowski, River Forest, IL (USA) — zamiast kwiatów na trumny śp. mec. Władysława Marchuta i Zygmunta Kossakowskiego — po raz 30-ty — $ 38,00	F. 216,60
Aleksander Kotlicki, Effretikon (Szwajcaria) — dla uczczenia pamięci Żony, Alicji Kotlickiej, zmarłej 19 maja 1988 r., pochowanej w Effretikonie	F.1.050,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 29-ty i 30-ty — $ US 200,00	F.1.140,00
Maria Strelcyn, Manchester (Wielka Brytania) — zamiast kwiatów na grób Alicji Kotlickiej, zmarłej w Effretikon (Szwajcaria) 19 maja 1988 roku	F. 100,00
Polish Veterans of World War II, Roselle, NJ (USA) (nadesłał J. K. Jordanowski) — $100,00	F. 570,00
Bezimiennie z Danii	F. 40,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ"

Association pour la Défense de Droits Démocratiques du Peuple Polonais, Lozanna (Szwajcaria), na rzecz Komisji do spraw interwencji i praworządności (Z. Romaszewski) — na pomoc dla represjonowanych i potrzebujących pomocy uczestników ostatnich strajków	F.1.193,30
Wiesław Brodowski, Spartanburg SC (USA) — na pomoc dla walczących w Kraju — $ 100,00	F. 570,00
Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym w Polsce z przemocą komunistyczną — DM 10,00	F. 33,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Hanka, Maciej, Dorota i Anna (Kanada) — zamiast kwiatów na grób śp. Zofii z Kamlerów Klepaczowej, zmarłej w Nowym Jorku w marcu 1988 roku — $ c. 100,00	F. 450,00
Komitet Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce przy K.P.A. (nadesłali Bonawentura Migała — przewodniczący, Jan Jurewicz — skarbnik) — $ US 5.000,00	F.28.000,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 223)

BIBLIOTEKA NARODOWA BN P.9786 chr. Arch.

O poszukiwaniu wyjść z sytuacji bez wyjścia

Obecna sytuacja w Polsce wygląda beznadziejnie, w tym punkcie zgodne są władza, opozycja, społeczeństwo i zachodnia opinia publiczna — różne bywają tylko uzasadnienia tego faktu. O opinii tej decyduje przede wszystkim sytuacja gospodarcza, kryzys trwający od ośmiu lat, z którego jak na razie wyjścia nie widać.

I. GŁÓWNI AKTORZY POLSKIEJ SCENY NARODOWEJ

1. Władza

Pojęciem tym obejmujemy dość wąską grupę elity partyjnej, bezpośrednich współpracowników i wykonawców polityki Jaruzelskiego i Moskwy. Rozsiewane powszechnie dowcipy o „głupim Wojtku" mogły służyć poprawie nastrojów społecznych, ale nie znajdują uzasadnienia w rzeczywistości. Jaruzelski i jego ekipa są najsprytniejszą, najprzebieglejszą p o l i t y c z n i e ekipą w historii PRL. Podkreślmy mocno: na planie politycznym. Rozegranie „Solidarności" w 1981 roku, przeprowadzenie stanu wojennego oraz bezproblemowa (w wymiarze makro) likwidacja 10-milionowej organizacji, wraz z innymi satelitarnymi organizacjami, rozegranie trudnej wewnętrznej sytuacji w partii, doprowadzenie do stanu umożliwiającego tzw. „liberalizację", dzięki czemu Zachód mógł, z ulgą, nawiązać normalne już stosunki polityczne — to wszystko zrobione zostało po mistrzowsku. Czas pracował oczywiście na korzyść władzy, ale podkreślić należy znaczenie znakomitej propagandy, zwłaszcza niezwykle skutecznej w

wydaniu telewizyjnym, z ordynarnie bezczelnym, a zarazem niezwykle przebiegłym Urbanem. Duża jest zasługa tej grupy w doprowadzeniu do erozji poparcia społecznego dla „Solidarności" i całej opozycji, choć oczywiście ten proces nie może być wiązany wyłącznie z działalnością propagandy — o czym poniżej. A cała ta propaganda, cała polityka rozgrywana jest w sytuacji zupełnej klapy gospodarczej, w stanie stagnacji, jeżeli nie regresji gospodarki. Bowiem ekipa tak sprawna politycznie w sprawach gospodarczych jest całkowicie bezpłodna. Nawet „pod przykrywką" stanu wojennego nie była w stanie przeprowadzić żadnej sensownej reorganizacji gospodarczej, nawet militaryzacja zakładów nie pomogła praktycznie w niczym. Przeciwnie, rozkład gospodarczy postępował. Jedynym wymiernym gospodarczo efektem 6-letnich rządów Generała jest niezwykle silne uzależnienie, a właściwie faktyczne podporządkowanie gospodarki polskiej gospodarce sowieckiej, w stopniu nieznanym w historii PRL. Oznacza to pogłębienie procesu kolonialnego wyzysku PRL przez Sowietów i to w sytuacji pogłębiającego się kryzysu gospodarczego. Nie posiadamy niezwykle istotnych, może najistotniejszych, danych o naszych nakładach na Układ Warszawski, na RWPG, na komunistyczne państwa Trzeciego Świata. Bez żadnych wątpliwości można orzec, iż tu właśnie tkwi jądro polskiego kryzysu.

I to właśnie za sytuację gospodarczą i związaną z nią sytuację społeczną ekipa ta ponosi największą odpowiedzialność i powinna ponieść tego konsekwencje. Efektem ostatnich lat, i to efektem świadomych posunięć, bo nie wszystko można wytłumaczyć impotencją bądź skrajnym idiotyzmem (wręcz można by doszukiwać się tu jakiejś szatańskiej perfidii) jest:

— akcja wyniszczania, hamowania rozwoju poprzez znaczne ograniczenia rolnictwa indywidualnego (tegoroczna klęska nieurodzaju przyszła po wielu latach ciągłego urodzaju, kiedy to plony były zwyczajnie marnotrawione);

— doprowadzenie do bezprzykładnej w historii klęski w budownictwie mieszkaniowym (25-letnie terminy oczekiwania na mieszkanie — liczone nie od momentu wpłacenia wkładu, lecz od uzyskania pełnoletności), co ma nieobliczalne konsekwencje psychospołeczne;

— doprowadzenie do stanu katastrofy w lecznictwie, z brakiem miejsc w szpitalach, brakiem sprzętu medycznego, podstawowych i specjalistycznych leków, a nawet stałymi brakami tak podstawowych artykułów jak wata, lignina czy podpaski higieniczne;

— doprowadzenie do całkowitego upadku społecznego znaczenia wykształcenia, stosowanie antybodźców-kar płacowych za zdobywanie wykształcenia a zarazem świadome odcięcie świata nauki od wyników badań nauki światowej, odcięcie od międzynarowej współpracy naukowej;

— prowadzenie akcji wyniszczania ekologicznego kraju i niszczenia słabych zasobów wodnych, w tym także w efekcie forsowania rozwoju niezwykle wodochłonnej produkcji przemysłu ciężkiego, zatruwanie wód ściekami chemicznymi i biologicznymi, zatruwanie atmosfery, płodów leśnych i rolnych, wyniszczanie biologiczne społeczeństwa polskiego.

Oczywiście, przedstawione powyżej problemy to tylko pewien wybór, ale charakterystyczny dla bilansu politycznego, społecznego i gospodarczego sześciolecia rządów ekipy Jaruzelskiego.

2. *Opozycja*

W połowie lat siedemdziesiątych, a więc już ponad dziesięć lat temu, wykrystalizowały się w środowisku kontestatorów realnego socjalizmu dwie odrębne szkoły myślenia. Przedstawiciele jednej z nich, zwani dawniej rewizjonistami (socjalizmu), następnie lewicą, często z przymiotnikiem laicka — z Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem na czele — posiadali i nadal posiadają przewagę organizacyjną i intelektualną, przewagę w tym, co można określić jako agresywność. Przejawia się to w rzutkości formułowania koncepcji, a nie w ich zasadności, o czym poniżej. Druga grupa, wywodząca się po części z „Ruchu", następnie związana głównie ze środowiskiem „Ropcia" i KPN-u, często określana była jako prawica. Większość czytelników zna zapewne „Myśli staroświeckiego Polaka" P. Wierzbickiego, zawarte w nich konstatacje, celne, choć nie zawsze trafnie sformułowane. Podział na „lewicę" i „prawicę" nie jest w pełni operacyjny. Sądzimy, iż słuszniejsze będzie przyjęcie innego, również dualistycznego podziału na „ewolucjonistów" i „niepodległościowców".

„Ewolucjoniści" to wszyscy ci, którzy za podstawową koncepcję działań opozycyjnych przyjęli linię rewizji istniejącego systemu, jego odnowę — przy założeniu utrzymania systemu socjalistycznego, przy tzw. realizmie politycznym, nakazującym niebudzenie nadziei na pełną niepodległość Polski. Natomiast to drugie założenie, przyjęcie jako podstawowego, choć odległego celu Niepodległości, formułowane było przez grupę mniejszościową, znacznie gorzej zorganizowaną, a podlegającą znacznie surowszym sankcjom policyjnym.

Trudno określić powstanie „Solidarności" jako dzieło „ewolucjonistów" (jak to jednak często jest robione), ale na pewno od momentu jej powstania o jej kształcie i zasadniczej linii politycznej zadecydowali „ewolucjoniści". Cała koncepcja „Solidarności była ich, oni również (lub ich zwolennicy) kierowali całym

ruchem. Zasada była słuszna i jedyna do przyjęcia w tamtej sytuacji: „Solidarność" była największą próbą zmiany realnego socjalizmu bez podważania podstaw systemu socjalistycznego (co było w celach taktycznych niekiedy imputowane jej przez komunistów). Oczywiście, w tak masowym ruchu wyłaniały się również i inne, niepodległościowe koncepcje, inne indywidualności, walka komunistów z „Solidarnością" prowadziła do pewnej radykalizacji postulatów, ale zasadniczą linią pozostawała akceptacja ustroju socjalistycznego i poddaństwa Moskwie. Wszelkie postulaty zmian (w tym przede wszystkim koncepcja Polski Samorządnej) wyrastały z koncepcji socjalistycznych, ewolucjonistycznych. Inne, przeciwne koncepcje w łonie „Solidarności" były przez jej przywódców energicznie, czasami środkami „pozaparlamentarnymi" zwalczane, jako zagrażające samemu ruchowi. Z perspektywy minionego czasu można przyznać, iż było to w tamtym okresie słuszne — nie można było podejmować próby jednoczesnej realizacji dwóch odrębnych wariantów strategicznych.

Wprowadzenie stanu wojennego, zdemaskowanie taktyki polskich i sowieckich komunistów (ostatnio szczegółowo opisane przez płk. Kuklińskiego) całkowicie zmieniło sytuację. Był to jednoznaczny i całkowicie przekonywujący dowód, iż system komunistyczny w PRL jest niereformowalny i w swych zasadniczych zadaniach całkowicie niewrażliwy na naciski społeczne — chociaż jest podatny na pewne naciski i dokonuje pewnych, zasadniczo nieistotnych korekt. Twierdzenie ostatnie wymaga uściślenia, gdyż w przeciwnym wypadku łatwo mogłoby być podważone. Zachowanie dużego sektora rolnictwa indywidualnego, znacznego sektora prywatnego handlu i usług, zachowanie wyjątkowej w bloku sowieckim pozycji Kościoła, stosunkowo duża (jak na obóz) tolerancja działalności opozycyjnej — czy to wszystko można uznać za „zasadniczo nieistotne korekty"? Tak, taka jest specyfika „polskiego baraku" (którą wstępnie wbrew polskim komunistom, akceptował Stalin) — a wszystko to nie narusza monopolu władzy polskich komunistów oraz pełnej kontroli i podporządkowania życia gospodarczego. Należy zwracać uwagę na szczere wypowiedzi komunistów. W 1983 roku wicepremier Rakowski na spotkaniu z przedstawicielami środowisk akademickich zapytany o źródła władzy polskich komunistów odpowiedział wprost: otrzymaliśmy władzę dzięki czołgom Armii Czerwonej i nikomu jej nie oddamy! I to jest esencja: każde działanie, które może podważyć monopol władzy komunistycznej (a więc sowieckiej) w Polsce i w każdym baraku obozu sowieckiego zostanie natychmiast zablokowane. Inne, wobec tego drugorzędne, kwestie mogą ulegać korektom, mogą nawet być reformowane. To jest wielka lekcja „Solidarności" legalnej i wydaje się, że wnioski z niej powinny zostać wyciągnięte przez całą opozycję.

Pierwszy moment po wprowadzeniu stanu wojennego był dla „ewolucjonistów" szokiem. Ślepi i głusi byli na wszelkie ostrzeżenia i sygnały. Szok doprowadził nawet Jacka Kuronia do sformułowania, z „internatu" w Białołęce, koncepcji wojny partyzanckiej (w artykule, który ukazał się w *Tygodniku Mazowsze* w marcu 1982 roku, a do którego tytułu nasz nawiązuje). W polemice Bujak i Kulerski sformułowali koncepcje „społeczeństwa alternatywnego" i „niezależnej kultury". Po tym, krótkim w sumie, okresie szoku i wraz z łagodzeniem przepisów stanu wojennego „ewolucjoniści" masowo powrócili do „realistycznej" koncepcji „zmiany systemu drogą wewnętrznych przemian". Niestety, głównym realizatorem ich koncepcji zawsze był i jest Lech Wałęsa. Polskie przysłowie powiada: „starego psa nie nauczysz nowych sztuczek" i Wałęsa do znudzenia powtarza slogany o konieczności porozumienia, o wspólnych celach i konieczności kompromisu. Gdyby były to tylko deklaracje na użytek wewnętrzny — to szkody byłyby również głównie „wewnętrzne", ale Lech prowadzi „politykę zagraniczną" „Solidarności", a dla zagranicy opozycja to „Solidarność". I tak Wałęsa, w ramach realizacji tej swojej i doradców koncepcji, kolejno nawołuje do likwidacji sankcji, występuje o przyznanie komunistom nowych kredytów, ogłasza generała Jaruzelskiego polskim patriotą, a na koniec odrzuca pomoc przyznaną przez Kongres USA na rzecz działalności podziemnej. Długa byłaby lista podobnych posunięć Lecha i nie są to lapsusy wynikające z braku rozeznania, czy niekonsekwencji — *jest to jedna i wysoce szkodliwa dla interesu narodowego linia polityczna.* Oznacza ona pełne pogodzenie się z porządkiem jałtańskim (co w liście otwartym do Gorbaczowa zadeklarował w imieniu społeczeństwa polskiego St. Bratkowski), oznacza zgodę na kolonialne podporządkowanie Polski, oznacza kolejne mrzonki o reformowalności komunizmu (czy, jak kto woli, realnego socjalizmu).

Ta polityka w dużej mierze przyczyniła się do dezintegracji podziemnej „Solidarności" i do erozji poparcia społecznego dla niej. Obecnie, być może, wyłącznie przywódcy „Solidarności" (choć i to wątpliwe) nie zauważają, że cały ruch już praktycznie rozpadł się. Ci jednak ostatnio utworzyli nową Krajową Komisję Wykonawczą. Podkreślmy: w naszej ocenie zjawisko to tylko w pewnej mierze związane jest z upływem czasu, zmuszeniem Polaków przez istniejące (bądź też i kreowane przez władze) warunki bytowe do walki o przetrwanie, a nie do walki politycznej. W znacznej mierze widzimy tu winę przywódców, którzy nie potrafili zrozumieć lekcji historii, którzy doprawdy maniakalnie stosują anachroniczną retorykę i przeprowadzają adekwatne do niej posunięcia polityczne.

Dowodem prawdziwej już schizofrenii politycznej jest „'Soli-

darność": krajobraz po bitwie" Jacka Kuronia i dyskusja wokół tego artykułu w *Tygodniku Mazowsze* z 16 września 1987. Znani „ewolucjoniści" i działacze najwyższych władz „Solidarności" skarżą się, iż utracili kontakt z masami, że ideały „Solidarności" nie docierają do młodych, a drobni działacze zakładowi zradykalizowali się. Wniosek: należy zlikwidować podziemie solidarnościowe jako przeszkodę w osiągnięciu kompromisu z władzą i w imieniu narodu zaproponować komunistom współpracę, stawając „realne" postulaty. Do tego samego nurtu intelektualnego należy koncepcja „odzyskiwania przez władzę podatności na nacisk społeczny". I te tezy stawiane są przez „zawodowców" politycznych, którzy zajmują się działalnością opozycyjną nie od dziś, nie od wczoraj, nie od dziesięciu lat. Władza może przeprowadzać tzw. „liberalizację", wypuszczać „politycznych" z więzienia, zaprzestać tymczasowo stosowania większych represji, ponieważ jest tak silna politycznie, jak nie była od długich lat. Obawia się naprawdę tylko niesterowanych, spontanicznych tłumów, i dlatego zwleka z podjęciem decyzji o podwyżkach, stosuje zasłonę dymną rzekomych konsultacji — a pociągnięcia te planuje z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. „Liberalizacja" jest dowodem siły i lekceważenia opozycji — a nie dowodem słabości, ulegania naciskom społecznym. Jest dowodem podatności na naciski, ale Zachodu — bowiem cały ten manewr ma zaowocować nowymi kredytami na rzecz polskich komunistów, na rzecz całego imperium sowieckiego. I „ewolucjoniści" dzielnie sekundując władzy wnoszą do Reagana o przyznanie władzy nowych funduszy, jednocześnie rezygnując z funduszy przyznanych na działalność podziemną. Oczywiście, z tych przyznawanych oficjalnie. Gdyby ta suma, albo jej część była przekazana po cichu, nieoficjalnie — natychmiast zostałaby „skonsumowana".

Te wszystkie działania „ewolucjonistów" były określone jako wyraz „schizofrenii politycznej" — ale tak można to określać wychodząc z innych założeń politycznych, odmiennie oceniając sytuację. Są to oczywiście przejawy świadomej gry politycznej, są wynikiem (w naszym rozeznaniu) błędnej opcji, ale w ich subiektywnym osądzie racjonalnie uzasadnionej. Wydaje się, iż władza „postawiła" na współpracę z tym środowiskiem i od pewnego czasu skutecznie nim manipuluje. „Niedyskrecja" władz, ujawniająca wiosną bież. roku uczestnictwo eminentnych „ewolucjonistów" z RKW Mazowsze na spotkaniu pronowskiego „klubu dyskusyjnego" Consensus, następnie w październiku zaproszenie przez premiera Messnera i rzecznika Urbana do współpracy członków opozycji „występujących z socjalistycznych pozycji", a równocześnie odrzucenie pomocy amerykańskiej przeznaczonej na działalność podziemną, odcinanie się od „zradykalizowanych" działaczy — to wszystko zdaje się świadczyć o charakterze toczonej gry,

układa się w logiczny ciąg. Czy słuszne są te domysły — pokaże najbliższa przyszłość.

Należy jeszcze podkreślić fakt, znany zresztą powszechnie, iż środowisko „ewolucjonistów" ma praktycznie monopol informacyjny na Zachodzie, znakomicie opanowane kontakty z dziennikarzami zachodnimi, poparcie wszystkich europejskich „zielonych", „postępowców", lewicowców, polityków europejskich walczących z groźbą „imperializmu amerykańskiego". Każde wystąpienie tego środowiska jest natychmiast przekazane, rozpowszechniane, szeroko komentowane, oni tworzyli i tworzą *image* „Solidarności" i opozycji polskiej na Zachodzie. Również nadal duży jest ich wpływ na sposób myślenia średniego Polaka. Środowiska „niepodległościowe" od momentu wprowadzenia stanu wojennego rozpoczęły „odzyskiwanie" terenu społecznego. Nadal pozostają rozbite, ale najistotniejsze dla nich było powstanie „Solidarności Walczącej" i jej dynamiczny rozwój. Słuszna była decyzja Kornela Morawieckiego pozostawienia etykietki „Solidarności", a nadania całemu ruchowi nowego kierunku. Postawienie na „długi marsz", na wychowywanie ku Niepodległości, na nieodrzucanie w przyszłości nawet czynnego oporu — to wszystko przyciągało i przyciąga zwolenników „Solidarności Walczącej". Rozrost terytorialny, pozaregionalny, tej wrocławskiej organizacji (komórki i oddziały w Poznaniu, Gdańsku, Krakowie i Warszawie) świadczą o „trafieniu" w oczekiwania społeczne. I to mimo względnej nieatrakcyjności: założenie braku natychmiastowych efektów, praca dla przyszłości, to wszystko znacznie mniej efektowne od wezwania: zakładajmy samorządy, mianujmy dyrektorów, przejmujmy zakłady pracy (o tym szczegółowo poniżej), ale hasła „Solidarności Walczącej" dla myślących są znacznie bardziej uzasadnione logicznie, bardziej odpowiadają realiom codzienności.

W rozważaniach o ugrupowaniach „ewolucjonistycznych" świadomie pominięte zostały grupy prezentujące tzw. realizm polityczny w powiązaniu z koncepcjami prawicowymi. Grupy te, takie jak neokonserwatyści, liberałowie czy endecy, wysuwający odmienne niż „ewolucjoniści" rozwiązania gospodarcze, pozostają w tym samym zaklętym kręgu: podejmując próby zmiany systemu ekonomicznego przy zachowaniu *status quo* politycznego, z góry skazują swoje wysiłki na niepowodzenie. Ich działalność może być wsparta przez władzę, bowiem usiłują oni uaktywnić gospodarczo społeczeństwo równocześnie namawiając do pełnego podporządkowania politycznego.

W ruchu „niepodległościowym" duże znaczenie, zwłaszcza przed niepoważnymi podziałami, miała „Niepodległość", która natychmiast po utworzeniu zyskała dużą popularność. Poza tym — w ciągu ostatnich lat powstało szereg ugrupowań, czy też minipartii „niepodległościowych", które dążą do stworzenia federacji.

Ale, jak na razie, całe te środowiska „niepodległościowe" — z wyjątkiem „Solidarności Walczącej" — nie posiadają szerszego oddziaływania społecznego, pozostają nadal propagandowo zdominowane przez „ewolucjonistów". Jednak istnieje stała tendencja ich rozwoju, należy oczekiwać powstania niezbędnego porozumienia intelektualnego i koordynacji działań. Podkreślmy: daleka perspektywa, uzależnienie realizacji celów od zasadniczych zmian europejskiego porządku, nie są wizją, która może porwać tłumy, ale jest to jedyna realna wizja. To myślenie perspektywistyczne nie może zakładać oczywiście opuszczenia rąk w sprawach dnia codziennego, życia w realnym socjalizmie. Ale bez złudzeń co do zakresu ustępstw możliwych do wymuszenia na komunistach, bez podporządkowywania drugorzędnym zadaniom naczelnej linii politycznej.

3. Kościół

Wybór Papieża-Polaka, a następnie okres „Solidarności" i stanu wojennego to okres wzmożonego akcesu Polaków do Kościoła. Zwłaszcza podczas stanu wojennego z Kościołem starali się powiązać również niepraktykujący i nawet ateiści. Stał się On w oczach społeczeństwa redutą polskości. Kościoły, zwłaszcza podczas tzw. mszy patriotycznych, były miejscem manifestacji politycznych, często ograniczających się do odśpiewania „Boże, coś Polskę" z podniesionymi rękami i palcami ukazującymi „V". Również w okresie stanu wojennego Kościół koordynował pomoc charytatywną, zwłaszcza żywnościową i lekarską.

Ten bezprzykładny w całej współczesnej Europie akces do Kościoła i religii obecnie zaczyna przejawiać tendencje spadkowe. Czym można to tłumaczyć? Próbując udzielić odpowiedzi na to pytanie, musimy odpowiedzieć na inne: jak spisali się funkcjonariusze Kościoła polskiego w tej tak trudnej sytuacji społeczno-politycznej?

Udzielenie tej odpowiedzi nie jest łatwe ani przyjemne, rozpocznijmy więc od stwierdzenia być może bulwersującego: otóż kler katolicki w Polsce jest w dużej mierze pod wpływem realnego socjalizmu. Są to ludzie wychowani w PRL-u, również poddani temu, co określić można jako kultura socjalistyczna. Wielu księży nie stanęło na wysokości zadania, oczywiście największa jest tu odpowiedzialność Prymasa Glempa. Na wstępie postawmy zastrzeżenie, iż nie chodzi tu o linię polityczną przyjętą przez Niego po 13 grudnia. Była ona w zasadzie słuszna: oceniając bezsilność oporu wobec władzy i nie chcąc dopuścić do rozlewu krwi wyciszał, wraz z wszystkimi — z małymi wyjątkami

— księżmi, nastroje buntu i sprzeciwu. Ale tę słuszną zapewne politykę prowadził w sposób wyjątkowo niezręczny.

Wiele „nieszczęśliwych" wystąpień Prymasa Glempa było szeroko komentowanych, nie należy do nich wracać. Ale przede wszystkim ten tytularny Pasterz polskiego Kościoła, tak jak i duża część Episkopatu, koncentruje się na niekończących się wyjazdach zagranicznych, zwanych wizytami duszpasterskimi, wyraźnie zaniedbując sprawy wewnętrzne polskiego Kościoła. Trudno nie przypomnieć tu Prymasa Wyszyńskiego i Jego działalności. Oczywiście, był tylko jeden Prymas Tysiąclecia, ale należałoby chociaż w pewnym stopniu naśladować Jego styl pracy, Jego osiągnięcia.

Siłę Kościoła polskiego stanowią Jego wierni i kultura polska, której są nośnikami i przekazicielami — a kler polski, zapominając o tym, występuje wobec komunistów jako rzekomo osobna, niezależna siła, reprezentująca Kościół Powszechny, w oderwaniu od narodowej gleby. Uzyskuje łatwo pewne koncesje, w tym niczym nie limitowane i ułatwiane wyjazdy zagraniczne, zgodę na budowy kościołów, inne rozliczne ulgi. Nic więc dziwnego, że w sprawie tak społecznie istotnej jak Fundacja Rolnicza ustąpiono, że zbyt aktywnie zabierająca głos Społeczna Rada Prymasowska została zastąpiona nową, bardzo cichą. Zgoda na nieograniczone budowanie kościołów jest znowu znakomitym posunięciem ekipy Jaruzelskiego: część wiernych z przerażeniem patrzy na nieprawdopodobną rozrzutność, jaką przejawiają przy tym właściwie wszyscy księża. Często stopa życiowa księży budzi zastrzeżenia. Styl życia księży polskich powoduje również wysychanie tak w istocie nadal potrzebnej pomocy z Zachodu: według licznych relacji cudzoziemcy przyjeżdżający do plebanii z transportami byli zaszokowani i zaskoczeni „gorącym przyjęciem", a następnie uznając, iż w tych warunkach pomoc nie jest niezbędna, przerzucali się na dostarczanie pomocy dla bardziej potrzebujących państw Trzeciego Świata (a pomoc, zwłaszcza we wszelkich lekarstwach i odżywkach dla dzieci, jest drastycznie potrzebna). Nie będziemy tu opisywali zaniedbań i niewłaściwych posunięć w akcji rozdawnictwa darów; niestety, jest publiczną tajemnicą, iż nie była ona sukcesem. Wzór postępowania, przejęty niestety przez część polskiego kleru, jest łatwy do zidentyfikowania: jest on odziedziczony po gierkowskiej elicie partyjnej. Działania Kościoła w Polsce w warunkach istniejącego kryzysu nie mogą być uznane za wystarczające. Poprzednią, usiłującą zabierać głos w sprawach społecznych Społeczną Radę Prymasowską Prymas zlikwidował, na jej miejsce powołał ludzi nowych, zasłużonych, a nawet może i dobrych, ale idealnie bezbarwnych, nie wykazujących żadnej inicjatywy. W sferze społecznej Kościół powinien zorganizować np. budowę żłobków i przedszkoli przykościelnych, a następnie

zapewnić im właściwe funkcjonowanie. Istnieje bardzo mała ilość takich placówek, *nota bene* opłaty w nich zazwyczaj są bardzo wygórowane (brak dotacji) — a przecież zapotrzebowanie społeczne jest olbrzymie, olbrzymie byłyby również możliwości oddziaływania na dzieci i rodziców — a zatem na całe młode pokolenie. Również do moralnych obowiązków Kościoła należałoby — w tak pomyślnych okolicznościach — wymuszenie na władzy ponownego wpuszczenia zakonnic do szpitali, do domów opieki społecznej — o korzyściach płynących dla Kościoła i dla społeczeństwa nie trzeba pisać.

To tylko kilka przykładów możliwości oddziaływania Kościoła, można by przedstawić następne: istotne jest, iż w sytuacji bezprzykładnego kryzysu zaniedbano faktycznie istotne społecznie zadania, wynikające z posłania ewangelicznego.

Dodać należy również, iż w sprawach dotyczących problemów społecznych i narodowych głos księży jest cichy. Nie chodzi tu o określane językiem propagandy tzw. jątrzenie polityczne. Chodzi o mówienie pełnym głosem o problemach społecznych, o prawach i obowiązkach wiernych i całego społeczeństwa, o jego nielicznych zaletach i rozlicznych mankamentach. Wielkim przykładem i wzorem jest tu Papież, a zwłaszcza wszystkie Jego homilie wygłaszane w czasie dwóch ostatnich wizyt w Ojczyźnie. Jego głos zawsze brzmiał pełnie, donośnie, jednoznacznie. Jego myśli służyły nie chwilowej agitacji tłumów, ale stanowiły program, program dla Polski na dziś i na jutro. Zainicjowanie przez Episkopat akcji studiowania myśli Papieża, refleksji nad Jego programem moralnym i społecznym, mogłoby zaktywizować działalność społeczną, mogłoby zaowocować pewnym ruchem intelektualnym i moralnym. To nie zostało dokonane.

◆

Powyższe uwagi o klerze polskim nie są w swym zamierzeniu atakiem na Kościół, są podyktowane głęboką troską i świadomością, iż nikt nie chce urazić Kościoła, jedynego sojusznika społeczeństwa polskiego, że wszyscy milcząc bądź pochlebiając szkodzą sprawie Kościoła. Podkreślaliśmy już, iż siłę Kościoła w Polsce stanowią Jego wierni i posłannictwo apostolskie, przezeń realizowane. A między Kościołem a społeczeństwem zachodzi sprzężenie zwrotne: silny Kościół wzmacnia naród, może natchnąć go siłą moralną, niezbędną do przetrwania tego ciężkiego okresu, może zahamować proces sowietyzacji społeczeństwa. Kościoły muszą pozostać redutą polskości, muszą dostarczać społeczeństwu wsparcia. Niezwykle istotne więc jest powstrzymanie odchodzenia wiernych od Kościoła, wzmocnienie wspólnych więzi i oddziaływania, wzorowe pełnienie posługi apostolskiej przez polski kler.

Oczywiście — a jest to ostatnie zastrzeżenie — w Polsce odnajdujemy księży wzorowych, są księża średni, ale niestety na obraz całości rzutują ci, o których traktowaliśmy.

4. *Społeczeństwo*

Ocenianie społeczeństwa polskiego AD 1987 jako jednej, homogennej zbiorowości, nie jest możliwe. Jest ono silnie zdywersyfikowane; dla celów naszej analizy zadowalające będzie przyjęcie podziału na trzy zasadnicze grupy[1]:

— 1° władza i jej poplecznicy — ok. 20 % społeczeństwa,

— 2° opozycja aktywna i bierna — j.w.,

— 3° centrum, 60 %, odcinające się od zaangażowania po jakiejkolwiek stronie, pogrążone w stanie apatii społecznej, ale zarazem głęboko sfrustrowane, potencjalnie grożące niekontrolowanym wybuchem.

Kryzys trwający osiem lat w różnym stopniu dotyka każdej z tych grup. Oczywiście, elita władzy żyje dobrze (jak słusznie podkreślał Urban: „rząd się sam wyżywi"), ale nie dotyczy to przecież 7 milionów, na które szacowana jest ta grupa. Nawet ci, którzy jak na polskie warunki lepiej zarabiają, też mają problemy ze zdobyciem dóbr trudno dostępnych, bądź niedostępnych normalną drogą na rynku, z powodu zbyt niskiej podaży. Z wyjątkiem więc grupy wąskiej elity władzy, częściowo współpracującej z nią grupy prywatnej inicjatywy oraz zamożniejszej części środowiska wiejskiego — kryzys dotyka wszystkich. Można powiedzieć, iż bezpośrednim efektem życia w stałym zagrożeniu bytu, przy stałym spadku realnych dochodów, braku nawet odległych perspektyw wyjścia z kryzysu — efektem tego jest stan uogólnionego stressu społecznego, stan głębokiej frustracji.

Dotyczy to w najsilniejszym stopniu młodego pokolenia. Kryzys mieszkaniowy, dla ogromnej większości młodych praktyczny brak możliwości zdobycia mieszkania w ciągu kilkunastu, jeżeli nie 25 lat po ślubie — psychospołeczne efekty tej sytuacji są nieobliczalne[2].

---

1. Podział ten, jak i niektóre elementy analizy, przyjęte są zgodnie z raportem PTS, „Społeczeństwo polskie drugiej połowy lat 80-tych" opracowanym przez prof. St. Nowaka — Warszawa, styczeń 1987, druk wewnętrzny PTS.

2. Problem ten dla „równiejszych" prawie nie istnieje, są też inne rozliczne wyjątki. Oto przykład z Legionowa pod Warszawą: młody chłopak, żonaty, z jednym dzieckiem, po odbyciu 3-letniej służby wojskowej decyduje się przejść na zawodowstwo. W ciągu roku ma otrzymać mieszkanie, na razie wynajmuje mu je wojsko — i je opłaca.

W momencie zawarcia małżeństwa, zdobywając bądź wynajmując jakiś „kąt", staje się wobec niemożliwości nabycia z zarobków dóbr trwałych koniecznych w każdym gospodarstwie domowym. Dzieci są kolosalnym obciążeniem finansowym, stają się ciężarem, a nie tylko nadzieją; dla nich również nie widzi się żadnych perspektyw. Dołącza się również poczucie niemożności utrzymania się z podstawowej pracy, stałe zagrożenie bytu, poczucie braku celowości podejmowanych działań zawodowych („po co to wszystko, skoro i tak będzie źle"). Młode pokolenie również najsilniej odczuwa zagrożenie biologicznego bytu narodu. Ten dodatkowy czynnik stressogenny, nabierający coraz większego znaczenia, również związany jest z rozpowszechniającą się wiedzą o stopniu zatrucia środowiska, chemicznym zatruciu żywności, mleka, wody, świadomością nieodwracalnie nadciągającej katastrofy ekologicznej. Dla znaczącej części społeczeństwa, zwłaszcza młodego pokolenia, silnym czynnikiem frustracjogennym jest poczucie niemożności realizacji aspiracji społecznych, świadomość nieprzestrzegania w Polsce praw człowieka i obywatela.

Świadomość zupełnej niemożności zmiany sprzyja formowaniu się postaw eskapistycznych, które przybierają rozmaite formy:

1) ucieczka za granicę,

2) ucieczka do pracy w sektor pozapaństwowy, często związana z rezygnacją z wykorzystywania zdobytych kwalifikacji (wyższe płace, „czystsze układy"),

3) ucieczka w alkoholizm bądź narkomanię,

4) ucieczka do życia w sektach religijnych,

5) zamykanie się w życiu domowym, świadome odcięcie się od życia społecznego i problemów politycznych.

Nasilające się zaburzenia osobowościowe, coraz częstsze choroby psychiczne również mogą być częściowo interpretowane jako efekt postawy eskapistycznej, przede wszystkim są dowodem słabszej konstrukcji psychicznej, nie wytrzymującej presji życia codziennego, życia w stałym stressie.

Objawem znanym wszystkim w życiu codziennym jest kolosalna wrogość w stosunkach międzyludzkich. Najdrobniejsza sprzeczka w kolejce, na ulicy, w środkach komunikacji, natychmiast daje asumpt do wybuchu nienawiści. W pracy, w stosunkach międzykoleżeńskich lub między podwładnymi a przełożonymi — również istnieją silne, długotrwałe nienawiści, które czasami stają się treścią życia. Wrogość objawia się też stale i silnie w kontaktach ludzie-petenci a ludzie-biurokraci, przedstawiciele instytucji.

Powyższe stwierdzenia dotyczą całego społeczeństwa. Specyficzna jest sytuacja emerytów i stosunek do nich. Rozpowszechnione przekonanie, iż: „starzy dużo mają, mają małe potrzeby, a jeszcze stoją w kolejkach", nienawiść do emerytów posiadających uprawnienia do zakupów w odrębnych kolejkach — to wszystko świadczy o agresji w stosunkach międzyludzkich, o zobojętnieniu na los starych, o ignorowaniu znanego faktu, iż 50 % emerytów żyje poniżej minimum socjalnego.

W partii poświęconej problemom władzy omawialiśmy już świadomą politykę deprecjacji wykształcenia, stosowania kar płacowych za naukę i zdobycie wyższego wykształcenia. Mówiliśmy o odwrocie od szkolnictwa wyższego, rozpowszechnieniu się przekonania, iż nie warto się uczyć. U osób posiadających wyższe wykształcenie prowadzi to często do świadomego zaniedbywania pracy zawodowej (dramatyczne są coraz powszechniejsze przypadki łamania ethosu zawodowego, i to w takich zawodach jak lekarz, pielęgniarz, nauczyciel), do porzucania dyplomu i szukania pracy intratniejszej, dla wykonywania której pewne bądź wręcz żadne kwalifikacje nie są potrzebne, albo do życia w stałym poczuciu niedowartościowania, agresji skierowanej wobec kolegów i przełożonych, wobec całego otoczenia.

Należy podkreślić jeszcze jeden, bardzo istotny aspekt życia społecznego w Polsce, mianowicie powszechną nieuczciwość i jej akceptację przez większość społeczeństwa. Jest to efekt polityki komunistów: świadomie niedopłacają społeczeństwo, niektóre prace nawet z góry są nastawione nie na zyski z pensji, ale z „boków" (humorystyczny wręcz jest przykład specyficznej grupy zawodowej: portierów hotelowych. Ich płace utrzymane są na poziomie minimum społecznego, a „odstępne" za miejsce wynosi grube setki tysięcy złotych). Ludźmi, na których władza ma „hak" zawsze można sterować, a z przymykania oczu na nieuczciwość też żyje spora grupa: inspektorzy podatkowi, milicja finansowa, przełożeni. Często więc wartość etatu nie jest mierzona tylko wysokością zarobków, ale właśnie tymi „bokami", możliwościami nieuczciwego (bo nie chodzi tu o pracę w nadgodzinach) dorobienia. Ta właśnie nieuczciwość, świadoma niesumienność w wykonywaniu pracy zawodowej — i to również w przypadkach, gdy praca nie służy władzy, a szarym obywatelom — powszechny alkoholizm — to są zjawiska, które zdefiniowalibyśmy jako przejawy s o w i e t y z a c j i społeczeństwa. Demoralizacja społeczna z nią związana będzie bardzo trudnym problemem w przyszłej niepodległej Polsce.

Ogromna większość społeczeństwa, ta apatyczna i sfrustrowana, a nie opozycja, stanowi dla władzy największe zagrożenie. Tej właśnie mieszanki wybuchowej, nieobliczalnej, niesterowalnej, władza najbardziej obawia się, słusznie rozpoznając stan nastro-

jów społecznych. Gdy ciśnienie wzrośnie ponad stan krytyczny — kocioł wybuchnie, a wybuchu tego nie można będzie ukierunkować.

5. Zachód

Nie jest to postać ze sceny polskiej, ale jest to jednak sufler wpływający znacząco na naszą sytuację wewnętrzną. Nacisk Zachodu na zmniejszenie represji w Polsce, nacisk nieznany w historii 40-lecia całego obozu sowieckiego, spowodował aktualnie falę tzw. „liberalizacji" w PRL. Ale postawmy sprawę jasno: decyzja ta łączy się z nadziejami komunistów na uzyskanie nowych kredytów, a nie z troską o spłacenie dawnych długów — to jest kłopot Zachodu.

Jednak fala społecznej sympatii dla Polski i Polaków nie powinna przesłaniać faktów politycznych, nie powinna dawać asumptu do tworzenia mitów, którymi Polacy za często lubią żyć.

Postawienie problemu Jałty w celach propagandowych przez dwóch zachodnich polityków (Mitterrand, Reagan) nie oznaczało wcale niezgody Zachodu na czerpanie korzyści politycznych z tego rozwiązania. Jałta już dała Europie 40 lat pokoju i spokoju, tak jak Wiedeń dał go jej 100 lat. Wersal, który umożliwił na dwadzieścia lat odtworzenie niepodległości państw Europy Centralnej, Wschodniej i Południowej, zaowocował drugą wojną światową. W dodatku, oprócz wchłoniętych przez Sowiety państw bałtyckich, terenów wschodnich II Rzeczypospolitej (obecnych Republik Sowieckich Białorusi i Ukrainy), to pozory przyzwoitości są zachowane. To, że sprzedano sojuszników II wojny światowej w ręce najlepszego sojusznika Hitlera — to nie żaden problem, ani moralny, ani polityczny. Liczy się spokój i stabilizacja. A w dodatku dla społeczeństw Europy Zachodniej psychologicznie większym zagrożeniem jest „imperializm amerykański", niż sowiecki.

Polska i tragedia „Solidarności" poruszyły powszechnie opinię publiczną, należy to nadal dyskontować politycznie, należy wykorzystywać chęć niesienia pomocy społeczeństwu polskiemu: jest ona potrzebna, niezbędna wręcz dla obrony w sytuacji zagrożenia bytu biologicznego narodu. Ale nie należy łudzić się, iż nawet polityka Reagana zmierza do wstrząśnięcia porządkiem jałtańskim — wręcz odwrotnie, ostatnie konferencje rozbrojeniowe zmierzają do wzmocnienia tego porządku przy jednoczesnym rozbrojeniu Europy Zachodniej. Tym bardziej Zachód nie będzie politycznie ingerował w wewnętrzne sprawy imperium sowieckiego, oprócz utrzymywania oczywiście pewnego szumu propagandowego.

II. WYBRANE PROBLEMY ŻYCIA POLITYCZNEGO PRL

1. Gospodarka, reforma, referendum, samorządy

Zasadniczą przyczyną polskiego kryzysu gospodarczego jest istnienie systemu realnego socjalizmu. Żadna gospodarka państwa podporządkowanego systemowi kolonialnemu nie była i nie będzie mocna — ten typ zależności zawsze zakłada eksploatację sprzeczną z interesami kolonii. W ramach istniejącego systemu nie ma żadnej możliwości wyjścia z kryzysu, a ekipa Jaruzelskiego rozszerzając i wzmacniając kolonialne uzależnienie od Sowietów powiększyła kryzys. Gorbaczow i aktualna sowiecka ekipa chcąc ratować gospodarkę sowiecką, stojącą również wobec kryzysu (spowodowanego jednak nieco innymi przyczynami niż polski) będzie zwiększać eksploatację Polski. W tych warunkach żadna reforma nie może zyskać powodzenia.

Uzasadnienie tych arbitralnych osądów, chociażby skrótowe, jest niezbędne. Polska jest krajem potencjalnie bogatym. Duża, największa po Sowietach w bloku wschodnim, ilość bogactw naturalnych, liczna i młoda ludność, duża kadra posiadająca niezłe w skali europejskiej wykształcenie i przygotowanie zawodowe (o czym świadczy powodzenie naszych specjalistów pracujących na Zachodzie), niezłe gleby i dobre warunki klimatyczne ułatwiające rozwinięcie rolnictwa i hodowli w pełni zaspokajających potrzeby własne, a nawet wyprodukowanie znacznych nadwyżek. Ale ten kraj jest wręcz świadomie niszczony od lat czterdziestu. Rozkładane rolnictwo, rabunkowa gospodarka surowcowa, przemysł ciężki pracujący głównie na potrzeby Sowietów, niszczenie ekologiczne kraju, demoralizacja polskiego rolnika i robotnika, niszczenie polskiej inteligencji — oto polityka polskich komunistów.

Prawdą jest, iż praca polskiego robotnika jest mało wydajna, że jest zła organizacja pracy — ale jest to spowodowane przyczynami ustrojowymi.

Według szacunków, łatwych do przeprowadzenia, płace w Polsce są od 5 do 10 razy niższe niż na Zachodzie — są to szacunki bardzo ostrożne, zakładające faktyczny kurs dolara na 200 zł, średnią krajową płacę na 120 dolarów USA, a „kominy" płacowe na 300 dolarów[3]. Nawet w warunkach kryzysowych wy-

3. P. Kowalski, „Pauperyzacja ludności i pogorszenie jakości życia w PRL", *Libertas* nr 8/1987, str. 96.

dajność polskiej gospodarki nie jest tylokrotnie niższa od analogicznej na Zachodzie. Cały czas pompowane są, bezpośrednio bądź pośrednio, duże sumy na rzecz imperium sowieckiego.

Nie znamy podziału dochodu narodowego, nie znamy:

— wysokości odpisu i produkcji na rzecz Układu Warszawskiego,
— wysokości odpisu na RWPG,
— naszych wkładów w pomoc tzw. socjalistycznym państwom Trzeciego Świata,
— ani nawet wysokości nakładów na wewnętrzne wojsko, policję i MSW.

W tych warunkach nikt, podkreślmy n i k t, nie ma prawa wymagać od społeczeństwa polskiego akcji „samoograniczania się", dalszego „zaciskania pasa", zgody na „tymczasowe" paroletnie obniżenie stopy życiowej. Nie ma i nie może być na to zgody.

Wracając do problemów reformy — nie jest przypadkiem, iż podziemna „Solidarność" nie dopracowała się żadnego programu gospodarczego, a opublikowane wiosną 1987 roku „Stanowisko NSZZ „Solidarność" w sprawie sytuacji i kierunków przebudowy gospodarki polskiej" jest żenująco zbieżne z koncepcjami „postępowych" rządowych ekonomistów[4].

Istnieje pewien, bardzo istotny społecznie problem, związany z koncepcjami „ewolucjonistów" na temat reformy gospodarczej. Jest to problem s a m o r z ą d u.

Koncepcja samorządów robotniczych, głęboko osadzona w socjalistycznej koncepcji zarządzania, z wiadomymi od lat skutkami jest realizowana w Jugosławii. W okresie „Solidarności" została w kraju podjęta przez „ewolucjonistów" przede wszystkim jako ewentualna możliwość odebrania komunistom władzy nad zakładami. Była to śmieszna próba, gdyż jedyną dyscypliną, na której świetnie znają się komuniści — to polityka. Podjęli oni grę i za pomocą samorządów, sterowanych i ekonomicznie podporządkowanych (ewentualnie uzależnionych) usiłują przeprowadzić podwyżki cen, które mają być, i już są, niejako „od dołu" narzucane. Każdy zakład jest bowiem tak uzależniony cenami surowców, dostawami, odpisami, podatkami, iż każda podwyżka cen jest uzasadniona i niezbędna.

Nawet w okresie „Solidarności" koncepcja ta była nierealistyczna, groziła również podziałami wewnątrz związku, rozbiciem wysiłku społecznego na dwa fronty, które wobec siebie wzajemnie również musiały wejść na drogę pewnych konfrontacji. Natomiast forsowanie tej koncepcji obecnie jest wyłącznie przejawem lewackiego doktrynerstwa „ewolucjonistów".

4. Por.: K. Cieślak, „Reforma gospodarcza w Polsce", *Libertas* nr 9/1987, str. 121-131.

Ugrupowania „niepodległościowe" powinny przyjąć za jedno z głównych aktualnych zadań zwalczanie tej koncepcji, przedstawianie propozycji przestawienia polskiej gospodarki w normalnych warunkach na normalne funkcjonowanie. Próby takie już są podejmowane, należy je rozszerzać, podnosić wiedzę średniego Polaka o koncepcjach ekonomicznych i powiązanych z nimi koncepcjach politycznych.

2. *Nowe kredyty*

Wszelkie nowe kredyty, które Zachód będzie chciał przeznaczyć dla Jaruzelskiego, w głównej mierze przeznaczone będą dla Sowietów, na potrzeby polityki rozwoju gospodarczego Gorbaczowa — i za nie również społeczeństwo polskie nie będzie mogło ponosić odpowiedzialności. Opozycja w żadnym przypadku nie może popierać żądań i próśb komunistów. Nie wolno, bo w ten sposób przejmujemy częściową odpowiedzialność za te długi. Wszelkie wypowiedzi Wałęsy i innych utytułowanych „ewolucjonistów" są faktycznym szkodzeniem interesom narodowym. Nikt z nich i nikt z nas nie ma i nie będzie miał wpływu na zużytkowanie tych sum. Gdy była szansa stworzenia znaczącego, niezależnego Funduszu Rozwoju Rolnictwa, to komuniści nie dopuścili do tego, zmusili do rezygnacji z koncepcji, z rezygnacji z przeznaczonych na to funduszy.

3. *Liberalizacja, kompromis, porozumienie, samoograniczanie się*

Problematyka ta przewijała się przez całe nasze opracowanie, nasz stosunek do tych zagadnień został już sprecyzowany. Teraz więc ograniczymy się do krótkiego podsumowania.

Koncepcje „ewolucjonistyczne" poniosły w grudniu 1981 roku ostateczną plajtę i ponowne ich odnawianie może służyć tylko wyciszaniu nastrojów społecznych, pomaganiu komunistom w ujarzmianiu i eksploatacji społeczeństwa polskiego. Kompromisy, porozumienia — to wszystko przebrzmiała retoryka, to służenie pomocą komunistom. Ustępują oni wobec oporu i wobec nacisków Zachodu, oczywiście w ramach wyznaczonych przez pełne zachowanie monopolu ich władzy. Natomiast zagrożeniem dla władzy jest gniewny naród. W momencie przekroczenia progu odporności społeczeństwo wybuchnie, wbrew komunistom i wbrew opozycji — a konsekwencje tego wybuchu są nieobliczal-

ne. Mogą przynieść jakieś zmiany, mogą przynieść też nowy Poznań, ale bez Października. Władza bowiem jest świadoma sytuacji i stara się nie dopuścić do niego. Stąd referendum było ważną próbą rozpoznawania nastrojów społecznych przed nowymi podwyżkami i tylko bardzo zdecydowana postawa społeczeństwa mogła pohamować władzę.

◆

Podsumowanie: zadania i perspektywy

W chwili obecnej wiara w Niepodległość jest wiarą *quasi*-religijną. Nasz rozum nie potrafi zadowalająco przedstawić sytuacji, w której społeczeństwo polskie odzyskuje suwerenność, a Europa, czy też kula ziemska, nie ulega zniszczeniu. Bowiem odzyskanie Niepodległości warunkowane jest rozpadem imperium sowieckiego.

Jednak właśnie wychowanie ku Niepodległości jest jedyną szansą dla współczesnej Polski. Być może to jeszcze jedna forma eskapizmu, ale ponowne oszukiwanie społeczeństwa mirażami „ewolucji", „kompromisu", „porozumienia się" „Polaka z Polakiem" są oddawaniem naszego społeczeństwa w niewolę nie tylko fizyczną, ale i duchową.

Podkreślaliśmy powyżej konieczność koordynacji wysiłków i działań intelektualnych środowisk „niepodległościowych". Nie są to cele wyłączne. Praca ku Niepodległości nie może zasłaniać problemów dnia dzisiejszego, nie może blokować podejmowania prób modyfikacji rzeczywistości. Można i należy je podejmować na wszelkich płaszczyznach, które nie podlegają pełnej kontroli komunistów.

Działacze opozycji, niezależnie od tworzenia partii „niepodległościowych", nie mogą stracić wpływu na zakłady pracy, wpływu na jak najszersze kręgi społeczne, nie mogą zrezygnować z działalności w strukturach związkowych bądź postzwiązkowych. Podkreślaliśmy znaczenie działań „Solidarności Walczącej", ale w Warszawie, bastionie „ewolucjonistów", można dojrzeć istotne elementy zmiany. Od wiosny 1986 roku działa Porozumienie Struktur Zakładowych „Solidarności" Regionu Mazowsze. Jest ono nominalnie podporządkowane władzom krajowym „Solidarności", ale jego działacze, mocno osadzeni w zakładach, zachowujący pełną anonimowość, mocno odcinają się od koncepcji ujawniania się. Przeciwnie, w kontynuacji dotychczasowej pracy podziemnej widzą przyszłość ruchu. Jest to przejaw myślenia perspektywicznego, wyraz wyraźnej opcji ideologicznej. Polityka krajowych działaczy „Solidarności" może doprowadzić do autonomizacji tego typu grup, gdyż ich działacze w pełni mieszczą się w kategorii „radykałów". Obecnie konieczne jest nawiązanie ścisłej współpracy tych ogniw z działaczami „niepodległościowymi", rozszerzenie kręgów, stworzenie wspólnego środowiska intelektualnego. Przed tym środowiskiem staną problemy opracowywania programów gospodarczych, koordynacji zadań w kraju, nawiązywania kontaktów z opozycjami u „sąsiadów", poszukiwanie poparcia na Zachodzie. Jest to program na dziś, na jutro, i chyba na jeszcze długo.

Jan ORLIŃSKI

HASKOBA Ltd.

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU PKO
BONY DOLAROWE -
KONTA „A" DEWIZOWE
Zwykłe i Telegraficzne
LEKARSTWA - SAMOCHODY -
ŻYWNOŚĆ - TELEWIZORY - VIDEO
EMERYTURY - SPADKI -
REPATRIACJE
42 LATA DOŚWIADCZENIA
81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919

Druga podróż do Moskwy

(24-31 STYCZNIA 1988)

Latem 1987 roku, wkrótce po moim powrocie z Syberii, rząd sowiecki zgłosił Moskwę jako kolejne miejsce przeglądowej konferencji pohelsińskiej, poświęconej prawom człowieka. Rządy zachodnie były cokolwiek zażenowane tą propozycją. Międzynarodowa Federacja Helsińska d/s Praw Człowieka (IHF), dla której do niedawna sowieckie środki przekazu nie miały dość obelg, zaproponowała władzom sowieckim, że wyśle do Moskwy delegację dla zbadania, czy istnieją tam odpowiednie warunki do dyskusji. Szef delegacji sowieckiej na konferencję wiedeńską, ambasador Kaszlin, zakomunikował 22 września 1987 roku, że delegacja zostanie przyjęta.

Mimo że Czechosłowacja formalnie przestała być częścią Europy zachodniej dziesiątki lat temu, była jednak reprezentowana w delegacji IHF. Książę Karl von Schwarzenberg, prezes Międzynarodowej Federacji, podróżował ze szwajcarskim paszportem, ja ze szwedzkim. Bez względu na nasze neutralne paszporty, obaj czuliśmy się jak najbardziej Czechosłowakami. Ja, który znalazłem się na wygnaniu wbrew własnej woli dwadzieścia lat później niż nasz prezes Karl, odczuwałem nawet rodzaj schizofrenicznego niepokoju: kogo naprawdę reprezentuję?

Nawet dla kogoś z niewielką dozą wyobraźni jest zrozumiałe, że uzgodnienie z władzami sowieckimi daty wizyty delegacji z udziałem dwóch ministrów spraw zagranicznych, dwóch byłych ministrów sprawiedliwości, szeregu posłów z różnych parlamentów europejskich, wielu profesorów, jednego noblisty, jednego lekarza, jednego duchownego i znanego arystokraty czeskiego, było nadzwyczaj trudne. Fakt, że udało się to stosunkowo szybko za-

łatwić, świadczy o zainteresowaniu obu stron. Aż do ostatniej chwili kilku członków delegacji, łącznie ze mną, miało problemy wizowe. Wreszcie wszystko załatwiono i delegacja zebrała się 23 stycznia w Kopenhadze, punkcie wyjściowym podróży do Moskwy.

W ciągu niespełna roku czułem się po raz drugi jak w absurdalnym śnie. Znów mam lecieć do Moskwy! Pierwszą moją wizę można by tłumaczyć swojego rodzaju respektem Sowietów dla międzynarodowej konferencji naukowej. Zezwolenie na przyjazd do Moskwy w charakterze wysłannika Federacji Helsińskiej, szczególnie po rozgłosie wokół mojego raportu z pierwszej wizyty („Dobrowolna podróż na Syberię" — 1987[1]), pozostawiało tylko jedno możliwe wytłumaczenie: że wiele rzeczy w Moskwie się zmieniło.

◆

Odlecieliśmy z Kopenhagi na pokładzie sowieckiego IŁa-62, na szczególnie zatłoczonej trasie Sztokholm-Kopenhaga-Moskwa-Bangkok. Samolot był zapełniony głównie skandynawskimi turystami, którzy tęsknią zimą do słońca, ale są oszczędni. IHF, jak większość organizacji publicznych na Zachodzie, boryka się z kłopotami finansowymi, wybrała więc Aerofłot z powodu niższej ceny.

Nie chciałem spędzić całej podróży na wąskich i niewygodnych siedzeniach. Poprzedniego roku leciałem Aerofłotem na liniach krajowych, ale łudziłem się, że samolot w ruchu międzynarodowym będzie nieco lepiej wyposażony i czystszy. Gdy szedłem między fotelami w kierunku ogona samolotu, dostrzegłem kilka tuzinów torebek z herbatą, suszących się na pokrywie elektrycznego samowara. Moja babka w czasie wojny też suszyła raz zaparzoną herbatę do powtórnego użytku. Słowo „surowiec wtórny" nie było jeszcze w powszechnym użyciu.

Na szczęście podróż do Moskwy trwała tylko dwie godziny. W przeciwnym wypadku bym się udusił — Aerofłot nie odkrył jeszcze, że palaczy można oddzielić od niepalących.

W drodze powrotnej także lecieliśmy Aerofłotem, tym razem przez Leningrad. Odjazd sprzed hotelu wyznaczono na piątą rano, samolot miał odlecieć o 7.45. Na lotnisko dotarliśmy o 5.40. Jak przeczekać następne dwie godziny? Na zewnątrz panowała temperatura minus 25°. Chcieliśmy zjeść śniadanie i poszliśmy do restauracji na pierwszym piętrze. Zapytałem van der Stoela, Bena Mottelsona i Erika Siesby, co by chcieli. Odpowiedź brzmiała: herbaty. Odczekałem swoje w kolejce do bufetu i zamówiłem

1. Patrz *Kultura* nr 3/1988.

cztery szklanki dobrej, gorącej herbaty. „Podajemy tylko kawę. Herbatę sprzedają na parterze". Dałem za wygraną i wziąłem kawę. Miała smak nie kojarzący się z niczym. Pamiętam, że gdy latem leciałem do Nowosybirska, Aeorofłot podawał tylko kawę i lemoniadę. W czasie podróży powrotnej — wyłącznie herbatę i wodę mineralną. Człowiek jest tylko śrubką w dużym mechanizmie. Ma się obracać w jednym kierunku i pić to, co dają...

Nie muszę podkreślać, jak bardzo ceniłem sobie reklamówkę odbitą na biletach Aerofłotu w dwóch językach: „Uczyniliście dobry wybór! Aerofłot zapewnia wam doskonałe warunki podróży służbowych i turystycznych. Gwarantowana wygoda i gościnność. Dziękujemy za lot!".

W Moskwie powitali nas przedstawiciele sowieckiej komisji d/s Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej.

Pierwszy problem powstał w związku z moją osobą. Młody strażnik zaczął studiować mój paszport i usiłował wyciągnąć z komputera informację, czy moja wizyta jest w porządku. Nie powiodło mu się. Był zadowolony, że mógł się ze mną porozumieć po rosyjsku. Po pewnym czasie pojawił się jego zwierzchnik. On też docenił, że może ze mną rozmawiać po rosyjsku. Na koniec przybył porucznik, oświadczył wszystkim, że robią wiele hałasu o nic i także usiłował wyciągnąć informacje od komputera. Zauważyłem z pewną ulgą, że nie ja jeden stworzyłem problemy. Przewodniczący Parlamentu Norweskiego, Steen, podróżujący z paszportem dyplomatycznym, miał jeszcze gorsze kłopoty, nie mówiąc już o Robercie Bernsteinie, szefie wydawnictwa Random House, którego zatrzymano na czterdzieści minut, zanim nie przekonano komputera, aby usankcjonował jego przybycie. Wreszcie przeszliśmy.

Nastąpiła druga część odprawy. Miałem naturalnie sporo książek w bagażu. Ponieważ nie lubię bezużytecznych eksperymentów, wziąłem walizkę i podszedłem do okienka dla dyplomatów, gdzie nie ma aparatury do prześwietlania. Przegnali mnie do okienka z aparaturą. Gdy tylko zająłem miejsce w kolejce, ktoś z delegacji powitalnej podbiegł do mnie i przezornie wyciągnął mnie z niej.

Wreszcie zaprowadzono nas do autokaru. Przewodnik z Intouristu udzielił nam pierwszych wyjaśnień na temat życia sowieckiego. Hotel Belgrad II, do którego jechaliśmy, znajdował się na Placu Smoleńskim i składał się z dwóch identycznych wysokościowców, symetrycznie wzniesionych naprzeciwko „barokowego" drapacza chmur Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zbudowanego w latach pięćdziesiątych. Nikt oczywiście nie wiedział, który z nich jest Belgradem I, a który Belgradem II. Powiedziałem przewodnikowi, aby nas poinstruował. „Jeśli staniecie tyłem

patrząc na Szewardnadze, będziecie mieli wasz hotel po prawej stronie". Wszyscy delegaci używali tej wskazówki przez cały tydzień jak kompasu.

Z powodu komputerów i niedzieli dotarliśmy do hotelu dopiero około dziesiątej rano. Uzgodniłem z Bernsteinem, że zatelefonujemy do Sacharowa. Zadzwoniłem — kazał nam przyjść natychmiast.

Powitanie u Sacharowów było ciepłe jak zwykle. Byli teraz sami w swoim mieszkaniu — matka pani Bonner, Ruth, zmarła w grudniu. Tania i jej brat otrzymali wizy na pogrzeb babki. Lubiłem starą panią Bonner — przypadliśmy sobie do serca w Bostonie i zawsze dobrze nam się rozmawiało. Mieszkała z Jankielewiczami przez jakieś osiem lat, ale gdy Sacharow wrócił z wygnania, postanowiła wrócić do Moskwy. Była mądrą kobietą, stale paliła, kaszlała i czytała wszystko, co jej wpadło w ręce. W czerwcu zapytałem ją, czy nie nudzi się w Moskwie. Odparła, że naprawdę nie wie: tęskni za Bostonem, wnukami i prawnukami, ale w Moskwie każdy ją rozumie.

Sacharowowie zaprowadzili nas do kuchni i zaczęli karmić. To rosyjski obyczaj: po długiej podróży każdy musi być głodny i spragniony. W przypadku Aerofłotu jest to prawdą. Zjedliśmy coś, wypiliśmy herbatę i zaczęliśmy rozmawiać. Jelena i Andriej byli ogromnie zainteresowani naszą wizytą i chcieli się dowiedzieć, czy wszystko co podawały zagraniczne radiostacje było prawdą. Zdołaliśmy zaspokoić ich ciekawość tylko do pewnego stopnia: papiery, które otrzymaliśmy od komitetu powitalnego, zawierały jedynie ogólny zarys programu. Wymieniono tam wizytę w Zagorsku, spotkanie z przewodniczącym Urzędu d/s Wyznań, z różnymi ministrami lub ich zastępcami. Program nie wspominał słowem o spotkaniu z szefem KGB, generałem Czebrikowem, wizycie w łagrze Potma ani o przyjęciu u Michaiła Gorbaczowa. Pożegnaliśmy się z Sacharowymi nieco przed pierwszą w nocy.

W poniedziałek odmówiliśmy wycieczki do monasteru w Zagorsku i zamiast tego poszliśmy do Instytutu Państwa i Prawa, gdzie czekał na nas cały batalion wysoce wykwalifikowanych ekspertów. Wedle pierwotnego planu miał tam pójść tylko profesor Eric Siesby z Danii, który sam sobie zorganizował wizytę, ale wszystko odbyło się inaczej, bez precedensu, co musiał przyznać nawet *New York Times*. Niemal wszystko było dozwolone w ciągu tego tygodnia: demonstracje Żydów, zwolenników Hare-Kriszna i wiele innych rzeczy, nieznanych lub co najmniej niezwykłych w Moskwie.

W Instytucie Państwa i Prawa Akademii Nauk zjawiło się nas więc dwudziestu. Powitał nas akademik Kudriawcew, członek prezydium Akademii i dyrektor Instytutu. W piętnastominuto-

wym wstępie usiłował nas wprowadzić w labirynt sowieckiego systemu prawnego. Nie używam słowa „labirynt" w znaczeniu pejoratywnym, a raczej jako bardzo precyzyjną charakterystykę obecnego stanu rzeczy. Eksperci prawni, których spotkaliśmy w instytucie, na spotkaniu z sowieckim ministrem sprawiedliwości oraz podczas wizyty w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, opisywali obecną sytuację przy pomocy różnych mocnych określeń. Minister sprawiedliwości mówił o największej rewolucji w dziejach ZSSR, porównywalnej lub wręcz większej od tego, co nastąpiło po rewolucji październikowej. Ale różnica jest z pewnością zasadnicza: po rewolucji bolszewickiej skoncentrowano się na obalaniu starego carskiego systemu prawnego, w myśl zasady, że rewolucja zastępuje prawo (co w końcu doprowadziło do całkowitej pogardy dla prawa). Obecnie — po wielu gorzkich i tragicznych doświadczeniach — państwo próbuje zbudować system prawny, który będzie funkcjonował i przewidywał gwarancje. Jeden z profesorów mówił nawet o powołaniu Trybunału Konstytucyjnego, który decydowałby o legalności różnych ustaw, zarządzeń i dekretów. Szef pierwszej Katedry Praw Człowieka w Moskiewskim Instytucie Prawa (mają nawet to!) nie zgodził się ze swoim przedmówcą. Wszystko to przypominało mi atmosferę naszych debat w 1968 roku.

Powiedziano nam, że dla wprowadzenia ustawy o przedsiębiorstwach socjalistycznych musiano obalić około 1.200 ustaw, dekretów i przepisów. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jak brzmi ustawa dotycząca tajemnicy państwowej, dać nam jej tekst i wyjaśnić, jak można ją stosować w ograniczaniu praw obywatelskich.

Nikt z uczonych prawników i nikt w ogóle nie umiał nam udzielić jasnej odpowiedzi na proste pytanie, jakie ustawy regulują zatwierdzanie organizacji społecznych lub jakie są możliwości apelacji w takich sprawach. Wydaje się, że społeczeństwo poddane totalnej kontroli partii komunistycznej nie było przygotowane do takich podstawowych kwestii związanych z pluralizmem.

Eksperci prawni przyznali, że sformułowania niektórych artykułów kodeksu karnego, szczególnie sławetnego artykułu 70 kodeksu karnego RSFSR, były ujęte niejasno i dawały możliwość nadużyć. Wszyscy uważali nową ustawę, która pozwala obywatelowi skarżyć urzędnika za bezprawną decyzję, za wielki krok naprzód. Chciałem dowiedzieć się, czy istnieje zasadnicza różnica między książką zażaleń i prawną skargą złożoną na urzędnika i czy ta różnica nie polega głównie na ogólnej atmosferze i praktyce. Jeśli państwo traktowałoby księgę zażaleń poważnie, nie traciłoby czasu na formułowanie nowej ustawy. Akademik Kudriawcew potwierdził, że ludzie mogą składać skargi przynajmniej do dziesięciu instytucji, począwszy od prokuratora do Ministerstwa

Kontroli Państwowej Prezydium Rady Najwyższej i innych ciał, wliczając w to partię. Nie udało mu się przekonać mnie, że nowa ustawa jest rzeczywiście nowa i zasługuje na szczególną uwagę. Dyskusja skierowała się na kwestię niezawisłości sędziów i pytanie, czy tryb ich wyboru gwarantował ich niezawisłość. Sowieccy eksperci prawni różnili się między sobą na ten temat, nie wspominając już o kwestii obecnej procedury wyborczej. Nie było jednak czasu na kontynuowanie dyskusji.

Przewodnicząca komisji d/s rewizji prawa kryminalnego poinformowała nas o znacznej liberalizacji kodeksu karnego: orzekanie kary śmierci ma być ograniczone, jak i maksymalny wymiar kar więzienia. Dodała, że odbywa się to nie bez problemów: opinia publiczna opowiada się za utrzymaniem, a nawet szerszym stosowaniem kary śmierci. Społeczeństwo wychowywane było w takim duchu przez siedemdziesiąt lat. Nie odpowiedziano na moje pytanie o liczbę wykonanych wyroków śmierci. Zostałem poinformowany, że tego się nigdy nie ogłasza.

Wiceminister spraw wewnętrznych zwrócił naszą uwagę na artykuł w *Prawdzie* pod tytułem „Uśmiech Fatimy". Donosił on o aresztowaniu i skazaniu mordercy, który w ciągu minionych trzech lat zamordował ponad trzydzieści kobiet w rejonie Witebska. Od źródeł nie związanych z *establishment*'em prawnym dowiedziałem się, że aby uspokoić opinię publiczną, skazano za tę samą zbrodnię co najmniej dziesięć innych osób, a na jednej podobno nawet wykonano wyrok. Kuba Rozpruwacz może pojawić się w jakimkolwiek kraju, ale egzekucja niewinnego jest niezmiernie rzadkim zjawiskiem. Takie wydarzenie wzburza opinię publiczną i wywołuje masowe protesty. Długie lata terroru stalinowskiego najwyraźniej nauczyły opinię publiczną w Rosji obojętności. Co więcej, ten budzący trwogę przypadek dowodzi, że mechanizmy mogące powstrzymać nieodwracalne akty niesprawiedliwości nie funkcjonują w ZSSR.

Zgodnie z jedną z propozycji, kara śmierci nie powinna w przyszłości dotyczyć kobiet, nieletnich, osób powyżej 60 roku życia i przestępców gospodarczych. Nie jest jasne, czy ta propozycja zostanie przyjęta: rozmiary korupcji i metody mafijne z nią związane są tak rozpowszechnione i niewiarygodne, i tak połączone z najbardziej ohydnymi przestępstwami — torturowaniem ludzi, niewolnictwem w Ferganie, znikaniem bez śladu niewygodnych ludzi, defraudacją i kradzieżami idącymi w tysiące milionów rubli (nie, to nie jest błąd korektorski: w doniesieniach z Uzbekistanu mówi się o co najmniej czterech miliardach rubli; jeden z głównych oskarżonych w dolinie Fergany w Uzbekistanie zaproponował łapówkę w wysokości miliona rubli, by zapewnić sobie, że będzie sądzony na swoim terenie, w Ferganie albo przynajmniej

w Uzbekistanie), że znaczna opozycja może utrudnić wprowadzenie tej ustawy.

Ale sowieckie sądy kryminalne stają się jednak bardziej liberalne: w 1980 roku ponad 57 % oskarżonych zostało skazanych na kary więzienia; obecnie podaje się liczbę 32 %, a maksymalna kara więzienia wynosi dziesięć lat, dla nieletnich — siedem. Wiceminister spraw wewnętrznych Sizow powiedział, że około 100 artykułów kodeksu karnego ma być objętych „dekryminalizacją". Oświadczył nam nawet, że wskutek braku więźniów zamknięto w 1987 roku 40 obozów karnych, w tym sławetną Potmę, podczas gdy w Mordowii pozostał otwarty tylko jeden obóz, a z ostatnich doniesień wynika, że przebywa w nich tylko 19 więźniów skazanych na podstawie artykułu 70 lub 190-1. Minister miał dobrze przygotowane wystąpienie. Zrobił poprawkę i wyjaśnił: „To znaczy, było ich dziewiętnastu, ponieważ wczoraj dwóch dodatkowych więźniów zostało zwolnionych". Rzecz jasna, nie mogliśmy sprawdzić tych liczb, tym bardziej że naszą prośbę o odwiedzenie jednego z obozów odrzucono, z wyjaśnieniem, że łagry znajdują się na obszarze zamkniętym dla cudzoziemców — była to decyzja rządu. Ale w informacji nam podanej znalazło się coś zupełnie nowego: podczas gdy Amnesty International i inne podobne ugrupowania uważały, że w 1987 roku nikt w Związku Sowieckim nie został skazany z artykułu 70 lub 190-1, minister wspomniał o dwóch takich sprawach. Odmówił jednak podania nazwisk.

P.o. ministra był człowiekiem rozmownym i starał się stworzyć jak najserdeczniejszą atmosferę. Przystojne, dobrze ubrane młode kobiety podawały herbatę, słodycze i napoje chłodzące. Szef OWIR-u (Biura Paszportowego) Rudolf Kuzniecow wyrecytował dane na temat liczby podróży zagranicznych i czynił wszystko, aby nas przekonać, że i w tej dziedzinie niedługo wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Tylko główny szef sowieckich obozów pracy, zajmujący miejsce po prawej stronie ministra, siedział z ponurą miną i nie odzywał się. Z nieukrywaną awersją patrzył na moją kamerę video. Niezadowolenie malowało się też na twarzach tuzina cywilów, których nam nie przedstawiono, ale którzy obserwowali nasze obrady, siedząc za dwoma mniejszymi stołami w głębi za ministrem.

Bernstein i ja musieliśmy opuścić zebranie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych trochę wcześniej, aby zdążyć na kolację u Sacharowa. Poprosiłem urzędnika, który nas odprowadzał, aby był tak uprzejmy i wezwał taksówkę. Machnął ręką i wydał dyspozycję, aby odwiózł nas służbowy samochód. Była to stara „Wołga". Jej związek z uprzywilejowanym resortem wyrażał się opuszczonymi zasłonami, specjalnym numerem rejestracyjnym i

radiotelefonem wciśniętym między siedzenie na przodzie. Odczułem nagle nostalgię za dzieciństwem: podobnego telefonu, z ręczną korbką, zasilanego dużym akumulatorem, używali żołnierze Armii Czerwonej w maju 1945 roku, kiedy zjawili się w Pradze po raz pierwszy. Jedyna różnica polegała na tym, że ten nie potrzebował kabli, jak tamten sprzed 43 lat.

W poniedziałek po południu odwiedziliśmy profesora Nauma Mejmana. Jest on jednym z najstarszych żydowskich *otkazników:* czekał na paszport emigracyjny ponad dziesięć lat. Chociaż jest matematykiem i fizykiem teoretycznym, odmawiano mu paszportu z powodu ochrony tajemnic państwowych. Ponad rok temu jego żonie pozwolono wyjechać w ostatnim stadium raka: zmarła niemal natychmiast po przybyciu na Zachód. Profesor Mejman powiedział nam, że w sobotę zadzwoniła do niego z Paryża Simone Veil. Sowiecki ambasador poinformował ją, że Mejman otrzymał pozwolenie na emigrację. W poniedziałek rano Mejman poszedł do OWIR-u, aby się dowiedzieć, że w jego sprawie nic się nie zmieniło. Gdyśmy u niego byli, zadzwonił tam ambasador Warren Zimmerman, szef delegacji amerykańskiej na konferencję wiedeńską. On także słyszał, że Mejmanowi pozwolono wyjechać z Rosji. Profesor Mejman był teraz pełen optymizmu: może tym razem rzeczywiście dadzą mu paszport? Dali. Około dziewiątej wieczorem zadzwonił do Sacharowów: tego popołudnia zatelefonowano doń z OWIR-u, że może przyjść po paszport.

Ostatni tydzień stycznia był tygodniem cudów. Bratu mojej żony nie pozwalano odwiedzić 78-letniej matki, mieszkającej od jedenastu lat w Szwecji. Kiedy zatelefonowałem do niego po przyjeździe do Moskwy, powiedział mi, że otrzymał wezwanie do OWIR-u na poniedziałek. Urzędnik, który go przyjął, przeglądał grubą teczkę. Szwagier był zaskoczony ilością informacji, które — jak mu się wydawało — zgromadzono na jego temat. Teczka dotyczyła jednak nie jego, lecz jego ojczyma, akademika Kolmana, który w wieku 84 lat popełnił przestępstwo wobec państwa: po sześćdziesięciu latach przynależności do partii wystąpił z niej i postanowił zostać w Szwecji ze swoją córką i wnukami.

„Nie powinniśmy wam pozwolić na wizytę w Szwecji — powiedział urzędnik mojemu szwagrowi. — Wasi rodzice pogwałcili prawo. Chcę jednak podejść do waszej sprawy z sympatią. Myślę, że dostaniecie zezwolenie". „Kiedy?" — zapytał szwagier. „Wkrótce" — odparł urzędnik, który sprawował władzę nad losami ludzi. „Wkrótce, to bardzo ogólny termin" — powiedział szwagier, nie dając za wygraną. „Powiedziałem, że wkrótce" — zakończył dyskusję urzędnik.

Odleciałem z Moskwy w niedzielę wczesnym rankiem. W sobotę szwagier otrzymał zawiadomienie z OWIR-u. Niewyraźny

stempel informował, że może się stawić po odbiór dokumentów. Gdy piszę te słowa, szwagier jest właśnie w Sztokholmie. Świetna synchronizacja — nawet Pavel Kohout nie wymyśliłby precyzyjniejszej dramaturgii.

◆

W poniedziałek wieczorem mieszkanie Lwa Timofiejewa było zatłoczone. Przedstawiciele wszelkich niezależnych organizacji pragnęli spotkać się z delegacją IHF. Nikt nie wie, ile takich organizacji istnieje, tym bardziej, że nie ma przecież żadnego mechanizmu ich rejestracji. Spotkanie ciągnęło się do północy; przemawiali przedstawiciele ugrupowania ukraińskiego, ugrupowania inwalidów, byłych więźniów obozów, którzy opowiadali o warunkach, w jakich znajdują się więźniowie polityczni, czciciele Hare Kriszna, przedstawiciele żydowskich aktywistów i członkowie rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Dla wielu członków IHF było to z pewnością pierwsze tego rodzaju spotkanie. Byli ministrowie spraw zagranicznych, van der Stoel i Peter Jankowitsch, znali Związek Sowiecki z innej pesrpektywy. Teraz siedzieli na podłodze i usiłowali dyskutować z przedstawicielami Klubu Prasowego *Głasnost'* (który został członkiem IHF jesienią), jak umożliwić im udział przynajmniej w niektórych naszych spotkaniach w Moskwie. Opinie na ten temat różniły się diametralnie: Klub Prasowy *Głasnost'* uważał, że jego przedstawiciele powinni wziąć udział we wszystkich naszych spotkaniach. Nawet mnie te żądania wydały się przesadzone i nierealistyczne. Skład naszej delegacji uzgodniono z sowieckimi partnerami — nie było mowy o Timofiejewie i jego przyjaciołach. Próbowałem im to wytłumaczyć, ale nie wiem, na ile byłem przekonywający. Byli ministrowie spraw zagranicznych i parlamentarzyści okazali się nawet mniej skuteczni w argumentacji, choć byli zawodowymi dyplomatami. Z wielkim zainteresowaniem i rozbawieniem obserwowałem, jak usiłowali zapanować nad sytuacją zarówno z podłogi mieszkania Timofiejewa jak i zza stołów konferencyjnych w resortach Sprawiedliwości, Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych. Przy wielu okazjach zastanawiałem się, czy byłbym zdolny działać tak jak oni i czy chciałbym być do tego zdolny. Po tygodniu moja odpowiedź na drugie pytanie była zdecydowanie negatywna.

Naszą ożywioną dyskusję przerwał Gieorgij Edelstein, który czuwał przed domem i przyszedł ostrzec nas, że z samochodu zaparkowanego przed wejściem dobiegały go nie tylko nasze głosy, ale zauważył w jego wnętrzu nawet monitor telewizyjny. Członkowie naszej delegacji aż usiedli z wrażenia. O 9.30 wieczorem zadzwonił telefon: milicjant nazwiskiem Kuzniecow zaczął wypytywać Lwa Timofiejewa, dlaczego nie pracuje, lecz wiedzie życie pasożyta. Rozmowie przysłuchiwało się około trzydziestu świadków. Nagrałem ją nawet na mojej taśmie video.

Miałem niejakie wątpliwości co do alarmu Gieorgija i czekałem na odpowiedni moment, aby go zapytać o więcej szczegółów. Kiedy zaczęliśmy mówić o transmisji telewizyjnej z naszego spotkania do samochodu, Gieorgij nie był już tego taki pewien: ponieważ jest krótkowzroczny, nie mógł z całą pewnością powiedzieć, czy rzeczywiście dostrzegł we wnętrzu błękitną poświatę. Upierał się jednak, że słyszał mieszaninę angielskiego i rosyjskiego dochodzącą z samochodu. Nadal byłem sceptyczny: a może kierowca słuchał Głosu Ameryki albo innej zagranicznej radiostacji?

◆

We wtorek spędziłem cały wieczór z Andriejem Dimitriewiczem i Jeleną Gieorgiewną. Późnym wieczorem zadzwonił dziennikarz z *Ogońka,* który dostrzegł Sacharowa poprzedniego dnia na wieczorze poświęconym Wysockiemu i chciał, aby napisał z tego recenzję. Sacharow argumentował zakłopotany, że nie jest najlepszą osobą do tego celu. Następnie zadzwonił Siergiej Kowalew ze skargą, że nie chcieliśmy włączyć Klubu Prasowego *Głasnost'* do naszej delegacji. Sacharow wysłuchał naszych argumentów i próbował przekonać Siergieja, że istnieją pewne normy, a mnie, że powinniśmy spróbować zabrać przedstawiciela grupy moskiewskiej na przynajmniej jedno ze spotkań. Po wielu następnych rozmowach telefonicznych uzgodniono, że Timofiejew, Kowalew i Łarysa Bogoraz przyjdą do nas i zjedzą z nami śniadanie w hotelu, a następnie pójdą z nami na spotkanie z oficjalno-nieoficjalną komisją Burłackiego, utworzoną niedawno i będącą reakcją sowiecką na różne helsińskie komitety obywatelskie, istniejące obecnie w całej Europie zachodniej.

„Nigdy nie wiadomo z naszymi dysydentami: są zdolni do stworzenia problemów nawet tam, gdzie ich nie ma" — podsumowała naszą dyskusję Jelena Gieorgiewna. Brzmiała czule, niemal jak matka, tak samo, jak podczas zapisywania nazwisk więźniów w moim notesie: „Gdybyśmy tylko mogli wszystkich ich uwolnić — jestem tak zmęczona tym wszystkim...".

Próbuję sobie przypomnieć wszystko, o czym rozmawialiśmy z Andriejem Dimitriewiczem i Jeleną Gieorgiewną przeglądając notatki, skrawki papieru, zapisy na taśmie video, na kasecie magnetofonowej. Około 1.30 w nocy, gdy częściowo wskutek senności, a częściowo dobrych manier zacząłem zerkać na zegarek, Jelena Gieorgiewna powiedziała, że nie da mi jeszcze odejść: muszę im pomóc przenieść biurko z małego mieszkania na piątym

piętrze, którego Andriej używa jako gabinetu do pracy, do ich głównego mieszkania. Niestety, nie było nikogo, kto mógłby sfilmować tę scenę: około pierwszej w nocy Sacharow i ja mocujemy się z biurkiem na schodach. Obawiałem się, że okaże się to dla niego za ciężkie — poradził sobie bez śladu zadyszki.

W moim notatniku mam nazwiska więźniów sumienia, członków ugrupowań helsińskich, jakie Jelena Gieorgiewna starannie wpisała. Ta lista stale się zmienia — ostatnio na lepsze. Przy niektórych nazwiskach pojawiają się znaki zapytania.

„Dopisuję teraz nawet wielu zwykłych kryminalistów — powiedziała Jelena Gieorgiewna. — Trzeba uważać. Niektórzy zostali później, już w obozie, skazani na podstawie artykułu 70, za jakiś strajk, demonstracje lub kontakty z politycznymi".

Następnego dnia usłyszałem podobne oświadczenie, tym razem z ust p.o. ministra spraw wewnętrznych.

Próbowałem wyciągnąć od Andrieja Dimitriewicza, jak odebrał rok 1968. Był trochę zawstydzony. Wydawało mi się, że nie ma nic do powiedzenia:

„W owym okresie żyłem w wielkiej izolacji, spotykałem się tylko z nielicznym gronem ludzi. Słuchałem co prawda radiostacji zagranicznych, ale miałem niewiele bezpośrednich informacji o tym, co się działo w Czechosłowacji. Jedynym autentycznym dokumentem, jaki wówczas widziałem, był manifest '2000 słów', który otrzymałem, o ile pamiętam, od Miedwiediewa".

„W owym czasie chciano od nas tylko jednego: produkowania broni; próbowano nie dopuszczać do nas żadnych informacji politycznych prócz tych, które podawała *Prawda*. Dostawałem wtedy tylko biuletyn TASS-a, ale pisano tam głównie o zagadnieniach strategicznych, a na koniec odmówiono nam nawet tego".

Sacharow wraca do moich pytań i próbuje odpowiedzieć z maksymalną dokładnością, czy Praska Wiosna miała wpływ na jego rozwój polityczny oraz treść jego głośnego eseju. „Nie, nie było bezpośredniego impulsu Praskiej Wiosny. Miałem wtedy zbyt mało informacji".

Wiosną i latem 1968 roku Sacharow nie był jeszcze w ruchu dysydenckim. Nie potrafi powiedzieć, czy wydarzenia Praskiej Wiosny wywarły nań większy wpływ; nie zadawał sobie pytania, czy Związek Sowiecki zgniecie eksperyment czechosłowacki siłą. Sacharow, który zrobił wszystko, co mógł, by nie dopuścić do eksplozji sowieckiej superbomby w 1962 roku, nie myślał nawet o przyłączeniu się do demonstracji na Placu Czerwonym (nie wiedział nawet, że istniał taki plan). Choć był wstrząśnięty zajęciem Czechosłowacji, nie myślał też o ogłoszeniu protestu lub oświadczenia.

Mój list otwarty do akademików sowieckich, który Sacharow otrzymał w 1971 roku i na który odpowiedział bardzo serdecznie

i rzeczowo, był najwyraźniej jego pierwszym bezpośrednim kontaktem z wydarzeniami w Czechosłowacji po okupacji, w okresie „normalizacji".

Nie miał również konkretnych informacji na temat Karty 77. Jelena Gieorgiewna spisała tekst Karty 77, gdy nadano jej treść przez zachodnie radio i następnie powieliła, ale długo przed wygnaniem do Gorki żyli w kompletnej izolacji. Mała, „prywatna" maszyna do zagłuszania została zainstalowana w ich domu. Niekiedy udawało im się złapać program jakiejś zachodniej radiostacji, ale tylko wtedy, gdy wychodzili na spacer z radiem.

W przeddzień mego wyjazdu do Moskwy otrzymałem apel Karty 77 o solidarność z Rumunią. Przetłumaczyłem doskonały i zwięzły tekst na rosyjski — i apel wywarł duże wrażenie na Sacharowie. Nagle mogłem zobaczyć Andrieja Dimitriewicza w akcji. Pomoc musi być szybka, konkretna i skuteczna. Zaproponował wysyłkę paczek żywnościowych i ubrań. Powiedziałem, że to przecież niemożliwe — z ZSSR prawie niczego nie można wysyłać ani wywozić za granicę... Sacharow był zaskoczony nowymi przepisami celnymi (zakazano wysyłania jakichkolwiek ubrań wełnianych, bawełnianych, lnianych, towarów zawierających tę przędzę, jak również ręcznie haftowanych artykułów tekstylnych...). Powiedział mi, że latem i jesienią 1981 roku wysyłali z żoną paczki żywnościowe do Polski z Gorkiego...

Teraz ja się zdumiałem.

„Rzeczywiście wysyłali Państwo paczki żywnościowe do głodnych Polaków z Gorkiego?".

„Tak, wiele razy" — potwierdziła Jelena Gieorgiewna. (? — *Red.*).

Zapytałem Sacharowa, czy zechciałby poprzeć apel Karty 77. Zawahał się przez chwilę, a następnie zgodził i ułożył krótkie oświadczenie na odwrocie czeskiego tekstu. Zostałem upoważniony do jego ogłoszenia:

„Przeczytałem apel Karty 77 o solidarność z narodem rumuńskim. Uważam tę inicjatywę za krok na czasie. Traktuję ideę Karty 77, aby zwrócić uwagę Europy i wszystkich Europejczyków na sytuację w Rumunii, jako nadzwyczaj ważną i popieram ją".

Andriej Sacharow

Moskwa, 26 stycznia 1988

W tym miejscu pragnę dodać, że odczytałem pełny tekst apelu Karty 77 po rosyjsku i po angielsku pod koniec naszego spotkania z komisją Burłackiego, wzywając do poparcia apelu. Ani Fiodor Burłacki, ani żaden z jego kolegów tego nie uczynili. Na kawałku papieru, który mi wręczono, było napisane: „Członko-

wie Klubu Prasowego *Głasnost'* Timofiejew, Kowalew i Bogoraz dołączają swoje podpisy do dokumentu Karty 77". Profesor Mejman złożył podpis później.

Niewątpliwie po raz pierwszy dokument Karty 77 został odczytany w całości na oficjalnym spotkaniu w Moskwie i przypuszczalnie po raz pierwszy znalazły się pod nim podpisy sowieckich dysydentów.

◆

W środę rano czekaliśmy na przedstawicieli Klubu Prasowego *Głasnost'*, którzy mieli dołączyć do nas na śniadaniu. Zmienialiśmy się czekając na nich na zewnątrz — jakiś służbisty strażnik hotelowy mógłby nie wpuścić ich do środka.

Pierwszy konflikt powstał w pobliżu autokaru. Nasi przewodnicy nie chcieli ich wpuścić do autobusu, który miał nas zawieść na spotkanie z komisją Burłackiego. Dopiero gdy zagroziliśmy, że cała delegacja uda się pieszo, pozwolono naszym gościom wsiąść razem z nami.

Przed budynkiem, gdzie miało odbyć się zebranie, grupa zwolenników Hare Kriszna zaczęła demonstrację, gdy tylko podjechaliśmy. Z początku grupa nie wyróżniających się cywilów usiłowała wyrwać demonstrantom plakaty i transparenty, ale po chwili jeden ze zwierzchników najwyraźniej doszedł do wniosku, że tłumienie demonstracji na naszych oczach nie jest najlepszą reklamą i demonstrantów zostawiono w spokoju. Patrzyłem na tych cywilów; ich oczy płonęły niezaspokojonym pragnieniem. Przypomniałem sobie powieść Władimowa „Wierny Rusłan". Wydawało mi się, że słyszę z trudem powstrzymywane warczenie wydobywające się z tych ludzi-wilków i z lękiem pomyślałem o przyszłości. Ale od środy wszystko było w Moskwie dozwolone — odbył się szereg większych i mniejszych demonstracji bez żadnego incydentu, Rusłani byli bezrobotni.

Nasi goście dotarli do sali posiedzeń bez kłopotu. Problemy powstały z chwilą, gdy chcieli usiąść z nami przy dużym stole konferencyjnym, gdzie już zajęła miejsca około dziesięcioosobowa komisja Burłackiego.

Zaczęły się długie i nudne przemówienia. Mała sala była zapełniona obserwatorami. Znaleźli się tam baptyści, wyznawcy Hare Kriszna, żydowscy *otkaznicy* i wielu innych. Zachodnie środki przekazu też stawiły się w komplecie: liczne kamery świadczyły o tym, że jest to bacznie oglądane zebranie.

Kiedy książę Schwarzenberg powiedział, że należy Timofiejewowi pozwolić na powiedzenie kilku słów jako członkowi naszej delegacji, wybuchła awantura: Burłacki uznał, że naruszono jego prawa przewodniczącego. Oświadczył, że nie zna Klubu Prasowego *Głasnost'* i zapytał, czy celem naszej wizyty jest znalezienie wspólnego języka, czy też zorganizowanie pokazu publicznego. Karl von Schwarzenberg poczuł się głęboko dotknięty i dał temu upust w krótkiej, taktownej odpowiedzi. Jego stanowisko poparli dwaj byli ministrowie spraw zagranicznych. Burłacki pojął, że posunął się za daleko i zaczął szukać kompromisu. Wydawało się, że był nawet gotów udzielić głosu Timofiejewowi, ale spotkał się ze sprzeciwem swojego zastępcy.

Siedziałem niedaleko Burłackiego i widziałem, że pot wystąpił mu na czoło. Musiał sam podjąć decyzję, nie było czasu na żadne konsultacje. Wreszcie zdecydował:

„Chociaż nie podoba mi się sposób, w jaki zmusiliście mnie, abym oddał głos przedstawicielowi Klubu Prasowego *Głasnost'*, niech będzie jak chcecie. Jak mówi chińskie przysłowie, niebo nie zapadnie się, ptaki nadal będą fruwać, a ryby płynąć w rzece. Timofiejew ma głos".

Wszystkie kamery telewizyjne skierowały się z Burłackiego na Timofiejewa, który siedział między Jerry Laber a laureatem Nagrody Nobla, profesorem Mottelsonem.

Timofiejew wstał, zdjął okulary i powiedział:

„Zauważyłem zakłopotanie przewodniczącego, który musiał zdecydować, jak się do mnie zwracać: normalny rosyjski 'towarzysz' nie był dla mnie odpowiedni. Nie przysługiwał mi też zachodni sposób zwracania się per 'gospodin'. Tak więc profesor Burłacki powiedział po prostu: 'Timofiejew ma głos'. Nie czuję się w żadnym wypadku obrażony. Przyzwyczaiłem się do tej formy w obozie".

Wystąpienie Timofiejewa było zwięzłym, rzeczowym i uprzejmym podsumowaniem programu Klubu Prasowego *Głasnost'*. Burłacki miał rację. Timofiejew skończył, wręczył Burłackiemu listę więźniów politycznych, a niebo nie zapadło się.

Po zebraniu jeden z członków delegacji zapytał mnie, czy nie stworzyliśmy Burłackiemu problemów. Odpowiedziałem, że jeśli przywództwo sowieckie rzeczywiście pragnie, aby konferencja odbyła się w Moskwie, Burłacki powinien dostać medal.

Kiedy dotarliśmy do spółdzielczej restauracji na ulicy Kropotkinskiej, Sacharow i Jelena Gieorgiewna już tam byli. Stali w rogu, gdzie usiłował z nimi przeprowadzić wywiad reporter amerykański, a młoda kobieta za barem zapytała mnie, który z gości jest „naszym Sacharowem, naszym wybitnym człowiekiem, naszym aniołem". Brzmiało to pompatycznie, ale darowałem to młodej dziewczynie, która niewątpliwie przyszła na świat długo po śmierci Stalina. Dla wielu obywateli sowieckich Sacharow pozostaje ostatnią ostoją, ostatnią instancją ochrony, do której

można się zwrócić. Przez wiele miesięcy po jego powrocie z wygnania przed Instytutem Fizyki zbierał się tłum ludzi w nadziei, że będzie go można na chwilę zobaczyć. Po dziś dzień pracownicy Instytutu są ciągle proszeni przez różnych ludzi o przekazanie na przykład listu Sacharowowi.

W styczniu 1988 roku Sacharow zaczął się od czasu do czasu pojawiać w telewizji, prasa moskiewska ogłosiła o nim artykuł i nawet *Prawda* poinformowała o jego spotkaniu z Gorbaczowem.

Pragnąłem się dowiedzieć, czy po pierwszym osobistym spotkaniu z Gorbaczowem Sacharow zmienił opinię na jego temat. Osiem miesięcy temu Sacharow powiedział mi, że Gorbaczow wydaje mu się człowiekiem kompetentnym, który wie czego chce i nawet jest trochę cyniczny. „Cyniczny w najlepszym znaczeniu" — dodał. Po spotkaniu nie zmienił zdania: zaufał mu, choć Gorbaczow zachował pewną rezerwę.

W styczniu Sacharow wziął udział w posiedzeniu przywódców „Funduszu Przetrwania i Rozwoju Ludzkości" na Kremlu. Odczułem niemal osobistą satysfakcję, że został tam zaproszony. Trzy lata temu ogłosiłem długi artykuł pod tytułem „Niels Bohr i Andriej Sacharow: otwarty świat i przetrwanie ludzkości w epoce nuklearnej". W tym czasie w ZSSR o Sacharowie można było mówić tylko obelżywie. Sam Sacharow miał dość złożony pogląd na ów fundusz. Czy będzie z tego jakiś pożytek?

Gorbaczow wziął udział w posiedzeniu funduszu. Przywitał się z każdym i zamienił kilka słów z zebranymi. Powiedział Sacharowowi, że jest to ich pierwsze spotkanie po rozmowie telefonicznej. Andriej Dimitriewicz odparł, że ta rozmowa miała dla niego ogromne znaczenie: pomogła mu uzyskać większą wolność i większą odpowiedzialność. Gorbaczow uśmiechnął się do niego i powiedział, że jest zadowolony, iż Sacharow użył tych dwóch słów: wolność i odpowiedzialność.

Sacharow brał również udział w wielogodzinnych debatach. Mówił o potrzebie wzniesienia się ponad narodowe, klasowe i partykularne interesy w całym świecie, o przeanalizowaniu roli biurokracji, problemów rozbrojenia, prawa, problemów otwartego społeczeństwa takich jak wolność sumienia i wiary, możliwości powoływania stowarzyszeń, procesu podejmowania decyzji etc.

Potem zwrócił się do Gorbaczowa z prośbą, by osobiście dopilnował zwolnienia pozostałych jeszcze w łagrach więźniów politycznych i wręczył mu listę około 180 osób. Lista ta zawierała nazwiska nie tylko więźniów politycznych, ale i kryminalnych — niewinnie skazanych oraz tych, wobec których należy zastosować względy humanitarne.

Sacharow podał listę Gorbaczowowi przez stół. Jeden z uczestników, siedzący niedaleko Gorbaczowa, zatrzymał ją. Sacharow

spojrzał na Gorbaczowa zaskoczony, ale pierwszy sekretarz zrobił gest, że wszystko jest w porządku. Później wyjaśnił, że jest to jego doradca prawny. Sacharow poprosił, aby tę listę przestudiowali nie tylko prawnicy, ale i przedstawiciele opinii publicznej, np. dziennikarze specjalizujący się w sprawach sądowych i kryminalnych.

Po posiedzeniu Sacharow podszedł do Gorbaczowa i opowiedział mu o swojej propozycji, by w przyszłości siłownie nuklearne były budowane pod ziemią. Gorbaczow odparł, że poglądy i propozycje Sacharowa są zawsze pożądane i że powinien zgłaszać je albo osobiście do niego, albo do rządu.

„Dotychczas dowiadywałem się o waszych poglądach z wywiadów z zachodnimi dziennikarzami. Nie jest to najskuteczniejsza droga — być może w przyszłości znajdziemy bardziej bezpośrednią" — powiedział Gorbaczow.

Podczas kolacji w restauracji ajencyjnej spytaliśmy Andrieja, co myśli o obecnej sytuacji. Zajęło mu nieco czasu, by na to odpowiedzieć.

„W przeszłości sytuacja była nadzwyczaj trudna i było absolutnie jasne, jakie zająć stanowisko. Dziś sytuacja jest bardziej skomplikowana, ponieważ jest lepiej. Najważniejszą sprawą jest utrzymanie zasadniczego stanowiska we wszystkich podstawowych kwestiach, a jednocześnie popieranie rozwoju wydarzeń we właściwym kierunku. Musimy łączyć przeciwstawne cechy, takie jak wierność zasadom i elastyczność... Należy udzielić wszelkiego możliwego poparcia tym siłom w społeczeństwie sowieckim, które dążą do demokratyzacji, nie rezygnując zarazem z podstawowych żądań".

Wedle Sacharowa, takimi żądaniami są zwolnienie wszystkich więźniów politycznych i bezwarunkowe wycofanie wojsk sowieckich z Afganistanu.

W kilku słowach Sacharow podsumował nadzieję i trwogę naszych czasów. Dziesięć lat temu kolejność tych słów w tytule jego książki była odwrotna: „Trwoga i nadzieja". Po styczniowych spotkaniach z Sacharowem odniosłem wrażenie, że dziś nadzieja ma nieco większe szanse niż trwoga.

Do naszej kolacji przyłączyło się kilku dziennikarzy zagranicznych, a także Lew Timofiejew, Grigoriantsowie, Siergiej Kowalew, Łarysa Bogoraz i profesor Mejman. George Soros z Nowego Jorku przyszedł później. Powiedział mi, że został przyjęty przez Gromykę i był na kolacji z Szewardnadze. Utworzona przed kilkoma miesiącami „Fundacja Sorosa w ZSSR" ma poparcie najwyższych czynników politycznych w Związku Sowieckim. Przylot

Sorosa do Moskwy pokazywano w telewizji. Pojąłem, jakie wpływy i notowania mają zachodni *guru* finansowi w przywództwie sowieckim. Szkoda, że większość z nich nie wykorzystuje tego tak, jak Soros.

◆

Spotkanie w Ministerstwie Zdrowia wyznaczono na jedenastą przed południem. Musiałem coś załatwić w mieście, poszedłem zatem sam na ulicę Pietrowka. Jak zwykle w ZSSR, niemal wszystkie wejścia do ministerstwa były zamknięte. Obszedłem gmach naokoło, próbując najbardziej okazałych drzwi. Dostrzegłem kartkę przyczepioną drutem do masywnej bramy z żeliwa: wejście za rogiem. Poszedłem. Na ulicy stali ludzie: starzy, młodzi, kaleki, rozemocjonowani, płaczący, kłócący się, klnący. Atmosfera przypominała piekło Dantego. Było oczywiste, że nasza delegacja nie została wprowadzona tędy, ale chciałem się dowiedzieć, dokąd mam pójść. Próbowałem wejść stanowczo. Zostałem zatrzymany przez milicjanta. Chciał zobaczyć moją przepustkę i skierował mnie do okienka, gdzie jakaś kobieta udzielała informacji. Gdy wychodziłem, przy drzwiach podeszła do mnie grupa kobiet i zaczęła mnie przeklinać.

„Wstydźcie się, patrzcie, co się tu dzieje, jak wasi ludzie nas zrujnowali. Najlepiej byłoby podłożyć tu bombę i wysadzić was wszystkich w powietrze!".

Próbowałem wytłumaczyć kobietom, że nie mam nic wspólnego z resortem, który przeklinały i sam zamierzam skrytykować ministra.

„Powiedzcie mu, coście tu widzieli i słyszeli".

Stara, bezzębna kobieta kiwała głową: „Czazow, minister, jest bodaj w Anglii, na konferencji w sprawie AIDS, która rzekomo u nas nie istnieje. Powiedzcie mu, żeby tam został, my takich nie potrzebujemy...".

Na koniec zdołałem przecisnąć się do okienka. „Proszę skontaktować się z sekretarką ministra" — powiedziałem z naciskiem, nie dopuszczając do sprzeciwu. Stara urzędniczka popatrzyła na mnie i napisała numer telefonu na skrawku papieru. „Jest automat, możecie sami zadzwonić".

Sekretarka była zaszokowana: „Jak to się stało, że weszliście wejściem dla interesantów?". Nie chciałem jej odpowiedzieć, że wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Po chwili otworzono przede mną zamkniętą bramę i zaprowadzono mnie do skrzydła ministra, z grubymi dywanami, kanapami i elegancką salą konferencyjną. Meble i stoły pochodziły bez wątpienia z Zachodu.

Przyjęła mnie grupa wysokich urzędników z wiceministrem zdrowia, który ubolewał nad nieobecnością Czazowa, rzeczywiście przebywającego w Londynie na konferencji w sprawie AIDS. Usiłował mnie olśnić fajerwerkami danych. Podobno niektóre z nich są już podane do wiadomości publicznej. Rzekomo w niektórych regionach ZSSR osiągnięto wspaniałe rezultaty, ale nie dotyczy to ani śmiertelności niemowląt, ani średniej długości życia, tylko liczby zgonów. Zapytałem o dane w sprawie śmiertelności niemowląt i średniej długości życia. W pierwszym przypadku dane te były dużo wyższe, a w drugim dużo niższe niż na Zachodzie. Minister i jego doradca do spraw statystyki nagryzmolili dla mnie parę liczb na skrawku papieru. „W jaki sposób określacie wskaźnik zgonów?" — nie dawałem za wygraną. „Liczba zgonów na tysiąc mieszkańców rocznie" — padła odpowiedź. Nagle zrozumiałem. Kraj z dużo wyższą liczbą bardzo starych mieszkańców będzie miał naturalnie wyższy współczynnik zgonów, jeśli stosuje się taką definicję. Ale podawać te dane jako osiągnięcie socjalistycznej służby zdrowia?

Dyskusja w ministerstwie jedynie potwierdziła moje pierwsze podejrzenia.

Nadużycia psychiatrii? Nigdy w życiu! Jest pan ofiarą prymitywnej propagandy. Artykuły w *Izwiestiach* i w *Komsomolskiej Prawdzie?* Zostały napisane przez nieodpowiedzialnych dziennikarzy. Czy nowa ustawa na temat leczenia psychiatrycznego nie dowodzi, że dotychczas coś było nie w porządku? Profesor Eric Siesby mówi o swoich obserwacjach sprzed kilku lat, ale wydaje się, jakby mówił do ściany. Czy zamierzacie zmienić diagnozę „powolnej schizofrenii" *(protiekajuszczaja schizofrenia)?* Nie ma potrzeby. Czy Związek Sowiecki zamierza przystąpić z powrotem do Światowego Stowarzyszenia Psychiatrów? Rozważymy to tylko pod warunkiem, że organizacja ta oficjalnie przeprosi nas, pada odpowiedź z ust szefa szpitali psychiatrycznych resortu zdrowia.

Poprzedniego dnia kilku członków naszej delegacji odwiedziło sławetny Wszechzwiązkowy Serbski Instytut Psychiatryczny. Wyszli z podobnymi wrażeniami.

—

Nasza delegacja poprosiła o listę sowieckich leków. Dano nam ją następnego dnia z wielką dumą. Nosiła datę „1961 rok". Czy jest możliwe, że w sowieckich badaniach farmakologicznych nie nastąpił żaden postęp w ciągu minionych 25-ciu lat? Czy można sobie wyobrazić, że w Ministerstwie Zdrowia nie można było znaleźć nowszego wydania? Jeżeli tak jest, to sytuacja musi być tragiczna. Jeżeli nie chciano nam jej pokazać, sprawy mają się jeszcze gorzej. Jaka jest zatem sytuacja w dziedzinie lekarstw? Każdy kogo spotkałem gorzko skarżył się. Moskwa i tak jest uprzywilejowana. Na prowincji nie można kupić nawet leków na receptę. P.o. ministra zdrowia kategorycznie temu zaprzecza.

Wiceminister Szczepin rozsierdził się, gdy Eric Siesby i van der Stoel wręczyli mu listę opozycjonistów znajdujących się kiedyś lub dziś jeszcze w zakładach psychiatrycznych i poddawanych najbardziej drastycznym chemioterapiom. Oświadczył, że jest to prowokacja i niemal zerwał spotkanie.

Po spotkaniu z ministrem zdrowia zacząłem mieć wątpliwości, czy decyzja w sprawie specjalnych zakładów psychiatrycznych, obecnie pod kontrolą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a w przyszłości mających podlegać Ministerstwu Zdrowia, jest rzeczywiście takim krokiem naprzód, jak nas usiłowano zapewnić. Przypuszczalnie było to tylko złudzenie, ale atmosfera w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wydała mi się bardziej otwarta, podatna na krytykę i przyjemna, niż u przyszłych administratorów *psychuszek*.

◆

Spędziliśmy całe popołudnie z zastępcą Szewardnadze, Adamszinem. Zrobił wszystko co w jego mocy, aby przekonać nas, że Moskwa powinna być miejscem kolejnej przeglądowej konferencji pohelsińskiej. Obiecywał złote góry. Warunki jak w Madrycie lub w Wiedniu. Wycofanie wojsk sowieckich z Afganistanu do końca roku. Chciałbym mu wierzyć. Dla ZSSR Afganistan jest dużo większym problemem wewnętrznym niż zagranicznym. Jeden z moich przyjaciół powiedział mi, że ponad połowa wszystkich listów przychodzących do KC dotyczy sowieckiej interwencji w Afganistanie. Afganistan stał się sowieckim Wietnamem. Podejrzewam, że Związek Sowiecki nie zdoła zakończyć awantury afgańskiej z większym sukcesem i honorem, niż USA w Wietnamie.

◆

Walentyn Falin, dyrektor agencji prasowej „Nowosti", wyglądał na bardzo zmęczonego człowieka. *Głasnost'* niewątpliwie wiele żąda od serwisu informacyjnego. Falin jest przebiegłym rozmówcą — spędził wiele lat w służbie dyplomatycznej (między innymi jako ambasador sowiecki w Niemczech Zachodnich), dobrze rozumie zachodnią mentalność. Poprawiał swoich tłumaczy i żądał, aby tłumaczyli precyzyjnie: nie potrzebuje ani cenzury, ani ich pomocy. Gdy Bernstein zapytał go, czy dzieła wyklętych dotychczas pisarzy sowieckich zostaną wydane w Związku Sowieckim, Falin odparł, że jest to kwestia wymogów artystycznych: ogłoszono przecież Pasternaka, Brodskiego, Grossmanna. Oskarżył Zachód o reklamowanie rosyjskich pisarzy emigracyjnych z powodów politycznych. Choć Sołżenicyn jest wielkim pisarzem, nigdy więcej nie osiągnął takiej głębi artystycznej jak w opowiadaniu „Zagroda Matriony". Falin skrytykował tych ludzi Zachodu, którzy stosują inne kryteria na użytek domowy, a inne wobec ZSSR.

„Jesteśmy gotowi ujawnić całą naszą prawdę historyczną. Jest ona jednak zakopana tak głęboko, że nie można tego uczynić od razu i za jednym zamachem. Ale nasi amerykańscy goście znają to z własnego doświadczenia: 100 lat po zabójstwie Lincolna i 25 lat po zabójstwie Kennedy'ego nadal nie znamy prawdy na temat tych wydarzeń".

Chcieliśmy uzyskać od Falina informacje na temat możliwości publikacji książek i pism prywatnie. Stwierdził, że jest to możliwe: spółdzielcze lub państwowe drukarnie mające „luzy produkcyjne" mogą drukować na zamówienie osób prywatnych.

„Jaka jest zatem rola cenzury sowieckiej, otoczonego nieufnością Gławlitu?" — zapytałem.

Falin oznajmił, że obecnie Gławlit zajmuje się wyłącznie ochroną tajemnic państwowych i niedopuszczaniem na rynek pornografii, natomiast nie zajmuje się aspektami artystycznymi, politycznymi, historycznymi i innymi. Wszystko to brzmiało bardzo pięknie, ale zawierało pewien szkopuł: w ciągu całego tygodnia naszego pobytu nikt nie umiał nam wyjaśnić, co jest, a co nie jest tajemnicą państwową w ZSSR. Kilka tygodni później, na spotkaniu Szwedzkiego PEN-Clubu z delegacją pisarzy sowieckich, odbyliśmy długą dyskusję na temat publikacji książek przez spółdzielnie. Tu poglądy się różniły: Czabua Amiredzhibi, stary pisarz gruziński, stwierdził, że cała ta idea prowadzi do nikąd; jego młodszy kolega rosyjski, Andriej Bitow, uważał, że nawet jeśli nie da się tego zrobić teraz, jest to jedyna szansa dla młodszej generacji autorów sowieckich.

◆

W Akademii Nauk ZSSR zgotowano nam nadzwyczaj serdeczne przyjęcie. Usiłowaliśmy przekonać gospodarzy, że autentyczna współpraca naukowa wymaga swobodnej komunikacji i podróży. Twierdziliśmy, że wyjazdy zagraniczne uczonych nie są przywilejem, lecz częścią badań naukowych. Kontakty należy organizować szybko, bez czekania na zgodę dziesiątków instytucji, co trwa miesiącami. Zacytowaliśmy szczególnie dramatyczne przykłady odmawiania znanym uczonym paszportów przez dwadzieścia lat, bez żadnych powodów, mimo że byli każdego roku zapraszani na kongresy, wykłady lub do pracy w takiej czy innej placówce. Wiceprezes Akademii, Kotielnikow, odpowiedział, że jego instytucja zawarła dziesiątki porozumień z zagranicznymi akademiami, na mocy których tylu to a tylu uczonych miesięcznie pojedzie na wymianę naukową do takich a takich krajów. Stwierdził przy

tym, że wiele departamentów w prezydium specjalizuje się w wymianie i współpracy z uczonymi w krajach kapitalistycznych, socjalistycznych i rozwijających się.

Nie my jedni zresztą podnieśliśmy tę kwestię. Komisja, która miała ocenić *pieriestrojkę* w Akademii, też doszła do zdecydowanie krytycznych wniosków: nadmierna centralizacja, biurokracja, absurdalne przepisy dotyczące podróży zagranicznych...

W prezydium Akademii Nauk wykryłem, że ta instytucja centralna, która bezpośrednio lub pośrednio zawiaduje 1,6 mln ludzi (należącymi do sowieckiej elity intelektualnej, naukowej i technicznej) ma zaledwie dwa lub trzy komputery osobiste.

Obraz sytuacji w kraju uformowany na podstawie podróży latem, stał się jeszcze bardziej ponury w trakcie wizyty w Moskwie w styczniu.

Po powrocie do hotelu ustawiłem się w kolejce po najnowsze wydanie *Literaturnoj Gazety*. Nie był to czas stracony. Tygodnik poświęcił całą stronicę osobistym komputerom (27 stycznia 1988). Pod niepokojącym tytułem „Jutro będzie za późno" szereg wybitnych specjalistów jednomyślnie ubolewało nad katastrofalną sytuacją. Oto kilka cytatów:

„... to katastrofa, ni mniej ni więcej...".

„... sytuacja jest po prostu przerażająca...".

„... nie mamy wyjścia: albo będziemy mieli komputery — i przyszłość, albo będziemy bez komputerów — i bez przyszłości...".

Kiedy przyjaciel mój powiedział mi latem zeszłego roku, że w Związku Sowieckim nie udało się dotychczas rozpocząć produkcji miękkich dyskietek, najbardziej podstawowego składnika komunikacji elektronicznej, nie mogłem i nie chciałem temu wierzyć. Teraz dowiedziałem się o tym z prasy sowieckiej, czarno na białym. 9-centymetrowa miękka dyskietka jest sprzedawana w Moskwie na czarnym rynku za 50 rubli.

Inny przyjaciel opowiedział mi o trudnościach w dużej fabryce w Mińsku, produkującej mikrozespoły. Surowce, z których produkuje się mikroelementy muszą być bardzo czyste. Skomplikowany proces oczyszczania trwa całymi dniami, nieraz tygodniami. Jeśli zostanie przerwany — wszystko nadaje się do wyrzucenia. Niestety, tak się bardzo często dzieje z powodu przerw w dostawach prądu. Jak poprawić dystrybucję energii bez komputerów? Zamknięte koło.

◆

Nie mogę odnotować wszystkiego. Członkowie naszej delegacji spotkali się z następującymi ugrupowaniami: „Przyjaźń i Dialog", „Moskiewska Grupa Pogłębiania Zaufania Wschód-Zachód",

„Godność Obywatelska", „Klub Inicjatyw Społecznych", „Pomnik", „Pieriestrojka 88", „Emigracja dla wszystkich", „Demokracja i Humanizm", SMOT (niezależne związki zawodowe). Ponadto spotkaliśmy się z przedstawicielami zielonoświątkowców, baptystów, katolików, Żydów, a także Tatarów krymskich, litewskich i ukraińskich ruchów narodowościowych, nie wspominając spotkań z dawnymi kolegami.

◆

Spędziłem wieczór w mieszkaniu Lwa Timofiejewa i zobaczyłem, jak się wydaje pismo *Referendum*. Nie zdradzam żadnych sekretów: na końcu każdego numeru pisma znajduje się nota z informacją, że zostało ono wydrukowane na komputerze Toshiba 1000 z pomocą graficznej maszyny Kodaka. Ze względu na druk cyrylicą, osiąganą graficznie, cały proces jest nadzwyczaj powolny. Jest to jednak ogromny postęp, choć o ograniczonym charakterze. Mimo że istnieje ustawa zakazująca komukolwiek posiadania urządzeń do powielania (pod koniec lat czterdziestych obowiązywała nawet rejestracja maszyn do pisania), nie odnosi się ona najwyraźniej do komputerów. Prawnicy, z którymi na ten temat rozmawiałem, nie mają co do tego jednoznacznej opinii. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że nie opłaca się ścigać nielicznych właścicieli komputerów osobistych kupionych na czarnym rynku lub przywiezionych z zagranicy. Starannie przeczytałem pierwsze numery pisma *Referendum*. Na sowieckie normy jest to niezwykle tolerancyjne i pluralistyczne pismo.

Nic lepiej nie charakteryzuje atmosfery w Moskwie, niż kilka dowcipów, wysłuchanych na różnych spotkaniach. Przyjaciel zatelefonował do mnie do hotelu:

— Czytałeś artykuł redakcyjny w *Prawdzie?* To fantastyczne!

— Nie! Co piszą?

— To nie na telefon...

Ten dowcip lepiej charakteryzuje sytuację niż długie raporty. Ludzie połykają informacje jak spragniony pielgrzym, który przeszedł pustynię bez kropli wody. Szybko i z niepokojem: czy źródło tego eliksiru życia nie wyschnie już jutro? I czy te wszystkie informacje nie okażą się szkodliwe? Poczucie niepewności jest powszechne: wśród obywateli i wśród urzędników.

Koleżankę mojego znajomego przyjęto w styczniu do partii. Instruktor jednego z moskiewskich komitetów okręgowych zapytał ją, co myśli o Wysockim. Wysocki otrzymał niedawno pośmiertnie tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej i Order Lenina. Koncert ku jego czci reklamowano w całej Moskwie, wszystkie

bilety były wyprzedane. Liczba jego miłośników mogłaby z powodzeniem zapełnić stadion na Łużnikach. Kobieta zaczęła ostrożnie: „Młodzież go lubi, a rząd sowiecki przyznał mu wysokie odznaczenia...". Instruktor nie dał jej dokończyć: „To jest element antysowiecki. Posłuchajcie tylko jego piosenek. To tylko tymczasowe ustępstwo pod adresem opinii publicznej...".

Co zrobiło na mnie największe wrażenie? Większa otwartość społeczeństwa sowieckiego? Nie myślę. Wszystko zależy od tego, jak dobrze zna się ludzi i do jakiego stopnia ci ufają. Większy cynizm? Niewykluczone. Jest coraz mniej takich, którzy wierzą w rządzącą ideologię. Powiedziałbym nawet, że należą oni do rodzaju na wymarciu. Pragmatycy są szlachetniejszą podklasą cyników. Wstępują do partii, ponieważ wiedzą, że bez tego niczego nie zmienią. Ich przemówienia są usiane cytatami, ponieważ cytaty z klasyków marksizmu-leninizmu są nieodzowną bronią i zarazem tarczą każdego, kto w ogóle próbuje ruszyć małym palcem.

Strach przestał być dominującą cechą narodu sowieckiego. Dwadzieścia lub trzydzieści lat temu odnosiło się to do małej grupki straceńców. Dzisiaj istnieją setki ugrupowań, stowarzyszeń, inicjatyw i klubów, dążących do poszerzenia pola działań. Jednakże i sowieckie społeczeństwo jest tknięte przekleństwem psychologii konsumpcyjnej. Przybiera ona szczególnie niezdrowe formy, ponieważ szerzy się w społeczeństwie „absolutnie zubożałym", gdy idzie o osiągalność i wybór dóbr konsumpcyjnych. Z jednej strony stwarza to mafie dostawców dóbr szczególnie poszukiwanych (praktycznie wszystkiego), a ich nieopodatkowane[2] zyski prześcigają najbardziej zachłanne marzenia kapitalistów, a z drugiej prowadzi do burżuazyjnej mentalności. Kupowanie na oślep, co robią praktycznie wszyscy obywatele sowieccy, ledwie postawią nogę w zdegenerowanych krajach kapitalistycznych, jest dobrze znanym zjawiskiem. Bałwochwalstwo wobec zachodnich towarów nie ma granic; ceny tych artykułów na sowieckim czarnym rynku są poza jakimikolwiek proporcjami ekonomicznymi. Czyż takie stałe pragnienie dóbr może nie zmienić psychiki społeczeństwa sowieckiego?

◆

2. Od czasu do czasu policja, prokuratura lub sądy dokonują pewnego typu „opodatkowania". Te często bardzo wysokie podatki wprowadza się, gdy korupcja, kradzieże i napychanie sobie kieszeni przekraczają normy. Jednakże nie wydaje się, aby to kogokolwiek odstraszało. Na ostatnim spotkaniu ekonomistów w Moskwie ktoś wspomniał o wydarzeniach na południu Rosji. Rok temu szeroko zakrojona akcja kontroli handlu detalicznego i hurtowego doprowadziła do wykrycia setek ludzi zamieszanych w afery czarnorynkowe, kradzież i korupcje. Aresztowano ich i skazano. Po roku wszystko wróciło do tego samego stanu.

Z mojego notatnika:

Literaturoznawca sowiecki na wysokim stanowisku, zapytany, jacy poeci należą teraz do ulubieńców młodego pokolenia odpowiada: Brodski, Achmatowa, Pasternak, Cwietajewa, Mandelsztam...

Aparatczyk partyjny, około pięćdziesiątki:

„Chcieliśmy prześcignąć świat, a zostaliśmy katastrofalnie w ogonie...".

Pisarz, około 60 lat:

„... w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat Rosja nie miała drugiego takiego przywódcy jak Chruszczow. Nikt nie uczynił dla ludzi tyle co on. Niestety, przeciwstawił się biurokracji partyjnej i przegrał...".

Stary bolszewik:

„... Gorbaczow chciał podobno wprowadzić określenie 'socjalizm z ludzką twarzą', ale jego doradcy ostrzegli go przed tym, z powodu komplikacji, jakie by to spowodowało w Czechosłowacji...".

Znany ekonomista sowiecki:

„... prawdziwa sytuacja w gospodarce sowieckiej jest dużo gorsza, niż przewidywały najbardziej ponure analizy zachodnich obserwatorów...".

◆

Jednym z powodów naszej podróży było, jak pisałem, zbadanie, czy następna przeglądowa konferencja KBWE może odbyć się w Moskwie. Spróbuję przedstawić moją opinię — delegacja nie sformułowała zbiorowych wniosków.

Jeśli pewne podstawowe warunki zostaną spełnione, nie widzę powodów, dla których Zachód miałby oponować przeciw zorganizowaniu konferencji w Moskwie. Uważam jednak zwolnienie wszystkich więźniów sumienia i bezwarunkowe wycofanie wojsk sowieckich z Afganistanu za warunki *sine qua non*. Chciałbym oczywiście dodać wycofanie wojsk sowieckich z Czechosłowacji i potępienie sierpniowej inwazji armii pięciu krajów Paktu Warszawskiego. Jakkolwiek ważne są dla mnie osobiście te warunki, sądzę, że międzynarodowe układy polityczne nie dałyby tym dwóm takiego priorytetu jak dwóm poprzednim. Niestety!

Jestem przekonany, że zorganizowanie konferencji w kwestiach humanitarnych w Moskwie miałoby pozytywny wpływ na przyszły rozwój sytuacji w ZSSR. Moskwa mogłaby zorganizować taką konferencję najwcześniej w 1990 roku, a prawdopodobnie rok lub dwa lata później. W okresie przygotowawczym władze so-

wieckie, logicznie myśląc, starałyby się przestrzegać podstawowych praw człowieka. Oznacza to, że obecny, w miarę liberalny kurs utrzymałby się w najbliższych latach i można by liczyć na postęp w czasie trwania konferencji. Warunkowa zgoda na zorganizowanie konferencji mogłaby umocnić liberalne i demokratyczne tendencje w przywództwie sowieckim. Jeśli obecna sytuacja w ZSSR utrzyma się (lub poprawi) przez dalszych pięć-sześć lat, doprowadzi to do znacznej zmiany w rozwoju społeczeństwa sowieckiego. Społeczeństwo przywyknie do nowych warunków i zżyje się z nimi, a zatem będzie coraz trudniej cofnąć je do dawnego stanu.

Z tych powodów popieram sowiecką propozycję zorganizowania konferencji w Moskwie.

◆

Tydzień pobytu w Moskwie kończył się. Byliśmy niedospani, głodni, zmęczeni. Wszystkie narady i spotkania ciągnęły się w nieskończoność, a ponieważ w Moskwie trudno otrzymać posiłek bez stania w kolejce i czekania w restauracji, gdzie stale słyszy się sławetne „zaraz", często szliśmy spać bez kolacji. Jedynym pewnym posiłkiem w ciągu dnia było śniadanie, podczas którego omawialiśmy nasze doświadczenia i przygotowywaliśmy się do następnych spotkań. Zauważyłem z rozbawieniem, jak członkowie naszej delegacji starali się zaspokoić głód słodyczami, herbatnikami i herbatą, podawaną na niemal każdym z naszych spotkań.

Próbowaliśmy oszczędzić na czasie jeżdżąc taksówkami lub samochodami prywatnymi, których kierowcy lub właściciele zarabiali przy okazji. Za paczkę amerykańskich papierosów kierowca jest gotów zrobić niemal wszystko. Praktycznie każdy chce kupować walutę. Ale taksówki i tzw. „łepki" są drogie (w ciągu sześciu dni wydałem blisko sto rubli, nie licząc półtora kartonu papierosów Marlboro). Byłem jednak zadowolony, bo w ten sposób mogłem porozmawiać ze zwykłymi ludźmi. W sobotę zanotowałem fragmenty trzech rozmów:

Pierwsza taksówka. Jedziemy ulicą Sadowoje Kolco, niedaleko hotelu Belgrad. Pośrodku jezdni bucha para. Zapytałem, czy pękła rura. Kierowca odparł: „To już trwa od trzech dni albo i czterech. Ale ONI tego nie widzą — a jednak dostają pensję za to, i to dobre pensje".

Druga taksówka, kilka godzin później. Mówię, że duży ruch, biorąc pod uwagę, że to sobotni wieczór. Kierowca komentuje: „To jest prawdopodobnie sobota pracująca. Normalnie ludzie nie pracują w soboty, ale czasami jest inaczej. Ja pracuję bez żadnych wolnych dni...". Pytam, dlaczego. „Czy są dni wolne w więzieniu? Tam się pracuje bez przerwy. Muszę utrzymać rodzinę, jak w więzieniu...".

Trzecia taksówka. Skręcamy w ulicę, gdzie pośrodku jezdni znajduje się duża dziura. Taksówkarz mówi: „Popatrzcie. I to w stolicy, tyle ludzi bierze pieniądze za to, żeby wszystko było w porządku. Możecie sobie wyobrazić, jak wygląda prowincja?". Musiałem przyznać, że nie wyobrażam sobie. W jego głosie słychać było gorycz i zniechęcenie.

◆

W Leningradzie mieliśmy czekać pełne cztery godziny na samolot do Kopenhagi. Namówiłem kierowcę autobusu Aerofłotu, żeby pokazał moim kolegom Leningrad. Jako dodatek do dziesięciu rubli dałem mu dokładne wskazówki, co warto pokazać delegacji federacji helsińskiej. Wszyscy byli zachwyceni, najbardziej kierowca.

I ja też nie marnowałem czasu. Obudziłem dawną koleżankę i umówiłem się z nią nieopodal stacji metra. Czekając na nią, niemal zamarzłem bez rękawiczek. Termometr wskazywał 20° poniżej zera. Na szczęście złapaliśmy taksówkę, niemal w tym samym miejscu, gdzie 36 lat temu, pełen złudzeń, zanurzyłem się w surową rzeczywistość sowieckiego akademika. Kierowca obwiózł nas po tym pięknym mieście. Ze smutkiem zauważyłem, że moja znajoma była zakłopotana, gdy przeszedłem z tematów osobistych na bardziej ogólne. Usiłowała mnie powstrzymać i zawrócić rozmowę na neutralne tory, siedząc w taksówce z nieznajomym kierowcą.

Byłem poruszony: pod sam koniec mojej podróży odwiedzałem miasto mojej młodości, pamiętając mą młodzieńczą naiwność i iluzje. Taksówka wiozła nas wzdłuż Newy, gdzie 35 lat temu stałem w tłumie setek tysięcy mieszkańców Leningradu, w dzień pogrzebu Stalina. Zrobiliśmy turę wokół uniwersytetu, gdzie prócz wiedzy naukowej ulubieni profesorowie i koledzy dzielili ze mną inny rodzaj wiedzy, który sprawił, że jestem dzisiaj tym, kim jestem. Przejechaliśmy obok domu, w którego kołchozowym mieszkaniu nieśmiało całowałem pierś dziewczyny po raz pierwszy w życiu. Jechaliśmy ulicami, gdzie w sklepach z używanymi książkami szukałem książek, które przyniosłyby mi odpowiedź na dręczące mnie pytania. Minęliśmy bibliotekę publiczną, skąd senni bibliotekarze wypędzali mnie kwadrans przed północą.

Taksówkarz dobrze wypełnił moje instrukcje: obwiózł nas po mieście, przypomniał młodość i zawiózł na lotnisko dokładnie na godzinę przed odlotem Aerofłotu do Kopenhagi.

Opuściliśmy Leningrad w takim samym trybie, w jakim przylecieliśmy do Moskwy tydzień temu: jako delegacja. Komisja

Lwa Tołkunowa wydała celnikom precyzyjne instrukcje. Moje obawy o notatki, taśmy video i inne materiały zebrane w czasie podróży okazały się bezpodstawne. Byłem ostatni do kontroli celnej i urzędnik zapytał mnie, jaką to delegacją jesteśmy. Gdy mu powiedziałem, że Federacja Helsińska, jego oczy zajaśniały. Najwyraźniej słuchał zagranicznych radiostacji. Radio sowieckie nie wspomniało o nas.

Mimo wszystko odetchnąłem z ulgą, gdy hałaśliwy TU-124 wzbił się w powietrze i skierował na zachód.

František JANOUCH

Moskwa - Sztokholm - Björknas, 24 stycznia 1988 - 4 kwietnia 1988

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.
Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.
Tel.: 42 85 79 45.

Parma

Miasto. Włoskie miasta „średnie", albo nawet „małe". Nazywa się je jak wszędzie „prowincją", ale bez zwykłej domieszki wyższości i lekceważenia. Z różnych względów. Są często skarbcami wspaniałych dzieł architektury i sztuki. Niektóre kąpały się niegdyś w sławie i chwale, i część dawnego splendoru, przyblakłego lecz nie ze szczętem umarłego, przeniosły na nasz brzeg. Żyją życiem spokojniejszym niż „metropolie", a przecież dla uważnego obserwatora intensywnym i na miarę człowieka. Kto zatem mówi o nich czasem (bardzo rzadko) *provincia addormentata,* „uśpiona prowincja", nie wie po prostu czym jest piękny i bogaty sen. W porównaniu z nim wielkomiejska „jawa" bywa chaotycznym i męczącym koszmarem sennym. „Na miarę człowieka" cóż znaczy? Przeplatać bulgocącą, zamąconą rzeczywistość czystym i jasnym snem o niej.

Parma jest tak mała, tak nieproporcjonalnie mała w stosunku do swej świetnej przeszłości, aż do roli stolicy Księstwa Parmeńskiego, że wystarczy pół godziny, by ją powolnym krokiem turysty przemierzyć od rogatki do rogatki. Jej miniaturowość właśnie przyciągała autora *Pustelni Parmeńskiej* (o tym później). Nie brzmi więc odrobinę pociesznie tytuł przewodnika *Parma Monumentale?* Nie. Parma jest i mała i monumentalna, cokolwiek pomyślałoby się w pierwszej chwili o podobnym połączeniu. Po jednym dniu pobytu bierze pokusa dodać: im mniejsza, tym większa. Jej mieszkańcy muszą być podświadomie dumni z tego paradoksu, bo z wyjątkowym naciskiem przedstawiają się: my, Parmeńczycy. Jak gdyby ledwie istniał świat poza jej murami; bądź też był zbyt odległy i obcy, aby zaprzątać sobie nim nadmiernie uwagę.

Oglądana z wysoka i z daleka, wydaje się grodem warownym

na równinie, lub szeroko i gęsto rozbudowanym zamkiem. Obmywa go rzeka, skromnie w planie miasta zwana „strumieniem". Sercem Parmy jest katedra.

Duomo. W opisach katedry powtarza się często słowo „antologia": antologia epok, stylów malarskich i rzeźbiarskich, narośli i dopełnień architektonicznych, indywidualnych artystów. Antologia sugeruje jednak obraz rozpinanego wachlarza, a katedra parmeńska jest okazem organicznego wzrostu. Rosła w ciągu wieków tak, jak układają się stopniowo warstwy geologiczne. Niekiedy jest się skłonnym uwierzyć niedorzecznie, że pierwsi budowniczowie przeczuwali już co przyniosą następne stulecia. Od początku X wieku do połowy XVI — poprzez łupiestwa, zniszczenia, pożary, odbudowy — rozwijała się i dojrzewała *idea* katedry. Potrafiono w niej związać, znowu paradoksalnie, lekkość z ciężkością, romańską oszczędność z renesansową rozrzutnością. Patrzysz na fasadę, podobną do inkrustowanych organów, nie domyślając się ukrytego za nią wybuchu form architektonicznych. Patrzysz na niewielki plac katedralny, zaryglowany przez fronton katedry, wysoką kampanilę i pięciopiętrowe baptysterium, przytłoczony zdawałoby się ciężarem, i nadziwić się nie możesz, że jest to wszystko tak swobodnie i naturalnie podźwignięte ku niebu.

W dziejach katedry istnieją dwie wyraźne cezury. Pierwszej na imię, na przełomie XII i XIII stulecia, Magister Benedictus czyli Benedetto Antelami. Imię drugiej, u progu XVI stulecia, brzmi Antonio Allegri czyli Correggio. Pierwsza jest synonimem surowej prostoty. Druga — synonimem fantazji i gracji.

Antelami, największy rzeźbiarz włoski aż do czasu pojawienia się Pisano, był również budowniczym: inspirował przebudowę katedry, zaprojektował i nadzorował budowę baptysterium. Był romańskim mistrzem harmonii ziemskiej, ewangelicznej wiary syconej duchem kamiennych tablic. Correggio zwieńczył ją i podbił triumfalnie do góry, w dwa wieki później, kopułą z freskiem *Wniebowzięcia.* Kłębi się i wiruje w koło rój splątanych ciał, Wniebowzięta odpływa na chmurach w dal jak niesiona czy wciągana wichrem niebiańskim. Wyszedłszy z katedry na plac, dostrzegasz teraz dopiero na szczycie wysokiej kampanili figurkę Złotego Anioła, *Angiol d'Or.* Który od zewnątrz pieczętuje *Wniebowzięcie* z wieńczącej kopuły Correggia.

Antelami. Spróbuję opisać jego *Zdjęcie z Krzyża,* płaskorzeźbę na podłużnej płycie marmurowej.

Jest arcydziełem kompozycji, równowagi wyrzeźbionych scen i postaci, zwięzłości i zarazem bogactwa narracji. Obmyślając zasadę kompozycyjną, Antelami miał chyba przed oczami Wagę. Osią jest Krzyż ze zdejmowanym zeń Ukrzyżowanym. Prawe ramię Chrystusa, już uwolnione, przechyla się w stronę lewej Szali. Jego prawa dłoń, podtrzymywana przez Archanioła Gabriela, dotyka głowy Matki, która otwiera korowód na lewej Szali: Święty Jan i trzy płaczące Marie. Jego lewa dłoń przybita jest jeszcze do Krzyża, ktoś wspina się ku niej na drabinie, ktoś inny obejmuje ciało Ukrzyżowanego. Na prawej Szali korowód żołnierzy rzymskich, otwiera go bliski nawrócenia centurion. Pod ramionami Krzyża i Ukrzyżowanego, a przed dwoma korowodami, Antelami ustawił dwie niskie figury: ta na lewej Szali ucieleśnia Kościół, według inskrypcji *Ecclesia exaltatur;* ta na prawej Szali przedstawia Synagogę, według inskrypcji *Sinagoga deponitur.* Archanioł Rafael naciska ręką w dół głowę Synagogi, ale jego ruch jest niejasny, może oznaczać równie dobrze wezwanie do ugięcia się, jak zachętę do nawrócenia (zwłaszcza że tuż za plecami tej figury kroczy nawrócony prawie centurion z tarczą). Obaj Archaniołowie wyrzeźbieni są w poziomej pozycji lotu. W górnym rogu lewej Szali głowa w ozdobnym pierścieniu, medalion Słońca; w górnym rogu prawej Szali również głowa w ozdobnym pierścieniu, medalion Księżyca.

Odtwarzać słowami opowieść wyrytą w płaskorzeźbie, jakież to szaleństwo! A przecież mam poczucie, że nawet tu przedostało się coś z maestrii Antelamiego, choćby ulotny cień jego rytmu o niewiarygodnej precyzji, jego zmysłu symetrii, jego sztuki odmierzania dłutem kadencji narracyjnej, w której nic nie jest zbyteczne i niczego nie brak. Tak przemawiali językiem przypowieści religijni nauczyciele, tak pisali jeszcze niektórzy kronikarze średniowieczni.

Frate Salimbene. W pięć lat po ukończeniu przez Antelamiego baptysterium urodził się, w domu na skraju placu katedralnego, Frate Salimbene de Adam, największy (jak głosi tablica pamiątkowa) kronikarz łaciński Średniowiecza, autor *Chronicon.* Możliwe, że stary Magister Benedictus brał czasem dziecko na kolana i kładł mu ostrożnie na główce ciężką rękę. Pewne, że dorastający chłopiec wpatrywał się często w *Zdjęcie z Krzyża.*

Całe partie *Kroniki* przetykane są biblijnymi cytatami, jakby każde opisywane zdarzenie historyczne musiało się przejrzeć w zwierciadle Pisma Świętego. Lecz ton nie jest uroczysty i namaszczony. Salimbene szuka elementarnej nagości zdania, która prozie *Kroniki* nadaje charakter językowego rytownictwa.

Bywa i tak, że pod piórem kronikarza fakt rzeczywisty ociera się o przypowieść. Salimbene na przykład zajmuje się „dziwactwami imperatora Fryderyka II, których było siedem". Drugie „dziwactwo" polegało na tym, że imperator chciał sprawdzić ja-

kim językiem mówić będą dzieci, które po urodzeniu i przez jakiś czas potem nie usłyszą mowy ludzkiej. Kazał więc piastunkom karmić je, kąpać, przewijać i odziewać, układać do snu, nie odzywając się do nich ani słowem. Zamierzał w ten sposób odkryć taką oto prawdę: czy przemówią same w języku hebrajskim, który był pierwszy, czy po grecku, po łacinie, po arabsku, albo też w języku swoich rodziców. Trudził się na darmo, gdyż dzieci zaczęły po kolei umierać i w końcu umarły wszystkie. „Albowiem prawda jest taka, że dzieci nie mogłyby żyć bez słów, uśmiechów i pieszczot swoich piastunek". Życie ludzkie jest życiem Słowa i w Słowie.

Correggio. Prócz kopuły w katedrze, Correggio namalował w Parmie kopułę w kościele Świętego Jana Ewangelisty i kopułę w Komnacie Świętego Pawła. Wszystkie trzy nasunęły badaczom jego malarstwa formułę „od ludzkiego do niebiańskiego". Odwróciłbym ją w stosunku do sławnych płócien Correggia, ale do kopuł pasuje dość dobrze. Wychodząc od „ludzkiego", od realistycznego, bardzo zróżnicowanego i dramatycznego wyrazu twarzy i postaci (szczególnie w obrazie Apostołów otaczających kołem Chrystusa u Świętego Jana Ewangelisty), wydobył nowy walor przestrzeni uciekającej w nieskończoność dzięki niezwykłej magii światła. Nie sama siła, lecz jej uduchowienie w pędzie wzwyż, transformacja świadomie pozostawiona *in statu nascendi,* malarsko (jeśli tak wolno powiedzieć) zwiastowana. Correggio nie był wizjonerem, raczej poetą wiecznego ruchu między ziemią a niebem. Pewnie dlatego miał słabość do kopuł, które ogląda się inaczej niż freski na ścianach: biorąc udział w tym ruchu, wznosząc się drogą otworzoną przez malarza do utraty niemal dotyku ziemi pod nogami.

Uwielbiał go Stendhal, nazywał go *divin.* Znany jest tekst zaprojektowanego przez Stendhala własnego nagrobka: „Tu leży Arrigo Beyle Milanese, żył, pisał, kochał, umarł w roku 18..., kochał Cimarosę, Szekspira, Mozarta, Correggia". Jedyny malarz spośród tylu, których znał i podziwiał, o których pisał. Bo rzeczywiście: trudno wobec Correggia poprzestać na samym podziwie, porusza struny uczuć bardziej intymnych.

Podejrzewam jednak, że Stendhal kochał przede wszystkim Correggia przechodzącego „od niebiańskiego do ludzkiego", czyli autora takich płócien jak *Madonna ze Świętym Hieronimem,* lub *Madonna z miseczką.* W zachwyt, w uniesienie nawet wprawiała go *Koronacja Najświętszej Marii Panny.* To jest Correggio, który w Świętych widział ludzkie postacie i omijał zasadzki hagiograficznej „słodyczy", na ogół odrobinę sztywnej i znieruchomiałej. Malował Madonnę jako piękną, żywą i uroczą kobietę, zamyśloną, o delikatnym i niekiedy delikatnie zalotnym uśmiechu. W obrazach dramatycznych, w *Męczeństwie Czterech Świętych* i w *Zdjęciu z Krzyża,* umiał pokazać ludzki dramat, nie odbierając mu wymiaru i cech przesłania religijnego. *Sacrum* i *profanum* współistnieją tu, ocierają się o siebie, wyrastają jedno z drugiego, z cudowną naturalnością i swobodą. Może nie ma w ogóle zbyt dużo sensu posługiwanie się formułami „od ludzkiego do niebiańskiego" i „od niebiańskiego do ludzkiego". Ziemski Correggio i stendhalowski Correggio *divin* przenikają się wzajemnie w symbiozie, która tkwi u podstaw każdej wielkiej sztuki.

Parma Stendhala. Jest mityczna, całkowicie zmyślona, wybitny stendhalista włoski Luigi Foscolo Benedetto wyłożył to z zapierającą dech pedanterią w grubym tomisku *La Parma di Stendhal.*

Stendhal przeniósł do Parmy ponapoleońskiej intrygę polityczno-miłosną z dworu papieskiego na przełomie XV i XVI stulecia. Był, jak wiadomo, zamiłowanym łowcą rękopiśmiennych, anonimowych „historii włoskich", przechowywanych w rozmaitych archiwach i bibliotekach. Kazał je kopistom przepisywać, po czym dokonywał ich „obróbki" czy „przeróbki" — francuskiej adaptacji, która pracę tłumacza łączyła z własną wyobraźnią pisarza. Trzy takie „historie" ogłosił w *Revue des deux Mondes.* Zabrał się do przygotowania czwartej w oparciu o anonimowy rękopis *Źródło wielkości rodu Farnese.* Zatrzymał się blisko już końca: *Traduit jusqu'ici.* W jego osobistych zapiskach pojawił się nagle zamiar wykorzystania materiału w „małej powieści" (z użyciem włoskiego zdrobnienia *romanzetto).* Tą „małą powieścią" miała się okazać dwutomowa *Pustelnia Parmeńska.*

Źródło wielkości rodu Farnese pochodziło z epoki sąsiadującej z opisanymi wypadkami i było „historią włoską" na pograniczu paszkwilu, pełną nieścisłości, celowych przeinaczeń, omyłek. Ale odpowiadał prawdzie jej rdzeń.

Młodziutki Alessandro Farnese, przeznaczony do kariery eklezjastycznej, zasłynął w Rzymie jako uwodziciel, lekkoduch i awanturnik. Jego siostra *Giulia la Bella,* piękna Giulia, poślubiła w wieku piętnastu lat syna kuzynki kardynała Rodrigo Borgia. W dwa lata później została kochanką sześćdziesięcioletniego kardynała, wyniesionego niebawem na tron papieski jako Aleksander VI. Nowy papież nie zawahał się wciągnąć dwudziestopięcioletniego, kochliwego i dość rozpustnego biskupa Alessandro Farnese na listę świeżo mianowanych kardynałów; niewątpliwie pod wpływem jego siostry, a swojej faworyty. Obrany papieżem jako Paweł III, Alessandro Farnese przerzucił się ze skrajnej rozwiązłości w skrajny rygoryzm obyczajowy, co jednak nie przeszkadzało mu darzyć potajemnie czułymi względami niewiastę imieniem Cleria (która jakoby urodziła mu kilkoro dzieci). W roku

1545 wyłączył Parmę z dominiów papieskich i nadał jej statut księstwa. Odtąd ród Farnese panował tam prawie dwa wieki.

Alessandro Farnese — Fabrizio del Dongo; Giulia Farnese — księżna Sanseverina; Rodrigo Borgia — hrabia Mosca; zagadkowa Cleria — Clelia Conti. Można zrozumieć, że przenosząc intrygę z renesansowego dworu papieskiego na włoski dwór książęcy po Kongresie Wiedeńskim, Stendhal uległ impulsowi ostrożności: wolał nie zadzierać z potęgą Kościoła. Ale czemu akurat do Parmy? Najczęściej powtarzają się dwie hipotezy. Parma była długo feudum rodu Farnese, papież Paweł III urzędował jakiś czas za młodu w parmeńskim *Vescovado* naprzeciwko *Duomo*. Autorowi *Pustelni Parmeńskiej*, który „szanował jednego tylko człowieka: Napoleona", zależało na karykaturalnym przedstawieniu Włoch w epoce Metternicha, i Księstwo Parmeńskie rządzone wówczas przez Marię Luizę, drugą żonę Napoleona antypatyczną Stendhalowi, nadawało się do tego nieźle. Żaden ze stendhalistów nie wysuwa motywu, który według mnie odegrał pewną rolę w wyborze Parmy: raczej niż miastem była małym dworem książęcym z przyległościami, miniaturą wygodną w ramach i w strukturze planowanego początkowo *romanzetto*.

Swoje włoskie wojaże Stendhal przerywał czasem postojem w Parmie. Zawsze bardzo krótkim. I zawsze w tym samym celu: *To see the divin Correggio*.

Badessa Giovanna. Komnata Świętego Pawła jest częścią szesnastowiecznego klasztoru, apartamentem prywatnym przeoryszy. Była nią Giovanna Piacenza, wielka dama w zakonnym habicie, rozmiłowana w przyjęciach towarzyskich i w długich rozmowach z uczonymi humanistami. Zamówiła u Correggia kopułę, pozowała też malarzowi do portretu w kształcie trapezu nad kominkiem. Nominalnie portret jest wizerunkiem Diany w rydwanie, z łukiem i strzałami w kołczanie na plecach, z półksiężycem we włosach na czubku głowy. W rzeczywistości reprodukcje w albumach Correggia opatrzone są przeważnie podpisem: *La Badessa Giovanna Piacenza*. Po śmierci Giovanny zakonnice, prawdopodobnie zgorszone jej stylem życia, włączyły Komnatę Świętego Pawła do klauzury. Pamięć o renesansowym salonie przeoryszy szybko zaginęła. Odkryto i z klauzury wyłączono Komnatę Świętego Pawła w XVIII wieku, ku radości admiratorów Correggia pielgrzymujących do Parmy. Portret nad kominkiem powinien być moim zdaniem podpisywany: *La Duchessa Gina Sanseverina*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Kwiecień 1988

Jajo węża

Fragment niedrukowanej książki Stanisława Nowickiego pt. „Rozmowy w celi śmierci", składającej się z cyklu rozmów z Sebastianem Lamarck, przeprowadzonych tuż przed jego egzekucją w więzieniu w Warszawie w 1984 roku.

STANISŁAW NOWICKI — krytyk literacki, eseista, autor „Pół wieku czyśćca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim" („Aneks", Londyn 1986).

SEBASTIAN LAMARCK — poeta, prozaik, autor tomów poetyckich: „Jasny promień urojenia" (1971), „Stłuczona źrenica snu" (1973), „Anabioza" (1980) oraz powieści: „Pogorzelisko" (1976), „Ściana pamięci" (1980), „Le sommeil du rayon" (1982). Kolejny twórca „przeklęty" powojennej literatury polskiej. Zabójca dwóch kobiet (żony i kochanki). Jego proces stał się sensacyjnym i unikalnym wydarzeniem, w którym materiałem dowodowym stały się utwory literackie.

STANISŁAW NOWICKI: — *W dawnych, poczciwych czasach każdą rozmowę zaczynano od pytania o genealogię, przodków i historię rodzinną. Jak wygląda Pana „prehistoria"?*

SEBASTIAN LAMARCK: — Niestety muszę Pana rozczarować. Moje nazwisko, sugerujące być może francuskie pochodzenie, jest mylące. Wolę od razu powiedzieć, że nie mam nic wspólnego z ewolucjonistą Lamarckiem. Moja rodzina wywodzi się z ziem ojczystych, a jakby mało tego jest pochodzenia chłopskiego.

S.N.: — *A z jakich terenów wywodzą się Pańscy dziadowie?*

S.L.: — Z Rzeszowszczyzny, proszę Pana, i to z jej najbardziej zabitych deskami kątów.

S.N.: — *Chce Pan powiedzieć, że Pana nazwisko jest typowe dla tego obszaru?*

S.L.: — Zdaje się, że szuka Pan egzotyczności tam, gdzie jej zupełnie nie ma. Nie potrafię Panu powiedzieć, skąd wzięło się w rodzinnych papierach to nazwisko. Jedyne co udało mi się na ten temat usłyszeć pochodzi od mojego stryja, który był nad wyraz niepewnym źródłem informacji, gdyż nader łatwo przychodziło mu kwestionować realność. Powiem Panu na przykład, że w początkach lat sześćdziesiątych, już po lotach Łajki, Gagarina i Tierieszkowej, utrzymywał on zaciekle, że Ziemia jest płaska.

S.N.: — *Pan oczywiście żartuje?*

S.L.: — Bynajmniej, drogi Panie. W zapomnianej książce Kornhausera występuje Klub Płaskiej Ziemi. Zawsze myślałem, że autor wymyślił to dla mojego stryja. Gdyby taki klub istniał naprawdę, a nie w fikcji powieściowej, wówczas bez wątpienia stryj byłby jego prezesem. On naprawdę wierzył, że Ziemia jest płaska, a postrzegana przez pierwszych astronautów kulistość stanowi złudzenie optyczne. Przekonywująco zresztą udowadniał to na podręcznym modelu kosmicznym, składającym się z pokrywki od garnka i jabłka. Dla pikanterii powiem Panu, że stryj mój nie był bynajmniej ciemnym chłopem w cajgowych portkach i z widłami w dłoni, lecz dyrektorem szkoły w sporym mieście wojewódzkim, wykładającym tam fizykę i matematykę. W późniejszych latach zrobił zresztą z fizyki doktorat. Oczywiście swego przekonania nie głosił *ex cathedra* i dotrwał w nim do końca. Jeszcze na łożu śmiertelnym głosił, że „jego będzie na wierzchu".

S.N.: — *Cóż, upór godny Galileusza, choć podejrzewam, że on po prostu brzydko bawił się ze swoją rodziną.*

S.L.: — Nie, proszę Pana, on w to wierzył naprawdę. Utopią jest przekonanie, że wysoki poziom kompetencji znosi prywatne mitologie. Sądzę, że w ludzkich głowach mogą się pojawiać takie emigramy iluzji. Mało jest na świecie porządnych astrofizyków rzetelnie wierzących w UFO? Mało jest fizyków jądrowych uważających, że siłą wzroku można zrzucić szklankę ze stołu? Sam znam jednego.

S.N.: — *Jaką więc teorię na temat pochodzenia Pańskiej rodziny utrzymywał ten niezwykły stryj?*

S.L.: — Twierdził, że jakiś odległy praszczur rodzinny przywędrował ze Skandynawii, a jego żona była Węgierką, szlacheckiego

zresztą rodu. Skąd on miałby ją wytrzasnąć? Doprawdy, nie wiem. Było to w każdym razie małżeństwo morganatyczne. Później przewędrowali do Polski i osiedli na roli. Stryj mawiał mi czasem: „W twoich żyłach płynie niepokój wędrówki Wikinga i żar czardasza".

S.N.: — *Jakie to mogły być lata? Czy potomkowie Wikingów nie ruszali już z Galicji na wędrówki?*

S.L.: — Wyruszali, owszem, ale tylko męski szczep rodziny. Zawsze jednak powracali. A w jakich latach to było? Trudno powiedzieć. Pierwsza w miarę udokumentowana karta rodzinna otwiera się w okresie Wiosny Ludów. Otóż mój prapradziad o swojskim imieniu Maciej brał udział, jako prowodyr zresztą, w galicyjskiej rabacji. Nie mogę więc powiedzieć za Wyspiańskim „mego dziada piłą rżnęli", bo zdaje się było odwrotnie.

S.N.: — *O to ciekawe! Czy mógłby Pan powiedzieć coś bliższego?*

S.L.: — Niestety niewiele wiadomo. Poza tym opowieści te były przykrawane *ad usum Delphini*, gdyż traktowały na przykład o wypuszczeniu wolno jakiegoś magnata. Dziś skłonny jestem podejrzewać, że wyłącznie z inspiracji austriackiej. W ogóle, wbrew opiniom historyków, choćby Kieniewicza, uważam, że więcej w tym było poduszczenia administracji wiedeńskiej niż się na ogół przypuszcza. Chłopi z tego rejonu byli bez wątpienia elementem antynarodowym. Oni tylko czekali na wystąpienia szlacheckie, by mieć pretekst do masakry. Los Szeli, który potem spokojnie osiadł na Bukowinie nie jest przypadkowy. Mój przodek też zresztą siedział jakiś czas w więzieniu. Był to człowiek ogromnego wzrostu i siły. Podczas jakiegoś jarmarku złodziej zapuścił mu rękę w sukmanę. Maciej tylko przytrzymał tę rękę i pocisnął, aż rozległ się dziki ryk bólu i chrzęst łamanej kości. Wygłosił wtedy słynną sentencję dydaktyczną: „Więcej kradł nie będziesz". Kiedy wyobrażam sobie tego człowieka jako „prokuratora" rabacyjnych trybunałów, to nie mam raczej wątpliwości, że krew musiała sikać pod powały, a pewnie i rzeczywiście jakaś piła mogła być w robocie. W każdym razie się nie ciaćkano. Sprawy szły szybko. Mężczyzn mordowano, kobiety gwałcono. a potem bez skrupułów zarzynano wraz z dziećmi i służbą. Był to przecież pomiot szlachecki. W ciągu jednej nocy „załatwiano" od kilku do kilkunastu dworków, zostawiając trupy i zgliszcza. Starzy ludzie pamiętają to jeszcze dobrze z opowieści swoich rodziców i dziadków.

Skądinąd wiadomo, że był to jedyny chłop w okolicy, który potrafił władać piórem i z racji tej swojej umiejętności oraz pres-

tiżu w ludowej wspólnocie odbył pieszą wędrówkę do Wiednia, gdzie rozmawiał z Franciszkiem Józefem. Oznacza to, że musiał też znać dobrze niemiecki, bo rozprawiali twarz w twarz.

S.N.: — *Proszę, a o czym to rozprawiał podrzeszowski chłop z cesarzem?*

S.L.: — Po co Pan ironizuje? Słyszałem tę relację z wielu ust we wsi moich dziadków. Były to jeszcze lata mojego dzieciństwa, gdy nie było telewizji, zaledwie parę odbiorników radiowych, więc ludzie wieczorami schodzili się i godzinami rozprawiali. Odtwarzano to, co zachowało się w głowach z dawnych lat. W tej historii chodziło o serwituty. Okoliczny magnat, nazwiskiem Jędrzejewicz, przekupił sąd, który odebrał chłopom prawo do korzystania z pastwisk i lasu. Rada ludowa uchwaliła więc, że najlepiej będzie odwołać się do samego cesarza. Wybór padł oczywiście na jedynego „piśmiennego" w okolicy, który na dodatek słynął ze swojego uporu. W Trzebośni do dzisiaj zachowało się powiedzenie: „Kiedy Lamarck coś powie, to jakby siekierą uciął".

S.N.: — *Jak wyglądała ta wyprawa?*

S.L.: — Po prostu: wziął zawiniątko, kij do ręki i na bosaka zapewne powędrował do Wiednia.

S.N.: — *I tak po prostu udał się na audiencję?*

S.L.: — *(śmiech)* Oczywiście, że go wyrzucili na zbity pysk. Ale jako się rzekło był to człek uparty. Od służby dowiedział się, gdzie cesarz jeździ na spacery, przelazł przez jakieś ogrodzenie i klęknął na drodze, którą jechała kareta. W wysoko uniesionej dłoni trzymał petycję. Podobno konie omal go nie stratowały. Franciszek Józef słysząc zamieszanie wyjrzał przez okno i ujrzał dziwnego człowieka w sukmanie. Przywołał go do siebie, wysłuchał, a następnie przeczytał gramotę. Następnego dnia kazał mu się zgłosić do kancelarii. Tym oto sposobem Maciej Lamarck stał się posiadaczem pisma, które spór z dworem rozstrzygało na korzyść chłopstwa. I to wszystko, co wiem na temat swojego przodka.

S.N.: — *Pan oczywiście wie, że Pańska opowieść reaktywuje słynny mit „dobrego Cesarza"? Ona jest wręcz standardowo literacka.*

S.L.: — Jasna sprawa, to jest pokazowa realizacja stereotypu, choć nie znam utworu literackiego, w którym występowałaby w tej postaci. Ona raczej wywodzi się z tradycji ustnej. Ten mit skądinąd był umiejętnie podsycany przez administrację wiedeńską.

Aby jego płomyk mógł świecić należało go od czasu do czasu podsycać drobnymi szczapkami świadczeń wobec włościan. Władca jest dobry, urzędnicy „na dole" są źli. Trzeba po prostu poinformować monarchę, a sprawiedliwości stanie się zadość. Historia stara jak świat. Do dzisiaj Biuro Skarg i Wniosków przy KC jest pełne listów w myśl tej samej wiary. Skąd się wzięła „Apelacja" Andrzejewskiego? To gra na tym samym stereotypie.

S.N.: — *Co działo się dalej w Pana „prehistorii"?*

S.L.: — Synem Macieja był Jan — mój dziadek. Człowiek małomówny i uparty. Sam nigdy nie opowiadał o swoich przejściach. Był typem wiejskiego dziwaka, trochę ludowego filozofa i włóczęgi. Po pożarze, który strawił całą wieś — było to jeszcze przed pierwszą wojną światową — popłynął „szifą" przez Bremę i Hamburg do Ameryki, gdzie siekierą wyrąbywał blaszany dach na swoją chałupę. Do dzisiaj świeci on zardzewiałym okiem na naszej chałupie, dowodnie świadcząc o wyższości blachy przedwojennej nad wytworami socjalistycznej metalurgii. Podobno zwiedził szmat Ameryki i pozostawił po sobie sporą ilość rumianych dowodów swej gorącej krwi. Jest to zresztą wersja nie potwierdzona, bo jak dotąd żaden z amerykańskich Lamarcków się nie zgłosił w poszukiwaniu rodziny za oceanem. Wkrótce po powrocie odbudował dom i ożenił się z córką kołodzieja, najpiękniejszą dziewczyną okolic, wyrywając ją podstępem z rąk jakiegoś znanego odwokata z Rzeszowa. Spłodził z nią czwórkę dzieci, z których przeżyło troje, a wkrótce potem ją pochował. W czasie okupacji sam dokonał żywota.

S.N.: — *Miła jest Pańska lapidarność, lecz chętnie usłyszałbym więcej szczegółów. Skąd miano wiejskiego filozofa?*

S.L.: — Nie wiem doprawdy zbyt wiele na ten temat. Jego żonę Katarzynę do dziś wspominają w Trzebośni jako istotę wysoką, piękną i milczącą. Umarła dość młodo na gruźlicę gardła i wydaje się, że była zadowolona ze swego losu u boku wiejskiego dziwaka. Dziad był typem flegmatycznym i upartym jak jego przodkowie. Bił często swoje dzieci, a w ich liczbie mojego ojca. Coś go okropnie ciągnęło w świat, gdyż od czasu do czasu znikał z domu, by wałęsać się tygodniami. Docierał aż gdzieś w Karpaty. Poza tym był to sknera, który mierzył długość firanki nabytej w mieście przez żonę. Po jej śmierci, mając trójkę małych dzieci na ramieniu ożenił się po raz drugi z kobietą imieniem Agnieszka. Pamiętam ją jako uosobienie patologicznej pracowitości. Dzieci pokochały ją jak własną matkę i pozwalały się terroryzować do końca jej 90-letniego życia. Jej największym ukochaniem były kolejne krowy imieniem Baśka lub

Niezabudka. Życie więc mojej babki upłynęło pośród kolejnych Basiek, psów Bukietów, świń nieodmiennie nazywanych Poziomkami i Chmurkami, trójką bosych urwipołciów oraz obok polatującego boleśnie nad ugorem małżonka.

S.N.: — *Nie rozumiem tej metafory.*

S.L.: — Dziad był wiejskim majsterklepką, który miał obsesję latania. Coś jakby Lindberg w prymitywnej, ludowej skali. Marzył o zbudowaniu latającej machiny. Normalnie zajmował się ciesiółką, lecz w wolnych chwilach konstruował te swoje niby-lotnie. Potem rzucał się z tą konstrukcją z pobliskiej góry. Na ogół paskudnie się rozbijał. Niszczył prześcieradła, obdzierał gęsi z pierza. Były tam całe boje z moją babką. Istny Ikar. Wiele razy wydawało się, że nikt mu już kości nie poskłada, lecz on się jakoś wylizywał i znów stawał do walki z siłą ciążenia. Kiedyś nawet udało mu się wzlecieć ponad wsią. Kapotował w rzece, gdyż zawadził o most. Ksiądz z ambony nawoływał go do opamiętania i groził klątwą za wywyższanie się ponad aniołów i serafinów, ale wszystko na nic. Podobno zrodziło się to podczas wojny, którą spędził na Węgrzech. Stamtąd przywiózł swoje ukochanie do aeroplanów i fruwania. Od tamtego czasu systematycznie obijał sobie gnaty nad urwiskiem Góry Wariata. Umarł w 1944 roku na nerki. Rodzinie oświadczył, że idzie umrzeć do ogrodu. Oczywiście nikt nie uwierzył. Wziął koc, parasol i położył się pod jabłonią. Babka była przekonana, że obmyśla następną machinę latającą, więc zapaliła gromnicę pod świętym obrazem. Umarł w czasie snu. Być może wzleciał wysoko w marzeniach i umarł z zachwytu.

S.N.: — *I tak doszliśmy już do Pańskiego ojca.*

S.L.: — Owszem. Jego młodość — a urodził się w 1920 roku — przypadła na okres wojennych i powojennych wędrówek ludów. Całe miliony przemieszczały się z miejsca na miejsce, o ile wcześniej nie zostały przemieszczone przez Niemców lub Rosjan na łono dobrotliwego Pana Boga, który łaskawym okiem spoglądał na te zbrodnie przez kilka lat. On jest zresztą bardzo gościnny, bo od zarania gatunku ludzkiego przytułek dla emigrantów z Ziemi zwany Rajem funkcjonuje bez zarzutu. Wie Pan, jeżeli akt kreacji został sknocony, to trzeba było wymurować w obłokach taki gigantyczny i luksusowy hotel dla wszystkich zarżniętych, stratowanych, zagazowanych i zastrzelonych na wszystkich gościńcach historii.

S.N.: — *Pozwoli Pan, że pofilozofujemy później. Teraz wróćmy do tematu. Ojciec więc należał do pokolenia Kolumbów?*

SL.: — Podsuwa mi Pan gotowe formułki. Gdzie Rzym, a gdzie Krym!? Cóż mojemu ojcu do Baczyńskiego i Borowskiego? Łączy ich tylko rocznik urodzenia. Od razu widać krytyka literackiego: musi być system, analogia, systematyka. Bez sensu. Rozziew pomiędzy wojennym losem mojego ojca a losem wychowanków elitarnych szkół Warszawy jest taki jak przepaść. Jak wspomniałem rodzinny Ikar mocno już niedomagał, a starszy brat mojego ojca przebywał w obozie w Murnau (w 1939 roku dowodził plutonem rowerowym na Kielecczyźnie), więc na barki młodego człowieka spadł obowiązek utrzymania całej rodziny. Ponieważ przed wojną zdobył prawo jazdy, pracując jako pomocnik kierowcy podczas budowy CHP-u, więc w czasie okupacji zatrudnił się jako szofer w jakiejś firmie. Po południu pracował na roli.

S.N.: — *Jak wyglądało wkroczenie Niemców na te tereny?*

S.L.: — Wkroczyli 14 września i byli dość spokojni. Poza uciążliwymi kontrybucjami wieś w małym stopniu odczuwała terror hitlerowski. Chyba, że miała kontakty z partyzantami. W tym rejonie nie ma lasów, więc i zbytnich problemów nie było. Statystyczny wieśniak mało miał do czynienia z Niemcami. Czasem jakiś oficer lub gefreiter stacjonował w czyjejś chałupie. Moja babka w najlepszych słowach opowiadała o dwóch oficerach, którzy kwaterowali u niej, gdy front położył się na odległym o kilkadziesiąt metrów Wisłoku. Byli czyści, kulturalni, zawsze pytali o pozwolenie korzystania z różnych przedmiotów. Jeden z nich, wzdychający do jakiejś Grätchen, której portret został do dzisiaj w domu, golił się najspokojniej w świecie przy studni pośród świszczących pocisków, gdy ruszyła zimowa ofensywa. Spokojnie skończył tę najważniejszą czynność na świecie, wyperfumował się i poszedł jeszcze do małego domku z serduszkiem. Nigdy już z niego nie wyszedł. Leży zakopany gdzieś pod orzechem w ogrodzie. Moja ciotka też zawsze dobrze wyrażała się o żołnierzach Wehrmachtu. Podkreślała, że panował wśród nich *ordnung*. Swoje posterunki zwijali dopiero wtedy, gdy Rosjanie byli już na tym brzegu, na odległość strzału z chłopięcej procy. Nie zapomnieli nawet o jednym żołnierzu. Źle mówiła tylko o gestapowcach, którzy zabierali ojca.

S.N.: — *Proszę, to jednak działo się tam również coś więcej.*

S.L.: — Powoli, bo nie mam tego jasno poukładanego w głowie. To wszystko są jakieś strzępy z rozmów mojej babki i ciotki. Moja rodzina nigdy nie była zbyt rozmowna. Pamiętam tyle, że ojciec został schwytany w jakiejś łapance w Rzeszowie, bodaj w 1940 roku. Potem wywieziono go do Niemiec na roboty.

S.N.: — *Dokąd? To są mało znane tematy. Czasem coś można znaleźć w prozie Tyrmanda, czasem coś u tego grafomana Worcella.*

S.L.: — Miejscowość nazywała się Langensautza. Ojciec zresztą mógł uciec z transportu, lecz nie uczynił tego, gdyż był ciekaw świata. On pewnie naiwnie myślał, że będzie otrzymywał rzeczywiście wynagrodzenie, zobaczy coś nowego, a potem powróci.

S.N.: — *Chyba Pan przesadza. Nie wyobrażam sobie takiego trybu myślenia u dwudziestoletniego człowieka.*

S.L.: — Dlaczego nie? Pan ma ciągle w głowie schemat Kolumbów. Tymczasem mój ojciec liznął coś wiejskiej szkoły, biegał za krowami w postrzępionych portkach, w domu jadało się tylko potrawy mleczne i „kwaśną kaszę", bo świnia szła na podatki. Czasem coś wysylabizował z podróżnych książek, lecz jego codzienność to rżnięcie sieczki, walenie cepem na klepisku, koszenie i orka. To należy widzieć w tym porządku. Ciemna, zapracowana wieś, gdzie nie było elektryczności, a buty dzieciom zakładano tylko na niedziele. Głowy golono na łyso, by nie zagnieżdżały się wszy. Za potrzebą chodzono między „ścionki". Wie Pan co to jest?

S.N.: — *Nie, pewnie jakiś gnojnik?*

S.L.: — To takie wąskie przejście pomiędzy stodołami. Tam załatwiano potrzeby fizjologiczne. Idąc brało się kij, by oprzeć się na nim i nie wpaść w ekskrementy. Służył też do odganiania się od świń. Gnojnik, obora, stodoła śmierdząca myszami, pętające się po podwórku kury, świnie, kaczki i bosa dzieciarnia. Na przednówku był taki głód, że żołądki przylepiały im się do kręgosłupa. Do tego jakaś przeczytana książka podróżnicza. Naprawdę mój ojciec mógł traktować roboty w Niemczech jako jakąś szansę. Oczywiście całkowicie bezrozumnie. Pan natomiast myśli ciągle o poziomie świadomości wychowanków „Batorego" w Warszawie, którzy chcieli być „Mochnackimi, Mickiewiczami, Norwidami swojej epoki". Mój ojciec w tym czasie pewnie nawet nie wiedział kto to był Mochnacki i Norwid.

S.N.: — *Dobrze, przekonał mnie Pan. Jesteśmy zatem przy tym transporcie do Niemiec...*

S.L.: — Ojca przydzielono do *bauera* o nazwisku Kraft. Początkowo wszyscy mieszkali razem, kobiety i mężczyźni, w jednym baraku. Potem jednak ojca przeniesiono do jakiejś izdebki przy

oborze. Pracował jak wszyscy od 6-tej rano do 18-tej wieczór, z godzinną przerwą na posiłek. Osobne pomieszczenie zawdzięczał awansom córki *bauera* — Klaude, która nadzorowała większość robót. Była tam jeszcze jakaś druga Niemka, z którą mój ojciec musiał mieć jakieś erotyczne schadzki, bo matka wspominała kiedyś jakąś *liebchen* Elsę. Pomiędzy tymi Niemkami musiało dojść do otwartego antagonizmu, była nawet groźba donosu do *Arbeitsamtu*. Za takie rzeczy od ręki wieszano, więc mój ojciec postanowił uciekać, co zrobił natychmiast. Wraz z jakimś znajomym zaopatrzyli się w czapki z Hitlerjugend i swastyki, które przypięli do klap. Ukradli mapę i ruszyli. Niemiecki znali dość dobrze, więc z biletami nie było kłopotów. Jechali etapami. Erfurt, Dresden, Breslau, Kräutzburg (Kluczbork), Rosengasten (Olesno) aż do Liezwarty, którą przybyli wpław. Tam właśnie zastrzelono jego kolegę. Oni nie wiedzieli, że w tym czasie założono Generalną Gubernię i granica legła na tej rzece, obok Częstochowy. Potem ojciec jakiś czas szedł ze szmuglownikami. Cały czas już jednak pieszo.

S.N.: — *Na taką wyprawę trzeba było jednak mieć nieco sprytu i orientacji w realiach. Coś niejednorodna jest ta sylwetka, którą Pan kreśli.*

S.L.: — Nikt nie jest jednorodny. Przyznaję swojemu ojcu tyleż prawa do przebiegłości, co i do ewidentnej głupoty. Jak Pan myśli dokąd się udał?

S.N.: — *Pewnie do lasu lub ukrywał się pod obcym nazwiskiem?*

S.L.: — Gdzież tam! Poszedł *gerade* do swojej wsi. Początkowo siedział nieco w stodole, która jak powszechnie wiadomo jest najlepszym schronieniem na świecie, lecz później wszedł w normalne życie. Wtedy też wkręcił się — jako już światowiec — w jakąś podziemną robotę. Zajmował się kolportażem bibuły. Po trzech miesiącach przed chałupę zajechał czarny Daimler, z którego wyszło trzech gestapowców w skórzanych płaszczach i tłumacz w prochowcu. Zdążył tylko wsadzić jakieś gazetki do kieszeni. Od razu dostał pięścią w twarz aż się cały zalał krwią. Bito go tak długo aż stracił przytomność. Potem wrzucono go do samochodu i odwieziono na Gestapo przy ul. Jagiellońskiej. W jakiejś chwili nieuwagi oprawców zjadł po kawałku wszystkie papiery, łykając je z zębami i krwią.

S.N.: — *Z Pańskiej opowieści wynika, że to musiał być jakiś donos i to polityczny, bo działali na pewniaka. Świadczy o tym również to, że przyjechało gestapo. Sprawami ucieczek zajmowała się żandarmeria lub Schupo.*

S.L.: — W tej miejscowości działał kapuś nazwiskiem Gania, który denuncjował na lewo i prawo. Między innymi doniósł na swojego brata i szwagra, którzy zginęli w Oświęcimiu. Miał z nimi jakiś spór o buraki. Nawiasem mówiąc później zastrzelili go Niemcy, gdyż podziemie podsunęło mu jakieś fałszywe informacje, które naturalnie przekazał gestapowcom. W celi mój ojciec natknął się na jakiegoś znajomego nauczyciela, który pouczył go jak zeznawać, a przede wszystkim kazał mu włożyć pod spodnie trzy ręczniki. Dzięki temu pierwsze przesłuchanie przeszło możliwie „gładko", nawet nie stracił przytomności. Podczas następnych ręczniki poszły w strzępy. Przesłuchiwał gestapowiec Hacken, a tłumaczył jakiś Ślązak w cywilu. Procedura była typowa: najpierw zwalano za włosy na ziemię, ręce przykuwano do jakiegoś mebla, głowę owijano kapotą, włączano radio i bito, aż skóra na plecach i pośladkach pękała. Co pewien czas pytano czy delikwent będzie zeznawał. „Nie?". To dalej. Aż do utraty przytomności. W ciągu jednego dnia były zwykle dwa przesłuchania.

Po jednej rundzie takich rozmów nastąpiła kilkutygodniowa przerwa, bo ojciec ciągle tracił przytomność. Gdy się podkurował zmieniono metodę. Bito sposobem przedwojennej policji polskiej: wyciorem metalowym po piętach, czasem po twarzy. Skończyło się to po jakimś instynktownym uniku, gdy gestapowiec rozbił sobie zegarek o szafę. Wpadł wtedy w szał i tak zmasakrował ojca, że ciało odchodziło od kości. Miało to tę jedną korzyść, iż na długi czas pogawędki ustały, bo nie było już z kim rozmawiać. Potem były jeszcze jakieś konfrontacje i bicia, lecz ojciec już ich nie pamięta, bo na ogół był nieprzytomny. Potem przechodził kilkumiesięczne zapalenie płuc. Poza tym w więzieniu zapanował tyfus, więc dano więźniom spokój. Grano w szachy na kocach figurkami ulepionymi z chleba i walczono z pluskwami, które kąsały ich tak, że nie widzieli na oczy.

Kiedy potrafił już stać samodzielnie na nogach miało miejsce ostatnie przesłuchanie. Prowadził je kulturalny gestapowiec, mówiący po śląsku. Zdjął kajdanki, był miły. Po chwili wyciągnął pistolet, wycelował i powiedział, że wystrzeli jeśli ojciec nie będzie zeznawać. Pod pretekstem ucieczki. Ponieważ nie było reakcji, więc kazał mu się rozebrać do gaci i zaprowadził do bunkra. Wie Pan co to jest?

S.N.: — *Bunkier głodowy to wiem. Był taki w Oświęcimiu.*

S.L.: — To było inne „cudo". Niewielkie pomieszczenie w piwnicach zapełnione do pół łydki wodą. Wtedy była zima, więc po wierzchu pływała kra. Umieszczono tam ojca w środę. Raz dziennie przynoszono mu kawę i pytano czy będzie zeznawać. Po odpowiedzi odmownej drzwi zatrzaskiwano. Ojciec mówił, że nie zna większego koszmaru. Już po kilku minutach myślał, że padnie w wodę. Piekielne zimno. W nogach okropny ból. Nieustanne drgawki z zimna i gorączki. Upaść to śmierć. Trzeba było ciągle chodzić, od ściany do ściany wśród chrzęstu kry. Jedyne miejsce, gdzie można było chwilę odpocząć stanowił wąski próg, na którym można było się oprzeć koniuszkami kolan. Aby nie utracić równowagi należało przylgnąć brzuchem do metalowych drzwi i założyć splecione ręce na głowie. Pozwalało to na krótkie chwile gorączkowej drzemki. W sobotę rano postanowił wydać wszystko. Kiedy jednak ujrzał zadowoloną gębę gestapowca jakiś diabeł wyszeptał za niego, że to wszystko jest jakaś pomyłka. To powiedział jakby ktoś inny. Usłyszał: „Wyciągniemy cię stąd jak będziesz już sztywny". Potem były już tylko majaki, przeraźliwie głośne kapanie kropli z sufitu, zlizywanie wody ze ścian i jakiś głos, który odliczał kroki od ściany do ściany. Było też ciało, które płonęło żywym ogniem. Wyciągnięto go stamtąd następnego dnia z kolejnym zapaleniem płuc. Całymi tygodniami leżał jak bela owinięty kocami przez współwięźniów. Gdy doszedł do siebie kazali mu podpisać jakiś protokół. Po kilku tygodniach przewieziono go do Tarnowa. W ciągu kilku następnych dni był już w transporcie do Oświęcimia.

S.N.: — *Czy wiedział dokąd jedzie?*

S.L.: — Tak. Z Tarnowa pociągi z więźniami szły głównie w tym kierunku. Poza tym kierunek jazdy ustalili przez szpary w ścianach bydlęcego wagonu. Przy pomocy sprzączek od paska zaczęli dłubać przy jednej z desek podłogowych, która wydawała się luźniejsza. Po jakimś czasie gorączkowej pracy puściła. Potem wyłamano następną. Pod stopami mieli migające podkłady. Zmierzchało. Postanowili skakać. Najpierw należało spuścić nogi, by oparły się na jakiejś ośce czy resorze, potem spuścić się na pasku, który trzymali pozostali. Reszta była prosta. Po prostu się puścić. Przez jakiś czas czekali aż pociąg zwolni, lecz ponieważ to nie następowało, a Oświęcim był coraz bliżej, więc trzeba było skakać. Zdecydowało się tylko czterech. Kiedyś zastanawiałem się, czy skoczyłbym ze schodków jadącego pociągu. Nie wiem czy bym potrafił. A skok na podkłady pomiędzy kołami pędzącego pociągu na płask!? Czyste samobójstwo. Pierwszy zginął na miejscu, bo mu się obśliznęły nogi. Drugi skakał jakiś nauczyciel spod Stalowej Woli. Wyszedł ze złamaną ręką. Ojciec był trzeci. Serce w gardle, ogromny strach, pustka w głowie. Lecąc krzyknął: „O kurwa!". Potem był ból i wielki huk. Ale żył. W ramiona i plecy miał powbijane kawały żwiru. Nogi

poobdzierane. Ostatni ze skaczących leżał kilkaset metrów dalej w krwawych strzępach. Widocznie zahaczył go metalowy element pod wagonem i jakiś czas wlókł po podkładach. Klnąc, płacząc i jęcząc doszli do jakiejś wsi, gdzie się nimi zaopiekowano, poobwijano w szmaty i wsadzono na kilka dni w siano nad oborą. Potem ruszyli każdy w swoją stronę.

S.N.: — *Oczywiście wrócił do rodzinnej wsi?*

S.L.: — *(śmieje się)* Naturalnie! Tym razem zdobył jednak jakieś fałszywe papiery i mieszkał u kogoś kątem. Pracował jako operator dźwigu na kolei. Kradł tam duże ilości nafty do silników Diesla, którą handlował. Z pracy wracał zawsze tak usmarowany i brudny od pyłu węglowego, że to stanowiło najlepszy *Ausweis*. Wśród kolejarzy szła intensywna robota konspiracyjna, lecz wiem tylko tyle, że palili tam jakichś banschutzów.

S.N.: — *Jak to palili? Gdzie, w piecu?*

S.L.: — Dokładnie tego nie wiem, bo ojciec zapierał się w żywe oczy. Ale faktem jest, że tam zniknęło bez śladu kilku niemieckich funkcjonariuszy kolejowych. Słyszałem od sąsiadów, że ojciec przekazywał komuś mundury banschutzów i broń. To mogło być tylko tych. Niemcy coś podejrzewali, węszyli, lecz śledztwo niczego nie wykazało. Pamiętam natomiast, że kiedy byłem dzieckiem, ojciec objaśnił mi działanie parowozu. Wtedy zapytałem go, co by się stało gdyby kogoś wsadzić do kotła. Roześmiał się i powiedział krótko: „Byłoby takie głośne puff z komina i nie zostałoby nawet śladu". Kiedyś podczas jakichś imienin wygłosił opinię, że człowiek pali się dokładnie tak samo jak drzewo. To samo wyczyta Pan u Borowskiego i Kielara. Ta wiedza skądś musi pochodzić.

S.N.: — *A jak wyglądała sytuacja po wkroczeniu wojsk sowieckich?*

S.L.: — Pamiętam strzępy. Niemcy chcieli zabrać ojcu konia, więc w przypływie determinacji skoczył na grzbiet i pod kulami przepłynął przez rzekę. Sąsiedzi przybiegli z wiadomością, że go zastrzelono, lecz okazało się, że słysząc gwizdy pocisków skrył się za koniem. Przesiedział kilka dni w jakimś zagajniku i powrócił, gdy wkroczyli już Rosjanie. Konia oczywiście zabrali. W czasie ataku cała rodzina siedziała w piwnicy sąsiada, a pociski goliły co popadnie. Niemcy, jak już wspominałem, zachowali do końca kamienny spokój i natłukli Ruskich co popadnie. Ta masa szła i szła, a oni tłukli tak, aż im się przegrzewały lufy od karabinów maszynowych. Rzeka była pełna trupów. Nie było w tym ataku żadnej logiki. Po trupach szli następni. Ci padali, a po nich szli

nowi. Masakra, lecz przecież przeszli. Co im tam ludzie! Przypomina mi się opowieść mojego krewniaka, który oglądał rosyjską przeprawę podczas ofensywy zimowej. Lód był spękany, więc żołnierze topili się masami. Stał on blisko miejsca, w którym młody sołdat wpadł do przerębli i tonąc okropnie krzyczał. Widząc obojętność przechodzących chciał ratować człowieka. Zdjął pasek od spodni, położył się na lodzie i próbował mu rzucić. Wtedy z tyłu podszedł do niego enkawudzista, również młody, i go odciągnął. Odpychając go mówił z jakimś nienaturalnym spokojem i łagodnością: *„Nie nada malczik, u nas ludiej mnogo"*. Żołnierz się oczywiście utopił. Dla mojego krewniaka był to ogromny wstrząs. Zwłaszcza zdumiewająca dobrotliwość tej nieludzkiej reakcji. Co tam paru ludzi. Liczy się tylko masa. Wtedy właśnie zadecydował, że wyemigruje. Nigdy nie zapomniał tego obrazu. Powiedział, że w kraju pod taką dominacją żyć nie będzie. Wyjechał z kraju dopiero w 1956 roku.

Wróćmy jednak do tematu. Front zatrzymał się od września do stycznia na linii Jasło - Dębica i dzięki temu ojcu udało się kupić nowego konia. Zaopatrzył się w litrową flaszkę bimbru i od żołnierza prowadzącego wóz z rannymi nabył jednego z dwóch łoszaków. Dzięki temu gospodarka mogła dalej funkcjonować. Pamiętam też jakieś anegdoty o sołdatach rosyjskich, którzy byli bardzo wynędzniali i skonani, karabiny nosili na sznurkach, a za całą aprowizację mieli małe worki z paroma kawałkami chleba. Wieczorami ustawiali na polach trzy patyki, na których wieszali kociołki i warzyli cienką strawę. Obraz nieszczęścia. Kobiety bardzo się ich obawiały, bo wieść niosła, że gwałcą wszystkie kobiety, nawet staruszki. Ukrywały się więc w piwnicach, lecz jakoś się nic nie stało. Rosjanie przychodzili czasem po wodę, czasem trochę pogwarzyć, lecz na ogół kombinowali jak kupić lub ukraść słynne *czasy* lub pierzyny. Po prostu tego nie znali. Potrafili ciągnąć za sobą nawet zegary szafkowe. To są zresztą dość znane historie.

Bez wątpienia mieli obłędny strach przed swoimi dowódcami, a szczególnie przed oficerami politycznymi. Mieli obiecane, że „wszystko wolno" dopiero w *Giermanii*, więc ciągle dopytywali czy daleko jeszcze do tej *Giermanii*. Trochę kradli, lecz bez przesady. W Krośnie była wytwórnia spirytusu. Kiedy tam wpadli, rzucali się w ubraniach do kadzi i paru się tam nawet potopiło. Oczywiście nikt ich stamtąd nie wyciągał, bo wiadomo — spirytus dezynfekuje. Pito więc dalej i nikomu to nie przeszkadzało. Te animalne reakcje w pełni rozbuchały się na terenach bardziej odsuniętych na Zachód. We Wrocławiu słyszałem parę pouczających historii. W miejscu obecnej stacji benzynowej przy ul. Legnickiej, tuż na skraju ogromnego parku, będącego dawniej cmentarzem znajdował się wielki, solidny budynek. Po zajęciu miasta

przez Rosjan zamieszkały w nim wyłącznie Niemki. Cały dom pełen kobiet. Mężczyzn już nie było, a one chciały się czuć bezpieczniej. Na noc barykadowały drzwi i okna aż do pierwszego piętra włącznie. Do czasu. Pewnej nocy podjechały pod kamienicę dwa *gruzowiki* z rozbawionymi sołdatami. Zaczęli szturmować drzwi i okna, lecz bez skutku. Trochę strzelali. Wszystko na nic, bo kobiety dobrze wszystko popodpierały szafami i wzmocniły deskami. Zabijały się nocami gwoździami na głucho. Wtedy Rosjanie oblali dom benzyną, którą mieli w kanistrach i podpalili. Po chwili z okien zaczęły wyskakiwać te, które nie chciały spłonąć żywcem. Do starych i tych, które połamały nogi strzelano od razu. Wszystkie inne obdzierano z ubrań do naga i wrzucano na ciężarówki. Proszę sobie wyobrazić dwa samochody pełne nagich kobiet. A to wszystko oświetlone płonącym budynkiem, z którego wnętrza dobiegały nieludzkie wrzaski tych, które nie dotarły do okien lub zdecydowały się na śmierć od razu. Potem oba pojazdy odjechały w głąb cmentarza, gdzie odbyła się potworna, infernalna orgia. Pomijam już, że wszystkie zostały zgwałcone, lecz również dopuszczano się na nich czynów najdzikszych. Obcinano piersi, kłuto bagnetami, rozbijano butami butelki wepchnięte w pochwę, wieszano za nogi na drzewach, podpalano włosy, oddawano mocz na twarz. Oczywiście do rana pomordowano wszystkie bez wyjątku. Człowiek, który mi to opowiadał był wśród tych, którzy grzebali te okropnie zbezczeszczone, storturowane ciała. Absolutny szczyt bestialstwa i zezwierzęcenia.

Myśli Pan, że było jakieś dochodzenie? Skądże! Choć znam i relację jak odbywały się śledztwa w tej armii. Jacyś dwaj żołnierze sowieccy urządzili sobie przejażdżkę czołgiem po oddalonej dzielnicy. Jechali tak, by niszczyć ogrodzenia przed domami. Płoty, bramy, siatki. Jak popadnie. Przejechali na koniec na wylot przez jakiś dom. Dwie osoby znalazły śmierć pod gąsienicami. Ale gdzieś pomiędzy sporymi słupkami żelbetowymi czołg się wklinował na amen. Ktoś dał znać do jednostki sowieckiej. Zanim przyjechał łazik z dwoma enkawudzistami, jeden z żołnierzy wyskoczył z czołgu i uciekł. Drugi pozostał w środku. Oficerowie krzyczeli, prosili, tłumaczyli: *„Wychodi"*. Ten nic, tylko kręci wieżyczką. Enkawudziści znudzeni zamilkli. Jeden z nich położył się na wieżyczce i leży. Pogwizduje, gryzie trawkę, pali skręta. W końcu klapa od wieżyczki powoli się uchyla, wystraszony żołnierz wychodzi. Kiedy wychylił się już do połowy, oficer sięgnął po pistolet, który położył na pancerzu, przystawił mu do głowy i wystrzelił. Mózg i czaszka obryzgały mu cały mundur i wieżyczkę czołgu. I tak go zostawili. Potem było „dochodzenie" w jednostce. Przyprowadzili kilku świadków, którzy widzieli uciekającego żołnierza. Ustawili wszystkich w szyku,

a oni przechodzili wzdłuż szeregu. W końcu wskazali. Tylko pojawił się problem, bo było dwóch podobnych. Pan myśli, że bawili się w sprawdzanie który?! Gdzież tam! Rozwalili jednego i drugiego. Tak jak stali, przed frontem żołnierzy i osłupiałymi świadkami. Lufy naganów przytykali do głów. Nie ma lepszego sposobu na utrzymanie dyscypliny. Wróćmy jednak do tematu. Na czym skończyliśmy?

S.N.: — *Na wejściu Rosjan do Trzebośni.*

S.L.: — Właśnie. W tym samym czasie, zanim ruszyła ofensywa musiał mieć miejsce romans mojego ojca z Marusią — sekretarką komendanta wojennego NKWD. Było to ładne, czarne stworzenie rodem gdzieś z Kaukazu. Sprzyjało Polakom, gdyż wskazało miejsce, gdzie zakopano zwłoki oficera AK, który był przesłuchiwany w tamtejszej komendanturze. Ktoś się pospieszył i nocą wykopano jego ciało i przeniesiono w inne miejsce. Było tam też paru innych pomordowanych. Jak się to skończyło nietrudno zgadnąć. Rosjanie natychmiast zorientowali się, że ktoś ich zdradził. Dzielna dziewczyna podczas przesłuchania nie wydała nikogo, bo ojca nie poszukiwano. Dla niej skończyło się to tragicznie. Jej ciała już nie odnaleziono.

S.N.: — *Co było potem?*

S.L.: — Nie wiem. Tu gdzieś relacja się urywa. Wiem, że do połowy 1945 roku ojciec siedział na miejscu i pracował jako kierowca. Przyjaźnił się z byłym powstańcem nazwiskiem Wstęga. Powieszono go na rynku w Rzeszowie.

S.N.: — *Publicznie? Za co?*

S.L.: — Za grabieże. Ten człowiek znalazł oryginalny sposób zarobkowania. Stawał z bosakiem przy torach kolejowych i ściągał nim wiszących na stopniach ludzi. Pan wie, że pociągi jeździły obwieszone niczym winogrona. Jeżdżono na dachach, stopniach, buforach. Wystawiał więc bosak i zawsze ktoś się na niego nabił. Z jednego pociągu potrafił zmieść dwóch, trzech. Potem dobijał tych nieszczęśników i obdzierał ze wszystkiego. Ojciec zorientował się w jego procederze i zerwał z nim kontakt. Wkrótce potem go złapano i urządzono publiczną egzekucję. Było to makabryczne widowisko, bo katem był jakiś niewprawny milicjant. Po wyrwaniu stołka spod stóp skazańca sznur się urwał. Wieszano więc po raz drugi. Zdążył jeszcze krzyknąć: „Precz z komuną" i „Niech żyje Polska".

S.N.: — *Wojna przełamała psychicznie wielu ludzi. Często od-*

czuwałem brak literatury, która wiarygodnie traktowałaby o tym pierwszym okresie powojennym. W zasadzie nie ma niczego uczciwego dotyczącego tych lat.

S.L.: — Przyznam się Panu, że rekonstruując wszystko co wiem czuję się jakoś niestosownie. Chciałoby się jakiegoś szerszego tła i klimatu, a ja to odtwarzam z drugiej ręki. Faza, o której teraz chcę Panu opowiedzieć też jest mglista. Ojciec wraz z jakimś kumplem zaczął jeździć w dalsze wyprawy. Przez pewien czas rezydowali przy jakiejś dyrekcji w Katowicach. Przewozili jakieś towary, lecz głównie trudnili się handlem. Kupowali ciuchy w Gliwicach i sprzedawali z zyskiem w Katowicach. Było dużo wódki, jakieś dziewczyny, często Niemki nabywane za parę puszek amerykańskich konserw. Handlowano wszystkim: meblami, wódką, ubraniami, złotem, żywnością. Wśród tego towarzystwa był niejaki Tomasik, który uzbierał osiem worków bardzo cennego szabru. Ponieważ wzajemne zabory szabrowników na drogach były na porządku dziennym, więc to wszystko nadał na bagaż. Nie ocalało nic. Musiało być tam sporo majątku skoro facet strzelił sobie w łeb. Przy odrobinie sprytu i bezwzględności można było zostać w krótkim czasie Krezusem. To rzeczywiście był „dziki zachód". Napaści, załatwianie zadawnionych i świeżych porachunków, włóczące się bandy, gdzieniegdzie resztki Wehrwolfu, pierwsze urzędy, tanie dziwki i strumienie alkoholu. Do tego wszystkiego kawalerskie jazdy ciężarówkami po niebezpiecznych drogach leżącego w gruzach kraju.

Jeszcze w 1945 ojciec przeniósł się do Wrocławia, gdyż usłyszał, że tam są „lepsze widoki". Miasto leżało w gruzach. *Festung Breslau* było gigantycznym kłębowiskiem zwalonych ścian, kłębów dźwięczącego drutu, poskręcanych latarni gazowych, bloków zbrojnego betonu i przełamanych domów.

S.N.: — *Opowiada Pan tak jakby sam tego doświadczył.*

S.L.: — To nie jest od rzeczy. Ja to wszystko jeszcze pamiętam. Jako dziecko chowałem się pośród gruzowisk. Mieszkało się w domach, gdzie po dwa, trzy mieszkania nadawały się do użytku, a w pozostałych hulał wiatr. Czy oglądał Pan „Ósmy dzień tygodnia" Forda? Więc pamięta Pan ten dom, który się zawalił i w którym mieszkał Cybulski? Właśnie, podstemplowane sufity, cieknąca woda, podstawione miski i wiadra, wiszące na drucie kawałki muru, sypiące się na głowy wapno, okna nie pamiętające już okiennic. Wszystko to jeszcze mam w oczach. Tereny moich dziecięcych zabaw były totalnym gruzowiskiem porosłym wyższymi ode mnie chwastami.

Czy Pan wyobraża sobie jakie tam odbywały się boje? Na

kamienie, cegłówki, kawałki dachówek. Broni było pod dostatkiem. Nawet tej prawdziwej. Mieliśmy parabelkę, jakiegoś zardzewiałego walthera, nie wspominając o bagnetach i maskach przeciwgazowych. Jeden z moich kolegów miał rurę od Panzerfausta. Znajdowaliśmy pociski karabinowe, przerdzewiałe granaty i najprawdziwsze na świecie miny. Jedna z nich rozerwała mojego kolegę, gdy majstrował przy takim żelastwie nad Odrą. Naprawdę nie tak trudno wyobrazić sobie ten krajobraz tuż po wojnie.

S.N.: — *Gdzie osiedlił się Pana ojciec?*

S.L.: — W rejonie, gdzie znajdowało się słynne lotnisko niemieckie, które rosyjskie lotnictwo bombardowało niemal codziennie. Tuż obok miejsca, gdzie dziś znajduje się żeński akademik zwany „tartakiem". Skąd ta nazwa nietrudno się domyśleć. Zajął duże mieszkanie po jakimś profesorze medycyny. W tej kamienicy zamieszkiwali różni oryginalni lwowiacy i wilnianie, zaciągający w bardzo smakowity sposób. Jeszcze mam w uchu te różne: „chaljera Wituś", „psja jucha", „nu i gdzje łazjisz". W tym wczesnym okresie ludzie grupowali się w okolicach swych miejsc pracy. Nie było jeszcze komunikacji, więc decydowały względy praktyczne. W sporym też stopniu chodziło o bezpieczeństwo. Wypadki morderstw i drastycznych grabieży były na porządku dziennym. Szabrownicy zajeżdżali samochodem i zabierali wszystko jak leci. Jeśli im ktoś przeszkadzał, to dostawał w łeb pałką lub kolbą. Czasem nawet kulę. Mój ojciec miał w domu karabin, który woził ze sobą. Służył mu też jako budzik.

S.N.: — *Co, strzelał na dzień dobry?*

S.L.: — Jasne, przyjaźnił się z Edziem Hebdą, który mieszkał po drugiej stronie ulicy. Gdy rano trzeba się było zbierać do drogi, ojciec brał flintę i strzelał w okno przyjaciela. Proste, prawda? Mieszkanie mojego ojca było jakby skrzyżowaniem domu noclegowego i burdelu. Mieszkało tam zawsze przynajmniej kilkunastu osobników, którzy się nieustannie zmieniali. Moja matka opowiadała, że gdy zjawiła się tam pierwszy raz, to ogarnęła ją zgroza. Jakieś nagie kobiety na materacach, zalani w trupa faceci leżący w wannie i na podłodze, walające się butelki, strzępy papieru, puszki po konserwach, zabytkowe meble wysmarowane smalcem, postrzelane żyrandole i obrazy, potłuczone serwisy. Każdy spał gdzie popadło, jadł co było pod ręką, wnosił i wynosił co chciał. Ojca nazywano Maciek Swojak i gościł każdego kto przyszedł. Były tam jakieś młode Niemki, które zupełnie dobrze czuły się w tym bajzlu. Młodzi alkoholicy zwalający na podłogę wieczorem stosy szabru. Czasem to zabierano, czasem zostawało. Jeden

śmietnik. Ciągle ktoś kogoś szukał, wchodził, wychodził. Nikt nie troszczył się o dzień następny. Liczyło się wyłącznie dziś, bo przecież nowej granicy nie uważano za ostateczną.

Ojciec pracował w swojej firmie i woził drzewo po całym województwie. W domu był, gdy naprawiano samochód. Wtedy odbywała się *„papojka à la manière Russe"* jak nazywał to Witkacy. Potem siadało się na jakiegoś Studebakera, Dodge'a lub trójkołową DKW na węgiel drzewny i w kraj. Atmosfera, którą znam z opowiadań matki i ciotki dokładnie odpowiada aurze, którą na pewno Pan pamięta z „Następnego do raju" Hłaski. Ten sam styl, kozacczyzna, ryzyko, życie na *full*. Bardzo duża awaryjność sprzętu, spora wypadkowość, morze bimbru, przypadkowe kobiety. Pamiętam jeszcze, a były to już późniejsze lata jak wyciągano butelkę, by oblać przejazd niebieskiego tramwaju pod domem. Woybrażam sobie, że kilka lat wcześniej było znacznie weselej. W domu był pies imieniem Trocki, który jako skończony alkoholik wskakiwał na stół po libacjach i wychłeptywał resztki z kieliszków. Wolał bimber od kiełbasy. Zdechł z przepicia. Nie wiem skąd wzięła się małpka, którą pamiętam z dzieciństwa. Darła z upodobaniem firanki, tłukła talerze i przeraźliwie wrzeszczała uciekając na karnisze, gdy usiłowano jej wymierzyć karę. Nazywała się Helga i też zginęła tragicznie wypadając z okna.

S.N.: — *Jak znosiła to Pańska matka? W jaki sposób się poznali?*

S.L.: — Po prostu: ulicą przechodziła dziewczyna o wdzięcznym imieniu Nawojka, na którą zagwizdał siedzący na masce samochodu i jedzący nożem z puszki konserwę kierowca. Ona się uśmiechnęła, on zagadał i już po wszystkim. No, może nie po wszystkim *(śmiech)*, bo było jeszcze dwóch rywali w postaci przystojnego andersowca w pięknym *beattle-dress'ie* oraz sekretarza gminnego z podwrocławskiej miejscowości, gdzie mieszkała moja babka. Z pierwszym poszło łatwo, lecz drugi był uparty i zaczaił się z kompanami na mojego ojca pod płotem. Nie było innego wyjścia, więc stary salwował się gdzieś opłotkami, a pierwsze zdania namiętności zostały skreślone na jego plecach twardymi kantami sztachet. Musiał być to bardzo niesławny odwrót, skoro nigdy nie uzyskałem żadnych szczegółów.

Wraz z pojawieniem się mojej matki w domu wszystko powoli się zmieniło. Zniknęły tajemnicze kobiety i kilkudniowi lokatorzy. Pojawiły się meble, sprzęty kuchenne, pierzyny, czystość i porządek. A potem urodził się osobnik, którego ma Pan przed sobą i wszystko zaczęło się toczyć, jak w każdej normalnej rodzinie.

S.N.: — *Jakoś nadspodziewanie dużo udało się z Pana wycisnąć.*

Co z kolei wie Pan o losach rodziny matki? Rodzi się nam tutaj ładny kawałek historii lat ostatnich.

S.L.: — Mimo, iż moja matka była znacznie bardziej rozmowna od ojca, to jednak jakby prawem paradoksu wiem znacznie mniej. Jej pradziad był powstańcem w 1863 roku, co przypłacił zsyłką na Sybir. Powtórzyło się to w losach mojego dziada, który służąc w czasie pierwszej wojny światowej w armii austriackiej dostał się do niewoli i został wywieziony w okolice Omska. Był tam przez parę lat. Pracował w piekarni i z najwyższym szacunkiem wyrażał się o ludziach, którzy byli jego „przełożonymi". Jeszcze po jego śmierci nad łóżkiem wisiała w ramkach ich fotografia. Do dziś leży gdzieś w piwnicy. Po powrocie zajął się, jak jego ojcowie i dziadowie, uprawą roli na nędznym skrawku ziemi. Wiem, że często głodowali i nie najlepiej żyli z ojcem mojej matki, gdyż ten ośmielił się wstąpić po raz drugi w związki małżeńskie po śmierci swej pierwszej żony. Dość powiedzieć, że matka była chowana przez dziadków, gdyż ci obawiali się, że macocha będzie się znęcała nad dziewczynką. Obawy okazały się płonne, ale że dziecko zżyło się z dziadkami, a rodzice cierpieli większą biedę więc więcej przebywało u dziadków. To zresztą było dość typowe na wschodzie, że bogatsza część rodziny brała dziecko na wychowanie. Swojemu dziadkowi mama moja zawdzięczała zapewne skłonność do zadumy i tęsknych pieśni kresowych, gdyż często je razem śpiewali.

Pamiętam ze swego dzieciństwa, że gdy nikogo nie było w domu mama pięknie śpiewała różne dumki ukraińskie. Było w nich jakieś niesłychane rozrzewnienie i tęskność za czymś, czego już nie ma. Parę razy podsłuchiwałem jej śpiew. Przyznam, że wprawiał mnie w jakieś narkotyczno-lunatyczne stany i słuchałem z otwartymi ustami. To były jakieś niezwykłe szczeliny w osobowości mojej matki, której właściwie nigdy nie zgłębiłem. Były dni, kiedy się w niej coś budziło i zdawała się jakby nieobecna. Szczególnie wychodziło to podczas wycieczek w góry czy w lesie. Czuło się, że ona jest gdzieś indziej, że oczy jej przemierzają jakieś inne przestrzenie, a myśli są ogromnie nieobecne. To niepokoiło i fascynowało. Właściwie nigdy nic nie powiedziała na ten temat. Na pozór spokojna i zorganizowana, miała w sobie jakiegoś demona, który ją gdzieś ciągnął na zatratę. Czasami stawała się zdumiewająco twarda i nieustępliwa. Jakby inna osoba.

Moi przyjaciele żartowali czasem, że mam czarne podniebienie jak każdy Ukrainiec. Jeśli jest coś takiego, to dziedziczę to po matce. Dziś trudno mi to odtworzyć, ale pamiętam, że zdarzały się chwile, gdy w tej lirycznej i delikatnej kobiecie wyczuwało się chłodne szaleństwo, które nie liczy się z nikim, ani z niczym.

Wieczną zagadką mojej matki pozostanie jak godziła ten zewnętrzny spokój z żywiołem, który wyczuwało się pod spodem. Dziś myślę, że była niezwykle silną osobowością, która nałożyła na siebie rozliczne powściągi, opasujące ją jak cieniutkie nici przywiązanego do ziemi przez Liliputów Guliwera. Muszę wierzyć jej cichej mądrości, iż wiedziała co robi. Dzięki niej mój dom był zakrzepłym wulkanem, który czasem drgał, lecz nigdy nie wybuchnął z potworną siłą podziemnej erupcji.

S.N.: — *Z jakiego terenu wywodziła się Pana matka?*

S.L.: — Z wioski spod Kamieńca, wciśniętej pomiędzy pozostałości porohów Dniestru. Może to śmieszne co teraz powiem, lecz przyznam się Panu, że kiedy jeszcze jako chłopiec czytałem ukraińskie sekwencje „Ogniem i mieczem" czy „Zamek kaniowski" Goszczyńskiego jakoś nieprawdopodobnie mocno odczuwałem losy kozacczyzny, dzieje Siczy i nastrój tamtego krajobrazu. Nigdy tam nie byłem, poza paroma dniami w tej wioseczce, ale czułem jakąś bliskość tego regionu zanim jeszcze dowiedziałem się, że stamtąd płynie jakaś odrobina mojej krwi. Z żadnej książki nie mogłem nigdy strawić żadnego opisu przyrody. Gdy jednak natrafiałem na pozycje zawierające coś z tamtej atmosfery, połykałem bez żadnego wysiłku. Kiedy znalazłem się w Rylskim Monastyrze i usłyszałem chóry cerkiewne zdało mi się jakby mi ktoś wygrywał na strunach ścięgien i mięśni pierwotny zew gatunku. Myślę, że ten rodzaj atawistycznego, lecz znacznie bardziej silnego głosu wewnętrznego odczuwała moja matka. Być może, że wszystko to jakoś sobie wymyśliłem, lecz właśnie tak czuję. Ostatecznie dziedziczymy ponoć wszystko, po najdrobniejsze drgnienie naszej twarzy i charakterystyczne gesty naszych dziadów, których nie widzieliśmy na oczy. Może pozostało w mojej ucywilizowanej już duszy coś z kresowej gorączki i niepohamowanego ducha kozaków. Być może wyje w niej czasem stepowy wiatr i spada z hukiem czarna woda w Dniestrowe porohy. Być może drzemie w niej ukraińska dzikość.

S.N.: — *W tym, co Pan mówi jest coś niezwykle literackiego. Rozumiem to w ten sposób, że na to nałożony jest filtr właśnie literacki, a w dodatku steruje Pan ku pewnym wrażeniom, emocjom, wręcz konstrukcji. Wbrew pozorom Pan wcale nie „idzie na żywioł" poszatkowanego wspomnienia, lecz nadaje mu pewien rygor.*

S.L.: — Obawiam się, że do Pańskiej uwagi wkradła się naiwność. Każda wypowiedź jest „po coś", każde zdanie ma charakter instrumentalny — chce coś „załatwić". Nawet fraza poezji *pure* ma urzekać swoją oryginalnością i konstrukcyjną unikalnością. Za

każdym słowem zatem stoi określona strategia komunikacyjna. Przecież nie po to fatygował się Pan tutaj, fatygując najwyższe instancje prokuratorskie, byśmy mieli zawieszać sobie nad głowami pajęczynki zdań, które nie są nikomu do niczego potrzebne. Pan chciał się czegoś dowiedzieć, a ja zgadzając się na te rozmowy też chcę coś „załatwić". Wytłumaczyć parę rzeczy tym, którzy nie zrozumieli nic, bo o tym świadczą publikacje prasowe. Wytłumaczyć sobie. Napisać jakby poprzez Pana swoją ostatnią książkę, ulepioną z tej substancji życia, którą tylko ja znam. Sam już nie zdążę. Każdy z nas trzyma się więc jakiejś strategii, które przecinają się jak koła na diagramach Venna.

A swoją drogą literackość pojmuję nieco inaczej. Rozumiem, że Pan nieustannie podejrzewa, iż dokonuję wtórnej racjonalizacji, że nadaję aposteriorycznyład temu, co było żywiołem życia. Cóż, sama werbalizacja, jak pewnie Pan pamięta z zajęć polonistycznych, polega na wyborze i kombinacji elementów. To jest nic innego jak nadawanie porządku chaosowi. Literackość zaś zaczyna się tam, gdzie mamy do czynienia ze świadomą grą pomiędzy tym, co realnie doświadczone, a tym, co jest projekcją wyobraźni, tęsknot, urojeń i niespełnień. W sytuacji jednak, gdy dotyczy to losów osobniczych, które są podmiotowo ewokowane z przeszłości i teraźniejszości, kwestia ta zdaje się nie mieć najmniejszego znaczenia. Przecież Pan wie, że nie ma wiarygodnego „wziernika" w świat ludzkiej duszy i ciała. Gdyby Pan wbił mi w rękę trzonek tej oto łyżki, to o moim bólu przekona Pana nie mój krzyk, lecz wiedza, że Pana by to też bolało. Nie ma przecież pewności, czy ja tego bólu nie symuluję, prawda? Tę pewność daje Panu wyłącznie własne ciało. Pan więc nie ma wyboru. Pan jest skazany na wiarę.

S.N.: — *No, nie do końca. Inna rzecz, że to rzeczywiście dziecinna konieczność potwierdzania „prawdy". Pamiętam jaki wstrząs przeżył mój synek, gdy po lekturze książeczki „O psie, który jeździł pociągiem" powiedziałem mu, że to jest fikcja literacka. Dziecko się po prostu zbuntowało. Ale to bardzo ludzkie uroszczenie. Powróćmy jednak do Pańskiej matki. Pozostawiliśmy ją w głodzie i mizerii w małej wiosce nad Dniestrem.*

S.L.: — Zna Pan może sowiecką „kreskówkę" o Waniuszy, który woził drewno z lasu na piecu?

S.N.: — *Pamiętam, był taki film w moim dzieciństwie. A dlaczego Pan pyta?*

S.L.: — Myślę, że wiem dlaczego piec Wani był aż tak ważny w tej baśni. Matka opowiadała mi wielokrotnie o piecu właśnie, jako o przedmiocie, który organizował jej świat dziecięcy. W domu

były tylko dwie izby. On przechodził przez ścianę i zajmował większą część jednej z nich. Dawał ciepło, na nim gotowało się posiłki, w nim wypiekało się raz w tygodniu chleb, pod nim suszyło się drewno na opał i przemoczone ubrania, na nim wreszcie spały dzieci lub grzali stare kości dziadkowie. Nie było nic ważniejszego w domu nad ten gliniany, niezgrabny piec. Podejrzewam, że cała — nazwę to zabawnie — kosmogonia wschodniego, wiejskiego domu biedniaków oparta jest na piecu. Jest nawet takie powiedzenie: „zacznijmy od pieca". Sądzę, że ono oderwało się od swego pierwotnego znaczenia. Chodziło zapewne o to, by zacząć właśnie od początku. Jest światło, jedzenie, wypoczynek, dzieciństwo, sen. A zatem dom. O tym wszystkim jednak stanowił piec.

Inny problem to praca. Dzieci również ciężko pracowały. Po szkole moja mama biegła kłusem do rodziców pochylonych z sierpami nad zbożem i wiązała snopki, ustawiała mendle, bądź — jesienią — zbierała ziemniaki. Wiem, że zdarzało się jej mdleć w polu. Cóż więcej mam powiedzieć? Czarna rzeczywistość. Nic więcej.

S.N.: — *Czy Pana matka chodziła do szkoły ukraińskiej?*

S.L.: — Nie, do polskiej. Rodzice jej byli Polakami i czuli się Polakami. Cóż inaczej pradziad miałby robić w powstaniu styczniowym? Pana pewnie zwodzi to imię — Nawojka. Poza tym my dzisiaj jesteśmy tak uczuleni na odrębności narodowe. Wtedy to było bardziej naturalne. Żyło się w mieszaninie i właśnie ona była normalna.

S.N.: — *A czy do tej szkoły chodziły również dzieci żydowskie?*

S.L.: — Oczywiście. Moja matka przyjaźniła się nawet z jakąś Fanią. Muszę jednak Panu powiedzieć, że po wkroczeniu Niemców na te tereny ani jedna noga żydowska nie uszła z pogromu. Przepraszam, ocalała jedna dziewczyna, którą dobrzy ludzie uchowali. Ale za to wykończyli ją Rosjanie. Jako plutokratkę. Co oczywiście nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Niemcy rozstrzeliwali Żydów „jak leci" pod murem cmentarza: mężczyzn, kobiety, dzieci. Załatwiali się z problemem w ciągu jednego popołudnia. Była w tej szkole mała, genialna matematyczka. Nazywała się Pola. Mnożyła w pamięci w niesamowitym tempie kilkucyfrowe liczby, dzieliła z szeregiem dziesiętnym. Opowiadała, że „widzi" to w głowie nie w postaci cyfr, lecz obrazów. Czytałem w jakiejś książce, że mają to tylko najwybitniejsi matematycy. Niemiec, który do niej strzelił trafił ją w brzuch i nie zabił. Podniósł więc tę małą za włosy i strzelił drugi raz przytykając lufę do główki. Wracał potem cały obryzgany krwią i przeklinał. Ten cmentarz był niedaleko domu moich dziadków. Wszystko było widać z ogrodu.

S.N.: — *Jak przeszła Pańska rodzina przez lata okupacyjne?*

S.L.: — Dziadek zginął zastrzelony przez jakiegoś komisarza wycofujących się wojsk rosyjskich. Nie wiem dokładnie jak to było. Jakoś nawinął mu się pod rękę, coś od niego chciał, coś krzyczał do niego, ale o co mu chodziło nikt nie wie. Więc ten po prostu strzelił i zabił na miejscu. Jakaś dziwna historia. W tej sytuacji moją babkę... *(milknie).*

S.N.: — *Co z tą babką?*

S.L.: — A nic. Kobiety szczęśliwie przetrwały cały ten okres, choć nędza była taka, że aż skrzypiało. Przyszli sowieci i zaraz zagarnęli moją babkę na ciężarówkę. Wróciła po czterech dniach. Jakimś cudem się wykupiła. To była bardzo obrotna i urodziwa kobieta. Po prostu miała szczęście. Szczegółów nie znam, ale nie tak trudno się domyśleć czym zapłaciła.

Teraz jednak zaczyna się dla mnie kwestia dość kłopotliwa, lecz nie widzę powodu, by skrywać ją pod korcem. Dowiedziałem się o tym, gdy byłem już dorosłym człowiekiem. Szczegółów mi jednak poskąpiono. Sztukę ukrywania trudnych spraw moja rodzina miała opanowaną do perfekcji. Mur milczenia. Wyszło to jakoś przypadkiem. Po prostu mój ojciec w chwili najwyższej pasji krzyknął do matki: „Ty banderówko". Myślałem, że to taki specyficzny ozdobnik inwektywy. Potem okazało się jednak, że coś było na rzeczy. Zanim moja matka przyjechała na ziemie zachodnie chodziła z jakąś bandą „Ognia". Ale nie tego słynnego, podhalańskiego. Tych „Ogniów" było kilku. Była to grupa nacjonalistów ukraińskich, którzy zagarnęli moją mamę podczas noclegu, który im wypadł w tej wsi. Nie wiem, czy wpadła w oko dowódcy grupy, czy potrzebowali sanitariuszki, czy coś innego się zdarzyło. Może grozili zarżnięciem i spaleniem chałupy? Nie wiem. Dość, że przez dłuższy czas chodziła z tą grupą i co się napatrzyła to jej. Była to jakaś silna i głośna banda, którą rozbito już po zakończeniu wojny. Faktów Panu nie podam, bo w żadnych źródłach tej grupy nie odnalazłem. Nie jestem nawet pewien czy ten dowódca na pewno nazywał się „Ogień". W końcu jakoś udało się jej uciec i wróciła skrajnie wyczerpana i wygłodzona. Zaraz potem z matką wyjechały stamtąd pierwszym transportem repatriacyjnym. Być może się bały, że ktoś ich będzie szukał? Wcześniej przez jakiś czas ukrywały się u jakichś krewnych w okolicy. O tym okresie w bandzie matka nie opowiadała nigdy. Nikomu zresztą. Pamiętam tylko jak kie-

dyś oglądaliśmy razem „Ogniomistrza Kalenia". Była tam taka okropna scena, gdy schwytanych żołnierzy banderowcy trzymają gołych na mrozie i polewają wodą z wiader, a potem nocą, przy pochodniach obcinają im głowy siekierą na pieńku. Matka mruknęła wtedy: „Bywało i gorzej".

S.N.: — *Potem przyjechały wprost do Wrocławia?*

S.L.: — Najpierw mieszkały gdzieś w okolicy, lecz później przeniosły się do miasta. Tam matka poznała ojca i dożywotnio osiadła na garnkach, przemieniając się w najcichszą i najbardziej uległą na świecie żonę. W dniu ślubu obcięła swoje piękne i grube warkocze do pasa, porzucając na zawsze tajemniczą Nawojkę z naganem zatkniętym pod baranicą, ściągniętą silnie paskiem. Zmieniła również imię. Pewnie za strachu.

S.N.: — *I tu znów mamy literaturę.*

S.L.: — Bo ten nagan? *(śmiech)* Widzi Pan, był kiedyś taki dzień, gdy moi rodzice poszli wraz ze mną na wesołe miasteczko, przytykające wielkim łukiem do Hali Ludowej, która wówczas stanowiła jeszcze część słynnych terenów wystawowych z okresu Zjazdu Intelektualistów we Wrocławiu. To było piękne miejsce w tamtych latach. Stał tam najprawdziwszy odrzutowiec, była wieża, z której zjeżdżało się w płóciennym „rękawie" i sporo innych wspaniałości dla dzieci. Wesołe miasteczko było jedną z wielu atrakcji. I funkcjonowała tam również znakomita strzelnica, gdzie można było stracić moc pieniędzy, bo broń miała specjalnie zwichrowane celowniki, by firma nie splajtowała. Wtedy właśnie, po mojej nieudanej kanonadzie ojciec zaproponował strzelanie matce. Proszę Pana, po dwóch próbnych strzałach pozwalała wszystkie butelki na sznurkach, piramidki z tulejek, postrącała wszystkie kwiaty z bibułki i zdjęcia porozbieranych panienek. Nawet jakąś butelkę wina ustrzeliła, a wtedy był to kawał pieniądza. Była kupa śmiechu, bo zleciało się mnóstwo ludzi i dopingowało, podczas gdy właściciel budy chciał ją zamknąć pod jakimś pretekstem, widząc, że zanosi się na bankructwo. Nie pozwolili mu i zabawa trwała do ostatniego kwiatka. Wracaliśmy obładowani tym kolorowym łupem, a moja matka była najważniejsza na świecie. Szliśmy przez ogromny i zapuszczony jeszcze wówczas Park Szczytnicki, rodzice śmiali się i całowali, a mnie na ziemię spadały ciągle papierowe kwiaty. Mama miała zrobiony z nich ogromny wianek. To był jeden z najpiękniejszych dni mojego dzieciństwa. Ojciec wtedy mówił do matki: „dziewczyna prowidnyka".

Zamykając tę dygresję chcę powiedzieć, że kobieta, która nie miała nigdy broni w ręku nie byłaby w stanie urządzić takiej

kanonady. Obsługujący zmieniał jej wiatrówki, a ona na chłodno, bez jednego chybienia, z wolnej ręki strącała to kolorowe kwiecie. Stąd też pewnie przyszedł mi do głowy ten nagan za paskiem. To był chyba ostatni łabędzi śpiew Nawojki z Koroliwki. Potem już była tylko kuchnia, garnki, kompoty, miednice i pieluszki mojego młodszego rodzeństwa. Miło jednak było spoglądać na tę urobioną po łokcie, dobrą i pracowitą kobietę, wiedząc, że ukrywa starannie ukraińskiego diabła z okiem płonącym od jakichś tajemniczych zajść, rzezi i masakr. Jest coś podniecającego w świadomości, że ludzie i rzeczywistość posiadają coś „pod spodem". Coś, co niepokoi i urzeka zarazem.

Stanisław NOWICKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222
GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Wiersze

Ivar IVASK

ELEGIE BAŁTYCKIE

Czesławowi Miłoszowi

Ziarno i inne produkty ziemi uprawiają oni (Aesti) wytrwale... i są jedynymi ludźmi, którzy zbierają bursztyn na mieliznach i na samym brzegu.

Tacitus

ELEGIA PIERWSZA

Bałtyckie błyskawice, syberyjskie wichry,
niskie chmury podejrzeń wzajemnych.
Zanieczyszczenie, promieniotwórcze skażenie.
Ciągle jeszcze, jak mówią, na dopuszczalnym poziomie.
Krowy są mądrzejsze, nie liżą kory brzóz,
nie tykają bujnej świętojańskiej trawy.
Eksplozje, pożary, śmiercionośne strefy.
Pieśń ludowa tego nie odgadła, folklor
nie przygotował nas. Wiejskie kołysanki,
Listki chłopskich biblii, lecą zatrute na wietrze.
Duchy wodne błogosławią jeszcze raz i giną
W mrocznych basenach miejskiego zabobonu.
Po tak dużej wiedzy, jakaż ignorancja!
Po takiej obfitości, jakiż niedostatek!
Po takich widokach, jakież rozczarowanie!
I kołowrotek kręcąc się urasta
w ciało niebieskie, wrzeciono w rakietę,
żeby dźwignąć ten wiek aż wpadnie w czarne nic:

gdzie ni czasu, ni dźwięku, ni fanfar pokoju,
gdzie kończy się rozumienie...
Z wyjątkiem, rzecz jasna, malin na torfowiskach
i może gdzie niegdzie ocalałej brusznicy
jednej, ostatniej na wiek wieków.

ELEGIA DRUGA

Rzeczny łosoś w żarach zachodu. Sprężona kaligrafia
węgorzy z wysp. Odłamki bursztynu
usiały plaże, nie kruche muszle
od których tęczuje przypływ: kryształowe plastry,
słoneczna żywica, zastygłe millenia,
płatki owadów, ich trzepot w miodowej ciszy.
A Historia? Historia włada na lądzie,
tuczy się warstwami bitew, wygranych i przegranych,
latami zarazy pustoszącej domy i pola,
aż wilki wychodzą z zamarzniętego lasu
i idą do samych drzwi śmierci, w bezludne ulice,
pod nieme dzwony. Niekiedy pokój urasta
niby pole pszenicy wybielonej na białe złoto,
kiedy z ran wojny zostają tu i ówdzie czerwone maki;
i znów jest miejsce na ciche rozmowy
słońca z księżycem. Teraz już tylko
urodzić się na nowo w tym samym ładzie
błyskającego łososia, drzazg bursztynu
i inicjałów nocnych węgorzy.

ELEGIA TRZECIA

Dziwnie jest stąd pochodzić. Prawie bez nazwy brzegi
w turystycznej Europie. Ale Bałtyka
jest drugą stroną księżyca, zawsze ciemną.
Wiadomo o niej tylko, że tam najazdy, zabory
bez przerwy, bez wytchnienia, i już od wieków.
Każdy łatwo wymieni północne kraje
od Islandii po Finlandię, tylko gdzie
te kraje bałtyckie? I jaki ich język?
Jeżeli nie rosyjski, to na pewno jeden
z wielu podobnych do niemieckiego?
Kto by tam zgadł, bo jak rozwikłać pasmo
indoeuropejskich i ugrofińskich wątków,
przenosić Wieżę Babel gdzieś nad Bałtyk?
Kto by miał czas na tak podrzędne mity?

Trwamy, podglebie. Inną metaforą
lubianą, będzie trawa (zdeptana, odrasta)
albo wapienne skały, które wyjada wicher
a stoją przez millenia, nieporuszone.
Dziwnie jest pochodzić z ciemnej strony księżyca,
choć mieszkamy podobno na jednej planecie.
W Europie też bywają kraje Trzeciego Świata
o których się nie pamięta, anonimowe brzegi
dla oznaczenia ich x czy znakiem zapytania.
Ale wystarczy skłonić ucha ku bałtyckiej stronie
żeby słyszeć tam ul, jak śpiewa pieśń żałobną
i odgadnąć pod wodą komnatę z bursztynu
Ulepioną z kwietnych pyłów nieszczęścia.

ELEGIA CZWARTA

Białe, spokojne, obmywane pianami plaże,
rytualne spirale pisane na piasku,
otwarte na wlokące się kontynenty chmur:
kiedy zstępuje miłość, zapala się o zachodzie
krąg słońca i gołębica wzbija się
ku gwieździe wieczornej, siostrze kamienia,
kamyka, jak ten tutaj, pod twoją stopą.
Między kamykami i Gwiazdą Polarną
biegają ognie północnej zorzy,
w jej mroźnym świetle widzisz ukochaną twarz.
Cały rok, w grudniu czy w noc świętojańską
na twoim sercu kładą się te same fale;
odlatują i przylatują, niezmiennie, dzikie łabędzie;
pamięć dary układa w kobiałce z brzozowej kory
wyścielanej gorzką utratą.
Wieki temu twoja matka umarła.
Odtąd plecami podpierasz chylące się niebo
i na zaciemnionym czole niesiesz noc.
Odtąd twoje ojcostwo dla wieczornej rosy
topniejącej o świcie i dla drozda w oknie
Rytualne spirale wpisujesz do wierszy
i powierzasz ze słowami czterem wiatrom.

ELEGIA PIĄTA

Kto przejedzie, kto przetrwa ten nawalny sztorm?
Już stare dęby rozdarte aż do rdzenia,
chwiejne jałowce zgięte w obręcze dla wiatru.

Plewy dawno wywiało z tych krajów,
kolej teraz na hartowane ziarno,
które sieją między głazami i diuną
jakby na lotnych piaskach rodziła pszenica.
Las dał twoim braciom schronienie.
Twoje siostry ukryły się za wełną morza.
Ty sam kołyszesz się z wyspą-ostoją
i niespokojnie śledzisz tamten brzeg:
całe skały uniosło i puściło luzem,
mnożą się archipelagi, rosną mierzeje
a nigdy morze nie odsłoni Ziemi Obiecanej.
Kiedy tak wszystko rozbite stracone,
sztorm nie może odmówić ostatniego daru:
odrywa i przynosi słońca bursztynu
na wichrami smagane plaże,
talizmany letniej ciszy,
żebyś poczuł ciepło w dłoni
kiedy idziesz po świecie
nim na wietrze odnajdziesz swój dom.

ELEGIA SZÓSTA

Gwar niezliczonych głosów z tamtej strony morza,
pieśni setek tysięcy, myriad, zebrane,
niezebrane, zapomniane, odkryte na nowo,
pokolenia śpiewające pokoleniom,
przekazujące hasło, same przemijające.
Uścisk ręki, pozdrowienie, wymiana prezentów —
dziane mitenki, wielobarwne pasy —
i znów do orki, do spotykania pór roku
zagadkami, legendami, baśniami, zawsze w śpiewie.
Tak dużo potu wsiąkło w tamte pola
i wzeszło zbożem ale też wzbiło się
rytmicznym zaśpiewem ludzkich gardeł
wbrew poddaństwu, wbrew ciążeniu, lotem skowronka.
A grali też na skrzypkach i tańczyli.
Ich życie było misterną tkaniną
od kołyski do grobu. Nie potrzebują
naszego współczucia, bo umieli trwać
i przetrwali, na pewno. Pieśń
jest ich świadectwem. Mogliby raczej
litować się nad nami, nad naszym pokoleniem,
którego życie nie ma wyraźnego ściegu
a pieśń potrzebuje specjalnych okazji.
My nie umiemy tańcem odganiać trosk,

nasze elegie śpiewają głównie o przetrwaniu.
Ale tamci żyli za bogato żeby dać nam umrzeć.

ELEGIA SIÓDMA

Żeńska obecność kształtuje łotewski krajobraz,
włada nim za sprawą mojej matki,
której grudniowym dzieckiem jestem, i mojej niani,
która zajęła jej miejsce kiedy umarła w zimie;
i mojej żony, która pomogła wynaleźć
trwającą całe życie geografię dwojga dusz. Ilse Marija,
Natalia, Astrid Helena, niby imiona wysp
między kontynentami, łączących różne światy.
I łączą. Nie można żyć bez nich.
Dzięki nim miękki prąd inwencji
płynie w sny barwne, w rysunki,
które z kolei wciągają w wiry poezji,
gdzie kontur brzegów w zieleni przetkanej bzem i malwą,
gdzie drobne ornamenty powszednich łask
towarzyszą naszym krętym dniom. Zawdzięczam im
to ciało jako dom, kiedy wykreślam
tory i ruch konstelacji, wskazujące
na północ, ku mojej ojcowiźnie.
Ale na południe stamtąd czeka mnie kojące wybaczenie.

ELEGIA ÓSMA

Nieskończone odcienie błękitu i w jednym z nich
moje estońskie dzieciństwo, oczy mego ojca,
pachnący ul oszklonej werandy,
gdzie pierwszy raz ujrzałem kształt słonecznych okien
i skąd wziąłem mój język, ugrofiński, nie indoeuropejski,
cudo muzyki i niewiarygodnej zwięzłości.
Te same harmonie samogłosek później mnie prowadziły
w labirynt fińskich jezior, których lustro
odbija podobne konstelacje duszy, gdzie ziemia i niebo
łączą się w przezroczystą jasność, łosoś skacze
przez twoje serce na wskroś, gdzie zaraz już wiesz
kiedy kończy się świat i jak i dlaczego.
Bryłka lodu mówi o tym, a też wygładzone szkło,
ale tylko samotnie, na Karelskim półwyspie,
w noc sierpniową dotkniesz Wielkiej Niedźwiedzicy
nad tobą czy pod tobą i sięgniesz ostatniej
wiedzy wszechświata w pulsowaniu krwi. Ten jest język

moich wierszy, s e e o n m u l u u l e k e e l,
w którym zima jest naprawdę zimą,
a wiosna, lato, jesień osaczają mnie.
Po drodze nauczyłem się innych języków.
Tylko w estońskim liczę rosnące co roku słoje.

ELEGIA DZIEWIĄTA

Poeto z cudowną pamięcią, mistrzu litewskiego języka,
ironiczny wynalazco ruchów metafory:
biłeś się z demonami o imionach wziętych z łaciny,
rymem odpowiadając na rym, ale równie łatwo
umiałeś schronić się w sadzie twego ojca,
słuchać jak tupoczą szklane stopy deszczu
i w wiosennym powiewie zgadywać sekret kwiatów,
którym jest biel, biel, biel — b a l t a, b a l t a, b a l t a!
Od lalala pasterza aż do epicentrum
epigramatu sięgałeś pewną ręką.
W ciągu sześćdziesięciu lat cztery książki
powołałeś do życia: Źródło, Strzała w niebie,
Pieśń zimowa, Błyskawice i wiatry.
Nie obejmują one jednak
barw tęczowych twego umysłu.
Spierając się, zawsze miałeś cytatę pod ręką,
stosowny poemat, rozdział, wers.
Nikogo innego nie znam, kto by umiał
recytować w tylu językach, tylu klasyków:
francuskich, niemieckich, polskich, rosyjskich.
Valéry i Rilke, Tuwim, Pasternak,
i niezrównany Kristijonas Donelajtis
w twoim litewskim składający heksametry.
Igraliśmy też, Henrikas, twoim imieniem
zmieniając je w Henry, Henri, Heinrich, Enrico,
ale Radauskas zawsze dźwięczy po królewsku.

ELEGIA DZIESIĄTA

Zwiń ostrożnie te płynne pejzaże
żeby kolory zachowały pyłek kwietny;
zostaw im dość przestrzeni, niech unoszą się w niej,
[oddychają,
aż po wiekach znajdzie w nich pociechę
ktoś, kto pochyli się czytając ich kontury
i prowadząc wzrokiem wzdłuż trzech rzek:

Daugava, Nemunas, Emajogi,
wzdłuż trzech nurtów opiekuńczych, które każdy kraj
przecinają i znaczą jak linia życia na dłoni
każdej z trzech matek. Dnie nastaną
kiedy niebo rozkwitnie jak pole stokroci
a te rzeki na pewno będą, i też będą
kiedy uderzy zamarzniętą pięścią.
Profile wysp chyba się nie zmienią.
Skróci się zapewne pas bursztynu.
Ale zachowają się Bałtowie
przywarci do Bałtyku a ich sztuka
będzie rosła spiralą w nieskończoność
żeby ich prowadzić nad Bałtyk z powrotem.

Ivar IVASK

(Z angielskiego tłumaczył Czesław MIŁOSZ)

NOTA BIOGRAFICZNA

Ivar IVASK, poeta estoński, zamieszkały od dawna w Ameryce, jest profesorem University of Oklahoma i redaktorem pisma „World Literature Today". Pisze i publikuje w języku estońskim. „Elegie bałtyckie" zostały napisane w języku angielskim.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

KRZYSZTOF REAGAN CZY RONALD SKRZETUSKI?

Po powrocie z jednej ze swych podróży na Pacyfik, L.W. opowiedział mi o przygodzie w Australii. W mieście, które zwiedzał, znalazł się na ulicy, gdzie po obu stronach były sklepy z konfekcją należące, tak wynikało z szyldów, wyłącznie do Żydów: Kaufman, Goldenberg, Rosenberg itd. Aż nagle, i to w dobrym miejscu, znalazł się przed sklepem, gdzie szyld głosił ogromnymi literami: „Konfekcja męska — Krzysztof Skrzetuski". Zdziwiony, L.W. wszedł do środka i zapytał p. Skrzetuskiego:

— Jak pan tu może funkcjonować, przecież „oni" mogliby pana łatwo zlikwidować?

— Jest dokładnie wprost przeciwnie, odparł p. Skrzetuski, to oni mnie ten sklep kupili i pomagają prowadzić.

— Dlaczego? — zdziwił się L.W.

— Proste — odpowiedział p. Skrzetuski. Im to na rękę: kiedy bowiem ktoś powiada, że cała konfekcja jest w ręku Żydów, pada odpowiedź: a Skrzetuski?

Nie wiem, czy Gorbaczow zna L.W. i jego dowcipy, ale wpadł na ten sam pomysł. Zafundował sobie takiego swojego „Skrzetuskiego". Nazywa się Ronald Reagan. Kosztował drogo. Ale się opłaciło.

W chwili kiedy ten numer dojdzie do rąk czytelnika, prawdziwy wynik 4-tego w ciągu 2 i pół roku szczytu Reagan - Gorbaczow będzie już znany i opisany. W chwili jednak kiedy piszę te słowa, tylko dwa spostrzeżenia utkwiły w mojej pamięci po kilkudniowym festiwalu amerykańskim w Moskwie.

Pierwsze to miłość Reagana do przysłów rosyjskich i fatalny akcent, z jakim prezydent, z uporem godnym lepszej sprawy, je wypowiadał przy każdej okazji, dobrej i złej.

Drugie, to jego bardzo udana wyprawa moskiewska na rzecz

praw człowieka. Reagan postanowił mianowicie wytłumaczyć ludziom sowieckim, jak Amerykanie pojmują prawa człowieka, co znaczą w demokratycznym świecie wolność słowa i wolność wyborów, wolny rynek i wolna inicjatywa, niezależna prasa i niezależne sądy. Reagan nie wahał się ostrzec swoich słuchaczy na uniwersytecie, że reformy bez instytucjonalnych gwarancji są nietrwałe, nie zapomniał, mówiąc do pisarzy i dziennikarzy sowieckich, wyrazić przekonania, że Sołżenicyn będzie wydany w ZSSR, a Rostropowicz i Barysznikow wystąpią znowu na sowieckich estradach.

Starsi ludzie pamiętają wizyty Nixona w 1972 i 1974 roku w Moskwie. Nie ma, naturalnie, żadnego porównania. Nixon widział tylko Breżniewa i lokatorów Kremla. Reagan przyjął m.in. 80 dysydentów i *otkazników*. Reagan, i słusznie, odrzucił tezę, że takie postępowanie stanowi ingerencję w wewnętrzne sprawy ZSSR. W ten sposób, raz na zawsze, mam nadzieję — i za to trzeba mu być wdzięcznym — przekonał następnych gości w Moskwie i w innych stolicach komunistycznych, że dziś na wschód od Łaby można sobie pozwolić na bardzo wiele rzeczy. Jasne, to Moskwa się przede wszystkim zmieniła. Ale tym bardziej warto podkreślić, że poprawne zachowanie zachodnich polityków na wschodzie jest dziś wyłącznie kwestią godności, a nie odwagi.

Trudno naturalnie stwierdzić, w jakim stopniu słowa Reagana dotarły, a tym mniej przekonały, jego starannie dobieranych sowieckich słuchaczy. Ale niezależnie od skutku reaganowskich kazań, jego krucjata o prawa człowieka, to prawdziwy i na razie jedyny sukces pierwszej, i ostatniej w charakterze prezydenta USA, wizyty Reagana w Moskwie. To prawdopodobnie także jedyny ślad, jaki ta wizyta pozostawi w historii. Ślad pozytywny, znaczy się. Negatywnych będzie więcej.

Pieśń i dusza

Naturalnie, takie zachowanie się Reagana wywołało niezadowolenie gospodarzy. Gorbaczow powiedział, że nie lubi jak ktoś mu udziela lekcji i to u niego w domu, i że Reagan niczego nie rozumie z sytuacji w ZSSR. Pewien czołowy komentator sowiecki zauważył dowcipnie, że postępowanie Reagana, to tak jak by Gorbaczow spotkał się w czasie pobytu w Waszyngtonie z Indianami lub bezdomnymi Murzynami (przecież mógł, ale nie chciał).

Równocześnie zaczęli syczeć niektórzy zachodni tzw. obserwatorzy. Jeden zaobserwował, że tak nie wypada, bo to obraża gospodarzy; inny, że to niemądre, bo odwraca uwagę od poważniejszych spraw, rozbrojenia, że ucierpią rokowania w sprawie rakiet strategicznych itd.

Niepotrzebnie się martwią. Po pierwsze, większość 280 milionów sowieckich obywateli nie mogła słuchać Reagana i nie uległa zakażeniu amerykańskim Czarnobylem. Już się o to postarała skuteczna, jak wiadomo, sowiecka cenzura i „środki ostrożności"

podjęte przy selekcji uczestników spotkań z prezydentem USA. Ale, po drugie, Gorbaczow tak naprawdę nie był wcale obrażony. Jego protesty nigdy nie wyszły poza minimum tego, co sowiecki przywódca musiał powiedzieć na użytek swoich własnych obywateli, którzy, gdyby Kreml nie zareagował, mogliby wziąć słowa Reagana na poważnie. W istocie rzeczy bowiem względna swoboda krucjaty Reagana była, jak się okazało i jak to Kreml zapewne przewidział, Gorbaczowowi na rękę. Była to mianowicie cena, jaką Gorbaczow zapłacił za całość wystąpienia prezydenta USA i za jego wypowiedzi na inne niż prawa człowieka tematy.

To był dobry interes.

Dokładnie nie wiadomo, kto właściwie „briefował" Reagana przed jego podróżą do Moskwy. Wiadomo już z przecieków prasowych, że szukał natchnienia nawet u astrologów. Ale głównym źródłem wiedzy Reagana o Rosji i ZSSR, o „pięknie pieśni rosyjskiej", „głębi duszy rosyjskiej" i wielu innych podobnych westchnień była pani Suzanna Massie, rusycystka z Harvardu, która, jak precyzuje prasa, „nie lubi komunizmu, ale ma ogromną sympatię dla narodu rosyjskiego". Wynik nie był zaskakujący. Jak się w Moskwie okazało, wiedza Reagana o Rosji sprowadzała się do przekonania, że Rosja jest u progu odrodzenia religijnego i do znajomości serii rosyjskich przysłów, czerpanych głównie z Kryłowa, co jest dobrym źródłem tzw. mądrości ludowej, ale może się okazać, i się okazało, nie zawsze wystarczającym źródłem wiedzy dla prezydenta USA z wizytą w ZSSR.

Dwa przysłowia czy powiedzonka były najczęściej używane przez Reagana. Pierwsze brzmiało: *„ufaj, ale sprawdzaj"*, i okazało się argumentem wystarczającym dla odparcia ofensywy sowieckiej, zmierzającej do skłonienia odchodzącego w kalifornijską dal prezydenta USA do szybkiego i ryzykownego podpisania układu o rakietach strategicznych.

Drugie głosiło: *„lepiej raz zobaczyć, niż 100 razy usłyszeć"* i okazało się niewystarczające dla uchronienia Reagana od wypowiedzenia kilku szkodliwych głupstw, które pozostaną na długo w arsenale propagandy sowieckiej. Teraz, gdy tylko ktoś powie coś złego o ZSSR, Gorbaczow, jak Goldenberg w Australii, wykrzyknie z oburzeniem: „A Reagan?!".

Albowiem Reagan, przygotowany przez panią Massie i jej przysłowia, „zobaczył raz", ale nie zrozumiał ani razu: zaufał, ale nie sprawdził. Wyszły z tego ważne, ale szkodliwe odkrycia. Oto kilka próbek:

Co Reagan zobaczył...?

a) Reagan rozgrzeszył kierownictwo partii i państwa sowieckiego z odpowiedzialności za samowolę i zbrodnie. Według Reagana, odpowiedzialna za wszystko jest nie władza ZSSR, a biurokracja sowiecka. *„My to znamy, każdy rząd ma problemy z biurokracją* — odpowiedział Reagan studentowi, który go pytał o źródła jego zainteresowania losem dysydentów i *otkazników* —

winna jest biurokracja. Trzeba nią co jakiś czas wstrząsnąć, powiedzieć 'stop', tak postępować nie można". Po to właśnie, aby Gorbaczow mógł „wstrząsnąć" swoją biurokracją, Reagan przywiózł, jak powiedział, z sobą do Moskwy i wręczył sekretarzowi generalnemu partii listę ludzi, których los leży mu na sercu. Dziennikarze amerykańscy dwa razy dali Reaganowi okazję do naprawienia tej gafy, ale on, mądry w przysłowia, odmówił i trwał przy swoim.

b) Reagan uprawiał, najzwyczajniej mówiąc, nie wiadomo zupełnie po co, propagandę *pieriestrojki.* Nie tylko mówił o Gorbaczowie, zapewne z ogromną przesadą, *„mój przyjaciel"*, chwalił jego „nowy realizm", przekonywał słuchaczy, że „mają szczęście żyć w najciekawszym okresie historii ZSSR", ale wprost, nie proszony, zapewniał studentów, że *„'pieriestrojka' pozwala z nadzieją patrzeć w przyszłość".* Ktoś zauważył, że przez 4 dni Reagan zrobił więcej dla reklamy Gorbaczowa, niż przez 4 lata dla wiceprezydenta Busha.

c) Reagan obwieścił koniec zimnej wojny. *„Bardzo możliwe* — powiedział w Londynie — *że znajdujemy się w fazie obalania powojennych barier, że, być może, wkraczamy w nową erę historii* (przez duże H w oryginale), *w okres trwałych zmian w ZSSR".* Rokowania START, dodał Reagan *à propos* rakiet strategicznych, są już *„w zasięgu naszych ramion".* W związku z tym, powiedział Reagan w Londynie, *„powinniśmy uczynić wszystko, aby pomóc w przemianach w ZSSR. To zakłada, że należy publicznie uznać pozytywne przemiany. I przyznać zasługi"* tym, którzy na to zasługują.

d) Reagan ogłosił, że jego sformułowanie *„imperium zła"* należy już do przeszłości. Przypomnijmy, że padły te słowa 8 marca 1983 roku, w przemówieniu wygłoszonym do Amerykańskiej Konferencji Ewangelikańskiej, i że była tam także jeszcze mowa o *„ognisku zła".* W Moskwie okazało się, że to slogany i że są już nieaktualne, że kiedy Reagan użył tych sformułowań, to „były inne czasy, inna era". Aby uniknąć wszelkich nieporozumień, rzecznik Reagana dodał, że te inne czasy określają zamierzchłą epokę sprzed objęcia władzy przez Gorbaczowa i pojawienia się *pieriestrojki* i *głasnosti.* Gdyby ktoś miał mimo wszystko jeszcze jakieś wątpliwości, to rzecznik natychmiast zacytuje słowa Reagana wygłoszone na chwilę przed odjazdem, w sali Świętego Jerzego na Kremlu, zawierające subtelną aluzję do „smoków", które on i Gorbaczow razem, ręka w rękę, wspólnym wysiłkiem, ukatrupią w walce „przeciw zagrożeniu pokoju i wolności".

... i czego nie zrozumiał?

W tym miejscu trzeba powiedzieć: powoli. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych nie ma prawa rozgrzeszania Związku Sowieckiego i jego przywódców. To nie jego rola. Tym bardziej, że nie ma ku temu żadnych poważnych danych. Ronald Reagan jest u końca swego drugiego i ostatniego mandatu, rozumiem, że stara

się szybko znaleźć sposób na zapewnienie sobie trwałego miejsca w historii. Reagan wiadomo, nieuleczalny sentymentalista. Poszukuje, a on się na tym zna, politycznego *happy-end'u* i gorącego pocałunku, kończącego kiedyś jego filmy. Ale życie, to nie kino. Spróbujmy to udowodnić.

1. Parawan

Pieriestrojka, która, według Reagana, pozwala nam patrzeć z nadzieją w przyszłość, nie ma na celu osłabienia Związku Sowieckiego, ale jego wzmocnienie; jej celem nie jest demontaż partii komunistycznej i zaprowadzenie w ZSSR demokracji parlamentarnej, a umocnienie władzy partii i jej kontroli nad krajem i społeczeństwem. Czyżby lekcje historii były zawsze daremne? Czy Reagan nie pamięta Nixona i jego euforii z początku lat 70-tych? Czy niczego go nie nauczył też przecież namiętny pocałunek Cartera i Breżniewa we Wiedniu? Czy nie pamięta, jak ówczesna *détente* służyła za parawan, za którym kryły się Angola i Etiopia, Afganistan i SS-20?

Chodzi także o aspekt psychologiczny, całkowicie zlekceważony przez Reagana: opad w Europie zachodniej. Mimo zastrzeżeń formułowanych przez Reagana („bądźmy czujni i silni"), jego wypowiedzi w Moskwie przyczyniły się naturalnie do dalszego osłabienia poczucia zagrożenia sowieckiego. Zagrożenia tego nie trzeba demonizować, nie trzeba nas straszyć bolszewikiem z nożem w zębach. Ale warto się zastanowić nad np. sytuacją NATO: po oszołomieniu i zamieszaniu po szczycie w Reykjaviku, po nieporozumieniach wywołanych podpisaniem na szczycie w Waszyngtonie układu o euro-rakietach, sojusz zachodni i tak nie był już w stanie niczego wymyśleć w odpowiedzi na ofensywę Gorbaczowa. Reagan powinien się zastanowić nad wynikami badania opinii publicznej w RFN: 70 % ocenia tam pozytywnie politykę ZSSR (6 miesięcy temu — 47 %), ale tylko 60 % ma pozytywne zdanie o USA. W swej książce *„Pieriestrojka"* Gorbaczow nie ukrywał o co mu chodzi i zapowiedział dowcipnie: *„My pozbawimy zachód wroga".* No i jest na dobrej drodze. Przy pomocy Reagana.

2. Restrukturowany dyktator

Ja rozumiem, że Reagan się wzruszył, kiedy znalazł się z Nancy, Miszką i Raisą na Placu Czerwonym w Moskwie i że nie mógł się oprzeć chęci objęcia Gorbaczowa i prawie zapłakania na jego ramieniu. Ale uczuć nie należy mieszać z polityką. Przecież Gorbaczow, dzięki *pieriestrojce* właśnie, chce utrzymać się a nawet umocnić na posadzie szefa największej dyktatury na świecie. To prawda, że tam już nie rozstrzeliwują masowo, ale przecież gułag nie jest zlikwidowany, samowola panuje, KGB kontroluje naród. ZSSR wyznaje nadal w dziedzinie praw człowieka poglądy abso-

lutnie przeciwne tym, które my staramy się szanować. Wszystko, co się tak spodobało Reaganowi w państwie Gorbaczowa, jest „odwoływalne" w ciągu kilku minut, nie jest chronione, bo w tym systemie nie może być, przez żadne gwarancje instytucjonalne. *Bref*, „restrukturowany" Gorbaczow pozostaje dyktatorem, głównym przeciwnikiem Reagana.

Armand Hammer, syn emigranta rosyjskiego, multimiliarder amerykański, który zarobił swój pierwszy milion dolarów jeszcze za Lenina i nie przestał robić milionów ze wszystkimi jego następcami, udzielił w Moskwie, gdzie przebywał wraz z Reaganem, wywiadu telewizji w USA. Hammer uważa, że to co się dzieje w ZSSR „to nie komunizm, a socjalizm". A oto fragment wywiadu:

Pytanie: „Panie Hammer, pan znał Lenina. Gdyby Lenin dziś wrócił i zobaczył co się dzieje w ZSSR, co miałby do powiedzenia Gorbaczowowi? Czy rozumiałby, co się w ZSSR dzieje?".

Odpowiedź: „Tak. Myślę, że nie tylko by rozumiał, ale powstałby i oklaskiwał. Trzepnąłby Gorbaczowa w plecy i powiedział: 'dobra robota'. Gorbaczow rzeczywiście idzie drogą wytyczoną przez Lenina".

Czy Reagan rzeczywiście marzy o nowym Leninie? A może pani Massie nie zdążyła opowiedzieć mu o Leninie i jego osiągnięciach w dziedzinie praw człowieka?

3. *Najpierw business*

Urządzenie przez sowiecki MSZ konferencji prasowej Sacharowa było pociągnięciem, z punktu widzenia Gorbaczowa, prawie genialnym. Bardzo szanuję Sacharowa, pisałem o nim z podziwem w czasie kiedy prasa zachodnia myślała, że chodzi o Sacharowa futbolistę. Otóż Sacharow powtórzył, na użytek wyłącznie Zachodu, serię znanych zarzutów, ale gorąco przede wszystkim poparł, to także na użytek Zachodu, Gorbaczowa i jego program. Otóż konferencja prasowa Sacharowa, choć rzeczywiście spektakularna, była tylko jednym z wielu gestów sowieckich obliczonych na zdobycie zaufania Zachodu. Przypomnę choćby poważny wzrost emigracji żydowskiej, niemieckiej (znad Wołgi) i ormiańskiej. Wspomnieć także warto o oszałamiających obchodach tysiąclecia chrystianizacji Rusi (ale to inny i wielki temat) itd. O co chodzi? Czyżby Gorbaczow nawrócił się na prawosławie, lub, nie daj Boże, na judaizm?

Odpowiedź zajmie kilka chwil. Trzeba zacząć od stwierdzenia faktu, na który mało kto zwrócił uwagę: jedynym właściwie momentem pewnego napięcia w czasie konferencji prasowej Gorbaczowa (poza sprawą Jelcyna), był apel o zniesienie przez Kongres amerykański tzw. „poprawki Jacksona". Przypomnę tylko w kilku słowach, że chodzi tu w istocie o dwie poprawki, wniesione w 1974 roku do amerykańskiej ustawy o handlu przez senatorów Jacksona i Stevensona. Poprawki te uzależniały przyznanie Moskwie tzw. „klaunzuli największego uprzywilejowania" i związanych z nią ułatwień celnych i kredytowych od poszanowania przez ZSSR praw człowieka w ogóle, a liberalizacji emigracji żydowskiej w szczególe.

Otóż Gorbaczow nie po raz pierwszy apeluje o zniesienie tych ograniczeń, mimo że z uwagi na strukturę i rozmiar handlu sowiecko-amerykańskiego nie przyniosłoby to poważniejszych zmian w bilansie. Ale Gorbaczow patrzy dalej. Mówiąc w wielkim skrócie i uproszczeniu, zniesienie poprawki Jacksona otworzyłoby Moskwie perspektywę wejścia do GATT (Światowy układ o handlu i taryfach), ubiegania się o członkostwo w Międzynarodowym Funduszu Monetarnym, no i dostęp do jego kasy, a wreszcie pozwoliłoby Moskwie myśleć o rozluźnieniu przepisów, ograniczających i kontrolujących transfer do ZSSR nowoczesnej technologii zachodniej.

Nie jest to wszystko takie abstrakcyjne, jakby się mogło wydawać. W dniu kiedy Reagan obejmował Gorbaczowa przed kamerami całego świata, dyskretnie i skromnie podpisano w Moskwie dwie umowy *„joint-ventures"* (towarzystwa mieszane) o wybudowaniu za Uralem dwóch ogromnych kompleksów petrochemicznych, przetwarzających syberyjski gaz na produkty syntetyczne: tekstylia, opony, chemię cywilną, a także prezerwatywy, których ilość i jakość nie zadowalają już konsumentów sowieckich. Koszt operacji... 26 miliardów dolarów (z czego 6 podpisał niezawodny Armand Hammer). Całość finansowana jest przez konsorcja zachodnie i japońskie. To na początek epoki po-szczytowej. Można sobie wyobrazić, co będzie się działo po zniesieniu poprawki Jacksona... i obaleniu innych, jak je nazywa Reagan, *„powojennych barier"*...

4. *Dylemat i krzesła*

Gorbaczow, z *pieriestrojką* czy bez, stoi przed takim samym dylematem co jego poprzednicy, co wszyscy dyktatorzy: rozluźniają cugle, bo inaczej nie ma postępu, ale zaciskają je, kiedy tylko chodzi o władzę. To nie biurokracja jest odpowiedzialna za zbrodnie, marnotrawstwo, samowolę. Odpowiedzialny jest system, który taką biurokrację jak sowiecka stworzył. I władza, która stara się ten właśnie system umocnić. Różnica między biurokracją amerykańską a sowiecką jest taka, jak między krzesłem a krzesłem elektrycznym. Sprowadza się do istnienia środków kontroli społecznej: wolnej prasy, prawdziwego parlamentu i niezależnych sądów.

Gorbaczow ma może — jak twierdzi Reagan — dobre intencje. Ale polityka Zachodu wobec ZSSR nie powinna być oparta o intencje Gorbaczowa. To bardzo kruchy grunt. O intencjach sekretarza generalnego KPZS decydować mogą wydarzenia, na które Zachód ma tylko bardzo ograniczony, *if any*, wpływ. Strate-

gia Zachodu powinna być oparta nie o wrażenia prezydenta USA i jego zamiłowanie do rosyjskich przysłów, a o potrzeby obronne naszej części świata.

5. Gorący pokój

A tymczasem to właśnie w oparciu o intencje Gorbaczowa Reagan ogłosił koniec zimnej wojny. Niesłusznie. Brzeziński, jak zwykle, zareagował szybko i prawidłowo. „To nieprawda, napisał. — Starcie filozoficzne i geostrategiczne trwa. Problemy jakie tkwiły u źródeł powojennych konfliktów nie zostały rozwiązane...". Zmienił się tylko — ciągle streszczam Brzezińskiego — charakter tej ciągle trwającej zimnej wojny: dzięki wniesieniu do dyplomacji problematyki praw człowieka *(vide* Carter i jego doradca), Zachód jest teraz w ofensywie ideologicznej, a nawet politycznej, a Wschód, w stanie gospodarczego i ideologicznego bankructwa, jest zepchnięty do defensywy. W takiej sytuacji największe niebezpieczeństwo dla pokoju stanowi ogromny potencjał wojskowy ZSSR. Wydatki na cele wojskowe stanowią dziś ok. 20 % sowieckiego PNB (produkt narodowy brutto). Brzeziński opowiada, jak bardzo był zdumiony, że liczba ta nie została zakwestionowana przez cenzurę, kiedy prasa sowiecka drukowała niedawno jego wywiad. I ostrzega, że w tych warunkach kredyty zachodnie lub większe inwestycje zachodnie w ZSSR powinny być podejmowane jedynie pod warunkiem daleko idących cięć w sowieckim budżecie wojskowym.

Obecny minister Obrony USA, Carlucci, powiedział po szczycie, że Gorbaczow to wielka niewiadoma, że zachodzi ryzyko, iż za kilkanaście lat ZSSR, który dziś wytwarza ok. połowy broni produkowanej na świecie, będzie jej produkował jeszcze więcej, jeszcze szybciej i jeszcze lepiej. No właśnie, tylko dlaczego nie powiedział tego Reaganowi w Moskwie, zanim amerykański prezydent nie ogłosił był końca zimnej wojny? Przecież siedział obok niego, za tym samym kremlowskim stołem.

Jak widać z epizodu wartości 26 miliardów dolarów, Reagan, Hammer i inni nie czytali artykułu Brzezińskiego. Nie czytali także zapewne artykułu Restona w *New York Times*. A szkoda. Dowiedzieliby się wtedy, że w chwili kiedy Reagan ogłaszał prawdziwy koniec zimnej wojny, toczyło się na świecie 25 gorących wojen, które kosztowały już 3 miliony ludzkich istnień. Że w chwili proklamacji przez Reagana wygaśnięcia zimnej wojny, USA i ZSSR wydawały 1,5 miliarda dolarów... dziennie na zbrojenia. Że w czasie kiedy Reagan wygaszał zimną wojnę, kraje „na drodze rozwoju" wydawały na broń cztery razy więcej, niż na ochronę zdrowia, w wyniku czego co piąte dziecko umierało tam przed ukończeniem 5-go roku życia.

To nie są „zimne wojny" i Reagan ich nie bierze pod uwagę. Ale nie znaczy to, że można je uważać za „wojny zapomniane". One się kiedyś odezwą i u nas. Reagan będzie wtedy musiał odwołać swoją optymistyczną proklamację. No, ale on już wtedy będzie na swoim ranchu w Kalifornii.

6. Jakie imperium?

No i, *last but not least*, sprawa *imperium zła*. Reagan je odwołał i ja się z tym nie zgadzam. Ale powiedzmy, że ma rację. Nawet jeżeli to już nie jest imperium zła, to przecież — i Reagan temu nie zaprzeczy — jest to ciągle po prostu imperium. Ostatnie na świecie, wielkie, kontynentalne, groźne i brutalne imperium. Otóż ciekawe, że o tym zwyczajnym imperium (bez zła) w ogóle w Moskwie na szczycie nie było mowy.

Nie rozumiem. W przeddzień wyjazdu Reagana do Moskwy *Newsweek wypuścił* prawie cały numer związany ze szczytem. Jak zwykle świetnie, choć miejscami naiwnie, zrobiony. Jedno zdjęcie przykuło moją uwagę: długi owalny chyba stół w Białym Domu, za nim Reagan w otoczeniu głównych sowietologów amerykańskich. Taki fachowy *briefing*, należący już chyba do rytuału przedszczytowego. Domyślam się, że wielu czytelników (a może nawet sama redakcja) nie zwróciło na nie uwagi. Nic dziwnego. Trzeba by znać osoby dramatu. Tak się składa, że ja znałem.

Otóż w środku siedzi Reagan, po jego lewej ręce prof. Seweryn Bialer z Uniwersytetu Columbia, po prawej — prof. Adam Ulam z Uniwersytetu Harvard. Obaj polskiego pochodzenia. Domyślam się, że byli tam także inni profesorowie urodzeni na wschód od Łaby, może był prof. Korboński, może prof. Gati (chyba Węgier), może prof. Botez (Rumun), a może sam Brzeziński (chociaż wątpię, bo gdyby był, to by zasiadł po prawicy prezydenta). Śmietanka sowietologii pochodzenia wschodnioeuropejskiego. A o wschodniej Europie w Moskwie w ogóle nie było mowy. Dlaczego?

Z wielu przyczyn. Mógł Reagan (i pani Massie) uznać, że nie warto sobie zawracać głowy drobiazgami, bo były rzeczy ważniejsze: np. rozbrojenie. Ale przecież właśnie i to na szczęście, tak bardzo o rozbrojeniu mowy w Moskwie nie było.

A może sprytni Amerykanie nie chcieli poruszać spraw Europy wschodniej, aby Sowieci nie pomyśleli, że Waszyngton uważa ich za uprawnionych do zabierania głosu w imieniu suwerennych państw tego obszaru geograficznego? Być może, ale dlaczego wobec tego USA uważają ZSSR za uprawniony do zabierania głosu w imieniu suwerennych państw np. Bliskiego Wschodu lub Zatoki Perskiej czy Angoli lub Afganistanu, o których przecież była szeroko na szczycie mowa? Dlaczego Moskwa może mówić w imieniu Iraku, a nie może w imieniu Czechosłowacji?

Ambasada amerykańska w Brukseli udostępniła dziennikarzom całą serię dokumentalnych fiszek na tematy omawiane na szczycie. Wśród kilkudziesięciu dokumentów dotyczących rozbrojenia i praw ludzkich, procesu po-helsińskiego i handlu zbożem, było także 8 (słownie osiem) omawiających problemy regionalne: w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej. Europy wschodniej zabrakło.

Prawdopodobnie to ani konflikt, ani regionalny. To coś innego. Ale co?

Bądźmy poważni. Reagan odmówił przyjęcia delegacji Kongresu Polonii Amerykańskiej *PRZED* szczytem. Z braku czasu? Nie, z wyboru politycznego! Reagan przyjął KPA *PO* szczycie. Wtedy to już niczym nie groziło. Było już po sezonie. Po szczycie Reagan spokojnie przyjął od prezesa KPA memorandum w sprawie niepodległościowych aspiracji Polaków, Węgrów, Czechów itd. W ten sposób teczka z napisem „Jałta" pozostanie nie w Moskwie, a w Waszyngtonie, do chwili kiedy jakiś następny lokator Białego Domu uzna, że warto do niej zajrzeć nie *PO*, a *PRZED* spotkaniem z generalnym sekretarzem KPZS.

Może wreszcie Reagan nie chciał poruszać spraw Europy wschodniej, aby nie dać Gorbaczowowi pretekstu do poruszania spraw Europy zachodniej? Eh, to mało prawdopodobne. Przecież to równałoby się postawieniu moralnego znaku równania między Paktem Warszawskim a Paktem Atlantyckim, między suwerennością np. Włoch i NRD, Wielkiej Brytanii i Polski, między stosunkami Waszyngtonu z sojusznikami w Europie zachodniej i stosunkami Moskwy z jej sojusznikami w Europie wschodniej. To niemożliwe, Amerykanie nie mogą tak rozumować! A właśnie, że mogą. I tak właśnie tłumaczyli swoje milczenie na szczycie w Moskwie i wyeliminowanie sierot po Jałcie z rozmów na Kremlu.

7. *Cyniczne i bezpłodne*

Otóż, było to niedobre milczenie.

Po pierwsze, było cyniczne. Nie można poważnie udawać, że się dba o wolne wybory w Namibii i milczeć na temat sytuacji w Polsce. Pogląd, że Gorbaczow zasługuje na zaufanie, albowiem uznaje „różne drogi do socjalizmu" jest naiwny. To jest tylko połowa ceny zaufania. Druga połowa zakłada uznanie przez Gorbaczowa, że są nie tylko różne drogi *DO*, ale i różne drogi *OD* socjalizmu, tak jak np. istniały różne drogi *DO* i *Z* Afganistanu.

Po drugie, było to milczenie kapitulanckie. Nie tylko ZSSR, ale i jego imperium zła, czy dobra, musi przejść *pieriestrojkę*. Reagan opuścił Moskwę przekonany, że Gorbaczow jest zdecydowany przekształcić Związek Sowiecki w państwo praworządne. Otóż, praworządność jest niepodzielna. Nie można być w ciąży na 50 %. Nie można praworządnie traktować obywateli Stanów Zjednoczonych, a niepraworządnie traktować obywateli Polski czy Węgier. Szanować obywateli można albo w ogóle, albo wcale. Chyba, że obywateli PRL nie uważa się za obywateli, a za poddanych Rosji.

Po trzecie, było to milczenie bezpłodne. Żadne milczenie nawet na najwyższym szczycie nie zatrzyma tzw. koła historii, nie potrafi zastopować procesu wyzwalania się państw Europy wschodniej spod niszczącej i skompromitowanej kurateli sowieckiej. Ziemia drga, reszta jest kwestią czasu. Kosmetyka w Pradze,

czystka w Budapeszcie, ZOMO w hucie czy pod stocznią, mogą opóźniać bieg wydarzeń, ale nie mogą zmienić ich kierunku. To sowiecka propaganda wychodziła z założenia, że jak się o czymś nie mówi lub nie pisze, to tego nie ma. Ale z taką tezą już nawet Gorbaczow zerwał. Czyżby na to czekał Reagan, aby teraz w to uwierzyć? Znowu, pytam, po sezonie?

Kissinger powiedział: „Gorbaczow jest skazany na kryzys. Gospodarczy — jeżeli nie przeprowadzi reform. Polityczny — jeżeli je przeprowadzi". Nawet Kissingera Reagan nie czyta?

Ronald Reagan już dawno, a w każdym razie przed aferą *Iran-gate* i innymi podobnymi, powinien był zacząć wypoczywać i spędzać czas na lekturze dobrych książek, a nie na uczeniu się starych przysłów rosyjskich. Stokrotnie sobie na to zasłużył. Najważniejsze sprawy powinien był zachować dla swojego następcy. Nie wiem, kto nim będzie, ale wiem, że powinien on zacząć od miejsca, w którym Reagan naprawdę zakończył swój drugi mandat. To znaczy nie *PO*, a *PRZED* spotkaniem na szczycie w Moskwie.

Leopold UNGER

Pisane 10 czerwca 1988

Armenia

W chwili, gdy piszę te słowa, strajk generalny, który sparaliżował Stepanakert po 24 marca, kiedy Moskwa odmówiła przyłączenia Górnego Karabachu do Armenii, zdaje się wygasać. Stolica autonomicznego obwodu Karabach z goryczą wraca do pracy.

Kaukaz był widownią niebywałej mobilizacji Ormian. Przez dwa miesiące świat nie odrywał oczu od południowej części imperium, gdzie setki tysięcy demonstrantów od Erywania po Stepanakert usiłowało wywalczyć zaspokojenie odwiecznego marzenia, ponownie rozbudzonego przez *pieriestrojkę*.

Skończyło się święto wolności, w czasie którego cały naród odkrył szczęśliwe uczucie wspólnoty, a przedtem jeszcze zakosztował demokracji w setkach „komitetów Karabachu", których gęsta sieć pokryła cały kraj. 28 lutego przez nowe azerbejdżańskie miasto Sumgait, „Komsomolsk nad Morzem Kaspijskim", w którym gnieździ się 250.000 mieszkańców, przetoczył się krwawy pogrom. Oficjalnie zamordowano 32 Ormian, a setki zraniono. Przez kilka godzin Kaukaz był widownią prawdziwej tragedii, „zatrważającym i strasznym przykładem rozziewu między słowami a faktami", by użyć słów azeryjskiego poety [1].

1. „Wystarczy zrobić kilka kroków w Sumgait, by się przekonać, że slogany i transparenty w rodzaju 'Braterstwo i przyjaźń między narodami' nie należą do towarów deficytowych" (Bachtiar Wagazade, *Sowietskaja kultura*, 26 marca).

Armenia wrze od wiosny 1987. *Pieriestrojka* napotyka tam na zażarty opór breżniewowskiego aparatu, bezustannie piętnowanego przez prasę centralną. *Literaturnaja gazeta, Izwiestia* i kilka innych pism ostro krytykuje nazbyt już liczne skandale, nad którymi rozpina parasol ochronny miejscowe kierownictwo partyjne. Niebywałe zanieczyszczenie powietrza w stolicy — „koszmar", zdaniem ministra zdrowia ZSSR[2] — szybko stało się głównym motywem bezlitosnej walki. Skupiają się wokół niego „grupy nieformalne" i reformistyczni intelektualiści, podejmują go wielkie dzienniki moskiewskie. Ochrona przyrody i zabytków historycznych, której patronują najwięksi artyści i którą podchwytuje prasa, stała się tematem dnia w całym ZSSR. Wszędzie powstają grupy, często nie związane z żadnymi instytucjami. Poza granicami Rosji widzi się tę walkę często inaczej niż w kraju. Ochrona zabytków wyklętej często przez władze przeszłości narodowej, ratowanie przyrody, poświęconej na ołtarzu interesów „centrum", mobilizuje ludzi znacznie bardziej aniżeli zwykły czynić w innych krajach apele ekologistów.

Poczucie odzyskanej inicjatywy społecznej i odkrycie, że lokalne kierownictwo partyjne jest słabe rozbudziły marzenia, od pokoleń zepchnięte w podświadomość. Wielu ludzi wyobraziło sobie, że oto nadszedł moment, by wreszcie upomnieć się o prawa 150.000 Ormian, zamieszkujących Górny Karabach, obszar 4.400 km² położonych w Azerbejdżanie i oddzielonych od Armenii wąskim pasmem ziemi, którego ludność jest sztucznie odcięta od swojej ojczyzny. Miejscowa prasa — w języku ormiańskim — nie ma prawa choćby wspomnieć o Armenii; transmisje ormiańskich programów telewizyjnych są formalnie zakazane, podręczników szkolnych nie ma w sprzedaży, a biblioteki ormiańskie są zamknięte. Baku ignoruje ten region, nie połączony z Armenią żadną drogą godną tej nazwy. Młodzi Ormianie muszą emigrować w poszukiwaniu pracy. Przyłączenie Górnego Karabachu do Armenii stało się ostatnią deską ratunku dla ludności, wydanej na prześladowania, a nawet na akty gwałtu ze strony azeryjskich biurokratów. Począwszy od lata 1987 autorzy petycji i delegacje azerbejdżańskich Ormian usiłują znaleźć zrozumienie Moskwy. Wkrótce Erywań wysunie żądanie, pod którym podpisze się cała Armenia. Nieprzebrane tłumy, jakie zebrały się 25, 26 i 27 lutego w centrum Erywania, mają wrażenie, że dopięły swego. Czyż Gorbaczow nie przyrzekł dwom wysłanym do Moskwy delegatom komitetu organizacyjnego[3], złożonego z intelektualistów i znanych artystów, że w ciągu miesiąca znajdzie rozwiązanie? 24-go zapada sucha i brutalna decyzja Moskwy: rozwiązanie problemu nie może mieć charakteru terytorialnego, o przyłączeniu Górnego

2. *Literaturnaja gazeta*, 3 lutego 1988, wywiad E. Czazowa udzielony korespondentowi gazety w Erywaniu, Zorijowi Balajanowi.

3. Niezależne grupy oddały inicjatywę w ręce wspomnianego komitetu z powodów tyleż praktycznych co taktycznych: Silwa Kaputykian, poetka i członek partii, oraz Zorij Balajan, korespondent *Literaturnoj gazety* w Erywaniu, są rozmówcami, których Kreml może zaakceptować.

Karabachu do Armenii nie ma mowy. Należy natomiast zrewidować stosunki między Górnym Karabachem i Azerbejdżanem i zaspokoić jak najszybciej kulturalne, językowe i ekonomiczne potrzeby ormiańskiej ludności. W tym celu rząd ZSSR asygnuje jednorazowo kwotę 400 milionów rubli.

Nie tu miejsce rozważać zasadność rewindykacji terytorialnych. Sytuacja na Kaukazie jest niezmiernie skomplikowana. Każdy jednak zrozumie ogromne rozczarowanie i poczucie klęski, jakiego doznał Górny Karabach po tak niebywałej mobilizacji wszystkich swych sił. Nie zmienia to faktu, że kryzys kaukaski jest fragmentem znacznie szerszej rewizji rzeczywistości. *Pieriestrojka* rozbudziła siły odśrodkowe, którym marzy się zburzenie równowagi, na której oparta została niezmierzona mozaika, jaką stanowi „nierozerwalny związek bratnich narodów" ZSSR. Równowaga to chwiejna, zwłaszcza na Kaukazie.

W początkach XIX wieku Rosja zwyciężyła Persję, będącą już tylko cieniem samej siebie, i wypchnąwszy ją z terenów zamieszkałych przez Azerów i Ormian, usiłowała wydrzeć imperium ottomańskiemu kontrolę nad Dardanelami. Kaukaz jest obowiązkową stacją na długiej drodze ku morzom południowym, wieżą Babel na skrzyżowaniu imperiów, jego doliny i płaskowyże są rezerwuarem dziesiątków języków i plemion. W późnym średniowieczu tereny te zostały podbite przez chrześcijańskie królestwa Armenii i Gruzji o rozwiniętej i oryginalnej cywilizacji. W drugiej połowie XI wieku zwycięski pochód Turcji starł Wielką Armenię z mapy Azji. Mała Armenia, położona naprzeciw Cypru, będzie do końca XIV wieku ucieleśnieniem ciągłości królestwa ormiańskiego, aż i ona upadnie. Kiedy na tereny te runą w XIII wieku hordy Mongołów, królestwo Gruzji znajduje się u szczytu potęgi. Po kilku stuleciach wycieńczających walk z muzułmańskimi sąsiadami wezwie na pomoc Rosję, która mieni się opiekunką chrześcijan kaukaskich. Oba państwa podpisują w 1783 roku traktat obronny. Imperium carskie nie dotrzyma jego litery. Kiedy w 1801 roku car postanawia przyłączyć Gruzję do Rosji, ta nie jest już w stanie mu się przeciwstawić.

Od tego dnia Rosja może zacząć metodyczny podbój Kaukazu. Zręczna polityka rosyjska pochlebia pewnym odrębnościom, wykorzystuje odwieczne antagonizmy, niekiedy je podsyca. Mimo to nie uda jej się złamać oporu muzułmańskich górali przed drugą połową XIX wieku. Nastaje okres wielkich migracji: muzułmanie, wygnani przez Kozaków ze swych wiosek na północnym Kaukazie, szukają schronienia w Turcji; Ormianie uciekają przed prześladowaniami imperium ottomańskiego, które jest teraz ich wrogiem.

W drugiej połowie XIX wieku tereny, o których mówimy, zaznają gwałtownego rozwoju dzięki nafcie z Baku. Miasta przekształcają się w kosmopolityczne ośrodki, w których prym wiedzie dynamiczna i doświadczona burżuazja ormiańska[4]. W oczach

4. W okresie rozkwitu imperiów kupcy ormiańscy byli łącznikami euroazjatyckiego handlu.

Azerów i Gruzinów ucieleśnia ona obcy kapitał. Rewolucyjna fala 1905 roku podrywa Kaukaz niemal do powstania. Wsie i miasta wspólnie stają do walki przeciw caratowi. Jest to bunt społeczny, a zarazem dowód narastającej świadomości narodowej i politycznej. Ormianie i Gruzini raptownie się radykalizują. Prawdziwą hegemonię uzyskują *dasznacy*, którzy wiążą wyzwolenie społeczne z emancypacją Ormian, oraz socjaliści gruzińscy, którzy upatrują zbawienie w demokratycznej Rosji; Azerowie z kolei tworzą „musawat", partię o ideologii panturecckiej.

W przededniu pierwszej wojny światowej niezawisłość trzech państw kaukaskich nie stoi na porządku dnia. Idea pluralistycznej i demokratycznej federacji ma wielu zwolenników. Do długiej listy przewin carskiej Rosji, tego „więzienia narodów", które gnębi Polaków, poniża Żydów i rusyfikuje Ukraińców, dochodzą zbrodnie manipulowanych Azerów z czasów pogromów antyormiańskich w Baku. W sierpniu 1914 Kaukaz znajduje się na pierwszej linii frontu turecko-rosyjskiego. Azerowie i Gruzini zachowują rezerwę. Pierwsi czują się nieswojo w obliczu konfliktu, który stawia ich w szeregach wrogów imperium ottomańskiego; drugich kusi „rewolucyjny defetyzm". Rosyjscy Ormianie nie przeżywają takich rozterek. Nadzieje pokładają w zwycięstwie Rosji, podczas gdy dwa miliony Ormian tureckich pełnią rolę zakładników w rękach młodoturków. Począwszy od wiosny 1915 zaczyna się ich zagłada, pierwsze ludobójstwo naszego wieku: w ciągu niecałych dwóch lat półtora miliona ludzi padnie ofiarą mordów. Skutki rzezi Ormian dla Kaukazu są rozpaczliwe: przepaść między Ormianami a Azerami będzie odtąd nie do zasypania. W Petersburgu władza się chwieje. W lutym 1917 roku rewolucja zmiata dynastię Romanowych i powołuje Rząd Tymczasowy. Na Kaukazie, podobnie jak w Rosji, wolę ludu wyrażają rady. Gruzińscy socjaliści, ormiańscy dasznacy i azeryjscy musawiści wkrótce zaczną odgrywać dominującą rolę. Młoda demokracja rosyjska nie jest w stanie zadośćuczynić potrzebom i żądaniom, jakie formułują narody zbyt długo zmuszane do milczenia. W listopadzie 1917 roku rząd Kiereńskiego upada pod nawałą bolszewików. Lenin zasiada przy sterze. W Baku, rządzonym przez krótki czas przez koalicję bolszewicko-dasznacką, rewolucja przekształca się w krwawą wojnę domową; pod koniec marca kilka tysięcy Azerów pada ofiarą pogromów. Kaukaz zaznaje wówczas smaku nienazwanej niezawisłości pod przewodem Kaukaskiego Komisariatu, rządu koalicyjnego, w którym zasiadają główne partie polityczne.

22 kwietnia 1918 dochodzi do definitywnego rozłamu z Rosją. Federacyjna Republika Zakaukaska ogłasza deklarację niepodległościową, w której stwierdza, że pogrążająca się w wojnę domową Rosja nie jest w stanie zapewnić „fizycznego przetrwania" rejonu, zagrożonego postępującą armią turecką. Po miesiącu chaosu próbie federacji kładzie kres ogłoszenie niepodległości Gruzji 26 maja oraz Armenii i Azerbejdżanu 28 maja. Jednak wygrawszy wojnę domową, Armia Czerwona rzuca się na podbój Azerbejdżanu wiosną 1920; 27 kwietnia wpada w ręce bolszewików Baku, którego nafta jest niezbędna do odbudowy Rosji. Republika ormiańska, maleńkie terytorium, na którym gnieżdżą się setki tysięcy wygłodzonych uciekinierów, bezustannie prowadziła niekończące się wojny ze swymi sąsiadami: konflikt o Borczało z Gruzją w grudniu 1918, krwawe starcia z Azerbejdżanem o kontrolę Karabachu, Nachiczewanu i Zangezuru w 1919 i 1920[5]. Otoczony współczuciem świata, naród ormiański zdaje się przez pewien czas cieszyć łaską Opatrzności: w sierpniu 1920 traktat z Sèvres przyznaje mu część Wielkiej Armenii, która ma być odebrana pozornie zgodnej Turcji. Kiedy jednak we wrześniu Kemal Atatürk rzuca się na podbój maleńkiej republiki, świat zachodni pozostawia ją własnemu losowi. W listopadzie Armenia staje się republiką sowiecką w zamian za protektorat Rosji. Jedynie Gruzja, pod rządami starych socjalistów, wydaje się jeszcze zdolna do zabrania głosu na terenach, rozdzieranych między Rosją i Turcją. W lutym 1921 roku inwazja wojskowa kładzie kres państwu, które mimo trudności potrafiło dowieść swojej zdolności do samodzielnego istnienia.

W toku wiosny 1921 roku spory terytorialne doprowadziły do ostrych konfliktów w łonie kaukaskiego biura partii bolszewickiej. Ormiańscy i azeryjscy komuniści spierali się o przyszłość Karabachu, Gruzini i Azerowie o Saingilo[6], rejon zamieszkały przez Gruzinów wyznania mahometańskiego. Na początku lipca biuro przegłosowało wcielenie Górnego Karabachu do Armenii 5-oma głosami przeciw 3-em. Już następnego dnia przywódcy anulowali tę decyzję.

7 czerwca 1923 utworzony został autonomiczny rejon Górnego Karabachu, liczący wówczas 158.000 mieszkańców, w tym większość Ormian.

Rządy zainstalowane przez Armię Czerwoną nie cieszyły się popularnością. Krwawo stłumione powstania 1921 roku w Armenii i 1924 w Gruzji były wyrazem oporu przeciw polityce, która gwałciła głoszone przez bolszewików prawo do samostanowienia narodów i sprawiedliwość.

Odradzająca się stale, mimo sztandarowego internacjonalizmu, „hydra nacjonalizmu" żywi się odtąd frustracją i konfliktami, które — jak konflikt o Karabach — nie znalazły sprawiedliwego rozwiązania.

Charles URJEWICZ

Paryż, 10 kwietnia 1988

5. Ormianie i Azerzy walczyli ze sobą krwawo w latach 1919 i 1920. W czerwcu 1919 wojska Azerów wyrżnęły sześćset wiosek ormiańskich w Karabachu. Karabach zamieszkiwało wówczas 165.000 Ormian i 59.000 muzułmanów, Nachiczewan 54.000 Ormian i 89.000 muzułmanów, Zangezur 100.000 Ormian i 120.000 muzułmanów.

6. Los Gruzinów z Saingilo pogorszył się znacznie w toku roku 1970, poddano ich przymusowej turcyzacji i licznym upokorzeniom. Poprawa ich warunków kulturalnych i językowych jest przedmiotem licznych petycji w Tyflisie.

Wywiady «Kultury»

Wypędzony*

KRYSTYNA LASKOWICZ: — *W obszernym wywiadzie dla nowojorskiego* Nowego Dziennika, *udzielonym w grudniu 1987 roku, zrelacjonowałeś dokładnie 14-dniowy strajk w kopalni „Piast". Dziś chcę porozmawiać z Tobą o przełomie lat 1980/1981, o Śląsku i Twoim dniu dzisiejszym. Chciałabym wyjść poza Twoją „ostatnią szychtę w kopalni węgla kamiennego 'Piast' ".*

ANDRZEJ MACHALICA: — Nie wiem, czy to się uda. Tamten czas siedzi we mnie na zawsze.

K.L.: — *Czego i kogo bronili górnicy w kopalniach „Piast", „Ziemowit", „Wujek" i innych, w grudniu 1981 roku?*

A.M.: — To jest pytanie. Ja cały czas czekam na odpowiedź na to pytanie. Wypatruję jej w niezależnych publikacjach i mądrych opracowaniach naukowych. Sześć lat upłynęło od pamiętnych strajków na Śląsku w obronie związku zawodowego i jego przywódców, strajków żądających zniesienia stanu wojennego. Sześciu lat trzeba było, aby znalazł się ktoś, kto chce rozmawiać z uczestnikami tych wydarzeń, i to musi to robić poza granicami kraju, jakby w Polsce nie było ludzi, którzy to przeżyli. Jaki to bogaty

*** Andrzej MACHALICA (ur. 1939 r.), technik-górnik, sztygar, kierownik dozoru w kopalni „Silesia" i „Piast". W latach 1980/1981 członek Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność", po wprowadzeniu stanu wojennego jeden z organizatorów dwutygodniowego strajku w kopalni „Piast". Jako górnik odznaczony brązowym, srebrnym i złotym Krzyżem Zasługi, Orderem Sztandaru II klasy, Honorową Szpadą Górniczą oraz odznaką Przodownika Pracy PRL. Sądzony w kwietniu i maju 1982 roku przez Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu, internowany do 8 lipca 1982 roku. W kwietniu 1983 roku wyemigrował wraz z rodziną do Stanów Zjednoczonych.**

materiał dla socjologów, psychologów, dla badaczy ruchów robotniczych w systemie komunistycznym. Dlaczego tysiące robotników nie w pełni zintegrowanego Górnego i Dolnego Śląska stanęło w strajkach po 13 grudnia? Czy strajkowali z miłości do nowego związku „Solidarność" lub jego przywódców? Czy walczyli i ginęli, jak w kopalni „Wujek", o związek? Zbroili się w kopalni „Borynia" z tego samego powodu? Mało się wie i mówi o masakrze w kopalni „Manifest Lipcowy", o oporze hutników z Huty Katowice, o innych wydarzeniach tamtych dni na Śląsku. Robotnik śląski chciałby przeczytać, że jego walka była potrzebna, że zrobił coś ważnego dla całego kraju, że kraj w przyszłości na niego liczy. Chciałby wiedzieć, że jego męstwo i bohaterstwo zostały właściwie ocenione. Historia tego, co stało się na Śląsku musi być spisana. Jeżeli to zapadnie w niepamięć, to obawiam się, że trzeba będzie dużo lat, aby znowu ten „śląski walec" ruszył. Komuna wie o tym doskonale i dlatego smaruje go różnymi „smarami". Dziwi mnie, że opozycja nie przepycha się przez bramy hut i kopalń do tych, którzy mogą zadecydować o losach naszej ojczyzny. Uważam, że bez Śląska każda akcja przeciw komunie jest beznadziejna.

K.L.: — *Byłeś jednym z tych, którzy przyjęli na siebie odpowiedzialność za ten strajk i potrafili narzucić swoją wolę innym, wyjeżdżałeś na powierzchnię ostatnią „klatką". Chciałabym wiedzieć, co masz do powiedzenia na ten temat z dzisiejszej perspektywy. Czego i kogo broniłeś Ty i Twoi koledzy podczas 14 dni strajkowych?*

A.M.: — Górnicy na pewno bronili m.in. tego, że przez krótki czas byli sobą. Swojej godności i honoru. Bronili tych spraw, które Polacy wywalczyli przez te 16 miesięcy. Ale to tylko część prawdy. Tam było coś ważniejszego. Mnie się wydaje, no, właściwie jestem tego pewien, że strajki protestacyjne na kopalniach były wynikiem nienawiści tego społeczeństwa do komuny, do systemu, w którym przyszło im żyć. To jest moje zdanie. Ja jestem górnik. Mam nadzieję, że któregoś dnia dowiem się o tym więcej od badaczy, inteligencji i opozycji. Ja, na podstawie 14-dniowego życia tam razem pod ziemią, twierdzę, że robotnik polski nienawidzi komuny. Ci ludzie, tam na dole, gdzie naprawdę nie było wiadomo, jaki będzie koniec, nienawidzili po prostu tego systemu. Nienawidzili tych, którzy rządzą tym krajem. Tych, którzy doprowadzili do tego, co się z tym pięknym krajem stało. Już po kilku dniach nie liczyliśmy na wygraną, ale trwaliśmy.

K.L.: — *„Piast", „Wujek", „Brzeszcze", „Manifest Lipcowy", „Ziemowit", Huta Katowice, wiele innych kopalń przystąpiło do*

strajku po proklamowaniu stanu wojennego. Dlaczego akurat na Śląsku obrona była najsilniejsza? Czy ludzie byli tu lepiej zorganizowani, zintegrowani, przejawiali większą świadomość polityczną i społeczną?

A.M.: — Nie wiem, jak wyglądała działalność „Solidarności" w innych zakładach pracy na terenie kraju. Znam trochę Śląsk. Moim zdaniem praca „Solidarności" w kopalniach była szczególnie dobra. Dobrze było u górników. I dziś, tu, w Ameryce, podtrzymuję zdanie, że ci co zrobili i utrzymali na Śląsku „Solidarność" to byli robotnicy, to były komórki zakładowe. I tylko zakładowe. U nas ta góra, Zarząd Regionu, od początku była do niczego. No, do niczego. I my, górnicy, praktycznie byliśmy sami w zakładach. Natomiast z Zarządu Regionu otrzymywaliśmy dużo bibuły i to było istotne. W innych sprawach nie oglądaliśmy się na Zarząd, sami robiliśmy to, co było trzeba. I logiczne mi się wydaje, że właśnie tam tak poszła obrona. Górnicy wybierali swoich przedstawicieli do Komisji Zakładowych. Oni tym ludziom wierzyli, a ci ludzie robili wszystko, aby ta wiara się utrwalała. Po pierwsze — staraliśmy się wstawiać do zakładu maksymalną ilość prasy i wydawnictw niezależnych. To było wtedy bardzo ważne. Praca szła i prasa szła. W tamtym okresie odbiór prasy był niesamowity. Ludzie w kopalniach byli łakomi, czytali wszystko. Tak jak i ja, pewnie ty, no, my wszyscy. Czytając te wydawnictwa, oni i ja, dopiero się uświadamialiśmy i zaczynaliśmy rozumieć więcej. Ja, sztygar, byłem tak samo tępy, jak ten prosty robotnik. Ja nawet o Katyniu niewielkie miałem pojęcie przed „Solidarnością". Dopiero oczy nam się otwierały na proste prawdy. Nie do wiary. Tak było. To prawda. Przed sierpniem Śląsk był bardzo mało uświadomiony politycznie. Trzeba sobie zdawać sprawę ze specyfiki społeczności śląskiej. Tam prawdziwych Ślązaków jest już chyba mniejszość. Ci, co walczyli kiedyś w powstaniach o powrót do Polski, w większości zostali brutalnie wypędzeni przez komunę do Niemiec. W ciągu ostatnich lat mojego pobytu w Polsce spotykałem wielu ludzi, którzy tylko z powodów ekonomicznych szukali w swoich rodowodach, czy przypadkiem jakiś pradziad nie miał powiązań niemieckich, aby tylko uzyskać zgodę na wyjazd do RFN. Takich ludzi z kraju wyjeżdżało tysiące. A w latach 70-tych, kiedy Gierek budował „drugą Polskę", kiedy powstawały potężne obiekty przemysłowe, werbowano do pracy na Śląsk ludzi ze wszystkich zakątków Polski, emisariusze jeździli po zapadłych wsiach i obiecywali złote góry za podjęcie pracy w kopalniach lub hutach. I dla nich to były złote góry. Tysiącami werbowano młodzież, dając za darmo wyżywienie i internat i dokładając jeszcze pieniądze. Zasadniczej Szkoły Górniczej nie można było nie skończyć, choćby się było najbardziej

tępym uczniem. Dużo rezygnowało z pracy i z nauki, ale tysiące zostały i to jest dzisiaj Śląsk. Dla wielu warunki jakie im stworzono były idealne, a robotnicy w większości nie interesują się polityką: „Po co mi strajkować? Mam mieszkanie, dobrze zarabiam, mogę sobie wypić, co mi brakuje?". Rząd, jakkolwiek będzie się nazywał, zawsze będzie ciemiężcą robotnika. Różnica tylko w tym, jakie warunki mu ten rząd stworzy w porównaniu do jego dotychczasowych doświadczeń i poziomu życia. Mieszkanie można było dostać szybko, płace, w porównaniu do innych możliwości w Polsce, były dobre, a dochodziły jeszcze różne talony, dodatki, lepiej zaopatrzone sklepy itp. Ludzie tam mogli mieć swoje miejsce do życia. A w protestach oni z założenia żądali wyższych płac, wolnych sobót, bezpieczeństwa pracy, a nie wyższych celów, jak choćby na przykład uwolnienie więźniów politycznych. My, górnicy, byliśmy trudni. Trzeba było na masówkach stale tłumaczyć, że tamte sprawy też są ważne. Na początku ja sam często nie rozumiałem tych celów, a musiałem tłumaczyć innym, bo byłem w Komisji Zakładowej. I to tysiącom ludzi. Przychodziła z Komisji Krajowej lub Zarządu Regionu sprawa taka i taka, a ja dokładnie nie rozumiałem, o co w niej chodzi. Więc czytałem i czytałem. Świadomość wśród górników była mała, a wyższy cel trudny do zobaczenia. „Solidarność" palcem zaczęła wskazywać wiele spraw i wtedy myśmy dopiero zobaczyli to, co było przecież gołym okiem widać od lat. A człowiek do tej pory nie wiedział. Cała „Solidarność" to była walka z komuną, a związkowe sprawy przy okazji. Od początku tak było, dzisiaj tak jest. To, że Wałęsa tak mówi, że związki, to on musi tak mówić, no bo co on ma mówić? Ale ja, górnik, wiem swoje, walka z komuną.

„Solidarność" w kopalniach dużo też robiła w Zjednoczeniu Górnictwa, z którym miała stały kontakt oraz kontakty pośrednie i bezpośrednie z działaczami z innych kopalń. Był kontakt, były dyskusje, pomysły, wymiana doświadczeń, poznawało się ludzi. To się potem bardzo przydało. Jeszcze inna ważna sprawa — w kopalniach zostawali twardzi ludzie, inni tam nie wytrzymywali. Górnik pracuje w poczuciu stałego zagrożenia i zależności w pracy od drugiego. Może i stąd większa solidarność i większe otrzaskanie z niebezpieczeństwem?

K.L.: — *Jak sądzisz, czy i kiedy górnicy uprzytomnili sobie, że ich protesty — te dziesiątki przeróżnych spraw: talony, malwersacje prominentów, wolne soboty, prasa związkowa i tym podobne — to w zasadzie była walka z systemem?*

A.M.: — Myślę, że wcześnie i że bardzo wielu. To zrobiła „Solidarność". Dzięki temu, co odkryła ludziom i temu, co zrobiliśmy

w niej wszyscy razem w całej Polsce. A w tyle były lata 1956, 1968, 1970, 1976. Ale i one dopiero jakby się ujawniły przez „Solidarność", która krzyczała w bibułach, co to wszystko było. Widzisz, jeszcze jedna ważna sprawa, dlaczego Śląsk? My z tej naszej kopalni, i z innych, słaliśmy w 1970 i 1976 roku listy protestacyjne, że górnicy i hutnicy krytykują i potępiają wystąpienia antysocjalistyczne i warcholstwo. Stało się wtedy i trzymało transparenty „przeciw" na zorganizowanych masówkach. Myśmy podpisywali przydział mydła, a potem, bez naszej wiedzy, ukazało się to w telewizji jako nasze listy protestacyjne. Takie rzeczy też wyszły na wierzch w czasach „Solidarności". W tamtych miesiącach głośno się wołało i ludziom pokazywało, jak nas wszystkich wygłupili, jak wykorzystali, jak traktowali jak idiotów. Zobaczyliśmy, że tamten ze stoczni, czy z Radomia, to był taki sam „warchoł", jak my w dniach „Solidarności". Wielu zrobiło się wstyd za własną głupotę, wielu zżółkło ze złości. Była też inna sprawa związana ze Śląskiem. Pamiętam rok 1976, kiedy po Radomiu, po tych masówkach i protestach, górnik nie chciał jechać na wczasy, na Mazury czy Wybrzeże, bo mu przecinali wszystkie opony w samochodzie. W każdym ze śląską rejestracją. Wagony na gorącej linii kolejowej przyjeżdżały z napisami: „Ślązacy nie Polacy". Potem zobaczyliśmy, jaka to była dobra „edukacja". Tyle rzeczy za czasów „Solidarności" wyszło na jaw, że ludzie się czuli, jakby im ktoś latami pluł w twarz. Tak, „Solidarność" naprawdę zasiała ziarno, które wzejdzie bardzo szeroko i zniszczy ten system. Musi zniszczyć. Jak myśmy się wszyscy spieszyli, aby zrobić szybko jak najwięcej! Tylko co zostanie z tego kraju, nim to ziarno przyniesie ostateczny plon?

K.L.: — *Proklamowanie stanu wojennego spowodowało szok w wymiarze społecznym i jednostkowym. Obudziliśmy się rano, albo brutalnie wywleczono nas z łóżka, w innej rzeczywistości i w innym jakby kraju. Jaki nastrój panował wśród górników w momencie przystępowania do strajku, jaki był stopień zdeterminowania? Powiedz też o poczuciu zagrożenia, o zwykłym w końcu, ludzkim strachu.*

A.M.: — Trzeba wrócić myślami do niedzieli, a właściwie soboty. Jeszcze w sobotę, 12 grudnia, w kopalni odbywały się masowo uroczystości „barbórkowe". W tamtym roku odznaczeń było wyjątkowo dużo, jak nigdy. Uroczystości też, naszych i ich. Wieczorem pojechaliśmy do kolegi na imieniny. Siedzieliśmy tam długo w noc i tam położyliśmy się spać. Jeszcze leżałem, kiedy baby na drugi dzień w południe zaczęły mówić, że jest wojna. Otwieram telewizor i widzę umundurowanego z wojska, który mówi, że jest stan wojenny. Rany boskie! Siedzę dalej i nie mogę

się opamiętać. Nie mogę sobie przypomnieć, co to jest stan wojenny. No, co to może być? Niedługo potem przyjechał wiceprzewodniczący Szelągowski i mówił, że jego szukają i mnie pewnie też. Dopiero się wystraszyłem. Ale zaraz zaczęliśmy mówić, co trzeba będzie zrobić. Jasne było, że trzeba zrobić strajk. My byliśmy przygotowani na stan wyjątkowy. Nie na stan wojenny, bo co to jest, nikt z nas nie wiedział. O wyjątkowym komuniści mówili już od jakiegoś czasu, a od początku grudnia wyraźnie. I w naszych przygotowaniach było założenie, że jak wprowadzą stan wyjątkowy, to strajk musi być. Pierwsza nasza decyzja — jedziemy na kopalnię. Po drodze szukaliśmy kolegów z Komisji Zakładowej. Wspólnie z odszukanymi Zawadzkim i góralem Oczko zdecydowaliśmy, że najbezpieczniej będzie się przechować w kopalni. Pojechaliśmy do „Piasta". A w kopalni pusto i spokojnie jak w niebie. Nie było na widoku ani wojska, ani SB. Pustka. Mówiony „stan wojenny". Gdzie indziej przy kopalniach, tam, gdzie nie było jeszcze strajków, podobno było tak samo. Wszędzie pilnowali tylko z ukrycia, czekali, co się będzie działo. W „Piaście" siedział tylko wicedyrektor kopalni, powiedział nam, że jest stan wojenny, że są dekrety i nic nie wolno robić. Posiedzieliśmy tam w biurze i naradzaliśmy się po cichu. Potem pojechaliśmy na „Ziemowita". Tam chłopcy siedzieli też gotowi do strajku. Im, na „Ziemowicie", zamknęli w nocy przewodniczącego, a z „Piasta" do tej pory nikogo. W drodze powrotnej z „Ziemowita" do „Piasta" zatrzymali nas. Przesłuchiwali i potrzymali do północy. Zatrzymali i internowali tylko Szelągowskiego.

Strajk planowaliśmy od południa, w poniedziałek, wtedy, kiedy zbiegają się dwie zmiany. Ale strajk rozpoczął się już rano, około 9.30-10.00. Zorganizowali go ci, którzy byli na dole od rana. Tam był taki jeden mocny górnik z Przedsiębiorstwa Robót Górniczych, on wziął to w swoje ręce i poprowadził. Nie było tam wtedy na dole ani dwóch zmian, ani Komisji Zakładowej „Solidarności". Uważam, że nawet gdyby 13 grudnia zamknęli całą Komisję Zakładową, to i tak by tak poszło, jak poszło, ale trwałoby dużo krócej. Była też inna koncepcja, aby strajkować na zakładzie na górze. Ludzie myśleli — „po co na dole, jak na górze stoi parę tysięcy chłopa i bliżej tu do ludzi". Myśmy od początku planowali tak, że tylko na dole można próbować coś zrobić. Z drugiej strony — kto miał pojęcie, co zrobią na dole. Zaleją? Zagazują? Spacyfikować mogli wszystko i na górze, i na dole. Na dole wydawało nam się jednak bezpieczniej. To był nasz teren. Ci strajkujący na dole od rana żądali od godziny 11.00 zjazdu Komisji Zakładowej „Solidarności". I nam, Komisji, chodziło już tylko o to, aby dostać się na dół. Udało się to nam po wielu skomplikowanych przetargach, o których mówiłem gdzie in-

dziej. W końcu dostaliśmy polecenie od dyrekcji: zjechać i przerwać strajk. Mieliśmy zjechać i tam, na dole, spokojnie sprawę „załatwić". O to nam właśnie chodziło: zjechać. I przyjęliśmy to polecenie służbowe. Nastroje na dole? Trudno mówić. To się pamięta i przeżywa do dziś. Zjechaliśmy około 21.00, a tam strajk pięknie trwał. Zjechaliśmy pomiędzy drugą i trzecią zmianą. Przed zjazdem rozmawialiśmy z wieloma górnikami z III zmiany, aby zrobili wszystko co możliwe, aby dostać się na dół. Jak zjechaliśmy, to szyby były zablokowane. Nie było wyjazdu w górę, tak zdecydowała grupa ranna. Bali się prowokacji, zaskoczenia. Pierwsza rzecz, którą myśmy jako Komisja zrobili, to były starania o uruchomienie szybu wyjazdowego. Dwa były zablokowane, w porządku, niech zostaną, ale trzeci musiał iść do wyjazdu. Trochę trwało przekonanie wszystkich o konieczności tego, ale w końcu cel osiągnęliśmy. Jeden szyb został odblokowany i kto chciał, to mógł wyjeżdżać. Wolna wola i wolna droga. No i wtedy zaczął się ruch w górę i w dół. Rozgardiasz zrobił się niesamowity. Część jechała z dołu do góry, część z góry w dół, część szła do pracy, część strajkowała od rana. Niektórzy wyjeżdżali pożegnać się z rodziną, która stała u góry i wracali na dół. Część ludzi zjechała też z tego strajku, który rozpoczęliśmy na górze. Zanim dyrekcja zorientowała się, co się dzieje, wielu ludzi przemknęło się na dół. Jak zobaczyła, że nie tylko wyjeżdżają, ale i zjeżdżają, to zablokowała zjazd.

Pytałaś o strach? Był wielki strach i poczucie niepewności, co zdarzy się dalej. Ale był to taki strach, od którego rośnie też opór. Do godz. 23.00 trwały dramatyczne rozmowy, rozmowy i przetargi. Strajkujemy? Nie strajkujemy? Zagazują? Zaleją? Nie zaleją? Czy nas nie wymordują? Co to dla nich? Wielu pamiętało, że kiedyś w Rosji zalewali kopalnie ze strajkującymi. Ale w ludziach było jednocześnie tyle rozpaczy, tyle protestu, tyle nienawiści. Strach robił się tym mniejszy, im więcej nas było. To dawało większą wiarę i jasność. Uzbierało się dwa tysiące chłopa co chcieli strajkować, może i więcej. Byliśmy na poziomie 650 metrów pod ziemią. Najbezpieczniejszym, do niego nie było żadnego zejścia.

Po zjeździe na dół my, jako Komisja Zakładowa „Solidarności", przejęliśmy wszystko w swoje ręce. W sposób zupełnie naturalny, bez mówienia. Automatycznie to się stało. Ten człowiek, który zorganizował strajk rano, stracił się od naszego zjazdu i już potem nie był aktywny do końca. Na dole czekali, co my powiemy. Ludzie zebrali się na poziomie 650 metrów i zaczęliśmy rozmawiać ze wszystkimi przez takie głośno mówiące urządzenia. Zdecydowaliśmy, że wszystkim trzeba wytłumaczyć, co się może stać. Bo było proste powiedzieć: „Strajkujemy!". Ale ludzie musieli być w pełni świadomi tego, na co się decydują. To już

nie był taki strajk jak w lato 1981 roku, dwie godzinki, luz, po kątach w karty grają... Tu nie wiadomo, co z nami będzie. Dla wielu młodych mogła to być atrakcja. Postrajkują i za parę dni z powrotem do roboty. A może to nie tak pójdzie? A może kula w łeb? Może paraliżujący gaz? W trakcie tych rozmów czułem ogromny nacisk psychiczny Odpowiedzialność taka, że unieść jej nie było można. Potrójna: jako przywódcy „Solidarności" w kopalni, jako dozór oraz jako stary, doświadczony górnik. Wszystko mogło się stać w takiej masie na dole. Słuchaj, to było jak garb wielbłąda, taka odpowiedzialność. Wysłuchali, pomyśleliśmy razem, podyskutowali zażarcie. Potem cisza była długa, długa. No i zdecydowali: strajkować. I tak już poszło. I zaraz górnicy się modlili i śpiewali pieśni kościelne. Tak potem było często.

Chcę ci jeszcze powiedzieć o jednym zdarzeniu w wigilię. Aby było jasne ile władzę ludową obchodzi człowiek. W wigilię byliśmy umówieni z chłopakami z „Ziemowita", że przyjdą do nas w nocy z opłatkiem. W wigilię po południu dowiedzieliśmy się, że „Ziemowit" strajk zakończył. Czy to prawda? Zobaczymy nocą, sprawdzimy. Do rana chłopaków z „Ziemowita" nie było, więc wzywamy naszych „komandosów" i mówimy: „Idźcie na 'Ziemowita', bo powinno być tam jedzenie". Poszli drabinami szybowymi na poziom 500 m, ale okazało się, że wejść już tam nie było można, bo ostatnia drabina od góry była odcięta. Rozumiesz? Drabiny szybowe są drogą ucieczkową dla ludzi na wypadek katastrofy albo unieruchomienia urządzeń szybowych. Przerwanie łączności z „Ziemowitem" było dla tej władzy ważniejsze, niż bezpieczeństwo 1.200 ludzi znajdujących się w tym dniu pod ziemią. Powtarzam 1.200 osób. W razie katastrofy, które w kopalni zdarzyć się mogą w każdej sekundzie, najczęściej o życiu decyduje możliwość szybkiej ewakuacji. Gdyby się coś w tych dniach zdarzyło, to 1.200 osób byłoby odciętych od świata. Nie wiemy do dziś, kto o tym zdecydował, ale kimkolwiek on jest, jest potencjalnym zbrodniarzem.

K.L.: — *Od zarania „Solidarności" świadectwa wiary jej członków i, szerzej, powiązania oczekiwań narodu z zaufaniem do Kościoła, były stałym elementem tego wielkiego ruchu społecznego lat 1980/1981. Wiem, że strajkujący górnicy w kopalni „Piast" mieli prawie stały kontakt z przedstawicielami duchowieństwa śląskiego. Jak odnosiłeś się do pewnego scalenia „Solidarności" z Kościołem w jawnym okresie działania nowego związku i jak górnicy odbierali politykę Kościoła po wprowadzeniu stanu wojennego?*

A.M.: — Trudna sprawa do mówienia. Powiem przede wszystkim

od siebie. Społeczeństwo polskie jest katolickie. Wielu, wielu wierzy bardzo mocno i tam szuka siły i poczucia bezpieczeństwa. Tym bardziej, że społeczeństwo znikąd tej opieki się nie spodziewało. Kościół w jakimś sensie był potrzebny „Solidarności", bo był potrzebny ludziom. W tych trudnych i napiętych czasach ludziom towarzyszył ksiądz i nabożeństwa. Widzieliśmy to na każdym kroku. Gdziekolwiek były strajki, protesty, napięcia, to był i ksiądz, i ołtarz, i medaliki, i święte obrazy... Gdzie tylko ludzie protestowali, wszystko wkoło było poobwieszane dewocjonaliami. Tak też było potem w internatach. Mnie od początku uderzało to szafowanie Matką Boską i Kościołem. Coś w tym było nie tak. Ja jestem wierzący z serca, ale nie praktykujący. I tak często chodziłem do kościoła; żona poganiała, dzieci były. A to, że byłem partyjny i partia zabraniała? Jeżeli jest to zgodne z moim sumieniem, a ktoś mi zabrania, to ja i tak będę to robił. Chcę w tym być uczciwy. W naszej działalności, w naszym biurze „Solidarności" uderzało mnie to — Matka Boska w biurze na ścianie, krzyż na ścianie, obrazki święte i medaliki na sprzedaż. Ja stanąłem w opozycji do tego. Początek był bardzo trudny, wszyscy na mnie huzia... hurra... Ale potem zgodzono się ze mną, że nie musi tak być. Uzasadniałem tym, że zakład pracy jest dla wszystkich, że u nas, na Śląsku, gdzie taki spęd ludzi, może być między nami i baptysta, i protestant, i człowiek wyznania żydowskiego, a może i jaki mahometanin, nie mówiąc już o takich co w ogóle nie wierzą, ich prawo. I trzeba to uszanować. To jest, jak by nie było, związek zawodowy, nasza społeczna instytucja dla wszystkich. Tu ma każdy swoje inne sprawy, a w kościele, z Bogiem, też inne. Każdy ze swoim Bogiem.

A po 13 grudnia? Wtedy, w te dni, i dziś też tak uważam, że Kościół na „Solidarności" zyskał najwięcej. Poszedł mocno do góry w czasach „Solidarności". A „Solidarność" na Kościele zyskała niewiele. Raczej straciła. Dla nas, tam w „Piaście", Kościół nie zachował się tak, jak się ludzie tego spodziewali. Mieliśmy ukryty telefon, stały kontakt na bieżąco i cały czas wiedzieliśmy, co się u góry dzieje. Czekaliśmy, tak jak na pewno większość strajkujących załóg, a także tysiące internowanych w więzieniach, na zdecydowane i ostre potępienie stanu wojennego przez Kościół. Nie doczekaliśmy się. Dla nas wtedy, tam pod ziemią, każdy taki głos byłby na wagę złota. Trzeba sobie uzmysłowić, że siedem dni komuna trzymała w tajemnicy sprawę strajku w kopalniach „Piast" i „Ziemowit". Siedem długich jak wieczność dni, podczas których w każdej chwili cisnęło się do mózgu pytanie: „Co z nami zrobią?". Świat o nas nie wie, Polska o nas nie wie. A komuniści zdolni są do wszystkiego. Co to dla nich 2.000 ludzi w rachunku dotychczasowych zbrodni? A po tych siedmiu dniach, kiedy komuna „odkryła" tajemnicę „Piasta" i „Ziemowita" i natychmiast przystąpiła do ordynarnego ataku na „zbrodniarzy", terroryzujących 2.000 ludzi zamkniętych pod ziemią, czyż z ambon, przynajmniej śląskich, nie powinny były zagrzmieć słowa sprzeciwu, słowa prawdy o sytuacji panującej pod ziemią w kopalniach? A przecież 20 grudnia 1981 roku było pod ziemią 3 księży. Odwiedzili prawie wszystkich górników, rozmawiali z setkami ludzi, spowiadali ich i błogosławili. Znali przecież całą prawdę. Nie słyszałem o publicznej próbie obrony nas z ambon w kościołach. Czy zjazd, w drugie święto Bożego Narodzenia, 8 lekarzy nie był efektem propagandy w *Trybunie Ludu* i *Żołnierzu Wolności*, że 30 % strajkującej załogi nadaje się do leczenia szpitalnego? Czy u wielu ludzi — czytających w tych gazetach o „zbrodniarzach" terroryzujących załogę nie powstawały wątpliwości, co się tam, na dole, dzieje? A przecież codziennie, po kilka godzin, był na dole lekarz zakładowy, a w wigilię był biskup z Katowic i 2 księży. To nie jest krytyka Kościoła. To są po prostu słowa goryczy, zbierającej się tam, 650 metrów pod ziemią przez te 14 dramatycznych dni. Jak np. teraz słyszę, że komuna występuje przeciw Kościołowi, to oczywiście się nie cieszę, bo nie ma się z czego cieszyć, ale myślę sobie, że to w dużej mierze skutek ich ugodowości. Z tym, że indywidualnie jest bardzo wielu wspaniałych, polskich księży. Szczególnie wśród młodych. Są inni niż to, co nazywam Kościołem. Tych wspaniałych są setki. Więcej o tym nie chcę mówić, ale myślę, co myślę. Powinno było pójść inaczej.

K.L.: — *Chcę Ci teraz zadać pytania bardziej osobiste. Czy masz za sobą, w rodzinie, jakiś „rodowód" opozycyjny? Działalność ojca czy stryjów w PPS, PPR albo AK?*

A.M.: — Niewiele wiem o swojej rodzinie. Nie znam tradycji rodzinnych. Byłem trochę poza rodziną. Matka zmarła, jak miałem półtora roku. Ojciec ożenił się po raz drugi, macocha mnie tłukła. Zabrała mnie i wychowała babka. Z pamięci rodzinnej wiem tylko to, że brat matki i brat ojca zginęli w Oświęcimiu, w 1942 roku. Jeden z nich działał w radio, drugiego aresztowano z powodu przynależności do jakiejś organizacji. Organizacji tej jeszcze nie było, dopiero się zawiązywała, a już poszły wielkie aresztowania. Jako dziecko mało rozumiałem, ale chyba ojciec zaszczepił mi trochę nienawiści do bolszewików. Długi czas nie zdawałem sobie sprawy, że bolszewicy i partia, do której należałem, to jest to samo. Mój ojciec miał wyższe wykształcenie, ale w czasie wojny nie pracował zgodnie ze swoim zawodem. Pracował jako wałowy... no, pilnował rzek. Mówił wtedy, że dla okupanta nie będzie pracował. Po wojnie też długi czas nie pracował zgodnie ze swoim wykształceniem, bo znowu dla bolsze-

wików nie chciał pracować. W 1961 roku, krótko przed śmiercią ojca, widziałem się z nim. Wtedy, już z łóżka, powiedział mi: „Nie wierz nigdy bolszewikom. I nigdy nie wypieraj się Boga". Mocno to zapamiętałem. Na nich mówił „bolszewiki". I ja do dziś często tak na nich mówię.

K.L.: — *W naszej rozmowie przewija się wątek Twojej przynależności do PZPR. Kiedy wstąpiłeś do partii, jakie pobudki kierowały Tobą przy podejmowaniu tej decyzji; czy byłeś czynnym działaczem PZPR?*

A.M.: — Polityką nie zajmowałem się nigdy. W 1959 roku poszedłem dobrowolnie do kopalni odrabiać wojsko. Tam też rozpocząłem naukę w Technikum Górniczym. Praca w kopalni była wtedy cholernie ciężka. Sprzęt do niczego, mechanizacja jakby jej prawie nie było. Trzeba było harować, aby coś zarobić. No i jednego dnia chciałem być sztygarem na kopalni. Powiedziano mi: „Jak chcesz być sztygarem, to musisz się zapisać do partii". No i się zapisałem, to wszystko. Czy działałem? Nie, żadnej działalności nie prowadziłem. Jak wielu byłem po prostu członkiem partii. Mało pamiętałem o tym, że w niej jestem. Nawet składki odciągano automatycznie. I z tym nie było kłopotu. Niewiele wtedy rozumiałem, co to jest PZPR.

K.L.: — *Kiedy oddałeś legitymację partyjną?*

A.M.: — Dopiero w czasach „Solidarności". Późno, wczesną wiosną 1981 roku. Zdecydowałem się na to wtedy, kiedy partyjne struktury poziome były głośne i starały się ciągnąć w swoją sprawę. Mnie wybrano na delegata na partyjną konferencję wyborczą. Jak zawsze wszystko pofałszowali i zrobili te wybory niezgodnie ze statutem. Ja wtedy mocno zaprotestowałem. Potem były drugie wybory i inni delegaci. W tym czasie głośna też była sprawa wolnych sobót i w kopalni trwała akcja protestacyjna. Kopalnia to potężny zakład, sprawa była bardzo ważna i właśnie wtedy postanowiłem złożyć legitymację partyjną. Tak się dziwnie złożyło, że nasza Komisja Zakładowa „Solidarności" składała się z samych partyjnych, poza jednym, wiceprzewodniczącym. Myśmy nic nie robili z tymi legitymacjami partyjnymi, z tą przynależnością do partii. Nie chcieliśmy dawać władzom pretekstu, że namawiamy pośrednio ludzi do występowania z PZPR. Uważałem, uważaliśmy zresztą, że przynależność do czegokolwiek jest osobistą sprawą każdego człowieka. Jednak w trakcie tej akcji protestacyjnej cała Komisja Zakładowa podjęła decyzję o wystąpieniu z partii. Oznajmiliśmy to naszym grupowym, ich było prawie 30 chłopa. Poradzili nam, abyśmy zrobili

to na piśmie i po odniesieniu domagali się pokwitowania odbioru legitymacji. Inaczej mogliby mówić, że wrzuciliśmy legitymacje do kosza albo i do śmietnika. Bo i tak ludzie pozbywali się legitymacji. Do sekretariatu PZPR poszliśmy we trójkę: przewodniczący „Solidarności" Zawadzki, Zbyszek Bogacz z Krajowej Sekcji Górnictwa „Solidarności" i ja. Reakcja była natychmiastowa. Powiedzieli, że akurat dyskutują nad wykluczeniem nas z partii. Tacy bystrzy. A myśmy się postawili okoniem, że my sami te legitymacje zdajemy. To my rezygnujemy, a nie, że oni nas raptem wyrzucają. Zagroziliśmy im skargą do Komisji Kontroli Partyjnej. I tym, że mamy świadków. Nie wiem czy to było ważne dla „Solidarności" i w skali kraju, ale dla nas było ważne. I tak zostało, że my rezygnujemy.

K.L.: — *W jakim momencie przystąpiłeś do działalności w nowopowstających związkach zawodowych „Solidarność", czyli jak wyglądał Twój start w czasie „podnoszenia głowy i prostowania pleców" społeczeństwa polskiego?*

A.M.: — Zapisałem się do „Solidarności" w październiku 1980 roku. W czasie, jak u nas mocno ta sprawa ruszyła do przodu. W listopadzie były wybory i na te wybory każdy oddział wystawiał swoich przedstawicieli. Szło to wtedy bardzo szybko. My chcieliśmy wytypować przedstawiciela dozoru, to znaczy reprezentanta sztygarów i kierowników oddziałów czyli bezpośredniego niższego i średniego dozoru na kopalni. Kopalnia jest zakładem tak specyficznym, że właściwie za wszystko co się dzieje na kopalni odpowiada właśnie dozór niższy i średni. Za ludzi, za sprzęt, za zdarzenia. Ten „dozór" nigdy nie miał żadnej ochrony. Robotnika broniła niby partia i związki. A dozór zaliczany był do dyrekcji. Dyrektor jechał po dozorze i górnik jechał po dozorze. Wpadliśmy wtedy na to, żeby dozór miał swoje przedstawicielstwo w „Solidarności". Było co prawda zalecenie „Solidarności", aby dozór miał przedstawicielstwo w swoich oddziałach, ale wtedy był możliwy wybór i decyzja własna. I stworzyliśmy własne koło „Solidarności" w kopalni. Zostałem wybrany jako delegat do Komisji Zakładowej na wyborcze zebranie. A tam wybrano mnie Społecznym Inspektorem Pracy. Funkcję tę pełniłem etatowo z ramienia Komisji Zakładowej „Solidarności" i na tym polu działałem.

K.L.: — *Kiedy, w jakim momencie podjąłeś decyzję o wyemigrowaniu z kraju i jakie były motywacje tego drastycznego dla każdego człowieka kroku?*

A.M.: — Powiem ci uczciwie. Praca w kopalni nie jest lekka. Od 1969 roku byłem kierownikiem oddziału na wydobywczej

kopalni „Silesia". Wcześniej już byłem sztygarem. Ta praca jest bardzo nerwowa i odpowiedzialna. Mówiono nam, że dozór winien wiedzieć nawet z kim śpi żona jego podopiecznych górników. Tak w praktyce było. Za wszystko się odpowiadało. To troszkę tych nerwów miał już człowiek mniej. A rok 1980 i 1981 to wszyscy wiedzą, jak było — kołowrót dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystko chciało się zrobić na raz. I człowiek tak się tym cieszył, że prawie nie spał i nie jadł. Ile to kosztowało? Wiele nerwów i pewnie kilka lat życia. No, a potem ten strajk, proces, internowanie, jeszcze później stałe śledzenie i presja na człowieka. Wszystko razem zrobiło swoje. Powiem ci, ja po wyjściu z więzienia byłem bardzo nerwowy. Gorzej ci powiem, ja się we własnym kraju po prostu stale bałem. Bałem się milicji, bałem się takich, co stoją na ulicy i nie odchodzą spod bramy. Widzę mundur i boję się. Słyszę samochód koło mojego domu i boję się. Co chwila miałem iść na komendę i meldować się. Jak tam szedłem, to zawsze tak myślałem: „Wyjdę? Nie wyjdę? Dziś już zamkną czy dopiero jutro?". Wiesz, każdy ma swój kres psychicznej wytrzymałości. 8 listopada, kiedy rozwiązywali „Solidarność", sprawa się przesiliła. Duch już się w ludziach przewrócił i sądziłem, że nie będzie żadnych strajków. Miałem zaległy urlop i trochę chciałem odpocząć, bo już nerwów nie miałem. Wracam sobie do domu, a mój syn: „Tato, koledzy byli". — „Jacy koledzy?". — „No masz się zgłosić na milicję". I w tym właśnie momencie miałem dosyć. Wyjechałem na parę dni za miasto, na komendę nie zgłosiłem się i cały czas myślę: „To ja mam już całe życie uciekać przed policją? We własnym domu czuć się jak zając? Albo trafić do szpitala psychiatrycznego w Rybniku?". I wtedy już żadnych wątpliwości nie miałem, żadnych wahań. Zawsze w życiu decydowałem raz i szybko to potem realizowałem. Nie ja jeden wyjechałem. Klika nieuków, złodziei, oszustów i morderców wypędziła z kraju setki tysięcy uczciwych obywateli tego kraju, a dziś zwraca się do społeczeństwa polskiego o poparcie „reform" uważając, że maltretowanie, więzienie i mordowanie robotników walczących o reformy jest rzeczą jakby niebyłą.

Ale noszę w sobie jeszcze inną sprawę związaną z wyjazdami działaczy „Solidarności" na emigrację. Powiem ci otwarcie, że mnie i wielu innych mocno urażono. Mam taką taśmę i do dziś ją trzymam jak drzazgę pod paznokciem. Ta taśma nazywa się „Dezerterzy?!". Znasz ją? Nigdy nie doczekałem się słowa krytyki na temat tej taśmy. Ja jestem do dziś oburzony. Bo ja miałem prawo wyjechać z kraju. Ja mam wolne prawo. Ja włożyłem ten wysiłek, tę przysłowiową „kropelkę krwi", niejedną łzę i dostałem tą policyjną pałą. Nikomu nie składałem przysięgi. To była moja wolna wola dla mojej ojczyzny. I ciężko całe lata

pracowałem. Jeżeli ktoś wydaje na mnie takie wyroki, mówi o mnie zdrajca, może tylko po to, aby zarobić na taśmach, daje tytuł „dezerterzy" z wykrzyknikiem, to jest to dla mnie obrażające. A „Solidarność" nie zajęła tu stanowiska. Rzucić człowiekowi w twarz słowo „zdrajca" może jest i łatwo. Tam, w kraju, powinny były odezwać się głosy ludzi mądrzejszych, tych którzy by potępili takie insynuacje. Ja się nie obraziłem na „Solidarność" jako taką, ale na dużych działaczy, że nic wtedy na to nie powiedzieli. Nas tu i gdzie indziej wyjechały tysiące. A taśma szła i szła. Emigracja w Polsce była zawsze, wyjeżdżano spod tyranii rosyjskiej jak pamięć dziadów sięga. Czy o Mickiewiczu, Kościuszce, Słowackim by powiedzieli, że zdradził, uciekł? A o prostych robotnikach, górnikach można? Tamci nie zdradzili. To komuna wołała w telewizji i *Żołnierzu Wolności*, że myśmy uciekli, zdradzili.

K.L.: — *W Stanach Zjednoczonych jesteś już prawie pięć lat. Sądzę jednak, że człowiek, który wyemigrował z kraju w takiej sytuacji jak Ty, jest stale pomiędzy „tu" i „tam". Z jednej strony większy komfort życia, odciążenie psychiczne i stałe potwierdzanie słuszności podjętej decyzji, z drugiej — pamięć o przeżyciach i zdarzeniach, o ludziach i po prostu „polskość". Myślami żyjesz tu, w Ameryce, czy tam, w Polsce? Gdzie jest Twoje „tu"? Czy i na ile uczestniczysz w życiu Amerykanów?*

A.M.: — Moje „tu" jest tam, w Polsce. Ja tu żyję, a cały czas jestem tam. Nie narzekam na życie tutaj, nieźle mi się powodzi, od początku prawie pracuję, od początku działam społecznie. Ale cały czas myślę o ludziach tam. Myślę o tych, co chodzą chyłkiem po „Piaście" z gazetkami, o tych co siedzą za odmowę przysięgi wojskowej, o szychtach w „Wujku", „Piaście", „Manifeście Lipcowym" i innych kopalniach. Dziś, 28 kwietnia 1988 roku myślę o tysiącach strajkujących robotników Nowej Huty, życząc im z całego serca zwycięstwa. Ale myśląc o nich, mam przed oczyma przygotowujące się do pacyfikacji oddziały ZOMO, milicji i wojska. I w każdej chwili tysiące młodych Polaków, w końcu naszych braci, prowadzonych za rękę przez degeneratów oficerów, którymi kierują „czisto polskije jenerały", może popełnić kolejny gwałt albo mord na bezbronnych robotnikach walczących o swoje prawo do godnego życia. Pamiętasz fragment z piosenki „Ostatnia szychta na kopalni 'Piast' "? — „Władza przebrana w mundury i bandyci przebrani za władzę. Znów na Placu Defilad u góry, na przysięgę żołnierzy prowadzą".

Tutaj czuję się jak w domu. Swój dom przeniosłem na drugi koniec świata. Tak się szczęśliwie złożyło, że w Sacramento, gdzie mieszkam, jest liczna grupa byłych „solidarnościowców". Jestem

tu i żyję tylko między Polakami. Bałem się Ameryki. Miałem za skórą komunistyczną propagandę. Morderstwa, przestępstwa, że na ulicy się nie pokaż, gwałty, Murzyni. A tu nic. Nic nie było dla mnie trudne i nie chciałem odwrotu. W życiu Amerykanów nie uczestniczę. To prawda, że mi ono nie odpowiada, ale to nie tylko to. Z kraju wyjechałem mając 43 lata. W tym wieku już trudno znaleźć prawdziwych przyjaciół nawet między swymi. Byłem kilka razy na *party* u kolegów z pracy. Oni wszyscy są bardzo ciekawi takiego egzotycznego kraju, jakim dla nich jest Polska oraz systemu, w którym my żyjemy. Słuchają zaciekawieni, co im mówisz, ale wkrótce się orientujesz, że oni z tego nic nie rozumieją. Bo jakże, na Boga, może to zrozumieć człowiek, który za godzinę pracy może kupić 150 jajek, że ten sam fachowiec w Polsce musi na to pracować 3 dni, a dzisiaj może już dłużej? Tu kolorowy telewizor robotnik kupi za tygodniówkę, jak mu wytłumaczyć, że w Polsce na ten sam przedmiot trzeba pracować może 6, a może 8 miesięcy? Patrzy podejrzliwie. *Party* — no cóż — piwo, wino, wódki piją mało, gdzieniegdzie zażywają „trawkę". *Party* to nie nasze, polskie spotkania, kiedy to prowadzi się zażarte dyskusje o wszystkim i o niczym, kiedy tak łatwo wypowiedzieć swoje wrażenia, myśli, przeżycia. Oczywiście, w próbach zbliżenia się do Amerykanów najwyższą barierą był i jest język. Z drugiej strony uważam, że Ameryka jest krajem, w którym można swobodnie żyć. Tu nie ma się poczucia, że jest się intruzem. A jako Polak nie spotkałem się jeszcze nigdzie ze złym przyjęciem.

K.L.: — *O emigracji „postsolidarnościowej" mówisz jako o byłych członkach „Solidarności". Czy nie czujesz się już członkiem tego polskiego ruchu społecznego, który tak bardzo zmienił Twoje życie?*

A.M.: — Nie jestem już członkiem „Solidarności" od momentu jak przekroczyłem granicę. Od chwili jak wyjechałem z kraju. Inni się czują jeszcze członkami swojego związku, ja nie. Tu nie ma „Solidarności". Ona jest i walczy w kraju. Ja już nie muszę tego robić. Ja już się przyzwyczaiłem być spokojnym i normalnie pracować. Wiem, że „Solidarność" działa też poza granicami kraju, wiem, że ma swoje przedstawicielstwa. Ja też działam dla „Solidarności", dla niezależnego związku w Polsce, dla idei tego wspaniałego ruchu. Ale działam jako Polak, a nie jako członek „Solidarności". „Solidarność" to jest wielka sprawa i wielkie słowo. Hasła tego ruchu poszły i jeszcze pójdą w świat. Za tymi hasłami pójdą młodzi w innych krajach i młodzi w Polsce. Ci, którzy przejmą pałeczkę. Ale ta moja „Solidarność", o którą walczyłem w kraju, została tam. „Piasta" i tych kolegów, z którymi

stałem pod ziemią, to ja mam w sercu. Ja to w sobie noszę i robię co mogę, żeby tego słowa „Solidarność", pisanego tak pięknie jakby szło, nigdy nie narazić na uszczerbek. Wszędzie tu mamy je ze sobą: w kościele, na lotnisku — jak witamy nowoprzybyłych, na rocznicach i manifestacjach, na piknikach.

K.L.: — *Po 13 grudnia 1981 roku poza granicami kraju pojawiła się kolejna fala polskich emigrantów. W wielu wypadkach „solidarnościowy" przełom wypłoszył z kraju działaczy chcących kontynuować swoją działalność na rzecz Polski. Co robisz tutaj dla „Solidarności" w kraju? Jakie możliwości działania na emigracji widzisz dla siebie?*

A.M.: — Widzę tu duże możliwości działania, a koncepcje są bardzo różne. My po roku pobytu tutaj utworzyliśmy w Sacramento grupę im. Lecha Wałęsy i wstąpiliśmy do Związku Narodowego Polskiego. Ja byłem w opozycji do powstania w Sacramento grupy „Solidarności", bo tamto zostawiliśmy w kraju. „Solidarność" jest własnością tych, którzy za nią cierpią i giną. Zgodnie ze statutem „Solidarność" działa w granicach Polski. Ale w Sacramento zawiązała się też grupa „Solidarności" jako oddział „Solidarności-Kalifornia". Grupą działającą bardzo mocno w Stanach Zjednoczonych był „Pomost". Najsilniejszą. Ruszył i rozdmuchał sprawę Jałty. Ale od dwóch lat przycichł, wygasł. Myślę, że silna, zwarta reprezentacja „Solidarności", czy szerzej opozycji, za granicą, mogłaby stanowić mocną grupę nacisku na rządy krajów zachodnich i na Amerykę, ale tak nie jest. Emigracja jest rozdzielona, powstają różne, różnie nazywające się grupy i grupki. Ja osobiście widzę inną drogę. Uważam, że Związek Narodowy Polski jest najliczniejszym i najsilniejszym polskim związkiem na emigracji. Ma około 400.000 członków. I tu trzeba przejmować pałeczkę po zgarbionych już osobach, które tak dużo zrobiły dla dobra kraju, choć nie ze wszystkimi ich posunięciami się godzę. Trzeba też działać w Kongresie Polonii Amerykańskiej. Myślę, i takie jest moje stanowisko, że jeżeli emigracja polityczna chce Polsce pomóc, to powinna zasilać szeregi ZNP. Ja działam na tym polu.

K.L.: — *Utarło się potoczne mniemanie, że Polacy źle pracują. Władze od lat prowadzą taką propagandę na użytek Zachodu i społeczeństw obozu socjalistycznego. Zachód często wyobraża sobie, że rzeczywistość polska wyglądałaby inaczej, gdyby Polacy solidniej pracowali. 25 lat pracowałeś w PRL, 5 lat tutaj, w Ameryce. Co mógłbyś powiedzieć o polskim robotniku, o trudzie, efektach i satysfakcji z wykonanej pracy w kraju i tu, na emigracji?*

A.M.: — W kraju słyszałem stale, że tu się pada na nos ze zmęczenia, choć wtedy można zarobić. To zupełna bzdura. Zarobić można, na nos się nie pada. Powiem więcej. Uważam, że polski robotnik jest dużo lepszy od amerykańskiego. Pracujemy tu z różnymi narodowościami. Polskiego robotnika bym się nie powstydził. I wstydzić nie muszę. Prawie wszyscy nasi pracują tu dobrze, często radzą sobie o wiele lepiej niż tutejsi, pomimo słabej znajomości języka. A to już coś mówi. Nie znam japońskiego robotnika, ale podejrzewam, że przy nim nasi też nie daliby się zjeść w kaszy. Ale tak, jak na całym świecie, każdy robotnik lubi być traktowany ostro, ale sprawiedliwie. I mieć warunki do pracy. W Polsce ciągle mówiłem, a tu widzę to dokładnie, że gdyby posłali do polskiej kopalni południowego Afrykańczyka z kopalni złota, to on by się po prostu obraził i poszedł sobie. Nawet nie tyle ze strachu przed takimi warunkami pracy, jakie są u nas w kraju, ale za takie traktowanie człowieka, jak się w Polsce obchodzi pracodawca z robotnikiem. Polscy robotnicy są dobrymi pracownikami. Wiele potrafią, więcej niż inni. Posłuchaj, jeżeli ty, jako matka, będziesz publicznie ogłaszała, że twoje dzieci są takie i owakie, będziesz o nich źle mówiła, to jak to będzie przyjmować ktoś, kto choć trochę myśli? Polska telewizja długi czas pokazywała naszego robotnika budowlanego przed budką z piwem w czasie godzin pracy. Śmieszna, celowa propaganda, a Zachód to łapie.

Znasz też stopień eksploatacji i marnotrawienia wysiłku ludzkiego w Polsce. Wiesz, jakie były różne metody wyciskania z człowieka, co tylko się dało. Siakie zobowiązania i normy, owakie czyny niedzielne, partyjne i inne bzdury. Wszystko, tylko organizacja i warunki pracy nie takie, jak trzeba. Człowiek jest normalny człowiek. Chce zrobić swoje, zarobić i żyć. Wciskano ludziom jakieś podstępne metody, wiązano cię nimi za twoimi plecami. Choćby w górnictwie — czym więcej metrów urobku, tym więcej będziesz miał pieniędzy. Z pozoru. Mało to głupców co się dało na to wziąć? Tych różnych stachanowców? — „Wincenty Pstrowski, górnik ubogi, wyciągnął normę, za normą nogi" — stare, ale jak wiele mówi. No, zarobił więcej przez miesiąc, dwa, pół roku, a potem to już musiał wykonywać to jako normę podstawową. I żeby więcej zarobić, musiał znowu pociągnąć więcej metrów. I tak to trwało w nieskończoność. W czasach „Solidarności" walczyliśmy o to, aby górnik zarobił godziwie przez 5 dni. A w niedzielę i sobotę, to jak chce, niech sobie dorabia do chałupy, albo odpoczywa na działce. Jego sprawa.

A jak marnotrawi się w Polsce wysiłek ludzki to widać po stanie zrujnowania kraju. A tu? Muszę ci powiedzieć, że jest to pierwsza praca w moim życiu, do której chodzę z wielką przyjemnością. Budzę się rano i cieszę, że idę do pracy. Rozumiesz to? Lubiłem górnictwo. To część mojego życia. Poznałem je dobrze, to jedyny zawód, jaki znam doskonale. W tej chwili nowego zawodu dopiero się uczę. I od początku tu poznaję nową, trudną pracę. Tokarka i frezerka. Jak przyjechałem to zupełnie nie znałem języka i to był duży kłopot. A mimo to jest to pierwsza praca w życiu, do której idę spokojnie i z uśmiechem. Nie powiem, w Polsce też miałem satysfakcję z pracy, bo było tam ciężko i jak się człowiek potrafił z tym uporać, to była to też satysfakcja. I tam w kraju zarobiłem też niezgorsze pieniądze, życie było niezłe. Rodzina miała warunki dobre, samochód miałem, piękne mieszkanie, często wyjeżdżałem odpoczywać, a za dwa lata miałem już iść na emeryturę. I przestać harować. Ale już nie chciałem dłużej żyć tam, w tym wszystkim. Zostawiłem wszystko i przyjechałem. Tam, w kraju, ten pieniądz był dziwny — ani za duży, ani za mały. Trudno było wydawać pieniądze zgodnie z chęciami i potrzebami. Tu mam wielką satysfakcję i z pracy, i z pieniędzy. Dostanę to co chcę, to co jest mi potrzebne. Tu mogę też szparować i zaplanować, że za dwa lata biorę urlop bezpłatny, na przykład pół roku, i jadę w świat, gdzie chcę. Jadę sobie po prostu tam, gdzie chcę, a nie gdzie mi pozwolą. I to jest to — jestem panem siebie. Jedno, czego się tu boję, to możliwości utraty pracy. Ale nie widzę tego jako kataklizmu. Jak utracę pracę, to na „bezrobociu" spokojnie wytrzymam do czasu poszukania innej. Akurat ja i w kraju żyłem stale pod presją utraty pracy. Były takie lata za ministra Porębki, nazywano go „krwawym Erykiem", który twierdził, że jak jedna rodzina płacze, to niech płacze i druga. Kierownik oddziału był na wczasach, zabiło mu na oddziale chłopa, to dostawał zwolnienie i już. Więc z presją utraty pracy też jestem otrzaskany.

Wiele rzeczy z tamtej rzeczywistości przywiozłem tu ze sobą. Ja stale widzę i mówię to, że mam w sobie piętno komuny, piętno zsowietyzowania. Bronię się przed tym, ale z tym rosłem. I stale w sobie potykam się o to. Dam ci jeden przykład. W szkole i potem cały czas późniejszy wtłaczano mi wiadomości, jak to wredni kapitaliści w Ameryce piją krew biednego robotnika, odliczając mu z dniówki nawet czas palenia papierosa. Do dziś mam to we krwi. W firmie, w której pracuję już prawie trzy i pół roku, mamy na koszt pracodawcy automat kawowy, śmietankę i cukier. Sami robimy sobie prawdziwą kawę wtedy, kiedy chcemy. Za każdym razem idąc z kubkiem po kawę, mam wewnętrzne wrażenie, że przełożony może mieć o to do mnie pretensję. Wiem, że tak nie jest, ale tak to czuję. Też piętno komuny.

K.L.: — *Wracając do Twoich wcześniejszych wypowiedzi i motywu „przejmowania pałeczki" przez następne pokolenia — jak,*

Twoim zdaniem, mogą się potoczyć dalsze koleje społecznego protestu i obrony przed systemem tak bardzo nieprzystawalnym do tradycji i aspiracji polskiego narodu?

A.M.: — Bardzo liczę na dzisiejsze młode pokolenie. Nie wyobrażam sobie następnego pokolenia, jeżeli ci dzisiaj nie pójdą ostro. Potem może już nie być pokolenia, które będzie zdolne walczyć o swój los. Dzieci tych młodych ludzi, z którymi byłem na kopalni „Piast", w grudniu 1981 roku, mają po 3-5 lat. Czytając prasę polską i tutejszą, ja sobie naprawdę nie wyobrażam tego życia w Polsce za 15 lat. Pół Polski będzie zatrutą pustynią. Nędza i choroby. Ja sobie nie wyobrażam, że komuna sama padnie, jak nie zostanie jakoś zarżnięta. Nie chcę być złym prorokiem, ale widzę to bardzo brutalnie. Po doświadczeniach ojców i dziadów, wielu młodych ludzi w Polsce nie widzi dzisiaj już innej drogi. Nie widzą też żadnej przyszłości dla siebie. A jako rodzice nie będą widzieli żadnej przyszłości dla swoich dzieci. Boję się, że to któregoś dnia musi pójść bardzo ostro. No, przecież w pewnym momencie ludzie nie wytrzymają i wezmą noże w zęby. Niech mi ktoś pokaże inne wyjście! Zmiany systemu nie będzie, a tylko zmiana systemu mogłaby Polskę wyprowadzić z tego bagna. I to ciężką, nieludzką harówą. Tak ciężką, jakiej jeszcze Polska nie znała. Zanim wszystkich zsowietyzują — to pójdzie na noże. Myślę, że wielu w Polsce już zrozumiało, że nikt nam nie pomoże. No kto, może Pan Bóg?

Patrząc z daleka i widząc jak ojczyzna i naród giną, nie mogę się pogodzić z tym, że większość działaczy opozycyjnych uważa, iż np. wywabianie „białych plam" historii Polski jest sprawą najważniejszą. Czy naprawdę w dzisiejszej sytuacji kraju najważniejsze jest to, aby Gorbaczow potwierdził, że NKWD zamordowało polskich oficerów w Katyniu? Na ten temat spisano tomy dowodów, zbrodnie komunistycznej Rosji zna już dziś większość cywilizowanych narodów świata. Przecież Gorbaczow, mając pod ręką „bezpiecznik" w postaci takiego zbrodniarza jak Stalin, w każdej chwili, jak zechce, zwali to na niego i po kłopocie. Komuna otrzepie się jak kaczka, która wychodzi z wody i zawoła: „To nie system, to Stalin. To nie system, to ekipa..." itp. Trzeba myśleć o ziemi, po której się stąpa. Tego komuna boi się najbardziej. Dziś, gdy Polska ginie biologicznie, nie czas na budowanie pomnika poległym, ale na ratowanie tych, którzy żyją i chcą żyć.

Społeczeństwo w swojej masie jest nieświadome zagrożeń biologicznych. Ogłupiane perfidną propagandą komunistyczną, rozdarte niezrozumiałą dla mnie ugodową polityką Kościoła, przyjmuje postawę bierną. Przed wiekami, kiedy nad Polskę nadciągało „morowe" powietrze, to dzwony w kościołach biły na trwogę. Dziś, kiedy mamy rzeczywiście zatrute, morowe powietrze,

wodę, las, pożywienie, ziemię całą, to z ambon kościołów na każdej mszy powinien bić dzwon na trwogę, aby społeczeństwo polskie zdało sobie sprawę z grozy swego położenia. To nie polityka, to ewangeliczny obowiązek obrony swoich wiernych. Wróg odkrył się 13 grudnia, jednak nie wszyscy zobaczyli go wyraźnie. Społeczeństwo, poznając stopień zagrożenia i rozumiejąc, kto jest przyczyną tego, może przestanie się zachowywać jak owieczka prowadzona na rzeź. Bez świadomości całego społeczeństwa, o co rzecz idzie i o co idzie walka, nie może być zdecydowanego zwycięstwa. A czasu jest coraz mniej.

K.L.: — *Widzisz los Polski bardzo dramatycznie. Czy nie masz wrażenia, że społeczeństwo polskie zbyt mało wierzy w swoje możliwości i siłę? Szczególnie wielkie skupiska robotnicze? Co jeszcze po „Solidarności" musiałoby się stać, aby naród uwierzył w siebie?*

A.M.: — Po 25 latach pracy na kopalni, jako stary sztygar, patrząc na to wszystko z perspektywy czasu powiem ci, że robotnik jest po prostu wiecznie otumaniany i wykorzystywany dla takich i innych spraw. Jest ogłupiony. Komuna robi to długo i dobrze, i wie co robi. Robotnika tumani i wykorzystuje do ostatka. Przecież to jest niewolnik w tym kraju, a nie wolny człowiek. Kościół ma swoje interesy i też człowieka podporządkowuje. Kościół mu mówi co innego, „Solidarność" co innego i różne małe grupki też coś tam wołają. A w środku ten robotnik, co ma siłę, ale nawet nie wie że ją ma, więc nie wie, co z nią zrobić. Widzisz, w Polsce inteligencja, też kościelna, cały czas żyje dla siebie, nie dla mas. Jeżeli oni chcą być rzecznikami tego społeczeństwa, to nie mogą być obok niego, albo u góry, nad nim. Oni powinni w tych ludzi wchodzić, wiedzieć co oni czują, jak myślą, jaką mają świadomość, być z nimi razem. Jeszcze raz powtarzam, powinni stale „smarować" ten robotniczy walec. I być w środku. Pamiętasz Bydgoszcz? Górnicy całą „Bydgoszcz" bardzo przeżywali. Takie przesilenie, ważyły się losy, to się czuło. Myśmy wtedy jeszcze wierzyli, że uda coś się zrobić w tym kraju, że my to możemy zrobić. A tu raptem koniec, strajku nie będzie. Pewnie, ludzie się wtedy bardzo bali, nie wszyscy chcieli iść na całego, ale jednak uważali, że trzeba. Byli zdesperowani, mieli poczucie, że jest szansa. Jeszcze mieli w sobie siłę. Początek jest zawsze trudny. Pewnie, że jak wszystko odwołano, to było też poczucie ulgi, że jeszcze nie zaraz się wszystko rozegra. To jest to co mówię, trzeba być wśród nich, wiedzieć, na co ich stać. Wtedy by poszli. A im się mówi raz tak, raz tak. Po odwołaniu byli rozbici w sobie, zmęczeni. I w sobie opadli. Z dzisiejszej perspektywy widzę, że trzeba było inaczej. Decyzja miała zapaść na

tak. Poszlibyśmy gdzieś tam, dziś może by już nas robale zjadły, może darń syberyjska pokryła, ale może już dziś szłoby ku lepszemu. Prawdopodobnie by sowieci nie weszli. A jak by weszli, to może byłby to już ostateczny początek końca komuny? Może drugi Afganistan? Ale tak, jak jest, to długa agonia. Polska ginie z dnia na dzień, powoli, ale dokładnie. Jest to takie samobójstwo na raty. Czekanie na to, aż gdzieś się coś samo ruszy — to już wtedy pewnie Polski nie będzie.

To, że ludzie nie wierzą w swoje możliwości? Ten robotnik, on jest prosty, kupuje *Trybunę Robotniczą* by mieć program telewizji i sport. Taka jest większość, a większość to siła. Wielu z nich nawet nie wie, że tę siłę ma. Nie wie nawet, że coś jest nie tak, z nimi i z tym krajem. Nawet po „Solidarności" wielu takich zostało. A ci co już wiedzą? Może widzą tylko beznadziejność szans? Może chcą przetrwać nawet tak? Może słuchają Kościoła, aby z miłością do bliźniego, jak brat bratu — a co mi bolszewik za brat? Nie wiem... nie rozumiem. Może muszą nabrać siły? Może część liczy na „gorbaczowowską *głasnost'*"? Komuna umie otumanić i zgnoić. Boję się, że wielu ludzi kupi Gorbaczowa.

Widzisz, robotnikowi trzeba dać coś takiego, aby on był to w stanie przeczytać. I zrozumieć. Mało jest takich gazetek, jakie robotnik jest w stanie przeczytać. Tak... Nie przerywaj mi. Ja wiem, że „Sierpień 80" miał za sobą Wolne Związki, *Robotnika* i KOR — czyli robotę inteligencji. Ale starczyło tego tylko na 16 miesięcy. Większość inteligencji żyje w swoim świecie i nie ma pojęcia, jaki jest prosty robotnik, zwykły czarny pracownik. Ja dopiero teraz wiem, że komuna robi wszystko, aby odizolować jednych od drugich. Teraz jestem taki mądry. Przed „Solidarnością" niewiele wiedziałem. Nie uwierzysz, ale ja do 1980 roku myślałem, że „cud nad Wisłą" to był cud kościelny! W stoczni dlatego trwało tak długo, że nie udało im się odizolować inteligencji od robotników. Byli zaskoczeni. Tak, wiem, po Radomiu powstał KOR, ale mnie chodzi o to, że w tym komitecie było kilkunastu, czy kilkudziesięciu ludzi narażonych na represje, a czarny, śląski robol nie miał pojęcia, o co im chodzi i o co oni walczą. W Piekarach strajkował kiedyś jeden człowiek — Kazimierz Świtoń. Stał jeden i strajkował. Nie pamiętam o co. Słuchaj, dla mnie to wtedy było śmieszne. Co tam stoi taki jeden, strajkuje i głoduje? Głupek, czy co? Ja się nie wstydzę mówić tego głośno, tego co przeżywałem, i tego, że nic nie rozumiałem. A jestem człowiek trochę oczytany, mam trochę oleju w głowie i mocny charakter. A co dopiero miał wiedzieć ten czarny, zupełnie prosty robotnik? Dopiero potem to się zaczęło ruszać. Różni przyjeżdżali. Ci ludzie z KOR-u zrobili bardzo dużo, to było jak światło w chodniku kopalni. Ale o co mi chodzi — to byli i są

wspaniali, poszczególni ludzie, a nie inteligencja. Od niej można więcej wymagać niż od prostego robotnika. A większość z nich mało się tym interesuje. Albo i nie interesują się niczym, co w tym kraju się dzieje. Robotnicy zresztą też. Na referendum nawet lecą. Co można jeszcze zrobić jak już była „Solidarność", żeby więcej zrozumieli? Niestety, mnie się wydaje, że taka jest większość społeczeństwa. Ja już liczę tylko na młodych. Z tego pokolenia wyjdą przywódcy tego, co się stanie.

K.L.: — *Powiedziałeś, że Twoje „tu" jest w Polsce. Sądzę zatem, że z uwagą śledzisz posunięcia administracji Stanów Zjednoczonych wobec Związku Sowieckiego i spraw polskich. Jak oceniasz politykę USA wobec Polski i jak, Twoim zdaniem, przeciętny Amerykanin widzi te sprawy?*

A.M.: — Przeciętny Amerykanin uważa, że wszyscy ludzie powinni być wolni, tak jak i on. Nie ma pretensji do rządu, że Ameryka pomaga wielu krajom, ale stanowczo protestuje przeciwko angażowaniu się w jakiekolwiek konflikty zbrojne. Uczciwość informacji tutejszych, niezależnych od rządu środków masowego przekazu, wytworzyła w mentalności społecznej wiarę w słowo przywódców. Dlatego też deklaracje Gorbaczowa, czy innych przywódców komunistycznych, przyjmuje się jak słowa własnego prezydenta i Amerykaninowi na myśl nie przyjdzie, że są to puste frazesy, a celem ich jest oszukiwanie uczciwych ludzi. Poza tym u boku Stanów Zjednoczonych toczy się obecnie wielka gra Kremla z Nikaraguą. My widzimy to inaczej, bo znamy mechanizm propagandy komunistycznej i znamy ofiary tej propagandy w Polsce w latach 1945-1956. Dziś tu łatwowierność Amerykanów prowadzi antykomunistycznych bojowników w Nikaragui do tego samego finału. Zobaczymy, czas pokaże, lecz ludzie znający komunę już to widzą: dziś Nikaragua, jutro Salwador, pojutrze Meksyk, ale czy „syty zrozumie głodnego"? Na tym tle i na tle innych poważnych konfliktów światowych jak Afganistan, Zatoka Perska, Kambodża czy Czad, Polska, z jej „coraz bardziej liberalnym" rządem jest na „najlepszej" drodze do demokracji.

W Polsce większość Polaków myśli, że Amerykanie nas bardzo kochają. Wielu z nas liczy na Amerykę. Ja też tak myślałem. Ale dopiero tu, czytając *Times'a*, patrząc w telewizor, zobaczyłem to inaczej. Doszedłem do przekonania, że Polska dla Stanów Zjednoczonych niewiele się różni od Etiopii czy Bangladeszu. Myśmy tak wierzyli w pomoc Ameryki dla naszych spraw, pomoc taką czy inną. Po roku już wiedziałem, że nic nie znaczymy. Nie zginie Polska, dobrze; zginie, trudno. Polska potrzebna jest po to, aby stale tam coś wrzało. Ta cała polityka supermocarstw jest tak potworna, a my w tym małe nic. Jeżeli Polska któregoś dnia

zacznie umierać z głodu, chorób, zatruć — setki, tysiące — to będzie jak z Etiopią. Jednego dnia podano, że zmarło tam np. 300 osób, a drugiego, że 299 i to już był sukces. Pośle się trochę żywności, trochę leków, trochę powie w telewizji, ale polityka? Nie. Powiedz tam w kraju, że nie ma na co liczyć. Afganistan i inne kraje są tego najlepszym dowodem.

Wywiad przeprowadziła Krystyna LASKOWICZ

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 438 — MICHAŁ HELLER

MASZYNA I ŚRUBKI

Michał Heller, dobrze znany czytelnikom z artykułów i przeglądów prasy sowieckiej w *Kulturze*, współautor (z Aleksandrem Niekriczem) historii ZSSR *Utopia u władzy*, jednej z najpoczytniejszych książek w drugim obiegu wydawniczym w Kraju, przeprowadził w swojej nowej książce drobiazgową i bogato udokumentowaną analizę systemu sowieckiego. W siedemdziesiątą rocznicę Rewolucji Październikowej, u progu „nowej ery" Gorbaczowa, czytelnik znajdzie w *Maszynie i śrubkach* odpowiedź na wiele nurtujących go pytań. Czy istnieje szansa „przebudowy" systemu sowieckiego? Czy wolno mówić o definitywnym ukształtowaniu „człowieka sowieckiego"? Lektura nieodzowna dla lepszego poznania naszego wschodniego sąsiada.

Str. 288. **Cena F. 120,00.**

◆

TOM 439 — JERZY KRZYŻANOWSKI

BANFF

Polak zamieszkały po wojnie w Kanadzie, dziennikarz sportowy telewizji kanadyjskiej, niegdyś żołnierz AK. Bohater powieści Krzyżanowskiego odcina się całkowicie od Polski rządzonej przez komunistów, z Krajem łączą go jedynie wspomnienia wojenne. Gwałtowny romans z młodą Polką z Warszawy staje się na krótko mostem przerzuconym między biografią emigranta i jego doświadczeniam z lat młodości. Temat nietknięty prawie w prozie polskiej, Krzyżanowski podejmuje go z sugestywną brawurą narracyjną.

Str. 160. **Cena F. 75,00.**

Pacyfikacja

5 maja, czwartek

Pierwsza noc strajkowa, która mogła być w miarę spokojna. Poprzedniego dnia wieczorem wyszli z Huty mediatorzy. Dyrekcja przyrzekła rozmawiać z Komitetem Strajkowym. Wydawało się, że konflikt w nowohuckim Kombinacie Metalurgicznym uda się rozwiązać przy stole rokowań. Przynajmniej większość hutników była tego pewna...

Elżbieta Krzyżostanek pracuje w Hucie od ośmiu lat. Jest suwnicową:

— Przyszłyśmy do pracy jak zwykle, na noc — opowiada. — Było zebranie, wiec na opakowaniach. Czytali nam ostatni komunikat, że Rada Kombinatu (Komitet Strajkowy — przyp. autora) zbierze się o 8-ej rano i prosili, żeby się nie rozchodzić, żeby było wszystko w porządku. We dwie z koleżanką poszłyśmy — było tak około 12-tej — napić się herbaty.

Może była za dziesięć 2-ga, może za pięć. Sprawdzaliśmy telefony, bo była obawa, że wjadą. Wtedy w aparatach był jeszcze normalny sygnał.

Mieli rozmawiać! Jak o 8-ej mieli rozmawiać, to myślałam, że niemożliwe, że wjadą.

Andrzej Szewczuwaniec, przewodniczący Komitetu Strajkowego:

— Mieliśmy informacje z kilku źródeł, że może być interwencja. Ja już od początku zmiany czułem, że coś się zdarzy. A można było wynegocjować porozumienie.

Gdzieś po 21-ej poprzedniego dnia, w czasie posiedzenia Komitetu Strajkowego przyjęto telefon w sprawie zmiany terminu rozmów. Ja nie rozmawiałem, dostałem tylko kartkę z informacją. Zaniepokoiło mnie to. Zadzwoniłem do dyrekcji — od tego pierwszego telefonu upłynęło może kilka minut — i zapytałem sekretarkę, czy była taka rozmowa. Ona mówi, że była, ale że dyrektora nie ma! Był tylko zastępca. W takiej rozmowie niby na luzie poinformowała mnie, że godzinę rozmów ustalą jutro o 7.45 i że nam to przekaże, bo oni, dyrekcja, mają bardzo dużo pracy. To mnie najbardziej zaniepokoiło.

Jak przyszła noc, to starałem się ludzi przygotować. Rozmawiałem, pilnowałem, żeby nie kładli się spać. Mówiłem, żeby trzymać się razem, nie rozpraszać się. Wystawiliśmy czujki, ale zawalili sprawę od strony walcowni drutu.

O godzinie 1-ej, już po wydaniu kolacji, kazałem kobietom pozamykać szafki i pomieszczenia. Wyznaczyłem elektryka, który pracował w hali maszyn i wyprowadziłem tam wszystkie kobiety. Hala maszyn to takie miejsce, do którego nie może wejść nikt obcy, nawet ZOMO. I dlatego tam były kobiety. Komitet Strajkowy chyba trochę zlekceważył sytuację. Poszli spać. Ja wiedziałem, że tego nie można przegapić, że z tych rozmów nic nie będzie.

Ksiądz Tadeusz Zaleski, kapelan strajkujących hutników:

— Gdy zarysowała się możliwość rozmów między Komitetem Strajkowym a dyrekcją zakładu, wszyscy zaczęli wierzyć, że wreszcie zwycięży rozsądek, również po stronie władz. Tę nadzieję umacniała obecność trójki przedstawicieli Episkopatu. Mieli oni upoważnienie ze strony kardynała Macharskiego i sekretarza Episkopatu, arcybiskupa Dąbrowskiego. Wówczas zapanowało odprężenie. Był to przecież również Dzień Hutnika, święto ludzi, którzy tam strajkowali. I wielu poszło po prostu spać, bo byli zmęczeni, bo wierzyli, że dopiero o 8-ej rano zacznie się coś dziać.

Niestety, perfidia dyrekcji była tak wielka, że właśnie przedstawicieli Episkopatu użyto jako narzędzi do uśpienia strajku. Miałem okazję rozmawiać z nimi w obecności jednego z biskupów. Byli tym załamani, w jak bardzo perfidny sposób — oczywiście nieświadomie, albowiem są to szlachetne osoby, które miały jak najbardziej szlachetne intencje — w sposób chyba nie mający precedensu w kulturze polskiej, doprowadzono do rozprzężenia zakładu. To, co miało stać się nadzieją, stało się podstępem.

Myślę — i wypowiadam te słowa prywatnie, nie jako kapłan — że taka manipulacja przedstawicielami Episkopatu jest najzwyczajniejszym policzkiem wymierzonym tym, którzy te upoważnienia podpisywali i wierzyli, że — tak jak ta trójka i dwie inne osoby jadące do Stoczni — jadą po to, aby rzeczywiście pomóc w nawiązaniu dialogu. Pan Pustówka, a ściślej mówiąc ci, którzy nim sterują — bo przecież, przepraszam za słowo, ale jest to tylko marionetka — wiedział już kilkanaście godzin wcześniej, co dalej. Oszukał każdego hutnika, który jest jego podwładnym. Oszukała nas władza. Myślę, że tego typu decyzji nie podejmuje nikt inny jak premier. On również nas oszukał.

Informacja Ministerstwa Spraw Wewnętrznych:

Rzecznik prasowy ministra spraw wewnętrznych, Wojciech Garstka, poinformował PAP, że w nocy z 4 na 5 maja siły porządkowe weszły na teren Kombinatu Metalurgicznego w Nowej Hucie i wyprowadziły przebywających tam organizatorów nielegalnego strajku. Wśród nich było również kilka osób nie będących pracownikami Huty. Nie stawiali oni żadnego oporu, a funkcjonariusze nie używali siły ani środków przymusu. Nikt nie odniósł najmniejszych obrażeń.

Przerwanie nielegalnych działań strajkowych na terenie zakładu trwało kilkadziesiąt minut. 38 osób zatrzymano i odprowadzono do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie.

Na terenie Huty przebywał wraz ze strajkującymi ksiądz Tadeusz Zaleski. Funkcjonariusze odprowadzili księdza do siedziby Kurii Metropolitalnej w Krakowie i przekazali księdzu kanclerzowi Bronisławowi Fidelusowi.

Informacja przekazana przez rzecznika milicji została skomentowana również przez Jerzego Urbana:

(...) Milicja wkroczyła do Kombinatu w Nowej Hucie w celu wyegzekwowania prawa i porządku oraz umożliwienia pracy większości załogi, która chciała pracować. Oceniono bowiem, że kontynuowanie strajku jest wymuszone przez mniejszość załogi z nielegalnym komitetem strajkowym. (...) Zatrzymano i przywieziono na przesłuchania do urzędu spraw wewnętrznych komitet strajkowy — z wyjątkiem 2-ch osób, które uciekły (w rzeczywistości 6 osób z Komitetu Strajkowego uniknęło aresztowania, w tym przewodniczący KS, Andrzej Szewczuwaniec — przyp. autora).

Urban oświadczył również, iż nikt nie doznał szwanku, nie doszło do żadnych incydentów. Była to operacja o charakterze porządkowym, a nie metoda rozwiązywania polskich konfliktów i problemów.

Akcję milicji skomentował także szef OPZZ, Alfred Miodowicz:

— Zgniatacz nie może nie pracować, jeżeli ma funkcjonować kombinat metalurgiczny. Byłem przerażony słysząc, jak beztrosko mówiono o pracy na tym wydziale. Od początku namawiałem kolegów z tego wydziału (Miodowicz niegdyś pracował w HiL — przyp. autora) do rozwagi i włączenia się do negocjacji, które prowadził związek zawodowy działający w hucie. Można się było spodziewać, że w przeciwnym wypadku dojdzie do sytuacji, gdy trzeba będzie usunąć z kombinatu prowodyrów spoza huty.

I dalej:

— Związki zawodowe zawsze były i są przeciwne użyciu siły. Natomiast związki zawodowe nie mogą z różnych powodów bronić tych, którzy podejmują strajk poza związkami, co jest chyba rzeczą oczywistą.

Miodowicz nie zająknął się nawet na temat pobitych robotników, choć mieni się być robotniczym przywódcą! Ani Garstka, ani Urban, ani Miodowicz nie spędzili w Hucie ani jednej minuty podczas 9-ciu strajkowych dni.

O godzinie 1-ej część strajkujących zauważyła koncentrację sił policyjnych przy bramie do Kombinatu. Praktycznie nikt nie spodziewał się ataku — przyrzeczenie podjęcia rozmów ze strony dyrekcji oraz udział grupy mediacyjnej Episkopatu były dostatecznymi argumentami, że nie wejdą. Myślano, że znowu straszą, że to kolejny element psychologicznej presji.

Godzinę później rozpoczął się atak. Naoczni świadkowie twierdzą, iż był on niezwykle brutalny, momentami przypominał planową masakrę i znęcanie się nad bezbronnymi. Ponad 40 osób zostało pobitych, w tym 8 bardzo ciężko.

— To było jak odgłos burzy — mówi 50-letni mężczyzna, robotnik z Wydziału Mechanicznego. — Wpadła ta grupa antyterrorystyczna w pełnym uzbrojeniu: topory, młoty, strzelby, pistolety na biodrze. Jak wpadli, to kazali padać na ziemię, a tych, co nie zdążyli albo uciekali, to pałowali. Potem robili selekcję; machał taki lufą przed twarzą i krzyczał: no co, strajkujesz czy pracujesz? Jak ktoś mówił, że strajkuje, to zabierali przepustkę i na bok.

— O 2-ej w nocy, kiedy zmęczeni, przepracowani hutnicy spali wierząc w dobre intencje — ciągnie swoją opowieść-homilię ksiądz Tadeusz Zaleski — wówczas rozpoczęła się pacyfikacja. Z tym, że pacyfikacja jest tutaj złym słowem. Pochodzi bowiem od słowa „pax" czyli pokój, a to nie było wprowadzanie pokoju, ale wprowadzanie nienawiści na wzór znanych nam wzorów ss-mańskich. Zaatakowano wszystkie strajkujące wydziały.

Użyto różnego rodzaju sił. Tam, gdzie ja przebywałem, na terenie Komitetu Strajkowego, w budynku mistrzów i brygadzistów na walcowni zgniatacz, użyto sił specjalnych, tak zwanej brygady antyterrorystycznej. Ich działanie polegało na ostrzelaniu tego budynku pociskami, petardami ogłuszającymi i oślepiającymi. Dopiero później bohaterscy antyterroryści wyłamali łomami drzwi, rzucili się na ludzi, najczęściej zaspanych, przygniatali ich do ziemi, wykręcali ręce, skuwali kajdankami. W ten sposób Mietek Gil został spacyfikowany (Mieczysław Gil — do 13 grudnia 1981 przewodniczący Komisji Robotniczej Hutników NSZZ „Solidarność", za aktywny udział w pracach Związku zwolniony z Kombinatu. Na teren Huty wszedł drugiego dnia strajku, we środę, 28 maja. Dokooptowany do Komitetu Strajkowego — przyp. autora).

Ja spałem w pokoju tuż obok Mietka — ksiądz Zaleski wolno, lecz bardzo wyraźnie cedzi słowa. — Na szczęście, sam nie wiem dlaczego, obudziłem się tuż przed pacyfikacją. Usłyszałem jakieś krzyki i to, co mogłem zrobić, to wyskoczyć przez okno i wdrapać się na suwnicę. Nie ukrywam, że bałem się, bowiem rozpętało się prawdziwe piekło. Strzelanie petardami, gaz i bicie.

Za brygadą antyterrorystyczną wpadły oddziały ZOMO, znane ze swoich pokojowych zamiarów. Ci, którzy w pierwszej chwili zostali ogarnięci przez siły uderzeniowe, mieli nieco szczęścia, albowiem ich tylko zepchnięto. Natomiast ci, którzy uciekali — czy to z budynku Komitetu Strajkowego, czy z innych hal — byli atakowani, bici. Widziałem to doskonale.

Widziałem również pracowników Służby Bezpieczeństwa poubieranych w robotnicze drelichy, którzy wpadali do hal i którzy, aby się odróżnić od strajkujących robotników, nakładali na głowy wojskowe, polowe czapki. Była to potworna brutalność.

Elżbieta Krzyżostanek próbuje o pacyfikacji opowiadać spokojnie i tylko co trzecie, czwarte zdanie wyrywa się jej: „nie mogę tak po prostu, to nerwy". Gdy opowiada o biciu, uśmiecha się. Jej reakcja jest zupełnie nieadekwatna do niedawnych przeżyć. To szok, który utrzymuje się dalej, po kilkudziesięciu godzinach od zomowskiego szturmu na Hutę:

— Wychodzimy z koleżanką z kantorka, cośmy piły herbatę. Na rogu, jak z małej hali wychodzi się na halę główną, jest tunel. Patrzymy, a tam zomowcy już ganiają z pałkami.

Uciekajmy, bo zomowcy — mówię. Nie wiadomo, co zrobią z kobietami: nerwy, strach po prostu. Jeszcze myśmy nie widziały wyrazu ich twarzy. Później żeśmy zaczęły uciekać, bo tam jeszcze byli inni koledzy, chciałyśmy ich powiadomić, że już wjechali. Moment, patrzymy — idą. Weszli na halę, potem do kantorka — widocznie musieli nas widzieć. Czwórka nas była.

Pani Elżbieta bierze głęboki oddech:

— A oni do nas w ten sposób: Klękaj — mówi — klękaj! Kładź się, kładź!

Myśmy się troszeczkę ociągali z tym klękaniem, no bo gdzież ja będę klękać, przed kim? Przed kim ja mam klękać?! Ale jak żeśmy się tak schylali, to uderzył mnie pałką w głowę. Uderzył mnie w głowę (nie mogę mówić, denerwuję się strasznie)... i momentalnie żeśmy klękły.

Później zabrali jednego pana z kantorka i nas zostawili. Więc uciekać, schować się, bo nie wiadomo, co zrobią, co będzie. Ten wyraz twarzy to żeśmy już z bliska widzieli, te oczy w słup postawione, dosłownie jakby byli pod działaniem jakiegoś narkotyku.

Łyk herbaty i nerwowy uśmiech pani Elżbiety:

— Przypomnieli sobie o nas — ciągnie — i wrócili. A my nie wiedziałyśmy po prostu, gdzie się schować. Nie wiadomo, co robić z sobą. Stanęliśmy koło walców. I wtedy jeden uderzył mnie w nogę — taki wysoki, twarzy nie pamiętam, są po prostu tak podobni do siebie. Uderzył mnie w nogę, aż kucnęłam przy tym walcu, i mówi: co, kurwo — mówi — jeszcze ci się robić nie chce? Strajkować ci się chce?

I dawaj nas teraz. Biegiem — mówi — biegiem. Uderzył mnie wtedy w plecy. Ten ból najbardziej odczuwam. Rękę mi paraliżuje, nie mogę nią ruszać. Wywróciłam się.

Nie wiem, co dalej. Miałam utratę przytomności. W końcu ocknęłam się.

Potem żeśmy szli. Nie szli! To był bieg, gorzej jak Niemcy gonili Polaków. Nie da się tego opisać. Te nerwy, to wszystko.

Później dwa razy uderzył mnie jeszcze w pośladek (mam jeszcze ślady, też boli mnie dość — noga nie boli mnie tak jak pośladek). Kazali biec, ale to tak, że biegiem — pani Elżbieta niemal krzyczy — jak do psów. Nie dam rady, to jest nie do opisania, co tam było.

Wzięli nas do takiego kantorka, gdzie siedzą mistrze. Ja już nie wiem, co się działo. Po prostu byłam w szoku. Tylko tyle wiem, że dzwonili po pogotowie. No i koleżanka mnie prawdopodobnie trzymała i mówiła, żebym się uspokoiła, bo prawdopodobnie wyzywałam wtedy: dlaczego tak z nami, jak się tego robotnika traktuje.

Andrzej Szewczuwaniec:

— Po 1-ej zaczęły przyjeżdżać pojedyncze samochody — myślałem, że chcą się rozeznać. Było chyba tuż przed 3-cią — patrzę, jadą 3 nyski i czerwony autobus. Powiedziałem: chłopaki, to

ZOMO. Wpadłem na świetlicę, zorganizowałem ucieczkę i wybiegliśmy. Mieliśmy ustalone, że gdyby coś się stało, to przebijamy się halą drutu i taśmy; tam jest taka krzyżóweczka, możliwość rozproszenia się w ciemnościach, bo światła były wyłączone. Biegłem ostatni (wiem, że Staszek Handzlik musiał im uciec, bo biegł przede mną). Jak już czułem, że te petardy wybuchają na plecach, to schowałem się pod wagonem. Nie znaleźli mnie.

Rano byłem na tym wiecu, cały brudny, też mnie nie poznali — śmieje się.

A tę ranę — pokazuje zabandażowaną dłoń — to zaliczyłem, jak brałem płot. Jak uciekaliśmy, to ja jeszcze zdążyłem wrócić po adidasy — znów śmiech z nutą przekornej radości — miałem odparzone stopy i chodziłem boso. I dokumentację też zdążyliśmy schować. Już wyszła z Kombinatu.

Jan Rudowski (relacja spisana w szpitalu):

— Na nocnej zmianie było nas około 200 osób. O godzinie 2-ej wpadło około 100 uzbrojonych w pałki, tarcze i pistolety gazowe milicjantów i krzyczeli: „do roboty". Moje stanowisko pracy znajduje się najbliżej tunelu. Rzucili się na mnie z pałami. Pod wpływem razów upadłem, a mimo to nie przestano mnie bić. Straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, odczuwałem ból na całym ciele. Pałowano mnie i kopano.

Wszystkim kolegom kazano położyć się na betonie i zakazano podnosić głowy. Chciałem przyjść do kolegów, leżeć obok nich. Pozwolono mi tam się przeczołgać bez podnoszenia głowy.

Po pewnym czasie kazano nam wstać i sformowano kółeczko. Po kolei, z listy, odczytywano nazwiska, pytając, czy chcemy pracować, czy nie.

Po wyjściu ZOMO dyspozytor i majster, widząc że dużo dostałem, kazali wezwać pogotowie. Zostałem skuty kajdankami i doprowadzony pod bramę, gdzie czekała karetka. Było nas 5 osób — 2 kobiety i 3 mężczyzn, których nazwisk nie znam.

(Jan Rudowski ma zaświadczenie lekarskie. Na górze pieczątka Kliniki Traumatologii szpitala z ulicy Trynitarskiej 11. Dalej: zaświadcza się, że ob. Jan Rudowski, ur. 3. 06. 58 Kraków, zam. Kraków ul. Garbarska 24/7 przebywał w tut. szpitalu od 5. 05. 88 do nadal — niezręcznie brzmi biurokratyczna formułka. Zaświadczenie wydaje się dla Komitetu Pomocy. Rozpoznanie: stłuczenie czaszki, wstrząs mózgu, rozejście się szwu węgłowego czaszki po stronie lewej, potłuczenia ciała i krwiak w okolicy uda lewego. Pieczątka i podpis lekarza).

— Za jakiś czas przyjechało pogotowie — ciągnie Elżbieta

Krzyżostanek — nasze, z Kombinatu, żeby mnie do szpitala odwieźć. Jechaliśmy przez wydział. Trochę było problemów, nie chcieli mnie puścić ale w końcu pogotowie podjechało. Podwieźli mnie pod bramę.

Na bramie stoi niesamowita ilość ZOMO. Po prostu tak, jak Niemcy okrążali obóz. Stało ich strasznie dużo. Nie przepuszczą pogotowia za nic z Kombinatu. Coś tam jeszcze zaczęli się rzucać. Ten lekarz, co mnie wiózł, mówi, że chorą pacjentkę wiezie, że w szoku (wtedy ja naprawdę nieświadoma byłam, nie wiem, jak to wyglądało pod bramą, wiem tylko tyle, że było ich masę i że nie przepuścili mnie).

Później oni gdzieś zadzwonili. Podjechała inna karetka i zabrali mnie. Mówię, że ja nie pójdę, no bo ja nie znam ich. Skąd mogę wiedzieć, kto oni są i gdzie mnie wywiozą. A oni mówią, że na ulicę Gala, do szpitala milicyjnego.

Ci, co panią pobili — mówi — niech teraz panią leczą.

Temu lekarzowi z Kombinatu nie powiedzieli, gdzie mnie zabierają. Słyszałam później, że on się martwił, bo nie wiedział, gdzie mnie dadzą, a nie mógł mnie zatrzymać... siłą; za dużo ich tam wtedy było.

— Wielokrotnie słyszałem — mówi spokojnym, donośnym głosem ksiądz Tadeusz Zaleski — o pacyfikacjach, rozbijaniu demonstracji, ale to była walka ze wszystkim. Sam zszedłem z suwnicy, po prostu bałem się, że spadnę. Widziałem zdemolowany budynek strajkowy (pozwolono mi wtedy włożyć buty, bo wybiegłem na bosaka). Widziałem wszystko rozwalone. Dokładnie. Przypuszczam, że walono pałami, łomami po wszystkim, co wokoło tam było. Szafki — to szafki mistrzów, które na okres strajku były zabezpieczone — stoły, szklanki, lustra, szyby. W moim pokoju wszystkie sprzęty liturgiczne, które miałem do odprawiania mszy świętej, były wyrzucone na ziemię. Na to wysypano komunikanty, niekonsekrowane, tylko te, które były do odprawiania przyszłej mszy. I na tym dopiero wyraźne ślady sił porządkowych, ślady butów.

Niszczono bardzo wiele rzeczy. Obraz Matki Bożej został zrzucony ze ściany walcowni zgniatacza. Widziałem rozbite lampki, które były wokół. Z opowiadań wiem, że równocześnie w ten sam sposób rozbito ołtarz, na którym kilka godzin wcześniej była msza święta na walcowni blach zimnych. To, co mnie jako Polaka najbardziej zabolało, to połamane biało-czerwone flagi, również pozrzucane i podeptane.

Po wygonieniu wszystkich z terenu hali wyprowadzono nas na taki placyk przed zgniataczem, gdzie wcześniej była msza. Przypominało mi to trochę rampę w Oświęcimiu, albowiem podjeżdżały suki, jak tam wagony i przeprowadzano selekcję. Członkowie Komitetu Strajkowego, ci, którzy nie byli w danej chwili zatrudnieni, wszyscy byli ładowani do tych bud. Tych, którzy na zmianie mieli pracować pytano, czy będzie strajkował, czy do pracy. Używano słów, których tutaj nie powtórzę. Oczywiście, wszyscy per „ty" — nawet takie młode łebki do starszych robotników, mogąc równie dobrze być ich wnukami czy synami. Była pewna konsternacja. Sam widziałem, jak członkowie Komitetu Strajkowego mówili: idźcie, pracujcie, bo przynajmniej w ten sposób wrócicie do domu i zostawicie wiadomość o nas.

Przed wywózką wraz z Mietkiem Gilem zostaliśmy odłączeni od reszty (Mietek miał skute ręce wykręcone do tyłu). Wpakowano nas do budy. Później jeszcze Władka Kiljana z Komitetu Strajkowego plus parę innych osób, najczęściej całkiem przypadkowych i tą pierwszą budą pojechaliśmy na komendę milicji.

To z czego ja osobiście miałem satysfakcję — głos księdza Zaleskiego wcale nie wyraża triumfu — to gdy nas, w tych brudnych, podartych ubraniach, straszliwie wysmarowanych, czasami bosych, wyprowadzono z bud i szliśmy przez korytarz, to szliśmy z podniesionym czołem. Ci, którzy spuszczali oczy, to właśnie milicja, SB-cy, mundurowi, którzy — myślę — nie mieli odwagi i chyba do dnia dzisiejszego nie będą mieli odwagi spojrzeć w twarz robotnikowi. Wprawdzie ciągle dawali nam do zrozumienia, że to nie oni, tylko ta brygada z Katowic, to ZOMO, ale mundur milicyjny jest jednakowy. Został on zhańbiony i odtąd każdy noszący ten mundur czy cywilne łachy SB-ckie może o sobie powiedzieć, że jest w jakiś sposób pohańbiony.

Na sali, gdzie nas wprowadzono, odłączono mnie z Mietkiem od reszty. Nie wiem, co się z nim stało. Widziałem go wtedy po raz ostatni. Mnie odprowadzono do innego pomieszczenia, bowiem już zidentyfikowano mnie jako księdza i o godzinie 6-ej zostałem wypuszczony, a właściwie odwieziony do Kurii Metropolitalnej.

Chcę jeszcze raz podkreślić, że mówię tylko o tym, co widziałem na własne oczy. Nie ma tu jednej rzeczy, która by pochodziła od kogoś innego. I jestem gotów świadczyć o tym, nie tylko przed dziennikarzami i agencjami, bo oni w tym nie raz węszą sensację, ale dopóki starczy mi sił i życia, zawsze będę o tym mówił, dzielił się tym, co przeżyłem.

(Dyrektor Wydziału do Spraw Wyznań Urzędu Miasta Krakowa — pisze *Gazeta Krakowska* — przeprowadził 6 maja rozmowę ostrzegawczą z księdzem Tadeuszem Zaleskim, w związku z rozpowszechnianiem przez księdza Zaleskiego nieprawdziwych danych o rannych, a nawet rzekomo ofiarach śmiertelnych w czasie przeprowadzania przez siły porządkowe w nocy z 4 na 5 maja

wyprowadzenia organizatorów strajku w Kombinacie Metalurgicznym w Nowej Hucie. Księdza Zaleskiego straszono sankcją prokuratorską).

Elżbieta Krzyżostanek: zawieźli mnie do szpitala milicyjnego na Gala. Robili mi tam EKG, zmierzyli ciśnienie i chirurg mnie też badał. Nałożył mi opatrunki z kwaśnej wody.

Chcieli mnie zostawić w szpitalu. Ja się nie zgodziłam. Mówię: mam małe dzieci, mąż idzie do pracy. A jeszcze słyszałam od innych osób, żeby nie zostawać, że ta sprawa będzie po prostu zatuszowana, że nikt się o tym nie dowie.

Doktor dał mi taką zieloną kartę, gdzie było opisane, co ci lekarze stwierdzili. Napisane było, że mam znaki w trzech miejscach, że to z pobicia i że zostałam pobita przez ZOMO.

Potem przyjechał mężczyzna po cywilnemu z wąsem i drugi w polowym ubraniu. To był chyba wojskowy albo milicjant; nie wiem, nie przedstawił się żaden. Rozmawiali z lekarzem jakieś 10 minut, przyszli do mnie i mówią: pani pojedzie z nami. Dokąd ja pojadę? — mówię — kto pan jest?, dokąd pan mnie wywiezie? Karetka miała po mnie przyjechać. Odpowiedział, że mnie do domu odwiezie. Ale ja jeszcze mówię, że tu miałam kartę, co lekarze napisali informację, żeby mi tę kartę zwrócili. A on mówi: pani już nic nie dostanie, żadnej karty.

(W związku z licznymi prowokacyjnymi plotkami, których celem jest sianie niepokojów społecznych oraz zapytaniami mieszkańców miasta, kierowanymi do urzędów, instytucji i placówek służby zdrowia, Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Krakowa wyjaśnia, że w czasie prowadzenia działań porządkowych na terenie Kombinatu Metalurgicznego w Nowej Hucie w dn. 5 bm. nikt z pracowników Kombinatu oraz funkcjonariuszy nie odniósł obrażeń wymagających interwencji i pomocy służb medycznych. Zdzisław Wójcik. Główny Lekarz Wojewódzki.

To oświadczenie uzupełnił rzecznik MSW, Wojciech Garstka: jedyny przypadek konieczności udzielenia pomocy lekarskiej w nocy z 4 na 5 maja na terenie Huty im. Lenina dotyczył — według słów kierującego akcją — starszej niewiasty, która zasłabła na skutek silnego zdenerwowania).

— Żeśmy dojechali do domu — opowiada dalej Elżbieta Krzyżostanek. — Przyszłam, to mąż jeszcze spał. Obudziłam go. Po prostu nie wiedziałam, jak mu to powiedzieć. Myślę sobie: powiem mu, że zostałam pobita, to zdenerwuje się, skoczy na nich! Mówię, że zasłabłam w pracy i że wzięli mnie do szpitala, i że ci panowie chcą, żebyś potwierdził odbiór. Tam nic nie było napisane, jaką mnie przywieźli. Mąż podpisał się, dał numer dowodu, oni poszli. Ja dopiero wtedy powiedziałam. Dostał szoku. Oni chyba by nie wyszli cali z tego domu.

Między 6-tą a 7-mą rano ci, którzy w zakamarkach hal przetrwali nocny atak ZOMO, spotkali robotników idących na pierwszą zmianę. Nie działał Komitet Strajkowy, choć sześciu jego członków uniknęło aresztowania, nie było żadnych struktur organizacyjnych. Spontanicznie powstały pochód maszerował w kierunku budynków administracji. Po drodze pierwsza zmiana dowiadywała się o szczegółach pacyfikacji. Pochód, a może już wiec, domagał się uwolnienia aresztowanych, ukarania ludzi odpowiedzialnych za brutalną akcję policyjną. Bez spełnienia tych żądań nie wrócą do pracy.

Wówczas nastąpił drugi atak ZOMO. Zablokowano ulice prowadzące do budynku dyrekcji, bramy pilnowała straż przemysłowa wzmocniona milicyjnymi posiłkami. Ludzie rozpierzchli się; tłum nie był przygotowany do jakiejkolwiek obrony. Znów łapanki, pałowania, bicie. Tego już było za wiele.

Pierwsza zmiana Kombinatu Metalurgicznego Huty im. Lenina nie podjęła pracy. Zgodnie z wcześniejszymi zaleceniami Komitetu Strajkowego, który na wypadek użycia przeciwko robotnikom siły wzywał do nieprzychodzenia do pracy, hutnicy demonstracyjnie opuścili Kombinat. Rozpoczął się kolejny etap robotniczego protestu — strajk absencyjny.

Bilans nocnego ataku na Hutę to ponad 40 pobitych, w tym 8 ciężko. Połamane ręce, sine plecy, odbite nerki, ale przede wszystkim podeptana robotnicza godność. Hutnicy — choć psioczą na Kombinat — to jednak traktują przedsiębiorstwo jak swój drugi dom. Niewielu ludzi wybacza, jeżeli ktoś pobije ich, wyłamując przedtem drzwi domu.

Tomasz JERZ

Strajk w stoczni

(ZAPISKI SPORZĄDZONE 11 MAJA 1988, NAZAJUTRZ PO WYJŚCIU ZE STOCZNI GDAŃSKIEJ)

Jestem po dziewięciu niedospanych nocach — w pociągu i na płatach styropianu, rozłożonych w stoczniowej stołówce, która stała się zarazem główną kwaterą i rotacyjną sypialnią dla tysiąca strajkujących.

W momencie, gdy to piszę, nie mam jeszcze wszystkich nota-

tek i taśm z nagraniami, które wynosił z oblężonej stoczni bystry mikrus, nieoceniony Sławek, bo ZOMO ze szczególną skwapliwością przetrząsała kieszenie dziennikarzy, jeśli mieli pecha nadziać się na patrol; zdarzyło się to niejednemu z korespondentów zachodnich, ufnych w swój prasowy status. Sławek to as wśród „kangurów", jak ochrzczono smyków skaczących przez płoty i przeciskających się podkopami, by Stocznia miała chleb i informacje. To on dziurami w płocie przeprowadził mnie, Jacksona Dilla z *Washington Post* i Johna Tagliabue z *NYT*. Sławek ma na rękach tatuaże; żeby dopomóc stoczniowcom, uciekł z „wychowawczaka". Ale wśród kangurów (i „kangurzyc") są także dzieci z najlepszych domów, są panienki, które piszą sentymentalne wierszyki, na przykład Dorota, w ostatnią noc strajku zbita przez ZOMO prawie do utraty przytomności.

Tyle dla objaśnienia, czemu dalszy tekst jest bałaganiarski.

◆

Noc z niedzieli na poniedziałek spokojniejsza. Trwają obrady Komitetu Strajkowego; godzina pierwsza. Dyrekcja stała się grzeczniejsza, już nie odnosi się do delegacji robotniczej, jak karbowy do fornala, co wczoraj zbulwersowało nawet Tadeusza Mazowieckiego, emisariusza Episkopatu. Ktoś przybiegł z wiadomością, że Jaruzelski mięknie, bo jest zagrożony.

Na dworze cisza. Warty przy II bramie śpią na dachach, jeden koc na dwóch. Widać snujące się patrole „smerfów", jak *vox populi* ochrzcił ZOMO-wców. Ci tutaj — informuje chłopak z warty — są z Krakowa i Olsztyna, a przy bramie trzeciej z Warszawy i Szczecina. Bibułę owszem biorą, dowcipy opowiadają, przekomarzają się ze strajkującymi. Już zaniechali pozorowanych komend do ataku, nie słychać miarowego łomotu pałek o tarcze ani przedszturmowych pohukiwań.

Andrzej C. mówi w zaufaniu, że to cisza pozorna. Są potwierdzone informacje o wielkiej koncentracji ZOMO z wozami bojowymi, „skotami" i helikopterami we Wrzeszczu, w rejonie ulicy Słowackiego. Jeśli nastąpi atak, to właśnie oni — ci z leśnych baz, od dawna szprycowani wrogością do „warchołów" i „elementów antysocjalistycznych" — pójdą w pierwszym szeregu, a nie rozmiękczeni milicjanci z blokady, rozmemłani ROMO-wcy, strzegący zapór ulicznych.

Uderzą tej nocy?

Idę pod prysznic. Męski zamknięty. W łaźni damskiej chłopcy drukują; wycofuję się, do „techniki" wstęp wzbroniony.

Godzina 2.36. Podobno Komitet Strajkowy zamknął się bez doradców i będzie jakieś głosowanie. Kładę się na chwilę, lecz sen nie przychodzi. O godz. 4.13 Janusz przynosi wieść, że zaczęła się czwarta runda rozmów z dyrekcją, bez naczelnego oczywiście, Tołwińskiego, który trzyma się na dystans — jest w łączności z Kiszczakiem.

Robotnicy leżą na zestawionych krzesłach albo pokotem na

styropianie. Ich przedstawiciele i doradcy nawet nie zmrużyli oka.

Wczoraj byli twardzi, dziś miękną! — zapewnia Zbyszek. — A nasi idą na full i grają już o wszystko, o „Solidarność" w całym kraju.

Godzina 5.16. Jeszcze nie wrócili z czwartej rundy, ale krąży plotka, że uzgodniono stworzenie komisji d/s przestrzegania porozumień, które niewątpliwie zostaną zawarte. Ta komisja obejmie przedstawicieli Rady Pracowniczej oraz Komitetu Strajkowego. To znaczy, że istnienie tego ostatniego zostanie formalnie uznane — i w ten sposób „Solidarność" uzyska okrężną drogą prawny przyczółek, choć jeszcze nie pod swoją nazwą.

Tak, to byłby połowiczny sukces.

Już pełne słońce. Pieje kogucik, którego jakiś pan ofiarował Lechowi na rosół, ale on ułaskawił go i awansował na stoczniową maskotę. Drugą jest jeż, który omal nie wpadł pod wózek akumulatorowy. Teraz łazi po stołówce i tupie.

O godz. 8.00 mija termin kolejnego ultimatum, chyba czwartego, ale na pogróżki rządowe mało kto zwraca uwagę. Co ma być, to będzie.

Nie ma robotnika, który by nie myślał o w k r o c z u. Boi się każdy, przecież wiedzą, jak rozjechano Nową Hutę; wiedzą, że wczoraj pod świętą Brygidą byli zabijacy z brygady antyterrorystycznej, których sama obecność sparaliżowała zapowiedziany wiec. Każdy boi się „wkroczu", ale go wpół instynktownie — pragnie. Nie, to złe słowo, ale jakim słowem określić ów stan ducha: nastrój przerażonego oczekiwania na łomot pałek, splecionego z wiarą, iż taki właśnie wariant — rozbicia strajku siłą — byłby najkorzystniejszy dla tych, co strajkują. I dla całej Polski. Rządy zachodnie jakby się wreszcie ocknęły po Nowej Hucie, zmącony został ich kurtuazyjny flirt z Generałem; politycy z RFN zareagowali tym razem mocniej, niż po 13 grudnia. Masakra stoczni-symbolu miałaby zaś rozgłos nieporównanie większy.

Władza to rozumie tym bardziej. Dlatego nie wkracza — tylko kusi, kołuje, zwleka, łudzi rozmowami, które sprowadzają się do żądania kapitulacji. Śle fałszywe sygnały pojednawcze — i kontrapunktuje je aktami psychicznego terroru; nawet emitowaniem z gigantofonów, czy może z helikopterów, odgłosów rzekomej bitwy w stoczni (strzały, chrzęst czołgów, skandowanie „ZOMO — Gestapo" i „niech żyje 'Solidarność'! "), aby gdańszczanie załamali się, słysząc jak ginie ich ukochany bastion.

Temuż celowi służą propagandowe brechty, jakoby w stoczni pozostała jedynie „garstka" robotników, którzy „okupują II bramę", uniemożliwiając innym zbożną pracę. Prawda, że liczba strajkujących spadła z około czterech (w środę) do niespełna dwóch tysięcy, że odpływ trwa nadal — ale już dziś, od wczesnego rana, większy jest p r z y p ł y w robotników z miasta przez dziury w płocie i załomy murów. Mimowolnie rządowej propagandzie pomagają korespondenci zachodni; Mr Jackson Dill twier-

dzi, że policzył wszystkich strajkujących — i jest ich dokładnie 350...

Tylu jest, lub niewiele więcej, w centrum strajkowym, przy II bramie. Jest jednak sześć innych bram, kilkanaście wydziałów, transport, zaplecze i wszędzie choćby garść strajkujących.

Po rannej modlitwie czytanie pozdrowień z kraju: pan Majdański śle słowa otuchy, oraz duszpasterstwo z Zamościa, a także pisarze polscy i rodzina Kozłowskich z Gdyni. Po każdym komunikacie tej treści — oklaski. Słabnące oklaski. Czeka się na inne komunikaty: czy stanęły wielkie zakłady?

O godz. 9.00 wiec, Alojzy Szablewski referuje, co działo się w nocy. Postulat płacowy nie może być spełniony. Nie ma też zgody na przywrócenie „Solidarności".

Rozchodzą się, mimo wszystko w niezłym nastroju. Nie wierzą Sile-Nowickiemu, którego poinformował sam Kiszczak, że nigdzie w Polsce nie ma strajków. To przecież niemożliwe, by wszyscy odpuścili... Obietnicę Kiszczaka, że polityczni wyjdą na wolność — pod warunkiem zakończenia strajku — przyjmują z niewiarą. Jeden passus uchodzi uwadze większości, lecz najbystrzejsi z robotników wyłapują go bezbłędnie: otóż komisję rozjemczą ma powołać t y l k o samorząd pracowniczy, i w porozumieniu nie będzie żadnej wzmianki o Komitecie Strajkowym.

To oznacza ofertę kapitulacji bez warunków honorowych. To przejść nie może.

Zjawia się Wałęsa. Chcą nas załatwić metodą „odpływową" — powiada — czekają, aż wszyscy uciekną ze stoczni jak szczury. Ale ja nie wyjdę. I wielu zostanie. Nie chcemy jałmużny, żądamy „Solidarności" — i niech nas biorą, jeśli chcą!

Owacja! Entuzjazm! Ale rozmowy w grupkach trwają i nie wszyscy mają dziarskie miny.

Godzina 11.05. Wiadomość, że stanął „Ursus" i coś we Wrocławiu, chyba stocznia rzeczna. W stołówce rejwach, euforia. Barometr nastrojów idzie na wyż. Teraz możemy się trzymać, choćby tydzień i dwa! Bogdan B. mówi na stronie: jeśli to prawda, to może zaczną się wreszcie poważne rokowania.

Siła-Nowicki wyszedł ze stoczni, mówiąc, iż jego rola skończona, bo nic więcej zrobić nie można. Ale wkrótce wróci i będzie do końca.

Godzina 11.50. Wałęsa, jak zwykle spokojny, pojawia się w stołówce i apeluje, by nie słuchać plotek, nie histeryzować, nie wierzyć fałszywkom, których krąży coraz więcej. „Siła odpadła — powiada — teraz cała walka przesunęła się na świadomość". Pertraktacje się nie powiodły, ale kraj się z nami solidaryzuje, w Gdańsku ruch, tyle, że rozbijany. „Jeszcze sobie pogramy" — zapowiada i wzywa na masowy wiec po południu.

Patrole stoczniowców, które obchodzą wydziały, przynoszą wieści krzepiące. Grupa „dyrektorska", złożona z majstrów, kierowników i partyjnych pożarła się z oddziałem zmobilizowanych członków Obrony Cywilnej; i ci, i tamci siedzą od wielu dni w gmachu dyrekcyjnym i w starym bunkrze, jako „zdrowy trzon klasy robotniczej", który ma przystąpić do rozbijania strajku od

środka, gdy tylko będzie mniej strajkujących. Ale na to się nie zanosi; podtatusiali panowie w hełmach stoczniowych, prowadzeni przez dyrektora Deptałę, który w ręku dzierży ogromny kostur, rozpływają się, rozchodzą po kątach, na sam widok pięciu czy sześciu stoczniowców; Obrona Cywilna też nie pali się do wypychania swoich — bądź co bądź — kolegów. Na dobitkę podrzucono im świnię, w postaci nasłuchu z rozmów między oficerami MO, którzy o swych cywilnych sojusznikach-dywersantach wyrażali się niezbyt parlamentarnie.

A nam przybywają posiłki. Mój *cicerone* Sławek zjawił się dziś na czele dwóch dziewczynek, lat trzynaście i czternaście, które przyniosły listy; trójka promieniuje dumą, a szczególnie on, wódz.

Poza tym, do południa, czas biegnie relaksowo, wartownicy opalają się na dachach i trawnikach, reszta snuje się, tylko młodzi z WiP i innych wspomagających organizacji młodzieżowych, których w Gdańsku zatrzęsienie, mają ręce unurzane w farbie. Bibuły robi się różne rodzaje: jedne na strajk, inne na miasto, jeszcze inne na zmiękczenie „smerfów". Dużo tego trzeba wydrukować, a maszyna do pisania jest jedna, jedno tylko jest do nasłuchu wiadomości zdezelowane radio „Jovita I C", zaś ukryty za przepierzeniem drukarski kręciołek też nie stanowi szczytu techniki. W Sierpniu głos z radiowęzła roznosił się po najdalszych zakątkach stoczni, teraz to narzędzie agitacji pozostało pod nadzorem dyrekcji, nawet nagłośnienie sali szwankuje. Lechu złości się; mówi coś pilnego, a z kolumny nagłaśniającej wydobywają się jedynie piekielne świsty, skrzypienie, przerażający wizgot elektroniczny. Strajk jest biedniutki, jedynie prowiantu, dzięki ofiarności gdańszczan i poświęceniu wyrostków, nie brakuje. Nawet kawa bywa, nawet czekolada!

Godzina 14.07. Przychodzi Lechu... w buraczkowych kapciach! Nie on jeden ma kłopot z odparzeniami — głównym wrogiem strajkujących. Ze wszystkich medykamentów na stoisku sanitarnym największym powodzeniem cieszy się talk. Poza tym zdrowie dopisuje.

Wałęsa mówi:

— Cieszę się, że jeszcze jest nas dużo. Nie myślcie „wejdą — nie wejdą", bo to już nie nastąpi, choć nie jest wykluczone, że nas będą chcieli zaskoczyć od środka. Dalej razem walczymy solidarnie — Wy, Komitet Strajkowy i Lech Wałęsa. Musimy uprawiać obronę psychologiczną. Nie podniecać się doniesieniami, że „browar w Pcimiu zastrajkował". Wziąć watę w uszy i wszystko o-le-wać! (burzliwe oklaski). Wałęsa ma jeszcze parę asów, z których dotąd nie skorzystał. Teraz jest szczyt naszej walki, i owoce z tego muszą wkrótce być!

On zawsze tak mówi o sobie: nie „ja", ale „Lech Wałęsa". Może to pretensjonalne, może to śmieszy intelektualistów, ale robotnicy ufają mu, nawet ci młodzi i najmłodsi.

Co nie znaczy, że nie zadają mu kłopotliwych pytań.

Jeśli nie wie, jak z nich wyjść, odpowiada wymijająco:

— Dobrze, że macie inne zdanie, na tym polega demokracja.

A w ogóle, jest lepiej, znowu napływają ci, co wyszli ze stoczni, bo im żony mówią: „Wracaj, tchórzu stary".

Owacja i wspaniałe humory.

— A jak mi się uda — rzecze Wałęsa, coraz bardziej podochocony — to drugiego Nobla mam w kieszeni!

Na obiad zupa gulaszowa i gulasz trochę gęściejszy na drugie. Na deser słodkie bułeczki, które w plecakach przyniosły trzy śliczne nastolatki.

Wałęsa gra teraz na przeciągnięcie strajku o dzień, o dwa, trzy — wbrew przekonaniu części doradców i członków Komitetu Strajkowego (może większości, przecieki są wieloznaczne), którzy bardziej liczą na podpisanie jakiegoś porozumienia. To rachuby wątpliwe, bo po paru godzinach lepszej atmosfery — dyrekcja znów się wyraźnie usztywniła; to znaczy, że usztywniła się warszawska centrala lub może jakieś jej segmenty. Czy to taktyka sprzecznych sygnałów, mącenia w głowie, podejmowana przez jednolity ośrodek — czy może już przejawy walk klikowych w elicie władzy, o których ćwierkają wszystkie wróble? Nie ma co się nad tym zastanawiać, dopóki nie ma wyraźniejszych sygnałów. Tymczasem trzeba wytrzymać i nie dopuścić przynajmniej do tego, by przegrany strajk — bo nie zrealizował swych postulatów — zmienił się w klęskę. Wałęsa lansuje tedy własną koncepcję, chwilowo bocznymi kanałami: niczego nie podpisywać, rozmowy zerwać, przynęty płacowe odrzucić, o gwarancje bezpieczeństwa nie dbać — i wyjść ze stoczni kupą, z podniesionym czołem.

To stanowisko nie jest popularne wśród doradców, preferujących układy. Ani wśród robotników, którzy — odwrotnie — chcą walczyć do oporu...

Pod wieczór wieść hiobowa: Ursus przerwał strajk. „Zawiesił" go do czwartku. To znaczy, że już go nie podejmie. Stoczniowcy doskonale znają, bądź wyczuwają, dynamikę procesu strajkowego: albo gruchnąć, od razu, albo nic z tego nie wyjdzie.

Duch jednak, o dziwo, nie opada. Jakiś robotnik, z tych nieco starszych, mówi:

— Niech i tak będzie, to może nawet lepiej. My byliśmy kolebką „Solidarności", a teraz będziemy ostatnią redutą.

Więc wszystko idzie normalnym rytmem.

Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność" wzywa całą Polskę do masowych protestów.

To żadnego wrażenia nie robi. Co z tym Bujakiem, że nie zatrzymał Ursusa?

Na Poznań też nie ma co liczyć — mówi pani Basia, która widziała się z Pałubickim.

W Elblągu rozrzucono trochę ulotek — i tyle.

Siła-Nowicki wraca od biskupa. Poproszono go, przez oficera z blokady, o telefon do Kiszczaka. Wszelkie warunki stoczniowców odrzucone. Na godzinę 8.00, 10 maja, piąte ultimatum. Można się więc wyspać do rana. Krzysio Wyszkowski prostuje: Kiszczak zgodził się na warunki, ale dyrektorzy odmówili. Same zmyłki i przekłamania. Abrakadabra.

Noc z poniedziałku na wtorek. Godzina 2.34. Alarm! Przerzucają przez kanał pontonami duże grupy OC, 40-70 cywilów.

Godzina 2.58. Łuna od strony Stoczni Północnej. Ktoś podpalił magazyn farb. Widać smugi symu w poświacie.

Godzina 8.00. Minął termin kolejnego, piątego ultimatum.

Godzina 17.25. Spotkanie w stołówce. Najpierw Szymon Pawlicki recytuje wiersz anonimowego twórcy „Majówka stoczniowców", potem Drawicz opowiada o *pieriestrojce*. Dzielny Andrzej! Przelazł godzinę temu przez płot, poważnie skaleczył dłoń, jest w bandażach. Przekazuje serdeczne pozdrowienia od całej Warszawy.

Godzina 18.15. Wchodzą: Wałęsa, Szablewski, Mazowiecki i Komitet Strajkowy. Dziś już nie ma ani jednego dziennikarza zagranicznego. Nie przedarli się.

Zaraz na wstępie głosowanie w KS, pełna sala, ale tumult, nie słychać kto i za czym głosuje, tylko widać, że ręce podnoszą.

Szablewski: „Jako przewodniczący Komitetu Strajkowego muszę się do was zwrócić z decyzją. Większością głosów zapadła suwerenna decyzja o opuszczeniu stoczni bez pertraktacji z władzą. Wygraliśmy sprawę bezcenną — młodzież. Ogłaszam zakończenie strajku bez zawarcia porozumienia.

Wałęsa: Nie jesteśmy przegrani. Bierzemy koce, żywność, chleb i idziemy razem, zwartym szykiem do Brygidy.

Mazowiecki: Nie dało się doprowadzić do porozumienia. Wiecie, że ta decyzja jest ciężka i trudna, ale czasem rozejm trzeba zawrzeć.

Siła-Nowicki: Warunki nie pozwalały na podpisanie porozumienia. Wszystko, na co zgodziły się władze, to gwarancja bezpieczeństwa, dana przez prokuratora. Nikt nie będzie zatrzymany. Stworzone zostaną odpowiednie komisje rozjemcze, ale bez udziału Komitetu Strajkowego. Tu rodziła się idea „Solidarności" i dlatego zależy nam, żeby zakład istniał, wbrew groźbie o rozwiązaniu stoczni.

Dyskusji właściwie nie ma; wszyscy są zszokowani, twarze oniemiałe, w wielu oczach łzy. Do mikrofonu podchodzi jakiś robotnik: źle się stało, że nie przekształciliśmy strajku w pełny strajk okupacyjny. To był tylko strajk na poparcie Nowej Huty. Nie przejęliśmy władzy w całej stoczni i to był błąd. Rozumiem, że nie można teraz dopuścić do tego, by został Lechu i 40-tu rozbójników.

Wałęsa: Największe zwycięstwo by uzyskali, gdyby w tym momencie udało się nas podzielić. To by była najgorsza rzecz.

Jeszcze coś mówi, inaczej niż zwykle, bez żarcików i emfazy. Przemówienie polityka, który wziął na siebie ciężar dwóch decyzji: najpierw przeciw stanowisku doradców, potem wbrew woli robotników. Nie protestują, ale i braw nie biją. Cisza. Cichy płacz wielu, głuche milczenie większości.

Grzegorz Pelowski, dziewiętnastolatek, nagle histerycznie szlocha. — I znów każą czekać! Ile jeszcze? Czy się doczekamy?

Teraz, teraz trzeba było dopieprzyć! Zostajemy chłopaki! Nie wychodzić! Kto nam drugi raz zaufa?

To się udziela. Już drugi woła o szubienicy, już trzeci o zdradzie... Zaraz będzie zbiorowy obłęd... Szczęściem, paru przytomniejszych robotników uśmierza oszołomów — ratuje solidarność. Wraca spokój; zimny, nienawistny spokój; biada tym, przeciw którym wybuchną znów, bogatsi doświadczeniem.

A wybuchną. Może za rok. Może wcześniej. Stocznia nie podda się.

Godzina 20.00. Formuje się zwarty, gęsty szyk kolumnowy. Szeroki jak brama, głęboki aż po szpitalik stoczniowy, ponad sto metrów od czoła. Jest ich co najmniej półtora tysiąca — tyle dziś wydano kotletów mielonych, które jakaś pani zafundowała strajkującym, kosztem 700 tysięcy. Ale nie wszyscy zdążyli na kotlety, nie dotarły one przecież do odległych bram, ani na warty przy parkanach. Oto ta „garstka", oto ta „topniejąca grupka wichrzycieli"...

Wózki akumulatorowe zwożą tych z najdalszych placówek. Nie zostawimy ich przecież. Jeszcze „Boże coś Polskę"... Jeszcze hymn...

I cisza. Żadnych już więcej okrzyków. Tłum tężeje. Na czele Komitet Strajkowy. Wałęsa w środku kolumny, pod rękę z dostojną Panią Profesor, która czuwała nad zdrowiem strajkujących. Obok Mazowiecki, Siła-Nowicki. Doradcy. Garstka dziennikarzy. Ramię przy ramieniu, żeby któregoś nie wyrwano.

Godzina 20.08. Rozwiera się krata legendarnej bramy; na przedzie krzyż zbity z dwóch listewek, za nim biało-czerwona, po bokach biało-niebieska, stoczniowa i trzecia flaga — „Solidarności". Wolny, miarowy krok przez pustkę miasta, przez strefę niczyją, nad którą góruje Pomnik Poległych Stoczniowców. Nikogo w zasięgu wzroku, oprócz buro-zielonych polowych mundurów ZOMO. Rozstępują się, znoszą bariery. Pochód skręca w lewo, wciąż wąwozem martwych ulic oczyszczonych z przechodniów. Nikogo, nikogo nie ma, miasto nie wie, że stoczniowcy wychodzą — bez żadnych nikczemnych porozumień, bez obietnic, bez podwyżek, bez gwarancji bezpieczeństwa; wychodzą przegrani, ale nie pokonani.

I nagle donośny, wibrujący głos dzwonu od Brygidy. Zwija się pośpiesznie druga zapora milicyjna. Pochód kroczy wolno, bez okrzyków, bez pieśni.

Bariera trzecia — a za nią szał! Znienacka gęstnieje szpaler na chodnikach, ludzie biegną na oślep z sąsiednich ulic, otwierają okna, wylegają na balkony — szał, szał entuzjazmu. Zakazane hasło „Solidarność" huczy zewsząd, a przez jego rytm przebija się skandowanie: „Dzię-ku-je-my!".

Orszak kroczy miarowo, w zawziętym milczeniu. Dzwon coraz głośniejszy, powielany echem... Szloch jakiejś kobiety — wpada w szyk — ściska męża — wybiega. Teraz ojciec syna... I następny... I jeszcze. Uścisk — i na chodnik, jakoś nagle uznali, że w tym pochodzie mogą iść tylko ci, którzy byli w Stoczni do końca.

Potężnieje dzwon. Na stopnie gmachu Szkoły Muzycznej wypada czereda rozwrzeszczanej młodzieży. ZOMO-wcy ujmują rękojeście pałek, ale bić im nie kazano, tyle tylko, że zwracają się tyłem do pochodu, czołem ku młodym, by ich choć trochę postraszyć.

Miarowy, dudniący krok. Już gęstwa na chodnikach, frenezja, kwiaty i SO-LI-DAR-NOŚĆ! SO-LI-DAR-NOŚĆ! — głośniejsza niż dzwony. Tysiące dłoni w górze, ze znakiem zwycięstwa. Tylko z pochodu nie podnosi się ani jedna wyciągnięta ręka z palcami w „V", dziś nie jest dzień stoczniowej chwały, nie wygrana to bitwa.

To tylko rozejm. Nie święci się rozejmów.

Ostatni skręt, teraz w prawo, już pod kościół świętej Brygidy, którego oddrzwia zawarte... Tłumy gęstnieją, lecz środek pusty dla przemarszu. Dzwony huczą nad samymi głowami. Sypią się kwiaty — i oto otwiera się kościelna brama.

Jest biskup. Jest Jego Ekscelencja ksiądz biskup Tadeusz Gocłowski — przy nim proboszcz kanonik Jankowski — i pochód wypełnia główną nawę, do bocznych zaś wlewa się ciżba gdańszczan i już od ołtarza rozlega się tubalny, jakby sienkiewiczowski głos celebransa, by wytrwać, by nie ugiąć się, by sposobić się do następnej próby.

Tuż przy mnie stoi Grzegorz — ten młokos, co przed godziną szlochał histerycznie. Twarz ma spokojną, oczy zimne, oczy groźne. Przez tę godzinę stał się mężczyzną. Takich jak on wyszło ze Stoczni tysiąc.

Wojciech GIEŁŻYŃSKI

KOMITET KULTURY NIEZALEŻNEJ
Rozliczenie

KKN powstał w 1983 roku. W 1984 roku powstały KKN-y w Krakowie i Wrocławiu, w 1985 roku — w Poznaniu i Łodzi, w 1986 roku — w Katowicach i Gdańsku. W latach 1983-1986 rozkład wydatków był następujący: LITERATURA I PUBLICYSTYKA: a) stypendia, zasiłki losowe, pomoc autorom podejmującym pracochłonne i długotrwałe zamierzenia — 17 %, b) pomoc wydawnictwom — 20 %; PLASTYKA — zakupy dzieł sztuki, stypendia, zasiłki losowe, wystawy — 24 %; TEATR — 11 %; VIDEO — 9 %; FONOGRAFIA — 4 %; SPOTKANIA DYSKUSYJNE, SESJE — 3 %; FILM — 6 %; MUZYKA — 1 %; DOKUMENTACJA WYDARZEŃ ARTYSTYCZNYCH — 4 %; INNE — 1 %. W roku 1987 struktura wydatków uległa pewnej zmianie: LITERATURA — stypendia 21 % (na wzrost wydatków wpłynęło głównie sponsorowanie takich prac jak podręcznik historii czy bibliografia zawartości czasopism niezależnych), WYDAWNICTWA — 17 % (tu zakładaliśmy spadek wydatków w związku z działalnością Funduszu Wydawnictw Niezależnych, niemniej udzielono pomocy redakcjom czasopism, Fundusz ma je objąć od 1988 roku. Dofinansowywano też szczególnie wartościowe pozycje wydawnicze), PLASTYKA — 30 %; IMPREZY, SYMPOZJA — 15 %; TEATR — 3 %; FILM — 5 %; FOTOGRAFIA — 3 %; INNE (muzyka, biblioteki, fonografia, archiwa wydawnictw) — 5 %; WYDATKI ORGANIZACYJNE — 1 %. Znik-

nęła pozycja VIDEO w związku z powstaniem Zrzeszenia VIDEO (ZVID) dysponującego własnymi środkami.

Pod względem terytorialnym w 1987 roku wydatki rozłożyły się następująco: WARSZAWA — 36 %, WROCŁAW — 19 %, KRAKÓW — 13 %, ŁÓDŹ — 12 %, GDAŃSK — 8 %, POZNAŃ — 3 %, KATOWICE — 3 %, INNE — 6 %.

Dokładne sprawozdanie finansowe, poparte odpowiednią dekumentacją, KKN przedłożył zaproszonym wybitnym reprezentantom środowisk twórczych. Zostało ono przez nich zaakceptowane. W imieniu środowisk twórczych oświadczenie tej treści podpisali: prof. Stanisław Lorentz — członek rzeczywisty PAN, prof. Jan Kielanowski — członek rzeczywisty PAN oraz prof. Bohdan Korzeniewski — emerytowany profesor PWST w Warszawie.

SPOŁECZNY INTYTUT WYDAWNICZY „ZNAK" OGŁASZA KONKURS

na wspomnienia b. żołnierzy AK oraz Batalionów Chłopskich z okresu od 22 lipca 1944 do końca 1957 roku. Uzyskany tą drogą materiał stanowić będzie cenne źródło dla historyków naszych czasów.

Jury konkursu (którego skład podamy w czasie późniejszym) przyzna jego uczestnikom nagrody:

I nagroda — 100 tys. zł,
Dwie II nagrody po 75 tys. zł,
Trzy III nagrody po 50 tys. zł.

Przewidujemy możliwość publikacji niektórych wspomnień (za zgodą ich autorów). W konkursie mogą brać udział również Polacy mieszkający poza granicami naszego kraju.

Wspomnienia, pisane na maszynie, prosimy nadsyłać do dnia 31 grudnia br. pod adresem: SIW „Znak", ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków.

SIW „Znak" wyraża wdzięczność dr. Mieczysławowi Pruszyńskiemu z Warszawy, dzięki którego inicjatywie i wsparciu finansowemu zorganizowanie tego konkursu okazało się możliwe.

TYGODNIK POWSZECHNY z 3 maja 1985.

KONKURS „RES PUBLIKI"

Ogłaszamy konkurs otwarty na tekst dokumentalny, który byłby świadectwem naszego czasu. Objętość, temat i forma — dowolne. Może to zatem być reportaż, dziennik, zestaw listów, dokumentów lub relacja.

Interesuje nas wszystko, co daje obraz naszej sytuacji. Tekst może również dotyczyć przeszłości, jeśli jest świadectwem spraw lub wydarzeń mających istotny wpływ na współczesność. Do konkursu zapraszamy również Polaków mieszkających za granicą. Autorzy mogą zastrzec sobie anonimowość. Nadesłanych tekstów nie zwracamy. Przewidujemy przyznanie od trzech do sześciu wyróżnień na łączną sumę trzystu tysięcy złotych. Wyróżnienia przyzna jury w składzie: Tomasz Jastrun, Damian Kalbarczyk, Krystyna Kersten, Hanna Krall, Barbara N. Łopieńska, Tomasz Łubieński.

Prace prosimy nadsyłać w terminie do 1 października 1988 roku na adres:

RES PUBLICA, SKRYTKA POCZTOWA 856, 00-950 WARSZAWA 1.

Niezależnie od przyznanych wyróżnień, najciekawsze prace opublikujemy w naszym piśmie i będziemy je honorować wedle przyjętych stawek.

REDAKCJA

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Na niedawnym kolokwium, poświęconym (jakże by inaczej!) *pieriestrojce* młody specjalista od spraw wschodniej Europy opowiedział, jak będąc w Bukareszcie spędził wieczór z rumuńskimi przyjaciółmi, którzy do późnej nocy oglądali — starając się coś zrozumieć — program telewizyjny z Sofii. Z perspektywy Rumunii Bułgaria wydaje się oazą wolności. Być może jest tak naprawdę. Jak mawiał Lec, i na dnie można usłyszeć pukanie z dołu. Te banalne myśli na temat naszego odbioru świata przyszły mi do głowy podczas paryskiego wykładu sowieckiego historyka Natana Ejdelmana o Puszkinie i Rewolucji Francuskiej. Znawca XIX wieku, autor popularnych książek o dekabrystach, Herzenie i Puszkinie, znany szerokiej publiczności od czasu wymiany listów z Astafiewem, Ejdelman jasno wytłumaczył, dlaczego tzw. liberalny odłam inteligencji sowieckiej ma dziś podstawy do nadziei. Wykład nosił tytuł „Herzen a Rewolucja Francuska", równie dobrze jednak mógł brzmieć „Herzen a *pieriestrojka*". Puszkinowska analiza historii Rosji, a w szczególności epoki Mikołaja I, jak ulał pasuje — zdaniem Ejdelmana i wielu jego współczesnych — do obecnych czasów. Przede wszystkim — Gorbaczow. Puszkinowski wiersz „zjawił się mąż opatrznościowy" cytowany jest jako ewentualna definicja obecnego generalnego sekretarza. Rola „męża opatrznościowego" jest szczególnie ważna w kraju, w którym — by znów zacytować Puszkina — „władza — jedynym jest Europejczykiem". Istnieje władza, która „mogłaby być sto razy gorsza, i tak nikt by tego nie zauważył", a obok niej dziki naród. To Puszkinowi zawdzięczamy pamiętne określenie rosyjskiego buntu — „bezmyślny i okrutny". Tylko władza może zapobiec buntom. Pisałem już o artykule Igora Klamkina „Jaka droga prowadzi do świątyni?"* (*Nowyj mir* nr 11/1987), który powołuje się na zbiór artykułów „Wiechy", przestrzegający przed niebezpieczeństwem rewolucji i twierdzący, że

* Patrz str. 195.

tylko władza może uratować rosyjską inteligencję, jeśli dziki naród zerwie pęta. Podobnie jak Ejdelman, Klamkin wychodzi od analizy Puszkina. Podążając za tą koncepcją historii Rosji, Natan Ejdelman wspomniał też pamiętną formułę Bakunina: Romanow, Pugaczow albo Pestel. O tej alternatywie dużo pisał Jan Kucharzewski.

Jeżeli przyjmiemy zasadę „opatrznościowej" władzy, pragnącej zeuropeizować Rosję, musimy szukać modelu „zbawczej" polityki. Ejdelman oraz kilku innych historyków upatruje pierwowzoru obecnych reform w *pieriestrojce* wczesnych lat 60-tych XIX wieku. Epoka wielkich reform Aleksandra II, którą rozpoczęło uwłaszczenie chłopstwa w 1861 roku, uważana jest dziś przez liberalną inteligencję sowiecką za wzór i zarazem cel. Sto dwadzieścia pięć lat temu padło po raz pierwszy słowo *głasnost'*, zniesiono niewolnictwo, reforma sądownictwa wprowadziła sądy, o jakich ZSSR dziś może tylko marzyć.

Charakterystyczne dla tej koncepcji jest pragnienie, by przeskoczyć siedemdziesiąt lat historii ZSSR, zignorować je, zignorować fakt, że sytuacja jest inna niż za czasów Puszkina i Aleksandra II, że partia komunistyczna wciąż jeszcze znajduje się u władzy. Niesprawiedliwością byłoby twierdzenie, że zwolennicy takich poglądów nie zdają sobie sprawy z anachronizmu swej koncepcji. Przeciwnie, patrzą na świat trzeźwo i chętnie powtarzają, że w rosyjskiej historii istnieje dziwne, a powtarzające się zjawisko: po dobrym carze zawsze nastaje zły, a po złym dobry. Nadzieje na „dobrego cara" rodzą się z rozpaczy, z sytuacji bez wyjścia i ze strachu przed „pugaczowszczyzną", z niezdolności do żądania albo z rezygnacji, z zadowolenia, że ktoś spływa jak dar niebios.

Biorąc za punkt odniesienia dla *pieriestrojki* reformy Aleksandra II, spostrzeżemy, że przygotowanie ustawy o uwłaszczeniu chłopów zajęło sześć lat. Aleksander II wstąpił na tron w roku 1855, a w 1861 podpisał manifest, znoszący niewolnictwo w Rosji. Przygotowania do uwłaszczenia chłopów zaczęły się oczywiście jeszcze za czasów Aleksandra I, a kontynuował je Mikołaj I, ale samo zredagowanie ustawy zajęło sześć lat. Sądownictwo zreformowano znacznie szybciej. Pod koniec października 1861 roku przystąpiono na rozkaz cara do sporządzenia „podstawowych zasad sądownictwa". W kwietniu 1862 roku gotowe były już ustawy o sądach obywatelskich, sądzie karnym i systemie sądowniczym. Reforma została uchwalona 20 listopada 1864, po upływie czterech lat od rozpoczęcia prac nad nią. Michaił Gorbaczow objął stanowisko generalnego sekretarza w marcu 1985, nieco ponad trzy lata temu.

Najłatwiejsze jest rozluźnienie cenzury. Nic prostszego jak zezwolić na druk zakazanych dotychczas książek, puścić na ekrany zalegające półki filmy, pozwolić na mówienie o niedostatkach, a nawet błędach poprzedniego kierownictwa. Wystarczy powiedzieć: zezwalamy. Wczorajsza władza zakazywała, a dzisiejsza zezwala, chwała jej za to, pokłońmy się do samej ziemi. Jak jednak wiadomo, nawet w tej dziedzinie nie wszystko idzie gładko. Abstrahując od wszystkich innych powodów, pojawienie się dobrych książek lub filmów jest bardzo nie na rękę pozbawionym wszelkiego talentu „działaczom kultury". Dawid Samojłow napisał kiedyś wiersz o łatwym życiu, jakie zaczęło się dla pisarzy i poetów z chwilą, kiedy zabrakło geniuszy. Parafrazując Dostojewskiego, można powiedzieć, że kiedy nie ma geniuszy, wszystko jest dozwolone. Dziś, kiedy wychodzi Płatonow, „Doktor Żiwago" i „My" Zamiatina, marne pisarstwo przynosi trochę więcej wstydu.

Tam, gdzie nie wystarczyło nakazać wolności, wszystko jest znacznie trudniejsze. W *Izwiestiach* z 19 maja br. czytamy: „Dlaczego wprowadzane nowe zasady ekonomiczne nie przynoszą spodziewanych rezultatów? Państwowy skup idzie z ogromnymi oporami. Spółdzielniom nie udaje się rozwinąć skrzydeł. Przedsiębiorstwa rodzinne nie stanęły należycie na nogi. Pierwsze zastosowanie zamówień państwowych nie budzi spodziewanych nadziei". Dlaczego? — pytają doktor nauk historycznych L. Ponomariow oraz kandydat nauk filozoficznych W. Szynkarenko w dużym, ciągnącym się przez dwa numery artykule *(Izwiestia* z 18 i 19 maja br.).

Odpowiedź jest jednoznaczna: całą winę ponosi biurokracja. Pierwsza część artykułu zatytułowana jest „W czym tkwi siła biurokraty? Nowa faza starej choroby: przyczyny, objawy, zasięg", druga zaś „Kto kogo? My biurokratów czy oni nas — oto pytanie, które stawia życie". Autorzy rysują przerażający obraz systemu sowieckiego. Trzy warstwy biurokracji. Pierwsza to „wysoko postawieni działacze zrośnięci ze światem przestępczym". Autorzy nazywają rzeczy po imieniu: „Można powiedzieć, że rodziła się nasza domorosła mafia". Jeśli zmienić czas z niedokonanego na dokonany (nie „rodziła się", a „zrodziła"), wszyscy sowieccy obywatele zgodzą się ze zdaniem autorów. Warto przy okazji wspomnieć, że w „Tajnych protokołach tzw. Komisji Grabskiego" zabierający głos wodzowie bezustannie mówią o „bandach", „gangach" i „mafiach", mając na myśli swoich poprzedników. Tadeusz Grabski zaproponował nawet, żeby zamiast o gangach mówić o „nieformalnych grupach". Rzadko czytam polską prasę i nie wiem, czy używa się w niej terminów „mafia" i „gang", czy też „grupy nieformalne". Moskiewska gazeta nie waha się mówić o „mafii" i o tym, że „w Azji środkowej, na Zakaukaziu i w Moskwie odkryto po prostu całą drabinę zorganizowanej przestępczości, działającej pod płaszczykiem aparatu biurokratycznego". Tak wygląda, zdaniem autorów, „pierwsza warstwa biurokratyzmu — najżywotniejsza i najgroźniejsza. Ta warstwa gotowa pójść na każde przestępstwo, byle się uchronić".

Druga warstwa jest bardziej masowa: „Należą do niej praktycznie wszyscy, którzy bezpośrednio, z tytułu swej funkcji, uczestniczą w zarządzaniu sektorem produkcyjnym i społecznym... Wzięty z osobna, niemal każdy z tych ludzi jest porządnym człowiekiem, ale razem stanowią ogromną narośl na ciele społeczeństwa". Zarządzaniem gospodarką zajmuje się 18 milionów ludzi,

z tego 2,5 miliona należy do aparatu, a ok. 15 milionów do średniego personelu. Pracują oni — zdaniem autorów — „fatalnie". A kim są? Co do tego zdania są podzielone. Autorzy artykułu w *Izwiestiach* podkreślają, że ok. 32 % biurokratów to młodzież do lat 30-tu, czyli główny rezerwuar biurokratów na najbliższych trzydzieści lat. Aleksander Nikitin pisze w *Literaturnoj gazecie* (25 maja br.), że większość tych 18-tu milionów stanowią „obarczone dziećmi kobiety w średnim wieku, które za nędzną pensję obliczają to, co maszyna elektroniczna obliczyłaby w ciągu sekundy, a czego zresztą w ogóle nie warto obliczać".

Trzecią warstwę natomiast stanowimy, zdaniem Ponomariowa i Szynkarenki, „my wszyscy". Cały naród sowiecki, który wyznaje credo „chcę przyzwoicie mieszkać, chcę żeby nie było kolejek, ścisku w autobusach, chcę wszelkich możliwych dóbr; jedyne czego nie chcę, to kiwnąć palcem w tym celu".

Oto winowajca: człowiek sowiecki, który chciałby wszystko mieć bez pracy. Pragnienie posiadania, jeśli nie wszystkiego, to przynajmniej jak największej ilości dóbr, jest cechą ludzką. Ale i praca nie jest człowiekowi obca. Dlaczego akurat sowiecki człowiek nie chce pracować? Dlaczego nic go w ogóle nie obchodzi? Autorzy przytaczają następującą statystykę: według obliczeń socjologów z Akademii Nauk Społecznych przy KC mniej niż 50 % ludzi pracy interesuje się postępami *pieriestrojki*, tylko 27,7 % interesuje się wyborami władz naczelnych, a 7,7 % reformą pracy sowietów. Autorzy tłumaczą to „zbiurokratyzowaniem" narodu sowieckiego i apelują: „Partia powinna wypowiedzieć zdecydowaną, bezlitosną walkę biurokratyzmowi". Sami jednak przyznają, że „władza sowiecka walczy z nim już siedemdziesiąt lat". Jakże to tak? Przez siedemdziesiąt lat walczą z biurokratyzmem, a ten tylko nabiera sił? Na to pytanie autorzy nie odpowiadają. Nie odpowiadają też na inne, fundamentalne pytanie: dlaczego mianowicie biurokraci, którzy istnieją we wszystkich współczesnych państwach, nie stanowią dla nich śmiertelnego zagrożenia?

Obecne rozważania o zagrożeniu biurokracją wydają się tym bardziej bezużyteczne, że wszystko na ten temat powiedziano już ponad sześćdziesiąt lat temu. W 1926 roku bohater powieści Andrieja Płatonowa „Miasto Gradow" w tajnych „Zapiskach urzędnika państwowego" notował swoje myśli: „Obecna walka z biurokracją opiera się częściowo na niezrozumieniu rzeczy. Biuro to jest kantor. Biurko w kantorze jest niezbędnym meblem i żaden aparat państwowy się bez niego nie obejdzie. Biurokracja ma zasługi wobec rewolucji: to ona skleiła rozpełzłe części narodu, wpoiła im potrzebę porządku i nauczyła ujednolicone rozumienia codziennych spraw". Autor notatek, ideolog sowieckiej biurokracji, odkrywa „tajemnicę stulecia". Kim-że jesteśmy, biurokraci? — zapytuje i odpowiada: „Pełnimy obowiązki proletariuszy! Powiedzmy dla przykładu, że ja mam pełnić obowiązki rewolucjonisty i pana". Po czym kończy: „Znieważany przez głupców biurokrata jest właśnie budowniczym nadchodzącego, prawdziwie socjalistycznego świata".

Historia ZSSR dowiodła, że ideowy biurokrata Płatonowa miał

rację. Wszystkie państwa rodzą biurokrację, ale sowieckie państwo potrzebuje jej sto razy więcej niż pozostałe, ponieważ jest właścicielem wszystkiego, stara się wszystkim zarządzać i wszystko kontrolować, a scentralizowana gospodarka wymaga nieporównanie potężniejszego aparatu urzędniczego aniżeli gospodarka rynkowa. Dodatkową przyczyną niebywałego rozrostu biurokracji jest fakt, że nad aparatem państwowym zbudowano dublujący go aparat partyjny.

Nie można powiedzieć, by autorzy artykułów demaskujących biurokrację, przestrzegających przed nią i wzywających do walki z nią, tego nie rozumieli. Jednak pisać o potężnym partyjnym aparacie biurokratycznym wolno tylko kompetentnym specjalistom, tzn. kierownictwu tegoż aparatu. Prawo to przysługuje przede wszystkim generalnemu sekretarzowi. Sposoby i „środki" przebudowy aparatu partyjnego, przebudowy uważanej za „podstawę reformy systemu politycznego społeczeństwa sowieckiego" będą stanowić przedmiot obrad 19-tej wszechzwiązkowej konferencji partyjnej, która rozpoczęła się 18 czerwca br. w Moskwie. Na porządku dnia staną dwa zagadnienia: 1. — wyniki *pieriestrojki*, 2. — dalsza demokratyzacja życia partii i społeczeństwa. Uchwały konferencji znamy już dzisiaj, ponieważ 23 maja KC KPZS zatwierdził „tezy", które — co do tego można nie mieć wątpliwości — zostaną „przyjęte".

Zanim zajmiemy się „tezami", wypada odnotować mistrzostwo, z jakim Gorbaczow i jego sztab organizowali napięcie przed konferencją. Zdenerwowani dziennikarze całego świata śledzili walkę między „gołębiem" Gorbaczowem a „jastrzębiem" Ligaczowem, publikowali „spontaniczny" wywiad Jelcyna, który niespodziewanie wypłynął na światło dzienne, z trwogą odnotowywali, że w wyborach delegatów na konferencję przepadali niektórzy wierni stronnicy generalnego sekretarza. Spektakl zorganizowano z rozmachem, gra toczyła się wartko i wzbudziła niezasłużone zainteresowanie publiczności.

Główne zarysy „reformy systemu politycznego" wyłożone zostały w dziesięciu „tezach", zajmujących ok. 24 stron maszynopisu. „Tezy" dotyczą wszystkich dziedzin życia państwa i społeczeństwa: gospodarki, kwestii narodowościowej, problemów społecznych, struktury administracyjnej itd., itp. Centralną jest „teza nr 5", poświęcona partii. Zachodni komentatorzy, opierając się na informacjach „z kół dobrze poinformowanych", wiele pisali o tym, że „tezy" są wynikiem kompromisu między „nowatorami" a „konserwatystami", między Gorbaczowem a Ligaczowem. Ich zdaniem Gorbaczow chciał zmienić wszystko, chciał, żeby wszystko było dobrze, ale napotkał bardzo silny opór. Możliwe. Nie on jeden. Korespondent *New York Times*'a Walter Diuranti pisał w latach 30-tych, z jakimi przeszkodami musiał walczyć Stalin, chcąc czynić dobro. Rzecz nie w tym. Przyjrzyjmy się zawartości „tezy nr 5". Przede wszystkim „teza" definiuje rolę partii. Jest ona kierowniczą organizacyjną siłą społeczeństwa sowieckiego, awangardą polityczną klasy robotniczej i całego ludu pracującego. Zadaniem jej jest rozwijanie, w oparciu o naukę mark-

sizmu-leninizmu, teorii i strategii rozwoju społecznego, polityki zagranicznej i wewnętrznej, kształtowanie ideologii socjalistycznej odnowy, prowadzenie politycznej i organizacyjnej roboty wśród mas, przygotowywanie i mianowanie kadr. — Definicja ta powtarza niemal dosłownie art. 6 konstytucji ZSSR, uchwalonej w „epoce marazmu", w roku 1977. A co znajdujemy nowego w „tezie nr 5"? Okazuje się, że zgodnie ze swą naturą i tym, co napisano wyżej partia funkcjonowała „za życia W. I. Lenina i pod jego kierownictwem". Po jego śmierci zaczęło się „odejście od norm leninowskich". „Teza nr 5" stawia zadanie: „Odtworzyć w pełni leninowską interpretację centralizmu demokratycznego, zgodnie z którym mają być zapewnione: wolność dyskusji w stadium analizowania zagadnień i jedność działania po przyjęciu uchwały większością głosów".

Ta zasada jest głównym wynalazkiem Lenina, dokonanym przez wodza „partii nowego typu" w roku 1903. Zasada ta funkcjonuje niezmiennie od 85-ciu lat: rzeczownik zawsze był ważniejszy od przymiotnika, „centralizm" zawsze był ważniejszy od „demokratycznego". „Teza nr 5" zatrzymuje się na problemie rozdzielenia funkcji partii i państwa, organów partyjnych i sowieckich. Jest to rzeczywiście niemały problem, tym bardziej, że tezy wprowadzają zupełnie nową definicję państwa sowieckiego. Nazywano je już „socjalistycznym", potem „państwem dojrzałego socjalizmu" i państwem „ogólnonarodowym". Teraz stanie się „państwem socjalistycznej praworządności".

Główną cechą „państwa soc. praw." jest „prymat i triumf prawa, wyrażającego wolę ludu". To doskonale, zwłaszcza jeśli się pamięta art. 6 konstytucji definiujący rolę partii, nie mówiąc już o słynnych słowach Lenina z listopada 1920 roku: „Powinniśmy wiedzieć i pamiętać, że cała prawna i rzeczywista struktura republiki sowieckiej opiera się na tym, że partia wszystko naprawia, wyznacza i buduje w myśl jednej zasady...". W ówczesnej sowieckiej konstytucji nie było słowa o roli partii. Lenin interpretował istotę prawa sowieckiego.

Czy to znaczy, że „teza nr 5" nie wnosi niczego nowego do definicji roli partii? Oczywiście nie. „Teza nr 5" zaleca „wykluczenie przyjmowania uchwał komitetów partyjnych, zawierających bezpośrednie wskazówki dla organizacji państwowych, gospodarczych lub społecznych". Bezpośrednie wskazówki są zakazane. KPZS ma szerzyć swą ideologię „za pośrednictwem komunistów, pracujących w organach władzy państwowej we wszystkich dziedzinach życia społecznego". Socjolog Fiodor Burłacki, jeden z twórców programu *pieriestrojki*, przewodniczący sowieckiej komisji praw człowieka, tłumaczył na konferencji prasowej w Paryżu: „Walczymy o instytucjonalizację pluralizmu w ramach systemu jednopartyjnego, zatwierdzonego w naszej konstytucji". Pluralizm w ramach systemu jednopartyjnego, demokracja w ramach centralizmu, państwo socjalistycznej praworządności — literaturoznawcy nazywają takie zestawienia wykluczających się pojęć oksymoronem. W literaturze może to brzmieć pięknie albo zabawnie. W polityce brzmi dwuznacznie i fałszywie.

„Tezy" proponują konkretne środki dla zabezpieczenia pluralizmu w partii celem „umocnienia demokratyzacji życia partyjnego". Przede wszystkim przez najbliższe dwa lata (do kolejnego zjazdu KPZS) przeprowadzona zostanie „społeczno-polityczna weryfikacja komunistów", czyli czystka, którą „tezy" nazywają „samooczyszczeniem". Jest to sposób wypróbowany w dziejach ZSSR: nazywano go albo wprost „czystką", albo eufemistycznie „weryfikacją kadr" lub „wymianą legitymacji partyjnych". Drugim sposobem będzie tajne głosowanie przy wyborach instancji partyjnych oraz większa liczba kandydatów niż mandatów. Jak wiadomo, sposoby te zaproponował Żdanow na plenum KC WKP(b) w marcu 1934 roku i zostały one uchwalone. Statut KPZS mówi o tajnym głosowaniu i liczbie kandydatów. W tej i innych dziedzinach działała dotychczas znana sowiecka zasada: Móc to możemy, ale kto nam pozwoli... Pozostaje mieć nadzieję, że teraz „pozwolą".

I wreszcie „tezy" proponują „ustalenie dla wszystkich komitetów partyjnych, poczynając od rejonowego i miejskiego, jednolitej długości mandatu — pięć lat". Ponadto proponują, by nikt nie pełnił żadnych wybieralnych funkcji w KPZS dłużej niż przez dwa mandaty. W wyjątkowych przypadkach przywódca może zostać wybrany na trzeci mandat. Jeśli ta zasada zostanie uchwalona, konferencja cofnie się do XXII Zjazdu (1961), który włączył do statutu partii (art. 25) zasadę „systematycznej odnowy" kierownictwa partyjnego i zasadę maksimum trzech mandatów. Ten punkt statutu zmieniono natychmiast po obaleniu Chruszczowa i wyborze Breżniewa. Dwadzieścia siedem lat później partia ponownie usiłuje ograniczyć władzę aparatu i wzmocnić pozycję generalnego sekretarza. „Tezy" tłumaczą, że nowa zasada zostanie wprowadzona dopiero po zjeździe partii, który odbędzie się w 1990 roku. Zatem po zjeździe Gorbaczow będzie mógł pozostać u władzy przez jeszcze 15 lat, do 2005 roku. Będzie liczył wtedy zaledwie 74 lata.

Smutno oczywiście stwierdzać, że „tezy" nie zawierają niczego nowego. Wszystko już było, wszystko zostało wypróbowane. Pocieszam się tylko tym, że jeśli już znajdę coś nowego, zawsze staram się na to zwrócić uwagę. Tym razem również odnotowuję dla potomnych fakt niebywały. W bieżącym roku podczas egzaminów maturalnych skasowano egzamin z historii ZSSR. Okazało się, że Związek Sowiecki nie ma historii, nikt nie wie, co się wydarzyło przez ostatnie siedemdziesiąt lat. Prof. Afanasjew, dyrektor Instytutu Archiwów Historycznych, najśmielszy z historyków sowieckich, oświadczył 27 kwietnia podczas konferencji historyków i pisarzy: „Nie istnieje na świecie kraj, którego historia byłaby tak zafałszowana jak nasza" (*Sowietskaja kultura* z 5 maja br.). W związku z tym postanowiono chwilowo zamknąć sowiecką historię, by ją, jak mawiał Majakowski, „trochę podczyścić", a potem otworzyć na nowo.

Adam KRUCZEK

12 czerwca 1988

Kronika niemiecka

W zachodnioberlińskim dwutygodniku *Zitty* opublikowany został wywiad z Leszkiem Szarugą na temat aktualnej sytuacji w Polsce. Tytuł wywiadu jest cytatem z wypowiedzi Szarugi: „My chcemy tylko normalnego życia". ■ *Rozgłośnia Polska RWE* nadała audycję Marka Kołodzieja, relacjonującą zmagania mieszkańca Bawarii, Niemca Alexandra Tiplta z zachodnioniemieckimi publicystami, usiłującymi rozpowszechnić krążącą od dawna pogłoskę o rzekomym zamordowaniu przez polskich żołnierzy *2-go Korpusu* rannych jeńców niemieckich w ruinach klasztoru Monte Cassino w dn. 18 maja 1944 roku. Ostatnim obiektem batalii A. Tiplta jest wydawnictwo *Heyne Verlag* (Monachium), które drukuje książkę niejakiego Will Bertholda — *Von Himmel zur Hölle (Z nieba do piekła)*. W książce tej autor w zbeletryzowanej formie przedstawia szczegóły rzekomego bestialstwa polskich zdobywców wzgórza Monte Cassino. Wszystko wskazuje na to, że *Heyne Verlag* wycofa w najbliższym czasie tę książkę z obiegu*. ■ W kolońskiej *Stiftung City-Treff* wystawiała swoje obrazy Wiesława Stachel; malarstwo z lat 1983-1988. ■ Przewodniczący *Rady Kościoła Ewangelickiego* w Niemczech, zachodnioberliński biskup Kruse, gościł w Warszawie, spotykając się tam z przedstawicielami wielu Kościołów i sekretarzem KC PZPR Kazimierzem Barcikowskim. ■ Liczba więźniów politycznych w NRD wzrosła do 639 osób, osiągając w ten sposób stan sprzed amnestii ogłoszonej przez rząd w Pankow w ub. roku. ■ Spisane z taśmy telekonferencje partyjne z roku 1980 („Partyjne rozmowy: 1980-1981" w piśmie podziemnym *Poglądy* nr 12/1987) zawierają m.in. pod datą 9 listopada 1980 oświadczenie Kani: „Biuro Polityczne SED przyznaje nam 250 mln marek RFN i 150 mln dol. USA bez oprocentowania, z gwarancją 4-letnią". ■ Podczas *XXXIII Międzynarodowych Targów Książki* w Warszawie skonfiskowano na zachodnioniemieckich stoiskach następujące pozycje: pamiętniki Lecha Wałęsy *Ein Weg der Hoffnung (Droga nadziei)*, książkę Jörga Bremera, b. korespondenta *Frankfurter Allgemeine* w Warszawie, *Polen (Polska)* i powieść Andrzeja Szczypiorskiego — *Die schöne Frau Seidenmann (Początek)*. ■ W Republice Federalnej gościła delegacja sejmowej grupy parlamentarzystów z tzw. klubu *„PRL/RFN"*. W skład siedmioosobowej delegacji wchodzili: Stanisław Bejger, poseł na *Sejm* i przewodniczący grupy, a także posłowie Jan Jankowski, Wiktor Leyk, Henryk Szarmach, Ryszard Wojna, Wojciech Zandecki oraz Wojciech Olejniczak. Posłowie ci przebywali w Bonn na zaproszenie *Bundestagu*. ■ *Gimpel der Narr (Gil głupiec)* Isaaca B. Singera, *Die Hymne (Hymn)* György Schwajdy, *Sein kleines Mädchen (Jego mała dziewczynka)* Tymoteusza Karpowicza, *Der Flug der gebratenen Ente (Lot pieczonej kaczki)* Grigoria Gorina — są to utwory sceniczne, które należą do repertuaru *Teatru Polskiego* w Kilonii, założonego w 1982 roku. Teatr gra w języku niemieckim. Jest dofinansowywany przez *Miejski Urząd d/s Kultury* w Kilonii. ■ Firma *Endress Hauser* z RFN przekazała *Centralnemu Szpitalowi Kolejowemu* w Warszawie niezwykle cenną aparaturę diagnostyczną. Jest to kompletne wyposażenie laboratorium do badań serca sterowane komputerem. ■ Uzupełnienie informacji podanej w „Kronice" w maju br.: Lista *bestseller'ów* polskich wydawnictw emigracyjnych w miesiącu kwietniu 1988. Dział beletrystyki (pierwsze trzy miejsca): A. Szczypiorski — *Początek (Instytut Literacki*, Paryż); K. Brandys — *Miesiące 1985-1987 (Instytut Literacki*, Paryż); M. Hłasko — *Piękni dwudziestoletni (Instytut Literacki*, Paryż). Dział publicystyki: T. Folek — *Prawo azylu w RFN* (nakład własny autora); M. Heller — *Maszyna i śrubki (Instytut Literacki*, Paryż); M. Heller, A. Niekricz — *Utopia u władzy*, tom II (Wyd. *Polonia*, Londyn). Lista powstała na podstawie danych uzyskanych z pięciu polskich księgarni niemieckiego obszaru językowego. Listy zestawia *Polska Księgarnia Wysyłkowa STODIECK's* w Berlinie Zachodnim. ■ W hallu *Polskiego Duszpasterstwa Katolickiego* w Berlinie Zachodnim, w galerii *KIK-u*, wystawiano prace (tkanina artystyczna i rysunki) Lidii Cankowej, artystki pochodzenia bułgarskiego, mieszkającej w Łodzi. Prof. Andrzej Stelmachowski, prezes *Klubu Inteligencji Katolickiej* w Warszawie, na spotkaniu zorganizowanym przez zachodnioberliński *KIK*, mówił o roli laikatu i *Klubów Inteligencji Katolickiej w Kościele* i w życiu społecznym. Wszystkie działające aktualnie w Polsce *Kluby Inteligencji Katolickiej* liczą ponad 13 tys. członków i aczkolwiek nie stanowią żadnej scentralizowanej organizacji oraz nie zamierzają takowej tworzyć, to ich działalność należy obecnie określać mianem jednorodnego, w sensie ideowym, ruchu. Następnie w berlińskim *KIK-u* wygłosił odczyt prof. Bohdan Korab-Osadczuk. Mówił o millenium chrztu Rusi Kijowskiej. Podkreślił w szczególności tragiczne położenie Kościoła greckokatolickiego w Sowietach. Prof. Stefan Amsterdamski miał tamże wykład *O patologii nauki, casus Łysenko*. Berliński *KIK* gościł również Jacka Bocheńskiego, który przedstawił swoją najnowszą powieść *Stan po zawale* i odpowiadał na pytania dotyczące ogólnej sytuacji w Polsce. Działalność zachodnioberlińskiego *KIK-u* zasługuje na szerokie poparcie. ■ W wydawnictwie *Dadder Verlag* (Saarbrücken) ukazała się praca zbiorowa pod redakcją Heinera Timmermanna pt. *Aussenpolitik und Interessenausgleich. Die Bundesrepublik Deutschland und die Volksrepublik Polen in den Ost-West-Beziehungen (Polityka zagraniczna i równowaga interesów. Republika Federalna Niemiec i Polska Rzeczpospolita Ludowa w stosunkach Wschód-Zachód)*. Jedna z najciekawszych prac: Helmut Wagner — *Fernziele bundesrepublikanischer Aussenpolitik. Kontinuität oder Diskontinuität? (Dążenia Republiki Federalnej w polityce zagranicznej. Kontynuacja czy dekontynuacja?)*. ■ Niemieccy politycy i publicyści w rozmowach z Polakami podnoszą ostatnio coraz częściej sprawę upamiętnienia na polskiej ziemi pamięci niemieckich przeciwników Hitlera. Oczekiwania są konkretne: tablica dla Jamesa hr. Moltkego w Krzyżowej na Śląsku — mająca dokumentować wolę przeciwstawienia się Führerowi przez niemiecki ruch oporu. Następnie tablica w Kętrzynie — mająca przypomnieć, że wśród niemieckich oficerów znalazł się sprawiedliwy, płk C. Schenk hr. von Stauffenberg (1907-1944), który dokonał zamachu na Hitlera. ■ Klaus Reiff z *Fundacji im. Friedricha Eberta (SPD)*: „Na polityce z Polską nie można już zrobić kariery. PRL stała się dla nas obojętna. Jeśli spoglądamy na Wschód, to głównie na Moskwę lub na najbliższe nam NRD". ■ Z graną obecnie na małej scenie *Teatru Powszechnego* w Warszawie jednoosobową sztuką o Januszu Korczaku pt. *Kim był ten człowiek?* wystąpił gościnnie w Zachodnim Berlinie znany aktor teatralny i filmowy Marek Bargiełowski. Występ polskiego aktora jest rezultatem całkowicie osobistej i prywatnie sfinansowanej inicjatywy dwóch mieszkających w Zachodnim Berlinie emigrantów, Jacka Kotali i Kazimierza Michalczyka. ■ Dwa ciekawe odczyty na *Fakultecie Slawistyki* Uniwersytetu w Kolonii: dr Karl Dedecius — *600 lat niemiecko-polskich kontaktów literackich;* dr Lew Kopielew — *600 lat niemiecko-rosyjskich kontaktów literackich*. Sympozjum urządził prof. dr. Wolfgang Kasack z okazji 600-lecia Uniwersytetu w Kolonii. ■ W dodatku do tygodnika *Das Parlament*, w całości poświęconym sprawom polskim, ukazały się starannie udokumentowane prace następujących naukowców: Gotthold Rhode (Moguncja) omówił historię stosunków niemiecko-polskich od 1945 roku po lata osiemdziesiąte; Józef-Janusz Węc (Kraków)

* Pisaliśmy szczegółowo o tej sprawie w *Kulturze* nr 9/1986.

zajął się stosunkami między PRL a RFN w latach 1949-1987; Klaus Ziemer (Heidelberg) poruszył sprawę sytuacji w Polsce po referendum *(„Ślepa uliczka czy szanse dla dalszych reform?")*; Piotr Pysz (Osnabrück) i Wolfgang Quaisser (Monachium) ogłosili wspólnie pracę: *Polska gospodarka pomiędzy kryzysem a reformą.* ■ W *Bibliotece Jagiellońskiej* urządzono wystawę — *Uniwersytet Ruhry w Bochum — międzynarodowe centrum dydaktyczno-badawcze.* ■ W tegorocznym spotkaniu młodzieży w Villa Hammerschmidt, na zaproszenie prezydenta Richarda von Weizsäckera, uczestniczyły grupy młodzieży z Gdańska, Bielska-Białej (grupy *ZSMP)*, Oświęcimia (kilkoro młodych ludzi współpracujących z zachodnioniemiecką *Akcją Pokuty)* i kilku funkcjonariuszy z Warszawy. Niezależnie myślących reprezentował jedynie prof. Władysław Bartoszewski (wykłada obecnie w Augsburgu), jako osobisty gość prezydenta RFN. Bartoszewski wypowiadał się jasno i niedwuznacznie w dyskusjach na temat stanu stosunków polsko-niemieckich w chwili obecnej. ■ W Bochum założono *Oddział Zjednoczenia Polskich Uchodźców w Niemczech (ZPU)*, który skupia prawie wyłącznie Polaków przybyłych do RFN w ostatnich latach. Adres: Sommerdellen Str. 59, D-4630 Bochum 6. Przewodniczący — Józef Przysiężny; sekretarz — Tadeusz Baran; skarbnik — Andrzej Gubik. ■ Konsulat RFN w Warszawie wydał w ciągu pierwszych czterech miesięcy bież. roku 161 tys. wiz. Wzrost o 54 % w porównaniu z tym samym okresem ub. roku. Niesłychanie obciążony personel konsulatu (27 Polaków i czterech niemieckich urzędników) załatwia dziennie ok. 4 tys. wniosków wizowych. W ub. roku wystawiano wizy w ciągu jednego dnia, obecnie na prawo wjazdu do RFN trzeba czekać od dwóch do trzech tygodni. Pracownicy konsulatu obawiają się, że w okresie letnim nie podołają naporowi ludzi koczujących na Saskiej Kępie. Zabiegi o otwarcie konsulatu RFN w Krakowie są ignorowane przez władze polskie. ■ Jacek Burton (Katowice, obecnie w RFN) wystawił swoje fantastyczno-surrealistyczne obiekty (szkło, ceramika) w *Studio Mirage*, w Erkrath k/Düsseldorfu. Jacek Burton specjalizuje się w rzeźbie w szkle. ■ Przewodniczący *PRON-u* Jan Dobraczyński spotkał się z pastorem Mirosławem Danyszem z *Kościoła Ewangelickiego* w RFN, który poinformował o projekcie powołania *Fundacji Odbudowy Szpitala Ewangelickiego w Warszawie.* Fundacja o identycznej nazwie powstała już w RFN przed kilku laty, prawdopodobnie chodzi teraz o dopuszczenie jej do działalności w PRL. ■ Bońskie *Ministerstwo Spraw Wewnętrznych* przypuszcza, że w bież. roku do RFN przybędzie ok. 150 tysięcy przesiedleńców z Polski. ■ „Niezależny" *Przegląd Tygodnia* (Frankfurt n/Menem) zamieścił notatkę redakcyjną: „Jeśli organizujecie Państwo jakąś imprezę, spotkanie czy występy, na które chcielibyście Państwo zaprosić czytelników *Przeglądu Tygodnia* — możemy o tym zamieścić (bezpłatnie) informację w dziale ogłoszeń *Przeglądu Tygodnia.* (Nie dotyczy to niestety wszelkich imprez o wydźwięku politycznym)". W tym samym piśmie *Stowarzyszenie Polaków w RFN „LECH"* w Darmstadt informuje, że załatwia dla swych członków następujące sprawy: wizy do Polski, zniżkową wymianę dewiz; organizuje na terenie całej Polski kolonie letnie dla dzieci od lat 11. Ambasada PRL w Kolonii dyryguje wieloma innymi polskimi organizacjami w Niemczech Zachodnich. ■ Z inicjatywy Grupy Roboczej „Solidarność" w Kolonii zebrano w maju br. w Bonn i Kolonii ok. 1.000 DM na rzecz represjonowanych uczestników ostatnich strajków. Pieniądze będą przekazane do kraju. ■ W Berlinie Zachodnim odbył się kongres nazwany *Sen o Europie.* Udział w nim wzięli liczni pisarze z KDL-ów oraz emigranci z tych państw. Węgrów reprezentowali György Konrád, Miklós Haraszti, Agnes Heller, György Dalos, Czechosłowację — Pavel Kohout, Jiří Gruša, Antonin J. Liehm (który zaprezentował w czasie osobnego spotkania pierwszy numer niemieckiej wersji *Lettre internationale* zawierający m.in. teksty Jana Kotta i Adama Zagajewskiego) i Lubise Monikóva (emigranci), Rosję — małżeństwo Raissa i Lew Kopielew oraz Efim Etkind (emigranci). Z Polski przybyli Jacek Bocheński, Andrzej Szczypiorski oraz Wiktor Woroszylski. Nie mogli przyjechać zaproszeni pisarze z Czechosłowacji i Rumunii. Impreza odbyła się w ramach cyklu sympozjonów organizowanych w Berlinie Zachodnim z okazji wybrania tej części miasta na stolicę kulturalną Europy. Przedmiotem obrad były takie tematy, jak stan Europy po Jałcie, stosunek Europy do innych obszarów świata oraz stosunki między państwem i społeczeństwem, w tym osobna sesja poświęcona wielości form demokracji europejskiej. Konferencję zakończono wystosowaniem listu do Reagana i Gorbaczowa wzywającego do przezwyciężenia podziału kontynentu. ■ W zachodnioberlińskim antykwariacie *Hennwack* odbył się wieczór autorski Leszka Szarugi. Polski poeta i publicysta zaprezentował wiersze z wydanego przez *Wydawnictwo Pogląd* dwujęzycznego tomu — *Sagt nicht Europa — Nie mówcie Europa.* ■ Dzięki pomocy *Fundacji im. Maksymiliana Kolbe* (Fryburg Bryzgowijski) wybudowano w Węgierskiej Górce (woj. bielskie) dom starców dla b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. ■ W zachodnioberlińskim *Literaturhaus* odbyła się debata zatytułowana *Przybliżenie Praskiej Wiosny.* Udział w niej wzięli — obok czeskich emigrantów — także zaproszeni goście, wśród których znalazł się prof. Leszek Nowak (Poznań), wykładający obecnie na berlińskim *Wolnym Uniwersytecie.* ■ *Doświadczenia przeszłości i wnioski na przyszłość* — pod takim tytułem odbył się w RFN cykl wieczorów autorskich Jana Nowaka-Jeziorańskiego, b. dyrektora *Rozgłośni Polskiej RWE.* Nowak przybył do Europy by przedstawić polskiej emigracji drugi tom swoich pamiętników z cyklu pt. *Wojna w eterze — Polska z oddali.* Obejmuje on końcowy okres jego kierowania Radiem Wolna Europa, aż do odejścia (rezygnacji) z dniem 1 stycznia 1976 roku. Autor ujawnia kulisy tej rezygnacji (amerykańska polityka jednostronnego rozbrojenia ideowego Zachodu wobec komunistów, grożące niebezpieczeństwo likwidacji lub przynajmniej „wyrwania zębów" *RWE.* Jan Nowak-Jeziorański prezentował swoją książkę w Berlinie Zachodnim, Frankfurcie i Monachium jak również w Londynie, Wiedniu, Paryżu i Rzymie. W Monachium organizatorem spotkania był *Klub Niezależnej Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego* wspólnie z *Polską Misją Katolicką.* Przybyło ponad 500 osób! Pytania z sali dotyczyły m.in. sprawy ucieczki Czechowicza, sytuacji Polski widzianej z Waszyngtonu, wpływów politycznych Polaków w USA i zadań najnowszej emigracji.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika białoruska

Na sympozjum „Białorusini, Litwini, Ukraińcy, Polacy — przesłanki pojednania", które miało miejsce w Łodzi w październiku 1987 roku, zaproszony został białoruski ksiądz katolicki z BSRS Władysław Czerniawski. Jest on jedynym księdzem białoruskim, który odprawia nabożeństwa w BSRS po białorusku. Nie mogąc przyjechać do PRL, ks. Czerniawski przesłał swą wypowiedź na piśmie. Stanowi ona ostre oskarżenie Polaków i Kościoła katolickiego o polonizowanie białoruskich katolików oraz przytacza wiele przykładów pogardliwego i pełnego nienawiści stosunku Polaków do Białorusinów. Ks. Czerniawski domaga się wprowadzenia białoruskiej hierarchii oraz języka białoruskiego do Kościoła katolickiego na Białorusi. ■ Ukazał

się 6-ty numer Biuletynu Rady Kultury Studentów Białoruskich w Polsce *Sustreczy*. Zawiera on m.in. polemikę z Ukraińcami z Polski, którzy „chcieliby przywłaszczyć sobie białoruskie Podlasie". ■ Jak podaje *Przegląd Wiadomości Agencyjnych* (23 marca br.), w Białymstoku ukazał się nakładem „Białoruskiego Wydawnictwa Niezależnego" 160 stronicowy *Archiuny ssytak*. Publikacja nosi datę wrzesień 1983 - październik 1987. We wstępie wydawcy stwierdzają, że przedstawiają „dokumentację przejawów życia białoruskiego w Kraju Białostockim" ... która „nie ma szans na publikację oficjalną, mogłaby więc z czasem zaginąć". *Archiuny ssytak* zawiera 50 tekstów, w tym protest przeciwko posługiwaniu się w cerkwi w Białymstoku językiem polskim, dokumentację polonizacji nazw miejscowych na Białostocczyźnie, list księdza W. Czerniawskiego, artykuł S. Janowicza omawiający historię stosunków białorusko-polskich w PRL i deklarację „Do Braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów". Wśród białoruskich postulatów należy wymienić: żądanie nauczania języka i literatury białoruskiej w rzymskokatolickim seminarium duchownym w Białymstoku oraz wprowadzenia białoruskich posłów do komunistycznego sejmu PRL. Kazimierz Podlaski tak ocenia ukazanie się białoruskiej publikacji: „Otrzymaliśmy więc od Białorusinów znak życia, acz nie do nas bezpośrednio zaadresowany. Tonację ma jednolicie ponurą, bo taki też jest stan spraw białoruskich w rozumieniu najbardziej zainteresowanych. Odbiór tego sygnału ze strony Polaków wymaga nade wszystko silnych nerwów i chłodnej głowy. Jako naród zapewne nie jesteśmy bez winy wobec Białorusinów, lecz wizja jednolitego i skoordynowanego frontu PZPR, Kościoła, 'Solidarności', kultury i języka — na białoruską zgubę — nie nadaje się do przyjęcia. Odbiór sygnału, o którym mowa, wymaga więc odrobiny serca. Ten naród jest naprawdę w sytuacji tragicznej. Wymaga trudu, aby go zrozumieć i mu pomóc. Godzien jest tego, jak każdy inny naród w ciężkiej potrzebie" *(PWA)*. ■ W piśmie politycznym studentów krakowskich *Alternatywy* (nr 3, 1988) ukazał się obszerny artykuł Aleksandra Łucicza „Białoruś — nieznany sąsiad". Autor zarzuca Polakom brak realizmu w myśleniu o sprawach wschodnich, zwłaszcza zaś nieznajomość kwestii białoruskiej. Sytuacja demograficzna Białorusinów jest bardzo zła. Poza Białorusią mieszka obecnie 20 % Białorusinów i liczba ich stale zwiększa się. Emigruje prawie cała białoruska młodzież (prawdopodobnie z powodu zacofania tej republiki), co wraz z osiedlaniem się w BSRS Rosjan powoduje, iż spada odsetek Białorusinów (w 1979 roku 79,4 %), a zwiększa się udział Rosjan (od 1959 do 1979 roku z 8,2 % do 12,8 %) wśród mieszkańców republiki. Autor uważa jednak, iż należy spodziewać się „stabilizacji udziału Białorusinów w strukturze narodowościowej republiki na poziomie powyżej 75 %" ze względu na postępy industrializacji w latach 70-tych i 80-tych oraz utrzymujący się znaczny przyrost naturalny wśród Białorusinów. Jeśli chodzi o rusyfikację, to można założyć, że emigracja (owe 20 %) jest dla narodu stracona, ponieważ 57 % jej członków podaje rosyjski za język ojczysty, a dalsze 32 % posługuje się nim na równi z białoruskim. W republice białoruskiej rosyjski jako język ojczysty zadeklarowało w 1979 roku 10 % Białorusinów, zaś posługuje się nim biegle dalsze 52 %. Oznacza to, że jeżeli nie nastąpi jakiś decydujący zwrot, wkrótce większość Białorusinów na Białorusi będzie posługiwać się językiem rosyjskim jako ojczystym. O ile trzy czwarte Białorusinów historycznie należało do Cerkwi prawosławnej, dziś praktykujących prawosławnych jest tylko pół miliona, natomiast liczba praktykujących katolików wynosi 1,5 miliona. Kościół katolicki ma jednak charakter polski. Łucicz pisze, że papież Paweł VI nie stworzył diecezji białoruskiej z powodu sprzeciwu Episkopatu Polski. Dziś księżom na Białorusi grozi po prostu wymarcie. A. Łucicz mówi o wzroście poczucia odrębności narodowej wśród Białorusinów i nawet o poczuciu pewnej wyższości wobec Rosjan, które rosną w miarę zwiększania się zamożności republiki (przyległe tereny rosyjskie są biedniejsze). Pojawiła się też wśród

elity intelektualnej pewna moda na białoruskość i język białoruski. Elita białoruska jest elitą sowiecką i dlatego wyrazu dla swej odrębności narodowej będzie szukała w ramach tego systemu, czemu sprzyjać jeszcze będzie *pieriestrojka*. Wpływ kultury rosyjskiej i sowietyzacja uniemożliwiająca zrozumienie istoty przemian zachodzących w Polsce („Solidarność") sprawiają, że z Polską łączy dziś Białoruś „niewiele, tak mało, jak nigdy dotąd". Autor konkluduje więc: „nie widać też miejsca na współpracę białorusko-polską... Oparcia w Polsce mogłaby część Białorusinów poszukać dopiero w wyniku niepowodzenia reform [Gorbaczowa], a więc dopiero za jedno pokolenie. (...) Z politycznego punktu widzenia Polska dzieli wspólny los z Czechosłowacją, Węgrami czy Bułgarią", a nie z Białorusią, Ukrainą i Litwą. ■ Nieregularny kwartalnik białostocki *Bez Debitu* (nr 2, 1987) zamieścił artykuł „Zapiski z 'oblężonego miasta', czyli o przyczynach braku dialogu polsko-białoruskiego". Autor stawia pytanie: „Dlaczego Białorusin, Ukrainiec, Żyd, Litwin czuje się w dzisiejszej Polsce źle, do tego stopnia, że czuje się zagrożony w swym narodowym jestestwie?". Przyczynę tego zjawiska dostrzega w jednostronności Polaków, „która polega na tym, że wszystko co ze Wschodu, to złe". Przeszkadza też katolicyzm jako jedyny punkt odniesienia dla polskości i „brak autentycznych rodzimych wartości". ■ Kwestią białoruską zajęła się *Nowa Koalicja* (nr 4, 1987), zamieszczając artykuł Janka Zaprudnika „Inakodumstwo na Białorusi", artykuł Stanisława Krynickiego „Białoruś nieznana" o sytuacji Białorusinów w Polsce niepodległej oraz wywiad z Białorusinem, pracownikiem naukowym, mieszkającym w Polsce centralnej. Namawia on Polaków, by nie ustawali w składaniu propozycji porozumienia z Białorusinami, mimo ich bierności. Zauważa też, że odezwa „Do Braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów" spełniła swoje zadanie, została dostrzeżona i odebrana (na emigracji) jako wyraz polskiej gotowości do współpracy. (...) „Teraz... trzeba przystąpić do praktycznego realizowania jej wskazań, do budowania porozumienia".

Józef DARSKI

MANIFESTACJA NA LITWIE

22 maja 1988 roku w kościołach na Litwie zostały odprawione msze święte w intencji wywiezionych na Sybir podczas sowieckiej okupacji Litwy. W nabożeństwach tych wzięły udział setki tysięcy wiernych. W Wilnie, na placu przed Katedrą w godzinach 15-17 została zorganizowana demonstracja, w której wzięło udział około 5 tysięcy Polaków i Litwinów. Zgromadzona wokół placu służba bezpieczeństwa i milicja nadawała głośną muzykę, aby zagłuszyć wspólne śpiewy i przemówienia. Wszyscy przemawiający zostali aresztowani. Liczba ich do chwili obecnej jest nieznana. Aresztowano również znaną opozycjonistkę Nijole Sadunajte, która w 1975 roku została skazana na 3 lata obozu karnego i 3 lata zesłania na Syberię za obronę wolności religii i praw człowieka na Litwie. Sadunajte została zatrzymana przez służbę bezpieczeństwa o godzinie 11-tej, gdy wraz z grupą wiernych usiłowała dostać się do kościoła św. Mikołaja.

Polacy tłumnie zgromadzili się w kościele św. Teresy, już od wczesnych godzin porannych oczekując na mszę świętą i demonstrację. Również w Kownie kilka tysięcy wiernych po mszy świętej wzięło udział w demonstracji, która odbyła się w godzinach 19-21. Nie doszło tam do interwencji służby bezpieczeństwa. Na czas trwania demonstracji aresztowano 1 osobę z kręgu organizatorów.

Kronika kulturalna

Furia słów Mariana Pankowskiego

„Nam wieczna w polszczyźnie rozróba" — deklaruje Marian Pankowski we wstępie-manifeście do swojej powieści eksperymentalnej *Matuga idzie* (1959). Temu wyzwaniu pozostał wierny do dziś. Rozróba wtedy ma sens, gdy wywołuje zamierzoną reakcję. Wyobraźmy sobie, że Autor wkracza do baru „Polszczyzna" i wywołuje burdę: kopie biesiadników, lży panie, depcze symbole narodowe, drwi z wiary ojców i ciągnie na zaplecze pomywaczkę. Rozlegają się głosy oburzenia, piski ofiar, przekleństwa. I właśnie o te krzyki wydobywające się z gardeł atakowanych chodzi. Co jednak, gdyby rozległy się oklaski, szmer podziwu? Marian Pankowski nie chciałby pewnie usłyszeć, że jego książki wzbudzają jednogłośny zachwyt. Jego piórem rządzi potrzeba prowokacji artystycznej. Rzecz jednak w tym, że kurczy się zasób tematów tabu w literaturze współczesnej, także polskiej. Niemało trzeba teraz włożyć wysiłku, by zbulwersować czytelnika. Najgorszym wrogiem pisarza-obrazoburcy jest tolerancja. Gdy już się zgodzimy, że wszystko wolno, jego bunt straci rację bytu.

Na szczęście dla Pankowskiego, Polacy nawet po szkole Gombrowicza i Mrożka pozostali ludźmi obraźliwymi i honoru deptać nie pozwolą. Jednakże po to, by ich naprawdę rozjątrzyć, trzeba by trafić do tłumów. Tu powstaje pewien szkopuł: Pankowski odwołuje się do czytelnika o gustach awangardowych, który każdą obrazę przełknie gładko. Na nim taka kuracja terapeutyczna nie robi wrażenia. Autor *Matugi* jest pisarzem elitarnym z racji formy, której szerokiej popularności nie wróżę. Dorobek ma pokaźny, ogłoszony na emigracji i od czasu do czasu w Polsce. Jego proza i dramaty zostały przełożone między innymi na francuski (wydane przez L'Age d'homme i Actes Sudes), niemiecki i holenderski. Nadto Pankowski pisze również po francusku. W tym języku powstała część jego wierszy, wydanych w dwu tomikach. Ogłosił też swój przekład na francuski zwięzłej antologii poezji polskiej od XV wieku do współczesności (1961).

Wspomniana *rozróba* dotyczy w znacznej mierze warstwy językowej. Autora w dużo większym stopniu pociąga *jak* opowiedzieć niż *co* opowiedzieć. Ze swobodą posługuje się słowem, tworząc wysoce indywidualny styl wypowiedzi, niemal na granicy maniery. Chylę czoła przed wnikliwością i intuicją jego tłumaczy, bo nie mają łatwego zadania. Tworzywem Pankowskiego jest dialekt jego stron rodzinnych, Podkarpacia, wzbogacony domieszką neologizmów i spolszczonych wyrazów zaczerpniętych z języków obcych. Tylko z pozoru styl jego narracji i dialogów robi wrażenie szorstkiej, archaizującej prozy, z mnogością słów grubych, kolokwializmów, wyrażeń z gwary złodziejskiej etc. W rzeczywistości jest to bardzo ornamentacyjna polszczyzna, a jej elementy składowe są starannie dobrane pod kątem brzmieniowo-kolorystycznym. Pankowski jest świadom działania słów na zmysły. Słusznie zatem zauważył Paul Beers, współtłumacz *Matugi* na holenderski, że twórca tej powieści operuje w istocie prozą poetycką i że tworzy „liryczne wersy". Pankowski pozostał poetą ze względu na sposób ekspresji, nawet jeśli zaprzestał pisania poezji *sensu stricto*. Bodaj najlepszym tego przykładem jest jego *Smagła swoboda* (1955) wyróżniona nagrodą literacką *Kultury* rok przedtem. Zalicza się ją do literatury wspomnieniowej. Jej materiałem literackim jest kraina dzieciństwa. *Smagła swoboda* składająca się z pięciu *quasi*-traktatów, rozbitych nadto na krótsze cząstki, opowiada o najprostszych realiach życia na prowincji. Sięga do esencji przygód chłopięcych, jak kradzież jabłek w sadzie, łowienie ryb, rozpalanie ognia, marzenie o locie. Symbolem wolności są w niej Cyganie. *Ars poetica* zalecana przez autora równa się *ars vitae*, a sztuka życia polega przede wszystkim na silnym związku z naturą i uchwyceniu rzeczy w ich konkrecie, na poznawaniu wszystkimi zmysłami. Utwór zachował świeżość i spontaniczność, choć wydaje się dziś nieco nazbyt wystylizowany. W odniesieniu do niego określenie „liryczne wersy" wydaje się też na miejscu. Jednakże ten epitet w stosunku do późniejszej twórczości Pankowskiego wydaje się trochę zaskakujący, bo autor stopniowo ujawniał coraz większy pociąg do słów nieobyczajnych, drastycznych scen seksualnych i coraz bardziej natrząsał się ze skarbczyka narodowych świętości. Dosadność bywa jednak pancerzem ochronnym lub stroną wierzchnią natury z gruntu sentymentalnej. Sam Pankowski, który często zabierał głos na łamach *Kultury*, *Wiadomości* i *Oficyny Poetów* w roli krytyka i teoretyka literatury, określa się tak: „Bo poezja to mowa, nade wszystko mowa. Świadomie kierowana furia słów, biorąca początek z serca". Pragnie osiągnąć wysokie napięcie liryczne „bez popadania w stare, skostniałe formy". Dużo konkretniej określa dwa dopływy inwencji twórczej w biogramie dla czytelnika francuskiego w zbiorze opowiadań *Tout près de l'œil*, wymieniając wpływ nabożeństw majowych i ideałów PPS. Wyobraźnię Mariana Pankowskiego, niezależnie od doświadczeń wojennych i studiów literackich, do profesury włącznie, ukształtowało, jak się można domyślać, miasteczko na styku kilku kultur: polskiej, ukraińskiej, żydowskiej. Ta strefa, ani wiejska, ani miejska,

jest przypuszczalnie miejscem narodzin większości Polaków. Może dlatego narrator-bohater często pojawiający się w prozie Pankowskiego ma w sobie coś z typowego cwaniaka polskiego, cynika podszytego ckliwością. Jego pierwowzoru można szukać i w życiu, i w literaturze sowizdrzalskiej.

Rodzinnym miasteczkiem Pankowskiego był Sanok, gdzie pisarz urodził się w 1919 roku. Jego ojciec był ślusarzem i niewykluczone, że w domu rodzicielskim spotykały się ze sobą: obrządek religijny, choć niekoniecznie zgodny z ortodoksją i duch socjalizmu. Pisarz ukończył gimnazjum sanockie w 1937 roku i debiutował wierszem „Czytanie w zieleni", wyróżnionym na konkursie lwowskich *Sygnałów*. Rok później, po podchorążówce, którą wspomina z niechęcią, rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Udzielał się w kółkach literackich i politycznych i — jak pisze — bywał na zebraniach z udziałem Altera, Ciołkosza, a nawet Wandy Wasilewskiej... Walczył w kampanii wrześniowej, a wzięty do niewoli zbiegł. Wrócił do Sanoka, pracował fizycznie i działał w podziemiu. Aresztowany w 1942 roku, przeszedł Oświęcim, Gross-Rosen, Nordhausen, Bergen-Belsen. W jednoaktówce *Teatrowanie nad świętym barszczem*, pisze o doświadczeniach kacetowskich dosadnie, opisując wybrańców kapo. Po wyzwoleniu zamieszkał w Belgii. Tuż po wojnie wydał swój pierwszy tomik wierszy własnym nakładem, zatytułowany, łatwo zgadnąć dlaczego, *Pieśni pompejańskie*. Podjął studia polonistyczne na Université Libre w Brukseli. Tam zbliżył się z profesorem Claude Backvisem, wybitnym polonistą, który zaznajomił go z bogactwem polskiego baroku. Tematem pracy doktorskiej Mariana Pankowskiego była poezja Leśmiana, co nie dziwi w świetle jego słowotwórczych zainteresowań i sięgania do pokładów ludowości, mitu, baśni. Nie chciałabym dopisywać Pankowskiemu zbyt wielu ojców literackich, bo w końcu i tak tylko matka jest zawsze znana, a nią niewątpliwie była mowa karpacka, ale należy dla porządku dodać, że autor pozostawał pod znacznym wpływem Awangardy Krakowskiej, co znalazło odbicie takie w kompozycji jego antologii poezji polskiej. Krytycy doszukują się jego powinowactw z twórczością Brunona Schulza (czytając o przemykającej w kilku opowieściach Pankowskiego jurnej Anieli myślałam o Schulzowej „Wiośnie") i, rzecz jasna, Gombrowicza. Pankowski napisał zresztą posłowie do holenderskiego wydania *Trans-Atlantyku*. Nie należy jednak erudyty władającego biegle językami obcymi redukować do roli latarnika literackiego, żywiącego się jedynie rodzimą strawą. W dużym stopniu Pankowski wykorzystał też doświadczenie zachodnioeuropejskiej awangardy. Więc można by pokusić się o analizę porównawczą dzieła Gombrowicza i piętnaście lat odeń młodszego Pankowskiego, bo obu cechuje podobny stosunek do zespołu cech zwanych polskością, ale te podobieństwa, także stylistyczne, szybko się kończą. W *Matudze, Granatowym Goździku* (1972), w *Rudolfie, Pątnikach z macierzyzny* (1985), w zbiorze *Kozak i inne opowieści* (1965) ujawnia się natura dużo gwałtowniejsza od Gombrowicza. U licznych postaci Pankowskiego nie rozum lecz biologizm jest cechą nadrzędną, a także siłą wyzwalającą. Dlatego nie raz pisarz został oskarżony o uprawianie pornografii. To przesadne oskarżenie (dziś wszystko dozwolone...), ale słuszność ma Maria Danilewicz Zielińska, nazywając go „antypurytaninem" w *Szkicach o literaturze emigracyjnej*. Mikropowieść *Rudolf* jest manifestem anarchii seksualnej. Utwór jest skonstruowany w typowy dla Pankowskiego sposób: rozmowy dwóch mężczyzn (patrz *Granatowy Goździk, Pątnicy z macierzyzny*). Tytułowy Thomas-Rudolf, Niemiec rodem z Łodzi, chutliwy starzec, opowiada przygodnie spotkanemu profesorowi-narratorowi swoje przygody homoseksualne. Jest trybunem młodości i wolności, jeśli przyjmiemy równanie, że życie równa się kopulacji. Występuje w obronie ciała, bo „Ciałem pojmie Pan urodę, ptaki, światło i braterstwo". A bratać się — czytamy w innym miejscu — „znaczy zostawić lakierki w kruchcie i wejść na bosaka, w niepewne". Ów seksualny emeryt mówi w gruncie rzeczy to samo, co głosili kilka pokoleń od niego młodsi hippies: *Make love, not war*. Więc prócz konfesyjnych opowieści *Rudolf* tak wiele nie dostarcza do myślenia. Polacy, dowiadujemy się z ust Niemca, utracili witalizm, bo zrośnięci z koniem, używają ciała do „noszenia sztandaru, kopii czy obrazów świętych".

Thomas-Rudolf jest odmianą romantycznego bohatera, który wybrał wysoce indywidualną drogę do samospełnienia. W wydanym ostatnio po francusku *Granatowym Goździku* znów mamy do czynienia ze związkiem seksualnym-wyzwaniem rzuconym drobnomieszczańskiej opinii publicznej: gimnazjalistki usuniętej ze szkoły za zabawy w krzakach i lwowskiego batiara na gościnnych występach w miasteczku. Do sceny erotycznej opisanej dość szczegółowo dochodzi na cmentarzu, co jest chyba ulubioną scenerią Pankowskiego, znów — powiedziałabym — z ducha romantyczną. W jego opowiadaniu *Bukienocie*, którego akcja dzieje się w miasteczku belgijskim, przybysz defloruje miejscową pannę na grobie, a następnie szybko ucieka od niej i jej gościnnej rodziny. Elizabeth Destree-Van Vilder, tłumaczka na francuski *Pątników z macierzyzny* pisze, że jest to między innymi „książka o kobiecie we wszystkich jej rolach, sprowadzających się do jednej". Tu na plan pierwszy wybija się Gruba Anielka, kobieta-archetyp, przedmiot fascynacji autora w latach chłopięcych, w typie *Mother-Whore*. Miejscowy urzędnik pragnie ją zgłosić do listy świętych, bo, jak mówi, już tylko kanonizacja może zjednoczyć Polaków. Otrzymujemy więc portrecik małomiasteczkowej jawnogrzesznicy o potężnych kształtach, która na starość, pod koniec wojny, zajmuje się nadal ciałem, ale idąc na dobrowolną posługę do szpitala by pielęgnować umierających i myć zwłoki. Jej wonnościami są „wóda, czosnek, smród". Tu dochodzimy do jednego z głównych elementów prozy i grotesek teatralnych Pankowskiego: bluźnierstwa. I znów, bluźnić może z taką furią słów tylko ten, dla którego religijność nie jest tematem obojętnym. Motywem przewodnim *Pątników z macierzyzny* jest pielgrzymka, która urasta do fantastycznych rozmiarów wizji totalnej kraju opętanego teatralnym rytuałem, za zgodą i przy współpracy czynni-

ków oficjalnych dążących do scalenia poddanych. Pielgrzymkami są odwiedziny bohatera-narratora w ziemi rodzinnej („Ja tam trochę jako archeolog bywam (...). Gdzie bym się nie ruszył, nagrobek albo krzyż cmentarny" — mówi narrator *Rudolfa*. W *Pielgrzymowaniu* też go ciągnie na cmentarz i na kirkut). Z oprowadzania pielgrzymów żyje młoda Anielka i jej matka. W pielgrzymce na Szklaną Górę do Cesarza ciągną wszystkie stany krainy nazwanej *Cartoflania dolorosa*. Kartoflanię jako termin wprowadził już Pankowski w *Matudze*. W jego ostatniej opowieści mamy do czynienia niewątpliwie z silnie przetworzonym obrazem Polski po stanie wojennym. Łatwo odgadnąć, kogo autor ukrył pod symboliczną postacią Cesarza...

Religijność polska, tak jak ją widzi Pankowski, jest w gruncie rzeczy odmianą kultu pogańskiego, dużo starszych szczątków religii naturalnej. Nie jest to oczywiście pogląd zbyt nowy ani oryginalny, ale w prozie Pankowskiego ma posmak świętokradztwa. Matula w *Rudolfie* — dość odległa od stereotypu wiejskiej kobiety postać — opowiada synowi-narratorowi o tajnych rytach płodności w opuszczonej sztolni kopalni soli w Wieliczce, właściwie czarnych mszach pod wodzą kapłanki-wiedźmy, aż do popadnięcia w trans wskutek ciągłego powtarzania litanii:

Macico,
Macico,
Prześliczna dziedzico,
Czego się przeciwisz?

Pankowski we wstępie do *Matugi* pisze, że poszukuje — jak Schulz — swojej genealogii, mając na myśli biografię wewnętrzną, i ten rodowód przekształca stopniowo w mitologię. *Matuga* składa się z kilkunastu baśni-przypowieści (tworzących luźną całość) o doświadczeniach tytułowej postaci zrazu w miasteczku rodzinnym, potem w Królewskim Grodzie, dalej w obozach, czyli na dnie świata, wreszcie na zachodzie Europy. Konkretna rzeczywistość, choć rozpoznawalna, jest w tej książce silnie transponowana. Dla Czesława Miłosza, który poświęcił jej szkic krytyczny w *Kulturze* w 1960 roku, „znaczenie dziejów *Matugi* polega na tym, że są one rozdziałem z nowoczesnych 'ksiąg narodu i pielgrzymstwa' ". Doceniając talenty lingwistyczne Pankowskiego i dar zmysłowego obrazowania, stawia autorowi zarzut „powagi, tej najgorszej cechy awangardowego dziedzictwa". To racja, groteski Pankowskiego rzadziej śmieszą, częściej gorszą.

Zastanawiające, że po latach autor nadal odczuwa silną pokusę anarchii i grania roli *poète maudit*. Nie wykluczam, że jest to również jego reakcja nie tylko na zespół cech zwanych polskością, ale i na żywot w Belgii. Jak na ironię, przeniósł się bowiem z uboższej Kartoflanii do bogatszej. Wystarczy znać trochę atmosferę belgijskich miasteczek, ogródków przy domu, gdzie rozrasta się nać ziemniaczana, gdzie wszędzie unosi się zapach smażonych fryt, miasteczek ni to miejskiego ni wiejskiego charakteru, z hieratycznym porządkiem, ze stale obowiązującym kalendarzem religijnym. Może to wyzwala odruch buntu? W opowiadaniu *Kozak* narrator o nazwisku tożsamym z autorem ucieka od profesorskiego biurka, wymyka się żonie i córce, wcielając się w marzeniach w swoje *alter ego:* wnuka ukraińskiego watażki nazwiskiem Panko, galopującego konno po stepie nad Morzem Czarnym.

Pankowski musi jednak i u Belgów wyczuwać pokrewny, ciemny nurt plebejskiej zmysłowości utrwalony na obrazach mistrzów flamandzkich, odzywający się do dziś w karnawałach. Chciałoby się tych obrazów Belgii w jego prozie poznać więcej, ale Pankowskiego zbyt silnie ciągnie do rodzinnej Kartoflanii, w apostolskim zamyśle wskazania rodakom ogólnie dostępnych dróg wolności: w obłapce. Liczy się tylko „radość... rozkosz" — uwodzi jego Thomas-Rudolf.

Renata GORCZYŃSKA

Dookoła Gombrowicza

W drugiej połowie lat 60-tych, w czasie największego napięcia w stosunkach rosyjsko-chińskich, żołnierze chińscy wychodzili całymi oddziałami na brzeg rzeki Amur, spuszczali spodnie i wypinali gołe tyłki na stronę sowiecką. Rosjanie wpadli wtedy na dość świeży pomysł. Udekorowali swój brzeg rzeki portretami Mao. Nie mogąc wypinać się na twarz przywódcy, Chińczycy odpowiedzieli zamknięciem wydziału rusycystyki na Uniwersytecie w Pekinie. Historię tę opowiedziała mi chińska tłumaczka. Kiedy zabroniono jej tłumaczenia Dostojewskiego, przełożyła na chiński „Klub Pickwicka". Najlepiej na tym wyszedł Dickens.

Druga część tej historii bliska jest w klimacie książkom Kundery. Pierwsza — to interesujące zastosowanie gombrowiczowskiego pojedynku na miny, grymasy i maski. Gombrowicz zawsze uważał się za realistę.

Na wydany przed wojną egzemplarz *Ferdydurke* wpadłem w połowie lat 50-tych. Miałem wtedy lat czternaście i na dwa lata przed maturą byłem wszechstronnie przygotowany do życia. Z literatury współczesnej znałem kilkanaście książek, które zaczynały się zdaniem: „Komendant i komisarz w milczeniu patrzyli jeden na drugiego, wszystko było jasne bez słów", i kilkanaście, które się tym zdaniem kończyły. Z historii literatury polskiej znałem na pamięć dwie pierwsze księgi *Pana Tadeusza*, a z literatury światowej zakończenie poematu *Cyganie* Puszkina. Puszkin się z Mic-

kiewiczem przyjaźnił, co było jednym z dowodów na długie tradycje przyjaźni polsko-sowieckiej. Nie znałem Dostojewskiego, który się z żadnym Polakiem nie przyjaźnił i wierzył w Boga. Fakt nieistnienia Boga został później, dzięki bezpośredniej obserwacji, potwierdzony przez sowieckich kosmonautów. Na egzaminie z historii powiedziałem, że historii nie należy się uczyć, tylko należy ją tworzyć. Nauczyciel się przestraszył i zdałem.

Owszem, czasami nie wszystko mi się zgadzało. Ale kiedy pytałem ojca, „dlaczego oni co innego robią, a co innego mówią?", odpowiedział: „Zaczekaj synku, jak dorośniesz to zrozumiesz". Tak harmonijnie rozwijała się moja osobowość do czasu kiedy sąsiad, który prowadził prywatną bibliotekę, został aresztowany za szpiegostwo przemysłowe na rzecz Japonii, a jego żona zaczęła z płaczem rozdawać książki. Wziąłem 10 na próbę. *Ferdydurke* wciśnięta była między *Niepokoje wychowanka Törlessa* i *Notatki z podziemia.* Oznaczało to, że szpieg przemysłowy wiedział sporo o literaturze. W takim stanie ducha zanurzyłem się w żywiole gombrowiczowskiego absurdu.

Dekoracje się nie zgadzały. Polska ziemiańsko-szlachecka już nie istniała. Ale nad krajobrazem po bitwie, gęba i pupa, czyli deformacja i degradacja świeciły pełnym blaskiem.

Wychowany na literaturze, w której erotyzm manifestował się głównie w nieodwzajemnionej miłości do ojczyzny, wpadłem w świat erotyzmu wysoce nielegalnego. Oto powodowany postępowym masochizmem panicz próbuje przełamać bariery klasowe i pobratać się z parobkiem. Robi mu wykład z egalitaryzmu, po czym aby go ośmielić prosi, a następnie błaga „daj mi po mordzie". Wszystko na nic. Dopiero kiedy doprowadzony do ostateczności panicz wrzeszczy: „Daj, psiakrew, kiedy ci każę", hasła Rewolucji Francuskiej triumfują i paniczowi „świeczki stanęły w oczach".

Czytałem tę książkę w czasach kiedy podział na wyższych i niższych został już w Polsce zastąpiony podziałem na równych i równiejszych. A parobek walił pana w pysk bardzo chętnie i z własnej inicjatywy.

Najbardziej jednak zachwycił mnie w *Ferdydurke* język. Język żywiołowej parodii, przezabawna kombinacja stylów, konwencji i epok. Przedrzeźniający rzeczywistość i przedrzeźniający siebie. W czasach obowiązującej nowo-mowy obcowanie z nim to była rozpusta. Nowo-mową Gombrowicz nigdy się nie zajmował. Na szczęście dla siebie był od niej za daleko.

Ale parodia i groteska nie dopuszczają do głosu uczucia. Programowo spontaniczne pisarstwo Gombrowicza przypomina niekiedy po mistrzowsku rozgrywane partie szachów. W terminologii szachowej istnieje pojęcie: „gra czarnymi". Jak wiadomo

partie rozpoczynają pionki białe. Czarne są spóźnione o jeden ruch. Odpowiadają, kontrują, dopiero później mogą przejąć inicjatywę. *Ferdydurke* to pastisz wolteriańskiej powiastki filozoficznej. *Trans-Atlantyk* kontruje *Pana Tadeusza. Ślub* i *Iwona, księżniczka Burgunda,* parodystycznie odwołują się do Szekspira. Gombrowicz zawsze gra czarnymi.

Gombrowicz napisał kilka znakomitych sztuk. Ale sam do teatru nie chodził. Prawdopodobnie rola widza, nawet widza własnej sztuki, wydawała mu się za mało atrakcyjna. Wolał sam grać i reżyserować. Robił to codziennie, ale był aktorem wybrednym, rolom które oferowało mu życie przyglądał się z wyższością. Przerabiał je, wywracał do góry nogami, pomnażał o kilkanaście wariantów i dopiero wtedy zapraszał publiczność. Próby generalne odbywały się w kawiarniach, premiery na stronach książek, recenzje ukazywały się w *Dziennikach.*

Grał, czyli był, był szczery ponieważ był sztuczny. Oskar Wilde napisał w *Portrecie Doriana Graya:* „Tylko zupełny prostak nie sądzi po pozorach". Gombrowicz pozory absolutyzuje. Podnosi je do rangi religii. Niebo jest puste. Pomiędzy ludźmi zaplecionymi bez pomocy węży w grupę Laokoona pracowicie uwija się maska.

Inny specjalista od maski, Alfred Jarry, tak całkowicie wcielił się w swojego bohatera, błazeńskiego Króla Ubu, że umierając wykonywał ku przerażeniu obecnych serię grymasów, zdecydowany nie przyjąć drażniąco uroczystej maski końcowej. Umarł nie poddając się powadze śmierci, z wciśniętą między zęby wykałaczką.

Na koniec jeszcze parę słów o kraju, emigracji, poczuciu humoru i poczuciu tragizmu. Schopenhauer napisał w swoich *Aforyzmach,* że: „Najmniej wartościowym rodzajem dumy jest duma narodowa. Kto bowiem się nią odznacza, zdradza brak cech indywidualnych... Każdy żałosny dureń, który nie posiada nic na świecie z czego mógłby być dumny, chwyta się ostatniej deski ratunku, jaką jest duma z przynależności do danego narodu. Z wdzięczności gotów jest bronić rękami i nogami wszystkich głupstw, jakie ten naród reprezentuje".

Gombrowicz opracował i przygnębiająco udokumentował polskie w tej dziedzinie osiągnięcia. Schopenhauer zauważa brak cudzoziemców, którzy chcieliby udawać Niemca. Wszyscy podają się z reguły za Francuzów bądź Anglików. Obawiam się, że jeszcze trudniej byłoby znaleźć kogoś, kto podszywałby się pod Polaka. Gombrowicz nie miał co do tego złudzeń. Wiedział doskonale, że w międzynarodowej licytacji na ilość geniuszy „z naszym półfrancuskim Chopinem, i niezupełnie rdzennym Kopernikiem...", nie mamy żadnej szansy.

Witkacy, także wyprzedzający swój czas i równie przez rodaków nie rozpieszczany, powiedział, że „jest tylko jedna rzecz gorsza od urodzenia się garbatym, to jest urodzenie się garbatym artystą w Polsce". Tyle, że bycie polskim pisarzem za granicą, to też niezły koszmar. Wilhelm Kostrowicki wprawdzie uważał się za Polaka, ale pisał po francusku, drukował pod pseudonimem Guillaume Apollinaire i przez całe życie rozpaczliwie próbował zostać legalnym Francuzem. W czasie wojny zgłosił się nawet na ochotnika do francuskiej armii i popadł w rodzaj patriotycznego szaleństwa, które wprawiało w osłupienie jego francuskich przyjaciół. Gombrowicz jak wiadomo zrobił odwrotnie. Ze swej polskości i prowincjonalizmu zbudował bastion obronny. Zamiast Europę naśladować, wypowiedział jej wojnę, zaś patriotyczne slogany kwitował szyderczym grymasem. „Nigdy żaden naród nie potrzebował śmiechu bardziej niż my dzisiaj, i nigdy żaden naród mniej nie rozumiał śmiechu, jego roli wyzwalającej" — pisał w *Dziennikach*.

Z kilkoma wyjątkami Polacy, i w kraju i na emigracji zareagowali na gombrowiczowską kurację śmiechem, ponurą dezaprobatą.

Dzisiaj twórczość Gombrowicza zrobiła światową karierę... Odkąd umarł, także i Polacy są z niego dumni. My, Polacy, jesteśmy także bardzo dumni z Jana Pawła II. Ale nie mam wątpliwości, że gdyby to Polacy wybierali Papieża — wybraliby Francuza.

Janusz GŁOWACKI

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

O religii bez namaszczenia

Czas najwyższy

(ROZMOWA Z DOMINIKANINEM OJCEM ALEKSANDREM HAUKE-LIGOWSKIM OP)

MAREK ZIELIŃSKI: — *Jak by Ojciec ocenił obecną sytuację duchową a nade wszystko miejsce, jakie zajmuje duchowość, duchowy wymiar spraw — niekoniecznie nawet ukierunkowanych religijnie, ale wykraczających poza schematy marksistowskie — w życiu rosyjskim?*

Czy u Rosjan, w rosyjskiej kulturze, nadal można się spotkać z owymi tak charakterystycznymi przed rewolucją postawami poszukiwań absolutu, głodem wartości, z dążeniem do nadania rzeczywistości wymiaru trwałego, zakorzenionego w niezmiennej prawdzie, ugruntowanego metafizycznie?

ALEKSANDER HAUKE-LIGOWSKI: — Na takie pytanie trudno odpowiedzieć w odniesieniu do wszystkich Rosjan. Można za to zastanowić się nad warstwą, której te problemy na pewno dotyczą, nad rosyjską inteligencją, która przeszła tyle zmian i która przeżywa swój renesans. Jest ona co prawda bardzo przetrzebiona ostatnimi emigracjami. Zaczyna się jednak na nowo samookreślać. Wzrasta liczba młodych ludzi poczuwających się do związku z jej zadaniami, jej tradycją ideową, z jej posłaniem odziedziczonym z przeszłości. I chyba dla tych młodych poszukiwanie wartości, poszukiwanie absolutu jest nadal aktualne. Najpierw muszę jednak zrobić poważne zastrzeżenie. Byłem w Rosji po 11 latach nieobecności, zaledwie 10 dni, na dodatek ograniczony do Leningradu. Moje obserwacje mogą być fragmentaryczne. Głównie opieram się na infomacjach dostarczonych przez innych, na rozmowach, na ocenach zapożyczonych...

Przy tym zastrzeżeniu, gdy poważnie podjąć kwestię życia religijnego, to trzeba zauważyć osłabienie jego natężenia, przynajmniej w porównaniu do lat poprzednich, do doświadczeń, jakie wyniosłem z poprzednich podróży. Zastanawiam się jednak, czy ta opinia, chociaż prawdziwa, jest również w głębszym sensie słuszna. Oto do roku 1976, kiedy tam bywałem częściej, poszukiwania absolutu mogły się wyrazić tylko w kategoriach religijnych. Była zresztą na nie moda. Zwłaszcza dlatego, że zbankrutował zupełnie marksizm. Nikt się w tych kręgach tak naprawdę nie przyznawał do marksizmu! I chociaż nie wszystkich interesowały problemy metafizyczne, religijne, to zajmowano się nimi, gdyż pasowały one na intelektualistę. Były elementem dojrzałości intelektualnej. Rozstrzygającym częstokroć, w ocenie z zewnątrz, dla określenia stopnia intelektualnego, duchowego rozwoju. Nawet ci, którzy tych dreszczy metafizycznych nie przeżywali, wstrząsali się jednak znacząco, żeby nie wystawiać sobie złego świadectwa. Dzisiaj sytuacja jest inna. Jest mnóstwo problemów i spraw, którymi można się zająć i to całkiem głośno. Sporo ludzi z tych kręgów prowadzi ożywioną działalność intelektualną. Nie odwołują się do problematyki religijnej. I zarówno pośród starszego pokolenia, jak i młodzieży widać, że pęd do religii przestał być masowy. Za to nawrócenia są teraz zapewne głębsze, nie takie naskórkowe, jak bywało przedtem. Na miejsce fascynacji religijnych weszła problematyka kultury, systemu, historii, ekonomii. Systemu jako problematyki społeczno-ekonomicznej, jako porządku ideologicznego, co do niedawna było jeszcze tematem tabu. Tym się zajmują, takie są dzisiaj zasadnicze fascynacje młodych intelektualistów rosyjskich, które zastąpiły dawniej tak żywo obecną tematykę religijną. Traktowaną jednak — powtórzę — w znacznym stopniu zastępczo. Może więc lepiej, że teraz jest inaczej, nurt religijny jest węższy, ale głębszy.

M.Z.: — *Dobrze znamy rolę, jaką odegrała rewolucja w przerwaniu ciągłości duchowej i kulturalnej Rosji (ostatnio przypomniał o tym Igor Newerly w opublikowanej nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu książce „Zostało z uczty bogów" — przejmującym świadectwie porewolucyjnego zrywania z przeszłością, z tradycją, niszczenia wszystkiego, co odbiegało od panujących sztanc myślowych, teorematów partyjnych, co miało jakoby zagrażać nowemu porządkowi rzeczy) — i nie warto do tego powracać. O wiele ważniejsze dzisiaj i ważące na przyszłość jest pytanie, na ile Rosja, a również dotyczy ono narodów wchodzących w skład ZSSR, przestała podlegać mitom rewolucyjnym, mitowi nagłej zmiany umożliwiającej realizację raju na ziemi, na ile próbuje realizować model wolności duchowej i kulturalnej poprzez stopniową, powolną pracę, kładąc nacisk na indywidualną*

odpowiedzialność? Czy jest w ogóle możliwa taka zmiana myślenia, czy nie za daleko już zaszły procesy rozpoczęte w lutym 1917, które odebrały człowiekowi w Rosji należną mu wolność?

A.H.-L.: — Etos inteligencji rosyjskiej był etosem rewolucyjnym. Między innymi dlatego, że opierał się na czystej teorii. Ci ludzie nie mieli nigdy okazji sprawdzić swoich projektów. One istniały tylko na papierze. Co ułatwia snucie śmiałych, radykalnych wizji, bez uwzględnienia „oporu materii", wymogów realizacji. Zdarzyło się jednak nieszczęśliwie, że utopie zaczęły być realizowane. Utopie straszliwie doświadczyły Rosjan. Dzisiaj ich doświadczenie otwiera rosyjską mentalność na zrozumienie, że rewolucja nie jest sposobem na życie. To jest wszędzie do zauważenia. Paradoksalne, ale na tym opiera się w jakiś sposób także i trwałość obecnego systemu. Oto wszyscy, którzy są mu niechętni, a nie spotkałem — szczerze mówiąc — jego entuzjastów, zarazem odrzucają rewolucyjne rozwiązania. Dosyć już rewolucji. Co więcej, boją się panicznie, że inaczej się nie da, że inaczej się nie skończy, że ostatecznie próby zmian wyrodzą się w rewolucję. Ten lęk jest wspólny zresztą czasom obecnym i temu, co widziałem lat temu 12. Już wtedy bano się ogromnie rewolucji. Dzisiaj lęk się spotęgował i prowadzi do postaw podobnych starożytnej maksymie *carpe diem*. Jutro zdarzy się najprawdopodobniej coś złego, ale dziś cieszmy się tym, co mamy, i cieszmy się z tego, co jest, z nowych czy odzyskanych starych książek, filmów, z nonkonformistycznej plastyki itp.

Poprzednio mi mówiono, że jeśli dojdzie do takiej *stichijnoj razruchy*, to będzie ona kataklizmem, przy którym rewolucja październikowa wyda się bajeczką dla grzecznych dzieci. Tyle się nagromadziło sprzeczności w życiu rosyjskim.

Pośrednim tego potwierdzeniem mogą być ostatnie wydarzenia w Karabachu czy Singaicie, gdzie doszło do pogromu Ormian.

Spraw narodowościowych, społecznych nagromadziło się w sowietach bardzo dużo, co zresztą wynika z sytuacji z przeszłości, jest skutkiem wieloletnich celowych działań, działania poszczególnych narodowości, wykrawania jak najdogodniejszego dla władzy, a niezgodnego z zasadą etniczną terytoriów republik. Teraz ta polityka się mści. Czy może być jednak inaczej, kiedy zasadę samostanowienia i autonomiczności poszczególnych narodów zawsze podporządkowywano władzy centralnej i zależności od Rosji? Tatarska Republika została przykładowo tak skonstruowana, że większość w jej ramach stanowią nie Tatarzy, ale Rosjanie. Co więcej, tylko 25 % Tatarów mieszka w tej republice, reszta poza nią. To najlepszy dowód prowadzonej polityki narodowościowej, która wcześniej czy później owocuje negatywnie.

M.Z.: — *W odniesieniu do zarysowanego przez ojca tła społecznego, duchowego, częściowo moralnego, jak wygląda świadomość religijna narodów ZSSR? Nie tyle chodziłoby mi o ogólne nakreślenie poszukiwań duchowych, głodu wartości etc., tego wszystkiego o czym częściowo już mówiliśmy — zapewne zaledwie dotykając tego olbrzymiego problemu — ile o konkretny wymiar konfesyjny rosyjskiego życia, o rodzaj wspólnot kościelnych, o wpływ instytucji religijnych na narody sowieckie.*

Czy można z dużą dozą optymizmu mówić o odrodzeniu religijnym, czy chrześcijaństwo, przez tyle dziesiątków lat dezawuowane, nadal oddziałuje na etos rosyjski?

Jakie jest znaczenie Kościołów: prawosławnego i rzymskokatolickiego? Wreszcie, co dałoby się powiedzieć o wpływach protestantyzmu, małych grup wiernych z gmin protestanckich, np. baptystów (oddzielnym i olbrzymim problemem, na który nie ma miejsca w naszej rozmowie, ograniczonej tylko do chrześcijaństwa, jest islam w jego fundamentalnym odłamie, który zdobywa coraz więcej wiernych na terenie republik azjatyckich ZSSR, zapatrzonych w Iran, w renesans świata arabskiego)?

A.H.-L.: — Zacznijmy właśnie od tych małych grup protestanckich, bo są one w tej chwili kto wie, czy nie najciekawsze. Oto według jednej z zasłyszanych opinii: jeżeli nawet ruch odrodzenia religijnego wytracił sporo ze swego dynamizmu, przynajmniej w kręgach inteligenckich, za to zyskały na znaczeniu i sile ruchy protestanckie. Można by rzec, że zanim Rosja będzie prawosławna bądź katolicka, najpierw zostanie baptystyczna. To będzie jakby pierwszy etap. Katolickie i prawosławne zostaną różnego rodzaju elity. Masy ludowe będą baptystyczne. Tak zdaniem wielu wygląda najbliższa przyszłość religijna Rosji. Przyszłość, w której olbrzymiego znaczenia nabrały wolne Kościoły protestanckie. Nie tylko baptyści, ale również zielonoświątkowcy, świadkowie Jehowy.

Im dalej na wschód, tym gwałtowniej się szerzą ich wpływy, co i zrozumiałe, bo tym mniej tam katolicyzmu, a i wpływy prawosławia coraz słabsze. Te duże Kościoły hierarchiczne nie za bardzo mogą zresztą konkurować z małymi wspólnotami protestanckimi, trudnymi do kontroli, lepiej jakby przystosowanymi do życia w tamtejszych warunkach. I o ile Kościoły tradycyjne potrzebują pieniędzy, seminariów, świątyń, struktury, prawa kanonicznego, tu wystarczy Biblia w kieszeni i żywa woda. Inaczej jest co prawda w zachodnich połaciach Sowietów. I tak sytuacja w krajach nadbałtyckich wygląda szczególnie ciekawie.

Na Litwie jest podobna do rzeczywistości polskiej, z dużą przewagą katolicyzmu i przesyceniem przezeń życia społecznego. Co zresztą nie może dziwić, bo Kościół katolicki na Litwie wyrósł z Kościoła polskiego, jest mu bliźniaczy, zaledwie niedawno oderwany od naszego Kościoła. Etos tego Kościoła jest bardzo podobny. Trochę bardziej chłopski, ale zasadniczo bliski nam. Kościół litewski trzyma się dobrze, jest podporą działań niezależnych, ostoją dla narodu. Oczywiście, są różnice wynikłe chociażby z innego stosunku liczbowego Litwinów do Rosjan, z tego, że ich Kościół jest niewielki, że reprezentuje naród zanurzony w olbrzymim morzu rosyjskim. A przy tym Kościół litewski odznacza się dużym wyczuciem spraw narodowych. Czasami grozi mu nawet zamknięcie narodowe, nacjonalizm, ergo — prowincjonalizm. Charakterystyczne na przykład, że kowieńskie seminarium (na Litwie jest tylko jedno seminarium w Kownie) nie tylko posługuje się litewskim językiem wykładowym, ale i wstępny egzamin jest z języka litewskiego. Bez znajomości tego języka nie można tam się dostać. Ogranicza to dostęp innym narodowościom, tym młodym, którzy z racji nieznajomości tego języka nie trafiają do seminarium i nie mogą zostać wyświęceni. Ogranicza chociażby liczbę Polaków. I dlatego jeszcze nie tak dawno temu było na Litwie 80 parafii polskich, a teraz jest ich już tylko około 60. Widać zmniejszenie i próby lituanizacji parafii polskich ze strony księży litewskich.

Na Łotwie jest inaczej, głównie dzięki osobowości kard. Wajvodsa, który jest wspaniałym człowiekiem o olbrzymich zasługach dla Kościoła w ZSSR. Widać to na przykładzie seminarium ryskiego przez długie lata niezwykle małego (*numerus clausus* 24 osoby na wszystkie cztery lata), ostatnio powiększonego do stu kleryków, dla którego kardynał uzyskał już dawniej prawo do prowadzenia studiów zaocznych. I oto z innych republik: Ukrainy, Białorusi, czy nawet z dalszych stron, z Kazachstanu przyjeżdżają młodzi ludzie, osiedlają się na Łotwie i zaczynają studiować zaocznie w seminarium, jednocześnie pracując jako palacze c. o., zakrystianie itp. Co więcej, w seminarium wykłady odbywają się w języku rosyjskim, a nie po łotewsku. Nikt nikogo języka łotewskiego w seminarium nie uczy. Natomiast wszyscy, także Łotysze, nie są wyświęceni, jeżeli nie znają biegle języka polskiego i niemieckiego. Po prostu muszą znać język tych dwóch najliczniejszych nacji katolickich w Związku Sowieckim, gdyż pośród nich będą pracować.

Dzięki temu seminarzyści Wajvodsa obsadzają Ukrainę, Białoruś, są i w Kazachstanie. Nie jest też przypadkiem, że najliczniejszą grupą w seminarium ryskim są Niemcy, dopiero po nich Polacy. Oczywiście Niemcy z Kazachstanu. Trzeba zresztą przyznać, że niemieccy katolicy z Kazachstanu są nie tylko liczniejsi,

ale również bardziej zwarci, świadomi siebie i zaangażowani religijnie niż kazachstańscy Polacy.

Inna jest sytuacja na Białorusi, gdzie wciąż dużo jest Polaków. Polacy ci, częstokroć pozbawieni dostępu do kościoła, bez własnych księży, wynarodawiali się stosunkowo szybko. Nawet było jakąś regułą, że bez księży tracili swoje poczucie narodowe. Przy tym nie tyle nawet rutenizowali się, co rusyfikowali. Ostatnio jednak otwiera się na Białorusi nieco nowych parafii, są rejestrowane. Polacy starają się na nowo organizować. Słyszałem o próbach odzyskania katedry nieczynnej od lat w Mińsku, kiedy to petycję w tej sprawie podpisało ponad czterdzieści tysięcy wiernych z Mińska. Tego rodzaju postawa budzi optymizm i wiarę w przyszłość. A chociaż, co prawda w większości, sprawa katolicyzmu na Białorusi dotyczy głównie Kościoła polskiego i katoliccy parafianie są polskiego pochodzenia, to można już także mówić o Kościele białoruskim, gdzie kazania są wygłaszane po białorusku. Msze nie mogą być na razie odprawiane w tym języku, bo nie ma odpowiednich mszałów (podobnie jak dla języka ukraińskiego czy rosyjskiego). Trudności są, jak słyszałem, nie tyle pochodzenia miejscowego co watykańskiego. Chodzi prawdopodobnie o to, by nie stwarzać nadmiernej konkurencji dla obrządków wschodnich na tym terenie.

Inaczej jest na Ukrainie między Zbruczem a Dnieprem, gdzie wykształcił się w ostatnich latach duży i śmiały ruch religijny. Księża tutejsi, wychowani w seminarium ryskim, zajmują często postawę podobną do duchowieństwa polskiego. Cieszą się przy tym dużym poparciem społeczeństwa ukraińskiego. Społeczeństwa zresztą dużo dynamiczniejszego od białoruskiego, które wie, czego chce. Nie tak dawno w Winnicy wymuszono na władzy zgodę na postawienie kościoła, grożąc strajkiem. Wymusili to wszyscy, nie tylko katolicy, ale i pozostali mieszkańcy tego miasta. A na przykład w płoskirowskiej *(chmielnickoj)* obłasti jest w tej chwili już 16 parafii (co prawda tylko czterech księży). A to już duża rzecz. I wszystkie w zasadzie parafie polskie.

Ale obok problemu Kościoła rzymskokatolickiego mamy również do czynienia z niezwykle ciekawym problemem Kościoła greckokatolickiego. Kościoła, który w momencie likwidacji przez Stalina liczył około 4,5 miliona wiernych, a dzisiaj osiągnął, jak sądzę, ponad 7 milionów. I w tym tkwi także miara tego wielkiego problemu na Ukrainie. Z tego zresztą wynika zasadnicza przeszkoda dla przyjazdu Jana Pawła II, który postawił warunek, że przyjedzie dopiero wtedy, kiedy Kościół greckokatolicki zostanie oficjalnie uznany. Warunek wydaje się nie do przyjęcia dla patriarchatu moskiewskiego. Nie tylko zresztą ze względu na zaszłości historyczne, ale też z uwagi na jego przyszłość, na fakt, że połowa wszystkich parafii prawosławnych w ZSSR znajduje

się na Ukrainie. Są to najlepsze parafie patriarchatu. W momencie ogłoszenia legalizacji Kościoła greckokatolickiego co najmniej — według oceny ekspertów z samej Rosji, nie Ukraińców — 70 % parafii prawosławnych na Ukrainie, i to także poza d. Galicją, przejdzie na katolicyzm. Staną się greckokatolickie.

M.Z.: — *Sprawa Kościoła greckokatolickiego jest związana bezpośrednio z polską przeszłością, ze współuczestniczeniem Polaków w historii (współuczestniczeniem często negatywnym) tych ziem: Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy, wreszcie Rosji. Jak dzisiaj, po latach doświadczeń, ekspiacji za swoje grzechy, wygląda zanurzone w tej olbrzymiej, wrzącej religijnie i społecznie masie życie religijne diaspory polskiej? Czy pośród różnorodnych napięć, zaburzeń politycznych i moralnych, przypływów i odpływów nadziei duchowej, stać ją na przechowanie depozytu wiary? Z niektórych przykładów przytaczanych przez ojca wynikało, że Polacy na terenie ZSSR potrafili ocalić swoją tożsamość, docierają jednak do nas w kraju i odmienne świadectwa. Co jest prawdą, co da się powiedzieć o cechach szczególnych polskiej grupy? Czy ich katolicyzm — jeżeli go zachowali — niesie w sobie przesłanie optymizmu, może budzić otuchę na przyszłość, otuchę co do obecności Kościoła rzymskiego w ZSSR?*

A.H.-L.: — Jeśli chodzi o diasporę polską, jest ona bardzo zróżnicowana i niełatwa do jednoznacznej oceny. Tym bardziej, że sam dobrze jej nie znam. Przynajmniej tych mieszkających w Rosji. Lepiej potrafię opisać tę część diaspory, która przebywa w pobliżu obecnych granic polskich. Na terenie Litwy, Białorusi czy Ukrainy. Są to przeważnie ludzie, którzy pozostali (bądź ich potomkowie) po zmianach terytorialnych ostatniej wojny. Ludzie, którzy pochodzą z najuboższych warstw społecznych. Proletariat z miast czy też proletariat wiejski. Toteż polska grupa jest na ogół na niskim poziomie kulturalnym. Jedyną inteligencją, jaka tu została, są księża. Dziś bardzo już starzy, młodych jest niewielu. Trzeba zresztą pamiętać, że poza republikami bałtyckimi i Kazachstanem wszędzie w ZSSR główny trzon rzymskokatolicki stanowią do tej pory Polacy. W Leningradzie są w niedziele dwie msze po polsku i tylko jedna tzw. rosyjska, która się różni łacińskim formularzem i rosyjskim kazaniem. I jeżeli można mówić o jakiejś sile przyciągającej katolicyzmu i polskości, to może się ona objawiać w głębi Rosji, w sprzężeniu zainteresowań Rosjan religią z faktem, że wartości i pierwiastek katolicki uosabiają (szczególnie w dużych miastach i pierwiastek katolicki uosabiają głównie Polacy. Także polska młodzież studiująca jak Leningrad) na wyższych uczelniach, polscy robotnicy pracujący na budowach RWPG.

Pamiętam ze swoich dawnych wyjazdów, kiedy spotykałem wielu ludzi z tzw. obrzeża, nie-katolików, że wielu z nich było mocno zafascynowanych katolicyzmem. Sprzyjały temu dwie rzeczy. Na pierwszy plan jako najważniejsza wysuwała się sytuacja Kościoła w Polsce. Prawie każda rozmowa wówczas zaczynała się od pytania o Wyszyńskiego. Ten wzorzec Kościoła uosabiany przez zmarłego Prymasa był dla nich niezwykle pociągający. W Polsce, zdaniem moich rozmówców z lat siedemdziesiątych, przeprowadzono test, potwierdzający autentyzm Kościoła. Może nie zawsze prawdziwość, bo takie określenie sugerowałoby za dużo, ale na pewno autentyzm. Autentyzm Kościoła nie jako nadprzyrodzonej instytucji, ale jako porządku kulturowo-społecznego. I ten test wypadł dla Kościoła polskiego pozytywnie, w porównaniu zwłaszcza z Cerkwią prawosławną w Rosji. Wszystkie wypowiedzi to bardzo podkreślały. Z tego się brały wówczas oceny pozytywne, a czasami wręcz apologia Kościoła katolickiego, wnioskowanie o jego prawdziwości.

Z tym się łączyła druga sprawa. Poczucie obcości w Europie. Obcości kulturowej, która sprawiała, że wielu Rosjan po dzień dzisiejszy nie może się pozbyć swoich kompleksów. Mają wrażenie, że są przyjmowani na prawach gościa, kiedy są potrzebni i silni, albo od kuchni, gdy są petentami. Nikt zaś nie traktuje ich jak członków rodziny. Katolicyzm miał im zastąpić te braki, przydać rzymskiej kultury, rzymskiej tradycji. Miał być środkiem prawdziwego zeuropeizowania Rosji. Dla wielu Rosjan dzieło Piotra I było niewystarczające, chcieli stać się od środka tym, co car zrobił z zewnątrz, często przemieniając Rosjan w błaznów. To stare pragnienie odzywa się i dziś.

Pamiętam jedną dramatyczną rozmowę, kiedy musiałem bronić odrzucanego prawosławia przed radykalnością sądów, krańcowo, wręcz absurdalnie idealizujących Zachód, katolicyzm. Nie można przecież zapomnieć o tysiącach męczenników prawosławia, którzy zaświadczyli swoją śmiercią o jego wielkości, jego sile. Abstrahując od niemożliwości zmiany. Bo czy można takiej zmiany dokonać, wyrzec się własnej tradycji, tysiącletniej kultury? To dopiero byłoby nieeuropejskie.

Dzisiaj te elementy grają już mniejszą rolę. Pozostał jednak silny jeden. Ważny dla ludzi duchowo rozwiniętych i wprowadzonych w problematykę spirytualną, religijną, których fascynacja katolicyzmem wyrasta z podziwu dla jego tzw. *strojnosti*, dla jego dogmatyki, etyki, dla zwartości systemu religijnego, dla logiki weń zawartej. Z podziwu dla tego wszystkiego, co jest w nim piękne, jak piękna może być matematyka, logika. I to im imponuje, wobec swoistej nieforemności, braku precyzji prawosławia.

Generalnie jednak roli Polonii, w tym diaspory polskiej, nie przeceniałbym. Taka, jaka jest, mało może ona oddziaływać. Sama w sobie wiele nie zrobi. Może na Ukrainie, może trochę na Białorusi? Za to Polska, polska kultura, obraz Polaka jest dla Rosjan po dziś dzień ważny i budzi wiele inspiracji, wciąż oddziałuje na rzesze młodych, na kręgi elit. Nasz obraz tam jest wciąż i fascynujący, i odpychający. Moment fascynacji jednak przeważa, rośnie...

Stosunkowo najgorzej sytuacja Kościoła polskiego i Polaków wygląda w Galicji wschodniej. Gorzej niż na Ukrainie leżącej na wschód od Zbrucza. Kościół katolicki rzymski jest tu zepchnięty na margines, nie czuje poparcia, bo go też i nie ma. Wciąż są w tej dawnej Galicji obciążenia wzajemne, resentymenty z dawnych lat.

M.Z.: — *Co pewien czas (ostatnio we wzmożony sposób) prasę polską obiegają informacje i analizy, pełne zachłyśnięcia się ich autorów tezami gorbaczowowskiej* pieriestrojki, *potencjalnymi zmianami w Rosji. Czy także ojciec w podobny sposób, z dużą dozą zaufania, widziałby przemiany stylu rządzenia i nowy model propagandy sowieckiej; czy dają się z tego wyprowadzić wnioski konstruktywne dla sytuacji religijnej, czy refleksem tego może być pogłębienie wiary, umocnienie albo przywrócenie struktur kościelnych, włączenie w szerszy sposób do życia sowieckiego pierwiastków religijnych, chrześcijańskich? Słowem, czy nadzieje Watykanu, ów wektor wschodni polityki watykańskiej, mogą być uznane za trafne, a rozumienie fenomenu Rosji bliskie prawdy i prawdziwego stanu rzeczy?*

A.H.-L.: — Z gorbaczowowską *pieriestrojką* wiązałbym duże nadzieje. Z tego względu, że nie widzę innej możliwości, w tej chwili, zmiany sytuacji na lepsze. I jeśli by to, co się zaczęło, miało się udać i gdyby dalej szło w tym kierunku, to widziałbym olbrzymie szanse również dla Kościoła. Kościoła, który mógłby wtedy zostać uwolniony z pęt, jakie go wciąż oplątują, i który będzie mógł działać swobodnie. Czy to jednak jest realne? Czy będzie się dalej rozwijało? Co do tego mam duże wątpliwości.

Mieli je i mają również moi rozmówcy z Leningradu. Część z nich w nic już nie wierzy i wszystko traktuje jako łgarstwo i próbę okłamania: bardziej zresztą Zachodu niż Rosjan. W niewielkim stopniu przeznaczoną na wewnętrzny użytek. Trudno jest z tą grupą dyskutować, bo na ich poglądy wpłynęły bardzo znaczne i bardzo gorzkie doświadczenia. Wydaje się jednak, że doświadczenie ich przytłoczyło. Są też inni, którzy próbują się włączyć, mają nadzieję, chcą cokolwiek zrobić, bo zawsze gdzieś trochę z tego zostanie. Ale takiej pełnej nadziei też u nich nie widać. Przynajmniej ja jej nie widziałem. Ich zdaniem do roz-

wiązania pozostaje nie kwadratura koła, tylko kilkadziesiąt różnych kwadratur koła, w które jest uwikłana sytuacja wewnętrzna. Jedyną nadzieją pozostaje jak najdalsze odsunięcie i zmniejszenie nieuchronnej katastrofy. Tak by to można określić.

Są również tacy, którzy stoją z boku, przyglądają się, nie są ani „za", ani „przeciw".

W każdym razie ogólnie odniosłem wrażenie przykre. Społeczeństwo, przynajmniej w jego warstwie inteligenckiej, myślącej, jest przekonane o nieuchronności katastrofy. Wszyscy są katastrofistami. Takie przynajmniej na mnie zrobili wrażenie.

Wszystko jednak, co się zdarzyło w sferze religijnej, jest krokiem do przodu. Nie takim, jakiego się można było spodziewać, ale ważnym. Może przyjdą następne. Dla mnie zaś to, co się dzieje, jest procesem nieodwracalnym, gdyż zawrócić już z tej drogi nie można. Nie ma na to warunków. Nie ma zaplecza ideologicznego. Odwrócić sytuacji już raczej się nie da, można tylko iść bardziej lub mniej kulawo naprzód. A czy dojdzie się tak do katastrofy i jakiej lub czy uda się ją wyminąć, tego nie wiem. Nie tylko dla nich, ale i dla siebie trzeba mieć nadzieję.

Niepokoi mnie jeszcze jedno. Nie, co się dzieje w Rosji, tylko czego nie ma tutaj. Chociażby sprawa opieki duszpasterskiej nad Polonią sowiecką, konieczność rewindykowania tej Polonii dla świata, dla opinii światowej. Zupełnie to jest zaniedbane. Nic się na tym obszarze nie dzieje, a przynajmniej nie widać, żeby się działo. A przecież musimy się z tym uporać. Kościół musi sam podjąć ten problem, nie może czekać, aż rozwiąże problem peerelowskie Towarzystwo Polonia. Tym bardziej, że wydaje mi się w obecnej sytuacji można dużo zrobić. Co więcej, trzeba dużo zrobić. Wysyłać polskich księży do Polaków, do Polonii, wykorzystywać istniejące parafie pozbawione należytej opieki (jak we wspomnianej już chmielnickiej *obłasti),* umożliwić tworzenie nowych. A przecież polskie wsie są i dalej, nawet za Bajkałem. W każdym razie wszystko, co zobaczyłem w Rosji, jest wielką zmianą, rewolucją tak szybką i szeroką, jakiej się nie spodziewałem.

Zarazem muszę też wspomnieć o zazdrości, z jaką patrzyłem na władze w Rosji. Na tyle, na ile można, biorąc pod uwagę olbrzymie obciążenia, fatalną tradycję, jednak próbują zmieniać, uruchamiać siły społeczne, obudzić społeczeństwo. Przeciwnie niż u nas, gdzie odnoszę wrażenie, że władza chciałaby nas uśpić, zahipnotyzować i na takim pacjencie dokonywać operacji reform.

Zresztą, jeżeli Gorbaczow i jego ekipa chcą rzeczywiście obudzenia swego społeczeństwa, to także muszą chcieć odmienić społeczeństwa w bloku. Taka jest konieczność. Lokajstwo nie wystarczy. I od tej strony jestem więc pełen nadziei. Moją nadzieję

podtrzymuje też świadomość, że *pieriestrojka* jest rewolucją od góry (niektórzy czynią z tego zarzut). Zaś w historii Rosji udawały się — jak pamiętamy — tylko tego rodzaju rewolucje. Żadne inne. Jest więc nadzieja.

M.Z.: — *Piękna nadzieja, ale czy realna? Można w każdym razie od niej przejść do pytania o inną nadzieję. Jak krótko i sumarycznie oceniłby ojciec przyszłość religii w Rosji, czy Rosjanie przechowali w sobie żywą nadzieję metafizyczną, wiarę w wartości nierelatywne, bezwzględne, czy w ZSSR, kraju o tak różnorodnym obliczu i wielu sprzecznościach, obudził się duch prawdy, poczucie konieczności przydania życiu wymiaru eschatologicznego, sensu opartego na Bogu? Wciąż tego nie wiem. Nie wynika to jasno z naszej rozmowy.*

A.H.-L.: — Nie wiem, jak jest z ludem, z którym niewiele miałem do czynienia. W każdym razie, to pośród niego szerzy się niczym pożar fundamentalizm protestancki, zwłaszcza baptyzm, co o czymś świadczy. O poszukiwaniach, o wyczuleniu na wartości. Zielonoświątkowcy mają zresztą swoje korzenie rosyjskie, a nie tylko zachodnie. Można by sądzić, na podstawie tych obserwacji, że w takim razie nadzieja została tam przechowana. Wśród inteligencji na pewno. Sądzę, że przyszłość religii jest otwarta, pełna nadziei, chociaż dzisiaj sytuacja wygląda czasami żałośnie. Zdarza się, że nawet sami przedstawiciele aparatu partyjnego publicznie narzekają na fatalny poziom obecnego Episkopatu prawosławnego, z którym nie można prowadzić rozmów, bo nie ma z kim. Jednak jeśli tak jest, to sama władza jest temu winna.

Obok tego widać wielu głęboko wierzących księży prawosławnych, oddanych religii, Kościołowi. I jest rzeczą charakterystyczną, że właśnie pośród nich mamy dwie grupy. Z jednej strony część księży, często także ludowego pochodzenia, to krypto-katolicy lub sympatycy katolicyzmu, którzy tylko oczekują na możliwość ujawnienia się jako prawosławni i katolicy jednocześnie. Można powiedzieć katolicy typu sołowiowskiego. Ale są i inni. Niesłychanie wrogo nastawieni do katolicyzmu. W tej grupie żywe jest czarnosecinne uczulenie na Żydów i masonów, a katolicyzm z żydomasonerią najściślej im się wiąże. To tak *pro memoria* dla naszych rodzimych, często niestety i katolickich łowców żydomasonów.

Oprócz tego Rosję charakteryzują inne wielkie problemy religijne. I te wspomniane już, związane z unitami, i te, które dotyczą Ormian. Według różnych obserwatorów mieszka w ZSSR około 700 tysięcy Ormian katolików, którzy nie mają swoich biskupów ani żadnej opieki duszpasterskiej czy form organizacji. Obok nich również dotkliwe są problemy katolików gruzińskich.

M.Z.: — *Ostatnie już pytanie: Polska a Rosja, stopień i sposób oddziaływania naszej kultury, religijności, naszych duchowych i politycznych zdarzeń na rzeczywistość rosyjską. Czy jest widoczny, czy istnieje jakiś punkt styczny, w którym skupiają się wzajemne wpływy i odczucia, czy też obydwa te narody, obydwie te duchowości są nieprzemakalne na wartości niesione przez drugą stronę, wzajem wrogie i to pomimo deklarowanej oficjalnie przyjaźni?*

A.H.-L.: — Uważam, że pomimo oficjalnej przyjaźni *image* Polski, przynajmniej w inteligenckich oczach, jest coraz lepszy. I sądzę, że Rosjanie wciąż traktują nas jako okno w stronę Europy. Teraz może *głasnost'* to zmieni, będzie więcej okien, ale do tej pory tak właśnie było. Uczyli się polskiego języka, żeby czytać polskie książki, czasopisma, bo to już była Europa. A dodatkowo dochodzą sprawy katolickie. Zdarzało mi się spotykać taką sytuację, że ktoś mówi dobrze po polsku tylko dlatego, że jest katolikiem (nie ma żadnych polskich krewnych, trudno byłoby też odnaleźć ślady polskiego pochodzenia).

W sumie jestem optymistą, ale pod warunkiem, że my też zechcemy się od nich uczyć. To przecież wielka wspaniała kultura, czy gdy chodzi o ZSSR — kultury. Ważne byłoby, żeby i nasze społeczeństwo było inaczej do niej nastawione. Z tym nie jest dobrze. Wyrażana niekiedy przez Polaków brutalnie i głupio pogarda, skrywająca częstokroć kompleksy i strach, nie przysparza nam przyjaciół. Strach i postawa obronna zamykają nas, a to zamknięcie zamyka ich. Pora przestać się bać, postawę obronną zastąpić ofensywną. A więc ofensywa otwartości, życzliwości, gotowości niesienia daru i przyjmowania dobra. Konfrontację fizyczną zamienić na konfrontację kultur, tradycji, ducha, a tu jesteśmy dość silni nie tylko by się nie zamykać, ale aby nie bać się dawać, a nawet nie bać się brać. Może więc przyszła pora, że będziemy musieli odwrócić nasze zainteresowania i z większą uwagą przyjrzeć się temu, co się dzieje na wschód od nas. Czas na to najwyższy.

Rozmawiał Marek ZIELIŃSKI

Powyższy wywiad drukujemy bez wiedzy i zgody Autora. — *Red.*

Wolna trybuna

Odrodzenie ruchu związkowego - kasy samoobrony

Pomysł Zakładowych Kas Samoobrony narodził się jakieś dwa miesiące temu i nim przybrał formę pozwalającą na przedstawienie go opinii publicznej, szybko toczące się wydarzenia ostatnich tygodni stworzyły sytuację, która wymagała uwzględnienia w przygotowywanym artykule. Artykuł przesyłam do druku 5 maja 1988 roku, w chwili gdy trwa strajk w Stoczni Gdańskiej, utrzymuje się strajk absencyjny w Hucie im. Lenina, a od rana rozpoczął się strajk w Zakładach Mechanicznych Ursus.

Dziś, wobec wybuchających i tłumionych siłą strajków w zakładach pracy, których fala przetacza się przez Polskę, trudno jest snuć jakieś dalej sięgające prognozy. Chce się wierzyć, że ruch strajkowy przywróci to co nam odebrano, czyli jawnie działający Związek Zawodowy — NSZZ „Solidarność".

Trzeba jasno zdawać sobie sprawę, że międzynarodowa koniunktura polityczna bardzo temu sprzyja, że prawdopodobieństwo interwencji sowieckiej jest dziś znacznie mniejsze, niż to miało miejsce w roku 1980. Połączenie rozwagi w stawianiu żądań z konsekwencją i determinacją w ich realizacji może stworzyć dla społeczeństwa szansę uzyskania kontroli nad procesami reformy gospodarczej, może tę niezbędną reformę uczynić czymś realnym. Jak to wyraził Lech Wałęsa: „to te strajki są za reformą"; mobilizują one i organizują społeczeństwo, tworzą autentyczną siłę zainteresowaną w promowaniu reformy uwzględniającej interesy pracownicze.

Czy odniesiemy ten tak potrzebny Krajowi i społeczeństwu sukces? Trudno dziś na to odpowiedzieć. Jeśli tak się nie stanie, to część winy spada na nas, na kierownictwo i aktyw związku. Winy za to, że w naszej działalności po delegalizacji związku

nie byliśmy w stanie ochronić dostatecznie silnych struktur zakładowych „Solidarności", nie potrafiliśmy stworzyć jasnej koncepcji odrodzenia ruchu związkowego.

Prawie do ostatnich dni wśród elit „Solidarności" nie było jasnej odpowiedzi na pytanie: czym jest „Solidarność"? Dla ogromnej większości kręgów opiniotwórczych wydawało się być przypadkiem, że „Solidarność" w roku 1980 powstała jako związek zawodowy. Panowało przekonanie, że równie dobrze mogłaby ona mobilizować społeczeństwo jako ruch polityczny, samorządowy, partia, ruch obrony praw obywatelskich, czy szereg luźno powiązanych niezależnych stowarzyszeń.

Nie było to prawdą w roku 1980 i nie jest to prawdą dziś, w roku 1988. Przekonanie takie stanowi poważną przeszkodę w zrozumieniu obecnego ruchu strajkowego i znalezieniu w nim właściwego miejsca przez środowiska opozycyjne. Bowiem przy obecnym stanie świadomości społecznej i w obecnych warunkach politycznych, właśnie związek zawodowy jest jedyną formą masowej organizacji społeczeństwa, jedyną płaszczyzną wypowiedzi społeczeństwa na rzecz reformy i podstawowym narzędziem negocjowania jej warunków.

Jedyną alternatywą wobec reformy jest katastrofa gospodarcza i cywilizacyjna. *Reforma musi nastąpić* i w ramach tej reformy związek musi być gwarantem interesów pracowniczych. Reformy liberalizującej gospodarkę nie da się zadekretować w starym stylu, nie da się wprowadzić jej siłą w oparciu o nadzwyczajne uprawnienia rządu. Reformę można tylko negocjować i musi być ona wynikiem trudnego kompromisu różnych grup społecznych. Aby istniały możliwości negocjowania warunków reformy muszą istnieć niezależne, autentyczne reprezentacje tych grup. Najważniejszą z nich jest grupa pracownicza i przedstawicielem jej interesów jest właśnie związek zawodowy.

Udział społeczeństwa to nie tylko sprawa realizacji reformy, ale i jej kształtu. Władza, która wyobraża sobie, że może przy pomocy ustaw, prokuratorów i policji określać, który strajk jest legalny, a który nielegalny, który związek zawodowy jest właściwy, a który nie, kto jest słusznym, a kto niesłusznym przedstawicielem społeczeństwa — żyje w świecie fikcji i nie jest w stanie przeprowadzać żadnej reformy, nie jest w stanie rozwiązać podstawowych spraw społeczeństwa, którym usiłuje rządzić. Jej wszelkie poczynania muszą skończyć się fiaskiem. Jest rzeczą zupełnie obojętną, czy to się władzy podoba, czy nie podoba, wolne niezależne związki zawodowe powstaną, jeśli taka będzie wola społeczeństwa, a fala przetaczających się strajków jest najlepszym wyrazem tej woli.

Jak już powiedziałem, trudno dziś przewidzieć, czy strajki zakończą się sukcesem i odrodzeniem NSZZ „Solidarność", czy też społeczeństwo polskie będzie jeszcze przez rok czy dwa musiało płacić koszty uporu władz i odwlekania się procesu odnowy. Wiem natomiast, że nawet w przypadku niepowodzenia akcji strajkowej, NSZZ „Solidarność" musi się odrodzić w zakładach i jesteśmy w stanie proces ten ożywić. Musimy jednak posiadać koncepcję i wydaje mi się, że idea Zakładowych Kas Samoobrony jest właśnie taką koncepcją. Zakładanie Kas nie jest na pewno działalnością efektowną — jest trudne, praco- i czasochłonne, ale na pewno jest koncepcją odrodzenia związku.

Strajki powinny być dla nas lekcją, że „Solidarność" to związek zawodowy i że prawdziwy związek zawodowy jest zakładom pracy niezbędny.

Koncepcja Zakładowych Kas Samoobrony NSZZ „Solidarność" jest w jakiejś mierze próbą odpowiedzi na trudności, jakie powstały wraz z rozszerzeniem problematyki i rozwojem Komisji Interwencji. Po powstaniu Komitetów Założycielskich w różnych miejscach Polski i represjach w stosunku do ich uczestników Komisja uznała, że najpoważniejszym zagrożeniem odradzającego się ruchu są zwolnienia z pracy i podjęła decyzję o wypłacaniu osobom zwolnionym za tego rodzaju działalność pełnych poborów do chwili znalezienia przez nie nowego zatrudnienia. Przyjęte rozwiązanie okazało się niezadowalające, bo choć istotnie mieliśmy do czynienia z kilkoma zwolnieniami z pracy (tu decyzja okazała się słuszna), to jednak zasadniczy nurt represji przybrał charakter daleko bardziej zakamuflowany i znacznie powszechniejszy. Formy represji są bardzo zróżnicowane, obejmują one przenoszenie do gorszych miejsc pracy, na niżej płatne stanowiska, pomijanie przy awansach, obcinanie premii; generalnie sprowadza się to do pogorszenia warunków pracy i obniżania możliwości zarobkowych.

Komisja ze swej strony podjęła działania kompensujące, jednakże w kilku przypadkach okazały się one chybione, ponieważ nie uwzględniały specyfiki zakładu i nie rozwiązywały do końca powstających wewnątrz zakładu problemów. Sytuacja taka jest właściwie dość oczywista, bo o ile możliwe jest podejmowanie przez Komisję działań w dobrze określonych, jednoznacznych sprawach o charakterze powszechnym, to podejmowanie interwencji wewnątrzzakładowych w kamuflowanych działaniach represyjnych zdecydowanie przekracza możliwości Komisji, chociażby ze względu na nieznajomość specyfiki stosunków w danym zakładzie.

Rozbudowywanie Komisji Interwencji i rozszerzanie jej struktur organizacyjnych w tym celu wydaje się nieskuteczne i niecelowe. Oznaczałoby to w praktyce rozszerzenie zakresu działalności z dość wyjątkowej sfery interwencyjnej na sferę w gruncie

rzeczy podstawowej działalności związkowej w zakładach pracy. W moim przekonaniu problem ten może zostać do końca rozwiązany poprzez walkę z dyskryminacją i represjami na szczeblu zakładu pracy.

Wzrost aktywności na terenie zakładów pracy poza wewnątrzzakładowymi represjami natrafia na jeszcze jedną poważną przeszkodę. W warunkach narastającej inflacji i obniżania się stopy życiowej niemożliwe jest prowadzenie działalności jedynie w oparciu o dopływające, lub raczej nie dopływające składki. Wystarczy zauważyć katastrofalny wzrost cen komunikacji, benzyny, telefonów, papieru i właściwie wszystkiego, aby zdać sobie sprawę, że bez zewnętrznych subwencji działalność komórek zakładowych może być nastawiona wyłącznie na przetrwanie. Przestańmy się oszukiwać, środki materialne nie są warunkiem dostatecznym skutecznej działalności, wcale nie każdy dysponent potrafi je w sposób efektywny wykorzystać, ale są na pewno warunkiem koniecznym i nawet najlepsi, najbardziej zaangażowani działacze pozbawieni środków finansowych muszą z szerszej działalności zrezygnować.

Działalności związkowej w zakładach nie są w stanie zaktywizować jeremiady, apele i zapewnienia o głębokiej trosce. Rozwój ruchu związkowego na szczeblu zakładowym wymaga również dofinansowania. I jeżeli chcemy rzeczywiście powrócić do zakładów pracy, rzeczywiście podjąć działalność związku zawodowego, to muszą się na to znaleźć pieniądze i pieniądze te muszą trafić bezpośrednio do zakładów pracy. Uczestnicy ruchu na terenie zakładu winni się poczuć ich dysponentami. To wzmaga poczucie ich bezpieczeństwa, podnosi odpowiedzialność, pozwala na samodzielne planowanie działań, ustalanie hierarchii celów, stanowi o upodmiotowieniu struktur zakładowych i wzroście ich aktywności.

Ponieważ aktualny stan struktur zakładowych pozostawia bardzo wiele do życzenia i jest faktycznie nie do zweryfikowania, wydaje się celowe odbudowywanie aktywności w zakładach pracy poprzez nową formę działalności nie podważającą dotychczasowych struktur, a jedynie je pobudzającą.

Takie zadanie mogłyby spełnić Zakładowe Kasy Samoobrony. Kasy takie stanowiłyby dodatkową *dobrowolną* formę zrzeszania się członków „Solidarności" w zakładach pracy. Przystąpienie do Kasy wymagałoby złożenia dodatkowej dowolnej imiennej deklaracji uczestnictwa, wniesienia wkładu wpisowego oraz zadeklarowania składek miesięcznych. Wysokość wkładu i sposób jego wpłacania (np. ratalny) oraz wysokość składek regulowałyby Kasy w zależności od warunków środowiska, w którym powstają, tym niemniej wpłaty te winny umożliwiać realną działalność struktury, a nie stanowić jedynie o symbolicznej akceptacji tego rodzaju działalności. Należałoby przyjąć, że kapitał Kasy po okresie powiedzmy półrocznym, w którym można oczekiwać ustabilizowania się działalności Kasy jest np. podwajany, bądź potrajany z funduszy związkowych. Podobna subwencja przysługiwałaby Kasie po upływie roku działalności. Dalsze subwencje byłyby uzależnione od wysokości funduszy przeznaczonych na ten cel i rozdzielane proporcjonalnie do wysokości wkładów wniesionych przez członków Kasy. Wydaje się celowe ustalenie dolnej wysokości wkładu (np. 3.000 zł) i składki (powiedzmy 500 zł), przy czym Kasy miałyby prawo ustalać składkę i wkład z wysokości wyższej bądź też obniżać je niektórym członkom Kasy, np. emerytom. Aby uniknąć dyskryminowania środowisk uboższych na rzecz lepiej zarabiających, podstawą do ustalania wysokości dotacji byłyby wkłady i składki minimalne.

Jednostką podstawową, dysponującą praktycznie pełną autonomią gospodarowania zgromadzonymi funduszami byłaby Zakładowa Kasa Samoobrony skupiająca od 20 do 40 osób. Przy mniejszej ilości osób nie zostaną zgromadzone dostateczne fundusze, zaś większa liczba osób spowoduje konieczność tworzenia wewnętrznych struktur Kasy, jakichś zarządów i uniemożliwi bezpośrednie i aktywne uczestnictwo członków Kasy. Idealnym obrazem jest Kasa tworzona przez grupę koleżeńską dobrze się nawzajem znających i mających do siebie zaufanie osób. W tym pełnym gronie zapadałyby decyzje.

Jakie są cele działalności Kasy? Po pierwsze, przeciwdziałanie dyskryminacyjnej polityce kierownictwa zakładu wobec jej członków; po drugie, podejmowanie doraźnej pomocy materialnej w stosunku do osób dotkniętych represjami (grzywny, aresztowania). Te wydatki Kasy byłyby refinansowane przez Komisję Interwencji, a fundusz Kasy stanowiłby jedynie doraźne pogotowie finansowe na miejscu. Po trzecie, z funduszu Kasy byłaby finansowana działalność członków na terenie zakładu. Może to oznaczać bardzo dużo, od drukowania i rozprowadzania w zakładzie pracy ulotek sygnalizujących lokalne problemy, poprzez finansowanie szerszych akcji protestacyjnych, tworzenie bibliotek wydawnictw niezależnych, aż po prowadzenie działalności socjalnej dla członków Kasy i ich rodzin. Po czwarte, Kasa na zasadzie dobrowolności mogłaby subsydiować jakieś szersze działanie czy to polityczne, czy wydawnicze, czy wreszcie programy ogólnospołeczne. Tu jeszcze raz pragnę podkreślić szeroką autonomię Kas i bezpośrednią aktywność ich członków.

To właśnie członkowie w pierwszym rzędzie zdecydują o tym, jak Kasa zadysponuje pieniędzmi i jakie działania poprze, a jakich nie. Określą, które problemy są żywotne dla jej członków. Oni również będą odpowiedzialni za przechowywanie pieniędzy

i decyzje związane z ich pomnażaniem (trzymanie ich 'w pończosze' na oprocentowanym koncie, bądź też obracanie nimi w ramach powstających inicjatyw gospodarczych). Tego rodzaju działalność, mimo, iż formalnie nielegalna, będzie prowadzona przynajmniej półjawnie. Celem weryfikacji działalności Kasy ujawnieni muszą być przynajmniej jej reprezentanci, zaś pozostali członkowie Kasy muszą się liczyć z koniecznością ujawnienia przynajmniej wobec Rady Nadzorczej, dysponującej funduszem dotacyjnym.

Na terenie zakładu pracy może działać kilka Kas i należy przyjąć, że gdy ilość członków przekroczy liczbę 40, to Kasa podzieli się na dwie niezależne, choć być może zaprzyjaźnione Kasy. O ile na danym terenie powstanie większa liczba Kas, to mogą one tworzyć zrzeszenia liczące znowu 20-40 Kas, przy czym zgromadzenie przedstawicieli poszczególnych Kas mogłoby ustalać zasady współpracy, korelować większe akcje, czy też wspierać się na miejscu w trudnych okresach. Tworzenie takich zrzeszeń niekoniecznie musiałoby wiązać się z jednym terenem. Można sobie wyobrazić np. zrzeszenia skupiające Kasy z danej branży przemysłu czy danego zawodu.

W pierwszym, powiedzmy 3-letnim okresie organizacji tworzenie Kas byłoby stymulowane i kontrolowane przez Radę Nadzorczą dysponującą funduszem dotacyjnym. Należy wyraźnie podkreślić, że charakter kontrolny Rady Nadzorczej ograniczałby się jedynie do kontroli finansowej, a nie merytorycznej. Tak więc zadaniem Rady Nadzorczej byłoby weryfikowanie istnienia Kasy i stwierdzanie działalności zgodnej z ogólnymi, statutowymi zadaniami Kas. Natomiast wykluczone byłyby wszelkie formy nacisku dotyczące konkretnej działalności. Subwencja byłaby w zasadzie bezwarunkowa i jedynie członkowie Kasy mogliby decydować np. o odrzuceniu jej czy przekazaniu na uznawane przez nich cele.

W późniejszym okresie Rada Nadzorcza powinna być powoływana na drodze demokratycznych wyborów przez przedstawicieli Kas. Po ustabilizowaniu się działalności tak zorganizowanej struktury fundusz dotacyjny powinien być w 2/3 rozprowadzany pomiędzy ogniwa podstawowe, w 1/6 dzielony pomiędzy zrzeszenia Kas i stanowić lokalną rezerwę na wypadek jakichś szczególnych okoliczności czy też podejmowania szerszych akcji, w 1/6 powinien stanowić rezerwę krajową pozostającą w dyspozycji Rady Nadzorczej. Z tej ostatniej części dotowane byłyby również nowopowstające Kasy podczas swego pierwszego roku działalności.

Oczywiście praktyka realizacji programu Kas może zakwestionować zaproponowany tu podział funduszu dotacyjnego, ale wydaje się, że w tych czy innych proporcjach zasada powinna być zachowana.

Wątpliwości budzi nazwa „zakładowe", bo jeśli w zakładzie pracy nie ma 20 zaufanych osób, to co? Oczywiście skłonny jestem się zgodzić, że do Kasy Zakładowej mogą należeć nie tylko aktualni pracownicy zakładu, ale również osoby z nim związane, a więc na pewno pracownicy zwolnieni, emeryci, czy też osoby ściśle z zakładem współpracujące, np. kolporterzy, ale byłbym zdecydowanie przeciwny tworzeniu fikcji i Kas Zakładowych, w których aktualni pracownicy zakładu stanowiliby mniejszość. Jeśli będzie ich 15 — to mogą dokooptować 5 zaprzyjaźnionych osób spoza zakładu, ale nie odwrotnie. Wyobrażam sobie również tworzenie Kas branżowych, np. nauczycieli, służby zdrowia, pracowników małych zakładów spółdzielczych. W wypadku specyficznych małych ośrodków, gdzie nie ma dużych zakładów pracy, dopuszczalne byłoby tworzenie Kas Międzyzakładowych, np. Oświata — ZOZ, Społem — SPHW itp., traktowałbym to jednak jako pewną ostateczność. Byłbym zdecydowanie przeciwny przekształcaniu inicjatywy Kas Zakładowych w inicjatywę Kas Środowiskowych. Nic prostszego niż założenie Kasy członków Komisji Interwencyjnej, współpracowników *Tygodnika Mazowsze*, czy poszczególnych grup oporu *KOS*-a, ale po prostu nie o to chodzi. Nie chodzi o petryfikowanie dotychczasowych struktur ruchu, ale o stworzenie jednoznacznych preferencji finansowych dla działalności związkowej na terenie zakładów pracy. Chodzi o odbudowę związku i w tym sensie połączenie Kas z zakładami pracy jest warunkiem po prostu niezbędnym, a wszelkie wyjątki od tej zasady winny być bardzo szczegółowo rozważane.

Odrębnie i pozytywnie powinien zostać przedyskutowany problem młodzieży — Kas studenckich i uczniowskich. Pomoc materialna „Solidarności" sprzyja nie tylko rozwiązywaniu przez te środowiska ich problemów, ale również otwiera dopływ nowych aktywnych ludzi do związku.

Na zakończenie warto dodać, że w tych środowiskach robotniczych, w których koncepcja Kas była konsultowana, spotkała się ona z dużym zainteresowaniem i aprobatą. Dowodem tego mogą być już powstające trzy Kasy w kopalniach na Śląsku, czy opinie konsultowanych Komitetów Założycielskich. Kto mógłby Kasy tworzyć, organizować? Uważam, że *wszyscy*. Myślę, że jest to w pierwszym rzędzie zadanie dla nowopowstałych Komitetów Założycielskich, ale również mogłyby się w to włączyć tajne Komisje Zakładowe, rzecz jasna dekonspirując się w ten sposób, przynajmniej częściowo, ale moim zdaniem jest to po prostu niezbędne dla aktywizacji życia związkowego w zakładach pracy. Mogliby Kasy organizować zwolennicy KKW i zwolennicy Grupy Roboczej, członkowie duszpasterstw robotniczych i członkowie samorządów. Mogłyby w tym uczestniczyć również organizacje polityczne jak PPS, KPN czy „Solidarność Walcząca". O ile w

wyniku tych różnych inicjatyw powstawałyby autentyczne komórki zakładowe, to ich różnorodna orientacja byłaby tylko wyrazem demokratycznej walki o wpływy w związku, a demokratyczna walka o wpływy, to coś zupełnie innego niż marazm i martwota pozornej jednomyślności i spójności*. Oczywiście jest to pewnego rodzaju hazard, ale szansę demokratyzacji życia związkowego musimy podjąć, a o tym jaki będzie charakter i program związku zadecydują jego członkowie i aktywność poszczególnych grup uczestniczących.

Cała koncepcja jest niewątpliwie trudna, wymagająca ogromnego wysiłku organizacyjnego i środków finansowych, ale w moim przekonaniu jest ona odpowiedzią na szereg problemów paraliżujących życie związkowe:

1. Bez naruszania i burzenia dotychczasowych struktur organizacyjnych stwarza możliwość odbudowywania komórek zakładowych, daje pierwszeństwo działalności związkowej i weryfikuje wpływy związku w zakładach pracy. Jeśli nawet okaże się, że liczba uczestników Kas nie przekroczy 10-20 tysięcy, to i tak będę to uważał za sukces, bo 10 czy 20 tysięcy świadomych, zdeklarowanych uczestników Kas, to dużo więcej niż 100 czy 200 tysięcy pozbawionych inicjatywy sympatyków „Solidarności".

2. Wewnątrz związku uruchomiony zostaje mechanizm demokratyczny. Członkowie Kas decydują sami o swej działalności, identyfikują się ze związkiem, poczuwają się do odpowiedzialności. Te czynniki wyznaczają kierunek działania związku. Sądzę, że jest to jedyna autentyczna metoda rozwiązania wewnątrzzwiązkowych konfliktów, jest to droga uczciwej rywalizacji. Chcesz mieć wpływ na losy i politykę związku — organizuj komórki zakładowe.

3. Dysponowanie przez komórki zakładowe funduszami powoduje wzrost poczucia bezpieczeństwa i umożliwia rozwinięcie aktywności wewnątrz zakładu pracy. W swojej działalności Komisja Interwencji obserwowała to wielokrotnie.

Oczywiście rozwinięcie tego rodzaju działalności wymaga potężnego funduszu dotacyjnego, jednakże wydaje mi się, że w sytuacji przyznania opozycji na ręce „Solidarności" dotacji w wysokości 1 mln dolarów na rok 1988, pieniądze na ten cel powinny się znaleźć. Mogłyby to być np. pieniądze przeznaczone na walkę z represjami. Walka z represjami i dyskryminacją na szczeblu zakładowym, to w aktualnej sytuacji niezmiernie ważki odcinek działalności związku.

Dla jasności obrazu należy jeszcze raz podkreślić, że powstanie Kas nie zmieniałoby zobowiązań podjętych przez Komisję Interwencji wobec wszystkich uczestników ruchów niezależnych w Polsce (kolegia, wyrzucenia z pracy itp.) i jej zadań związanych z ochroną prawną i walką o praworządność.

Zbigniew ROMASZEWSKI

* Zrozumiałe jest, że powstające Kasy winny w pierwszym rzędzie zajmować się wewnątrzzakładową działalnością związkową. Ewentualne różnice orientacji politycznych to w działalności związkowej rzecz raczej drugoplanowa i nie byłoby na przykład pożądane, gdyby Kasy korzystając z funduszy związkowych miały się przekształcić w zakładowe komórki ugrupowań politycznych. Wyobrażam sobie, że dałoby się tego uniknąć wprowadzając pewne uregulowania statutowe.

Jedyna w Bawarii **POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA**

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 · D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, plakaty,
odezwy, prospekty, karty świąteczne, ulotki, blankiety
oraz wszelkie inne
organizacyjne, społeczne, przemysłowe i prywatne druki.
Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Ci, co odeszli

Dziesiąta rocznica śmierci Andrzeja Chciuka

Póki Andrzej Chciuk żył wśród nas w Australii, nikomu nawet do głowy nie przyszło że może nadejść chwila gdy jego książki staną się przedmiotem studiów uniwersyteckich. Owszem, uważaliśmy go za zdolnego pisarza, ale nawet od momentu gdy zdobył on nagrodę *Wiadomości* londyńskich za *Atlantydę* był po prostu jednym z naszej niewielkiej grupki parających się piórem emigrantów, z których żaden ne traktował tego zajęcia poważnie, bowiem utrzymać się z pisania po polsku w tym kraju było, i ciągle jeszcze jest, marzeniem ściętej głowy.

To znaczy żaden z nas, z wyjątkiem Chciuka.

Był on niekiepskim grubasem o okrągłej twarzy, a gdy włożył na siebie biały kitel i przyozdobił głowę wysoką czapą kucharską, miał wygląd najbardziej typowego przedstawiciela zawodu, który pozwalał mu utrzymywać się w Australii przez długie lata. Kucharz-pisarz. Zdaje się że w tym względzie był absolutnym unikatem.

Ale i pod innymi względami też. Przede wszystkim miał niedopuszczalny w normalnych warunkach, a już tym mniej na emigracji, zwyczaj rąbania ludziom w oczy tego, co myślał, nie oglądając się na rezultat. A to, co myślał, nie zawsze musiało być w zgodzie z ogólną opinią; prawdę rzekłszy, bardzo często bywało z tą ogólną opinią w niezgodzie, co doprowadzało redaktorów gazet polonijnych do czystej desperacji i zmuszało do wykłócania się z nim o cofnięcie zbyt silnych określeń. Szczególne kłopoty miewał z Chciukiem Roman Gronowski, ówczesny redaktor melbourneńskiego *Tygodnika Polskiego* w którym Andrzej przez jakiś czas zamieszczał felietony pod pseudonimem *Ach*. Kłopot polegał na tym, że o ile ludzie z przyjemnością czytywali dowcipne, a często zgryźliwe artykuły *Ach-a*, o tyle różne osobiste przycinki w nich zawarte groziły wytoczeniem pismu sprawy sądowej przez tego czy owego krewkiego rodaka, który

poczuł się obrażony. Ten problem zresztą ciągle wisi nad ubożuchną prasą polonijną, bardzo często zmuszaną do odmawiania druku nawet dobrych artykułów, w obawie następstw które mogłyby położyć pismo finansowo. Rezultat takiej samo-cenzury nie jest, oczywiście, najlepszy dla poziomu emigracyjnych gazet.

Ale Chciuk nie miał dużego wyrozumienia dla tych trudności, odmowę drukowania jego prac uważał za osobistą obrazę, oskarżał biednego Gronowskiego (który już raz czy dwa słono zapłacił za brak hamulców) o tchórzostwo i ostatecznie zerwał z nim współpracę.

Ale to wcale nie powstrzymywało Andrzeja od pisania. Ciągnęło go ono jak narkotyk, było mu pociechą w kłopotach, odpoczynkiem po pracy przy rozgrzanej kuchni.

A kłopotów miał więcej niż włosów na głowie.

Przede wszystkim Basia, ukochana żona, piękna, wyniosła, wymagająca. Spodziewała się po mężu życia jeżeli już nie w dobrobycie, to przynajmniej w dostatku. A jakiż dostatek mógł jej zapewnić w owych czasach kucharz, zmieniający posady jak rękawiczki, mało dbający o ziemskie potrzeby, a spędzający każdą wolną chwilę z piórem w ręku? No a co z dziećmi, Jackiem i Hanią? Trzeba je było posyłać do szkoły, dbać o nie, ubrać, wyżywić... Dobre były dzieci, wyrozumiałe, ale pani Barbara uważała że sytuacja jest nie do tolerowania. Nie dla niej taki mąż, kucharz-idealista. Co jej przyjdzie z tych jego pisarskich ciągot, które nie pachną groszem, a zabierają czas?

Toteż pożycie małżeńskie pp. Chciuków psuje się coraz bardziej. Nie osładza go ani trochę zdobycie przez Andrzeja nagrody *Kultury* paryskiej za *Smutny uśmiech*. Przeciwnie, skutek jest wręcz odwrotny. Następuje wreszcie nieunikniona rozmowa po której Chciuk, „dla dobra dzieci" zgadza się na rozwód. Pani Barbara zabiera Jacka i Hanię do Sydney, gdzie wkrótce wychodzi za bogatego przemysłowca, który już dawno się nią interesował. Andrzej traci za jednym zamachem żonę, dzieci i wiarę w małżeńskie przyrzeczenia. Majątku nie traci tylko dlatego, że go nie posiada. Cierpi, jest bliski załamania nerwowego.

W sukurs przychodzi mu *Wesoła Kookaburra*, kabaret który jest jego pomysłem, dzieckiem, zapomnieniem o troskach. Cały wrodzony humor Chciuka, jego *esprit d'à propos*, dotychczas przygniecione doczesnymi kłopotami, znajdują upust w tym nowym przedsięwzięciu. „Clou" programów stanowią dialogi pisane przez niego na wzór „Szczepcia i Tońcia" z *Wesołej Lwowskiej Fali*, które wygłasza razem z Tadziem Lezoniem, a które publika, głodna aktualnego humoru, przyjmuje z entuzjastycznymi brawami.

Ale *Wesoła Kookaburra*, podobnie jak i emigracyjne pisarstwo, nie była tym co z angielska można nazwać *paying proposition*, mimo powodzenia, które nieodmiennie towarzyszyło występom. Ten kabaretowy proceder zabierał za dużo czasu, za dużo wysiłku, a choć przynosił wykonawcom całe tony frajdy i satysfak-

cji, był dla nich wszystkich ogromnym ciężarem, którego parę funtów (a potem dolarów) dochodu nie mogło w żaden sposób zrekompensować. Należy pamiętać że każdy z nas pracował na chleb, a w dodatku niektórzy, tak jak ja, studiowali wieczorami. Swoją drogą jak człowiek mógł w takich warunkach dać temu wszystkiemu radę i nie dostać zapalenia mózgu, pozostanie tajemnicą. Trzeba było nie tylko pisać teksty i robić próby, ale także układać zaproszenia, dawać je do druku, znajdować odpowiedni lokal, targować się o cenę wynajmu, o konsumpcję, o licencję alkoholową. Trzeba było wyszukać i zakontraktować orkiestrę, postarać się o reklamę w emigracyjnej prasie... A to wszystko po to by program mógł iść dwa, a już najwyżej trzy razy. Ale publika nie dawała żyć. Dopominała się o następny program. Więc trzeba znów było myśleć o tekstach, o próbach, o lokalu...

I nagle wybucha bomba: Chciuk zrywa z *Wesołą Kookaburrą* po serii dość głupich i nieistotnych oskarżeń. Głównym powodem niesnasek i kontrowersji była jego druga żona, Wanda („księżna") Poniatowska, z którą ożenił się po dość krótkiej znajomości. Doprawdy nie pamiętam, jaka dokładnie była przyczyna rozłamu w kabarecie, pamiętam tylko że krążyły po Melbourne jakieś listy pisane przez Wandę, z których członkowie zespołu naśmiewali się, co z kolei zmuszało lojalnego Chciuka do gwałtownych kontrataków. Z perspektywy lat cała ta historia wydaje się dziecinna i śmieszna. Dość, że Chciuk zabronił kabaretowi używać nazwy *Wesoła Kookaburra*, jako że to był jego pomysł. Natomiast skomunikował się z niedawno przybyłą do Melbourne aktorką Reną Grodzką i razem z nią wystawił rewię kabaretową pt. „Beczka śmiechu". Jednakże „Beczka" okazała się *flopem*, sam Chciuk nie wystarczał, a Rena Grodzka miała własny styl który nie bardzo pasował do nowych okoliczności. Skończyło się na jednym przedstawieniu. Ale „oryginalni" członkowie kabaretu, zmieniwszy jego nazwę na „Perskie Oko", działali dalej z wcale nie zmniejszonym sukcesem.

Nadchodzi rok 1958. Drugie małżeństwo Chciuka również nie wydaje się szczęśliwe, a kończy się szybko i tragicznie: Wanda umiera nagle, powiadają że na wstrząs mózgu. Pogrzeb gromadzi tylko parę osób. Andrzej Chciuk znów zostaje sam.

Jak głęboko przeżył śmierć żony — nie wiadomo. Parę osób z którymi żył bliżej powiadało, że bardzo. Ale wszyscy zgadzali się z tym, że jego reakcje na różne sytuacje życiowe były raczej dziwne. Urazy do ludzi długo nie chował, ale miał dar nagłego zrażania ich do siebie, czy to jakąś niespodziewaną, mało pochlebną uwagą, czy też jakimś zarzutem, który nie zawsze miał podstawy. Często próbowałem go bronić, starałem się tłumaczyć jego postępowanie przeciwnościami losu — ale rzadko mi się to udawało. Zresztą sam bywałem przedmiotem jego ataków, ale się nimi nie przejmowałem tak, jak inni. Co tu gadać, lubiłem chłopa, jego dowcip, jego zdolności, tylko postępowania jakoś nie umiałem zgryźć.

Kiedyś odwoziłem go do domu samochodem (Chciuk się nigdy na samochód nie zdobył) po jakimś przyjęciu na którym obraził parę osób zupełnie, jak mi się wydawało, bez przyczyny. Jechaliśmy w milczeniu. W pewnym momencie, kiedy auto stanęło pod światłami, spytałem go nagle:

— Andrzej, po cholerę ty to robisz?

Nie odpowiedział od razu. A gdy ruszyliśmy, wymamrotał jakby w półzawstydzeniu:

— Taką już mam naturę...

Myślę że w tych słowach tkwiła cała istota problemu. To, co on uważał za swoją otwartość i bezpośredniość, dla wielu było grubowatością, brakiem kindersztuby, zarozumialstwem. Sporo osób, zwłaszcza tych którym się dał we znaki, wręcz odmawiało mu talentu. Czuły na niesprawiedliwą opinię, Chciuk odsuwał się coraz bardziej od polonijnego towarzystwa.

Nagroda *Wiadomości* londyńskich, przyznana Chciukowi przez jury emigracyjnych pisarzy za „Atlantydę", wyróżnioną mianem „najlepszej książki roku" nie zmieniła nastawienia australijskiej Polonii do uhonorowanego pisarza. Były wzmianki w gazetach, i owszem, ale raczej powściągliwe, podczas gdy polonijna „zagranica" chwaliła jego talent w entuzjastycznych recenzjach. Pisze Marian Hemar: „cóż to za śliczna książka!". W ślad za Londynem Niemcy Zachodnie, Stany Zjednoczone a nawet Argentyna „odkrywają" Chciuka. Tylko jakoś polska Australia nie chce się przekonać do swego utalentowanego syna. Kiedy jedna z naszych melbourneńskich rodaczek, żona wykładowcy uniwersyteckiego, pojechała do Londynu i poszła zjeźć obiad w „Ognisku", tamtejsi bywalcy zasypali ją pytaniami o Chciuka. Pani wytrzeszczyła oczy.

— Chciuk? A kto to jest?

Ale znalazła się w Melbourne osoba, młoda i przystojna, która świetnie wiedziała kto to jest Chciuk, która uznawała jego zdolności w całej pełni, której nie przeszkadzał ani jego „trudny" charakter, ani brzuch, ani kiepskie zarobki. Basia Wilczyńska. Jak doszło do tej znajomości, która wnet przekształciła się w coś znacznie silniejszego, nikt z nas nie wiedział.

Zaloty nie trwają długo i nowi państwo Chciukowie wynajmują mieszkanie w South Yarra. Tam też przyjmują gości, którzy z trudem ukrywają zdziwienie. Ale cóż można zrobić? Mimo różnicy wieku i... urody, para wygląda na całkiem szczęśliwą. Tylko ojciec panny młodej, Polak z Queensland, który jest młodszy od swego zięcia, kręci głową z niedowierzaniem. A złośliwi pomrukują: „ciekawe, jak długo potrwa ta sielanka...".

W międzyczasie Chciuk zrzuca fartuch kucharski na dobre, aby się stać nauczycielem francuskiego w systemie wiktoriańskich szkół średnich. Zmienia również nazwisko na „Sodell", choć dla Polonii pozostaje przy dawnym. To również jest jedną z tych niespodzianek, jakich Andrzej nie szczędził swoim rodakom. Nowa posada „profesorska" podnosi jego pozycję prestiżowo, a

stałe wynagrodzenie pozwala na ekstrawagancje, o jakich dawniej marzyć nie mógł. Basia też pracuje w szkolnictwie. W najbliższe wakacje państwo młodzi wyjeżdżają do Europy i Izraela, gdzie Chciuk daje odczyty i pogadanki. Tak, tam go znają, tam go cenią. Owocem wyprawy jest *Wizyta w Izraelu*, żywo pisany reportaż z tego ciekawego kraju.

Chciuk ma już za sobą niezgorszy dorobek pisarski. Powiększa go *Ziemia księżycowa* oraz *Towarzysze z Bezpieczeństwa*, dwie książki które wychodzą względnie szybko jedna po drugiej nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Pierwsza z nich to coś w rodzaju pół-autobiografii, jakby przedłużenia *Atlantydy;* druga jest dość udaną próbą powieściowo ujętej sytuacji w stalinowskiej Polsce, kraju terroru i samowoli władz.

Następuje wreszcie pogodzenie się z zespołem dawnej „Wesołej Kookaburry", obecnie „Perskiego oka". Połączone siły organizują program pt. „Powrót Taty". W kawiarni „Tête-à-Tête" tłumy, ludzie się kłócą o stoliki. Harmonista Gienio Sergiejew króluje w orkiestrze. Chciuk dostaje fantastyczne brawa, cała jego figura jaśnieje zadowoleniem. Wszyscy są w formie. Ja wygłaszam wiersz powitalny na „powrót taty", który się kończy słowami:

Wrócił nareszcie, wrócił w tym roku,
Cieszcie się, hojni i skąpi
Że Chciuk jest z nami, i w „Perskim Oku"
Zaraz, niestety, wystąpi.

Wystąpił, a jakże, ale był to jego, że tak powiem, łabędzi śpiew. Mimo wysiłków Basi Schenkel, Tadzia Lezonia, a okazyjnie i moich, jakoś nie mogliśmy się zdobyć na zorganizowanie następnego programu. Najmniej chyba palił się do tego sam Chciuk, zajęty zarówno pracą zawodową, jak i pisaniem. Państwo Chciuk przeprowadzili się do nowego mieszkania, które tym razem stanowi ich własność (oczywiście, po spłaceniu rat), zaczynają żyć dla siebie. Andrzej coraz rzadziej udziela się publicznie. Pracuje najwyraźniej nad nową powieścią. Wśród Polonii rozchodzi się gadka, że to będzie „coś o nas".

Przeczucia nie mylą rodaków, ale sposób przedstawienia rzeczy kompletnie ich zaskakuje. *Emigrancka opowieść*, bitych 350 stron istotnie jest czymś czego jeszcze nie było. Sprytny Chciuk pokazał światu to, co chciał. Mianowicie przekręcając nieco nazwiska (ale tak, aby każdy Polonus wiedział o kogo chodzi) zmieniając fakty i zdarzenia według swego widzimisię, albo wcale ich nie zmieniając, dał obraz polonijnej społeczności w Melbourne, ciekawy dla czytelnika „z boku", ale zupełnie szokujący większość tych, którzy odnaleźli się w tej książce. Autor w wielu wypadkach poprzestawiał wypadki, charaktery jednych poprzypinał drugim, a do tej mieszaniny dodał jeszcze trochę własnej wyobraźni. Oczywiście, narobił sobie od razu całą masę wrogów, bo oto ludziska czytali o „sobie" rzeczy o których nie mieli pojęcia, podczas gdy ich znajomi i przyjaciele przekonani byli o prawdziwości podawanych w książce „faktów". Nie dosyć było Chciukowi że ściągnął na siebie gniew ludu, ale jeszcze doprowadził do kłótni, nieufności, zrywania znajomości pomiędzy dotychczas „serdecznymi" przyjaciółmi. Krótko mówiąc, narobił takiego zamieszania na polonijnym podwórku, jakiego świat i korona angielska nie widziały. Przez dobrych parę miesięcy nie mówiło się tutaj o niczym innym, tylko o Chciuku i jego „niegodziwej" książce.

A tymczasem autor nie wykazywał skruchy za grosz. Przeciwnie, twierdził że jako pisarz ma absolutne prawo do przedstawiania emigracji w takich świetle w jakim ją widzi, że jego książka nie jest żadną kroniką wydarzeń, że użyte nazwiska nie są prawdziwe, więc o co chodzi? „I zostawcie, do diabła, mnie i moją żonę w spokoju!".

Ale spokoju nie zaznał, mimo że znowu odciął się prawie zupełnie od życia emigracyjnego. Zawód nauczycielski też mu nie dawał satysfakcji, złożył więc podanie o przeniesienie go do działu nauki przez korespondencję. Przeniesienie to dostał, ale nawet ucieczka od bezpośredniego kontaktu z rozwydrzoną bandą australijskich nastolatków nie przyniosła mu ukojenia. Nadchodziły listy anonimowe, telefony dzwoniły po nocach, niektórzy rodacy na jego widok przechodzili demonstracyjnie na drugą stronę ulicy. Do tych niewielu którzy przy nim pozostali mawiał, kłamiąc dzielnie, że ten cały bojkot nic go nie obchodzi.

Czas mijał. Znajomi widywali go czasem, jak ciężkim krokiem wlókł się po Ackland Street z wiązanką kwiatów dla żony. Czasem dźwigał jakieś zakupy. Widząc to Polonusy doznawali czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia. A może chory? A dlaczegóż to żona nie pofatyguje się, tylko wypycha zmęczonego grubasa? Ale słowa milkną na ustach. Twarz Andrzeja Chciuka nie zachęca do uwag tego rodzaju.

Pewnego majowego wieczora Chciuk poczuł się nagle źle. Przyszedł doktor, stwierdził „lekkie niedomaganie serca", kazał położyć się do łóżka. Z tego łóżka Chciuk już nie wstał, gdyż na drugi dzień zrobił wszystkim największy kawał swego życia: umarł.

Może dwadzieścia pięć, może trzydzieści osób zebrało się w kaplicy cmentarza Springvale, aby pożegnać rodaka, pisarza-emigranta. Australijski ksiądz wymamrotał znudzoną angielszczyzną coś w rodzaju pogrzebowej mowy, po czym trumna zsunęła się cichutko do podziemi krematorium. Obecni pozostali jeszcze przez chwilę czekając na coś; może któryś z Polaków powie parę słów? Ale najwyraźniej nic takiego nie było przewidziane.

Dzień był chłodny, więc każdy spiesznie szedł do samochodu, w milczeniu, jakby zawstydzony skromnością pogrzebu. Wkrótce rozjechali się wszyscy, zostały tylko żółte liście które wiatr gonił po cmentarnej alei.

Andrzej GAWROŃSKI

Henryk Szeryng

3 marca br. zmarł nagle Henryk Szeryng, przygotowując się do jeszcze jednego z niezliczonych koncertów na dobroczynne cele. W zmarłym traci Polska, Meksyk i świat cały jednego z największych skrzypków XX wieku, wiernego patriotę swej naturalnej i przybranej ojczyzny, hojnego filantropa i człowieka pojednania między ludźmi i narodami.

Urodził się w Żelazowej Woli 22 września 1918 roku. Matka zaczęła go uczyć gry na fortepianie, a gdy miał siedem lat, Maurycy Frenkel na skrzypcach. Za radą Bronisława Hubermana wysłano go na naukę do Carla Flescha do Berlina, u którego uczył się cztery lata. Po koncercie w Warszawie w 1933 roku zapowiadano mu już sławę światową.

W Paryżu zdobył szerokie wykształcenie, włącznie ze znajomością sześciu języków i pierwszym miejscem w Konserwatorium, oraz wszedł w świat wielkich muzyków, m.in. Paderewskiego. Po wybuchu wojny zgłosił się do wojska i został tłumaczem i oficerem łącznikowym rządu na wygnaniu przy boku gen. Sikorskiego. Jeżdżąc z nim, dał ponad 300 recitali dla wojsk alianckich i nawet dla jeńców. Uczestniczył w poszukiwaniach schronienia dla 4.000 uchodźców polskich. Gdy w końcu przyjął ich Meksyk, zobowiązał tym sobie Szerynga na zawsze. Po wojnie pracował w Meksyku nad zreorganizowaniem departamentu skrzypcowego, gdzie uczył dziesięć lat. Przyjazd do Meksyku i przyjaźń z Arturem Rubinsteinem rozpoczęły jego karierę międzynarodową. Od 1956 roku zaczął podróżować po pięciu kontynentach, najpierw jako solista, a potem także jako dyrygent, pedagog i dyplomata, ponieważ Meksyk uczynił go oficjalnym ambasadorem kulturalnym i przedstawicielem do spraw kultury w UNESCO i w ministerstwie spraw zagranicznych.

TOM 436 — JANUSZ ANDERMAN

KRAJ ŚWIATA

Opowiadania: Jakoś pusto. — Płonie teatr narodowy. — Jeszcze Polska? — Zwycięs... — Trzej królowie. — Łańcuch czystych serc. — Poczucie. — Świat światów.

Str. 80. Cena F. 50,00.

Książki

Jaka droga? Do jakiej świątyni?

Film gruzińskiego reżysera Abuładze „Pokuta", przyjęty w ZSSR i za granicą jako widomy dowód gorbaczowowskiej *głasnosti*, kończy się pamiętnym dialogiem. „Czy ta droga prowadzi do świątyni?" — pyta starucha. „Nie" — odpowiada jej młoda kobieta, w której ulica, przy której mieszka od dziecka, budzi gorzkie wspomnienia. „Więc po co droga, jeśli nie prowadzi do świątyni?" — odpowiada starucha.

W *Nowym mirze* nr 11/1987 ukazał się artykuł Igora Klamkina pt. „Jaka droga prowadzi do świątyni?". Artykuł wzbudził ogromne zainteresowanie. Trzy lata *głasnosti* nie przyniosły na razie żadnych ciekawych utworów literackich: wszystkie warte uwagi dzieła powstały z reguły dawno temu, kiedyś zostały zakazane przez cenzurę, a teraz zapisywane są na kredyt *pieriestrojki*. Inaczej ma się sprawa z publicystyką. W ostatnich latach pojawiły się artykuły, których autorzy stawiają ostre pytania i z rzadka próbują wskazać drogi prowadzące do znalezienia na nie odpowiedzi.

Igor Klamkin zaczyna od pytań. Wylicza najpierw te, które zaczęto zadawać, ledwie powiał wiatr liberalizacji: czy nasza droga prowadzi donikąd, czy jest ślepą uliczką? Czy istniała inna droga? Czy pojawienie się tyrana (pokazane w filmie „Pokuta") było przypadkiem, czy może losem, „który w średniowieczu nazywano przeznaczeniem, a my nazywamy historyczną koniecznością?". Jak wszyscy dziś w ZSSR, autor szuka odpowiedzi w przeszłości. Nie zadowala się jednak przeszłością ZSSR, sięga daleko w głąb dziejów Rosji, aby tam znaleźć początek drogi, która doprowadziła do dzisiejszego kryzysu. Jego główna myśl brzmi następująco: o szczególnej naturze Rosji zadecydowała jej historia. Jarzmo tatarskie zostawiło Rosję w tyle za pozostałymi państwami europejskimi, zmusiło ją do ustawicznego „doganiania, aby zachować niezależność". Klamkin dodaje: „Doganiania przede wszystkim w dziedzinie, która zapewnia niezależność — tj. zbro-

jeniach". Właśnie ten czynnik, ta bezustanna pogoń za kimś, strach przed zostaniem w tyle, który stał się przeznaczeniem Rosji jest — zdaniem Klamkina — powodem, dla którego w Rosji nie istnieje „gleba dla europejskiej demokracji parlamentarnej". Autor przyznaje, że nie ma się czym szczycić, lepiej, gdyby taka gleba istniała. Nie ma jej jednak; jak pisze Klamkin, „garnitur europejskich swobód na Rosję nie pasuje".

Klamkin wnioskuje z tego, że nie drogą europejskiej demokracji parlamentarnej należy zmierzać do świątyni. Do tego miejsca autor powtarzał modne dziś w Rosji rozważania o „jarzmie tatarskim" i trudnej historii Rosji. Stalin w 1934 roku powiedział, że „nas" (tj. Rosję) „wszyscy bili": Tatarzy, Polacy, Niemcy itd. Najsłynniejsze dzieło epoki stalinowskiej — „Krótki kurs WKP(b)" — zaczynało się słowami: „Rosja później niż inne kraje wstąpiła na drogę rozwoju kapitalistycznego...". Artykuł Klamkina jest ciekawy z uwagi na nowych przodków, jakich odkrywa, i na lekcje, jakie zaleca wziąć pod uwagę przy wyborze „drogi". „Nowi przodkowie" to odwieczni przodkowie, ci, którymi wzgardzono po Rewolucji Październikowej albo których wręcz wykreślono z dziejów. Klamkin odwołuje się do tradycji liberalnego XIX-wiecznego konserwatyzmu, wspomina nawet z imienia Michaiła Katkowa, który dotychczas występował tylko jako „reakcyjny publicysta, który zażarcie walczył z postępowymi prądami w literaturze i ruchach społecznych Rosji".

Odkrywając u Katkowa cenne myśli, Klamkin narusza przyjęty kanon. Katkow wydaje mu się ciekawszy od dekabrystów, którzy szerzyli w Rosji zachodnie idee, podczas kiedy „reakcyjny publicysta" był w rzeczywistości „liberałem, który ... dostrzegłszy niebezpieczeństwo na lewicy... miał odwagę oddać liberalne wolności i skupioną w wąskim kręgu ludzi wykształconych wyrafinowaną kulturę pod ochronę cenzorów, a w razie konieczności i bagnetów".

Kontynuując poszukiwania na drodze liberalnego konserwatyzmu, Klamkin robi jeszcze jedno sensacyjne odkrycie. Odkrywa mianowicie *Wiechy*, zbiór artykułów siedmiu znanych filozofów, prawników i pisarzy. „Książki tej nie wznawiano, niemal nigdy nie powoływano się na nią w prasie, jakby jej nie było... 'Skreślono' ją, ale książka żyła". Pisanie o *Wiechach* i nazywanie ich „pierwszym wezwaniem do pokuty" jest szczególnie trudne, ponieważ Lenin w swoim czasie rzucił na książkę ostateczną klątwę, nazywając ją „encyklopedią liberalnego renegactwa". W 1909 roku, kiedy *Wiechy (Drogowskazy)* wyszły spod prasy, zostały powszechnie potępione, co wyrażało się rozmaicie: od przekleństw Lenina po niezadowolenie liberalnych demokratów. Po raz pierwszy wybitni przedstawiciele rosyjskiej inteligencji — a autorzy *Wiech* niewątpliwie zasługiwali na tę nazwę — sprzeciwili się drodze rewolucyjnej. Po raz pierwszy napisali, że rosyjski inteligent nie tylko nie musi być rewolucjonistą, ale nawet nie powinien nim być. Powiedzieli też — co podkreśla Klamkin — że ważne jest nie przekształcenie otoczenia człowieka, a jego doskonalenie wewnętrzne: zacząć należy od samego siebie. Uprzedzali też, że jeśli rewolucja, o której tak marzy i dla której tyle robi inteligencja, rzeczywiście wybuchnie, to jej pierwszą ofiarą będzie właśnie inteligencja. Autorzy *Wiech* z naciskiem podkreślali, że nie ma lepszej gwarancji bezpieczeństwa dla rosyjskiej inteligencji aniżeli władza państwowa, zabezpieczająca wolności indywidualne.

Wybierając z *Wiech* przydatne w epoce *pieriestrojki* myśli, Klamkin nie może oczywiście zapomnieć, że patos zbioru polega na jego antyrewolucyjności, że rewolucja przedstawiona w nim jest jako największa katastrofa, jaka może Rosję spotkać. Szuka więc wsparcia w innym słynnym zbiorze artykułów filozoficzno-politycznych, zwanym *Smiena wiech*, czyli *Zmiana drogowskazów*. Ukazał się on w 1921 roku w Berlinie i wzbudził żywe zainteresowanie przywódców republiki sowieckiej: chwalili go Trocki i Stalin, także Lenin uznał go przydatny. Autorzy *Zmiany drogowskazów*, którzy w swoim czasie walczyli z bolszewikami, z emigracji przyznają, że przegrali. Mówiąc słowami najzdolniejszego spośród nich, Ustriałowa, „udają się do Canossy". Przydatność filozofii *smienowiechowców* dla bolszewickich przywódców lat 20-tych i dla gorbaczowowskiej *pieriestrojki* polega na tym, że nie tylko przyznawali się do porażki „ideologii Białych", ale przede wszystkim oświadczali, że „ideologia Czerwonych" jest ideologią rosyjską, a Rewolucja Październikowa — rewolucją rosyjską. Igor Klamkin okrasił swój artykuł całym wachlarzem starannie dobranych cytatów ze *Smieny wiech*, aby wydobyć główną potrzebną mu myśl: że bolszewicy są bez wątpienia rosyjskimi inteligentami i że tylko dzięki bolszewizmowi inteligencja „przezwyciężyła swoje historyczne odszczepieństwo od narodu i psychologiczne odszczepieństwo od państwa". Klamkin cytuje wyznanie wiary *smienowiechowców:* „Nie myślcie, że zmieniliśmy się, uznając wasz czerwony sztandar: uznaliśmy go tylko dlatego, że zakwita narodowymi barwami".

W 1921 roku narodził się rosyjski nacjonal-bolszewizm. W swoim czasie przyciągnął on na stronę władzy sowieckiej główną część inteligencji rosyjskiej. Dziś, po sześćdziesięciu pięciu latach, stratedzy *pieriestrojki* powołują się na nacjonal-bolszewizm w nadziei, że znowu uda im się zaczerpnąć świeżej wody ze źródła nacjonalizmu i ożywić nią wypraną z wszelkiej siły uwodzicielskiej ideologię sowiecką.

Wracając do tytułu swego artykułu, Klamkin z zadowoleniem cytuje odpowiedź *smienowiechowców:* „... Narodowa droga do świątyni prowadzi przez tę [Październikową] rewolucję, ponieważ okazało się, że innej drogi nie ma".

Klamkin przyznaje, że w ciągu siedemdziesięciu lat, jakie upłynęły od rewolucji, niemało się na tej drodze wydarzyło. Nie wszystkie perypetie były przyjemne — na przykład kolektywizacja. Jednak zdaniem Klamkina kolektywizacja była posunięciem koniecznym, bez którego nie udałoby się zbudować potężnego mocarstwa sowieckiego. Dokładnie to samo mówił Gorbaczow o ko-

lektywizacji w przemówieniu na temat historii ZSSR (2 listopada 1987). To samo mówili Stalin i wszyscy sowieccy ideolodzy przed Gorbaczowem. Różnica między dzisiejszą interpretacją a poprzednimi polega na tym, że dziś opisuje się inne, możliwe warianty rozwoju, inne drogi. Klamkin pisze o drodze Trockiego i drodze Bucharina, bez trudu dowodząc, że słuszna była „droga główna", tj. droga Stalina, między innymi dlatego, że była to droga narodowa, rosyjska. Wśród argumentów Klamkina zwraca uwagę twierdzenie, że chłopstwo pogodziło się z kolektywizacją, bo „wroga upatrywało w kułaku" i nie życzyło sobie „burżuazyjnego rozwoju". Pomijając fakt, że jest to kłamstwo, zwróćmy uwagę na jego ukryty sens. Pisząc o „przedburżuazyjnej", odwiecznej reakcyjności chłopstwa, Klamkin nie tyle wraca do standardowych marksistowsko-leninowskich dogmatów, ile występuje przeciw poglądom współczesnych „pisarzy wiejskich". Właśnie oni stanowią dziś ideologiczną bazę skrajnie nacjonalistycznego ruchu w ZSSR, którego najostrzejszym wyrazem są hasła Stowarzyszenia *„Pamiat'"*.

Klamkin ostrzega inteligencję rosyjską przed niebezpieczeństwem skrajnego nacjonalizmu typu *„Pamiati"*, dokładnie tak samo, jak autorzy *Wiech* ostrzegali przed żywiołem rewolucji. I tak jak oni, Klamkin każe szukać ratunku we władzy państwowej, władzy prawdziwie narodowej, a zarazem prawdziwie socjalistycznej. „Nie schodząc z naszej drogi" — zapewnia autor — dojdziemy do świątyni". Jaka świątynia czeka u kresu tej drogi, autor nie mówi.

Michał HELLER

Aaron Lutetiae

Arcybiskup Paryża ma na imię Aron i nadal używa tego rodzinnego imienia, które zachował również jako imię chrzestne, gdy w wieku lat 15 został przyjęty do Kościoła katolickiego. W życiu publicznym jednak używa raczej, choć nie wyłącznie, imion przyjętych również przy chrzcie, Jean-Marie. Czy można mu z tego robić zarzut? Chyba nie, bo nigdy nie ukrywał, że jest Żydem i pozostał Żydem także jako chrześcijanin. Gdy w roku 1979 został mianowany biskupem Orléanu i w niecałe dwa lata później arcybiskupem Paryża, uważał za swój obowiązek, a zarazem mądrą obronę przeciw złośliwym insynuacjom, ogłosić publicznie, że jest synem żydowskich imigrantów z Polski, choć sam urodził się już w Paryżu w roku 1926. Skutek był taki, że przez kilka lat prasa podkreślała raczej jego polskie pochodzenie, dopatrując się w jego wywyższeniu dowodu specjalnej sympatii ze strony polskiego papieża.

Wszystko to opowiada swobodnie arcybiskup, teraz już również kardynał, w długiej serii rozmów z dwoma znanymi publicystami, którzy byli inicjatorami książki*, mimo (a może właśnie dlatego) że żaden z nich nie jest wierzący i obaj są nastawieni dość krytycznie do Kościoła katolickiego. Jean-Louis Missika jest wolnomyślnym Żydem, a Dominique Wolton katolickim agnostykiem. Ma to swoje dobre strony, bo Lustiger jest zmuszony bronić swej wiary przeciwko dociekliwym krytykom i książka obfituje w liczne dramatyczne spięcia, które kończą się tym, że (jak można sądzić) obie strony pozostają przy swych poprzednich przekonaniach. Na korzyść rozmówców należy powiedzieć, że nie wykorzystują rozmów jako okazji do systematycznego wykładu swoich światopoglądowych pozycji i obiekcje wysuwają tylko po to, by arcybiskup mógł na nie odpowiedzieć. Systematyczny wykład jest przywilejem arcybiskupa; założeniem książki było danie jemu okazji do naszkicowania duchowego autoportretu. Jest zasługą arcybiskupa, że zgodził się poddać serii tak trudnych, miejscami chyba nawet przykrych przesłuchań; pozwolił dwom obcym ludziom do duszy sobie zaglądać. I zgodził się na wystawienie tego dogłębnego autoportretu na widok publiczny.

Asumpt do tego dała niewątpliwie niezwykła pozycja tego dostojnika Kościoła jako równocześnie chrześcijanina i Żyda — choć nie jest ona tak niezwykła jak z rozgłosu dokoła sprawy można by sądzić. Młody Lustiger miał nawet w seminarium kilku żydowskich jak on kolegów, tylko oczywiście nie wszyscy zostali arcybiskupami. Stąd też zarówno osobisty stosunek arcybiskupa do żydostwa jak i też stosunki między chrześcijaństwem a żydostwem w ogóle zajmują w książce wiele miejsca. Gdy Aron w wieku kilkunastu lat wyznał rodzicom, że chce zostać chrześcijaninem (zaczęło się to od potajemnego czytania Biblii), spotkał się ze stanowczym i bolesnym dla niego oporem. Moment był jak najbardziej nieodpowiedni: Hitler już zaczynał szaleć i zbliżała się wojna, nietrudno było dopatrywać się w kroku Arona zdrady jego prześladowanego narodu. Matka Arona istotnie zginęła w Oświęcimiu, ale tylko matka; Aron z ojcem zdołali przeżyć okupację, ale tym bardziej bolesne było potem starcie z ojcem, gdy Aron oświadczył mu, że zamierza zostać katolickim księdzem. Ojciec przez dwa lata odmawiał wszelkich kontaktów z synem. Motywacja Arona była absolutnie czysta i prosta: *musiał* zostać chrześcijaninem właśnie dlatego, że był Żydem. Jezus był dla niego najoczywiściej obiecanym Mesjaszem, cierpiącym Mesjaszem z proroctwa Izajasza, a zatem chrześcijaństwo jest wypełnieniem misji jego wybranego narodu. Wybrańskwo Izraela traktuje Lustiger jak najbardziej dosłownie: nie jest prawdą, by między Starym a Nowym Testamentem istniał jakikolwiek konflikt, jeden i drugi razem wzięte są dokumentem jedynego bezpośredniego Objawienia, wkroczenia Boga do histo-

* Jean-Marie Lustiger, *Le Choix de Dieu. Entretiens avec Jean-Louis Missika et Dominique Wolton*. Editions de Fallois, Paris 1987. Str. 474 i 6 nlb.

rii ludzkości. Skąd zatem chrześcijański antysemityzm? Nie ma chrześcijańskiego antysemityzmu — odpowiada Lustiger — istnieje tylko antysemityzm chrześcijan, którzy z tej racji nie są prawdziwymi chrześcijanami, są *goyim* czyli poganami w sercu. Próby oderwania chrześcijaństwa od jego judejskich korzeni (herezja Marcjona w II wieku) nigdy się nie powiodły. Współczesny antysemityzm wywodzi się z wieku Oświecenia, który przez afirmację radykalnej autonomii człowieka i samowystarczalności ludzkiego rozumu był próbą oderwania człowieka od Boga. Antysemityzm jest wytworem anty-teizmu, Oświecenie z natury rzeczy musiało uderzać w Żydów jako wybranych przez Boga nosicieli Jego objawienia. Istnieje natomiast chrześcijański antyjudaizm, doktrynalny protest chrześcijaństwa przeciw kontynuacji żydostwa, jak gdyby Mesjasz-Chrystus (oba słowa znaczą to samo) nie był już przyszedł, bolesny protest przeciw zaślepionym braciom widoczny już na kartach Dziejów Apostolskich i Pawłowego Listu do Rzymian. Głęboki spór, ale spór rodzinny wśród wyznawców tego samego jedynego Boga. Tak, większość Żydów nie przyjęła Chrystusa, ale większość *goyim*, pogan, też przecież Go nie przyjęła. Mesjasz już był przyszedł, ale to nie znaczy, że historia ludzkości dobiegła końca. Cierpiący Mesjasz objawił sens ludzkiego życia, sens cierpienia i śmierci, przynosząc nadzieję zmartwychwstania i ostatecznego wypełnienia historii w momencie Drugiego Przyjścia.

Ten wykład (okropnie tu skondensowany) spotyka się z niejedną obiekcją ze strony rozmówców kardynała. Ale kardynał umie się bronić, umie bronić swej wiary zarówno żydowskiej jak chrześcijańskiej, które dla niego są jednym i tym samym. Dla niego. A dla innych chrześcijan? Jakkolwiek doktrynalnie uzasadniony jest ten fundamentalizm — Żydzi jako naród dosłownie przez Boga wybrany, by być odbiorcą i nosicielem Objawienia, Kościół jako Nowy Izrael, ale równocześnie dosłownie kontynuacja Starego Izraela — faktem jest, że jest on w świadomości przeciętnego chrześcijanina mocno stonowany czy przytępiony i dlatego w ustach Lustigera uderza właśnie jako pewnego rodzaju fundamentalizm. Ale jest to fundamentalizm nie bardziej radykalny niż twierdzenie, że nieskończony Bóg objawił się w określonym momencie historii, w określonym miejscu dosyć podrzędnej planety Ziemi, w konkretnej osobie człowieka Jezusa z Nazaretu, a ten dogmat jest przecież mocno ugruntowany w świadomości każdego chrześcijanina. Jest to jeden z chrześcijańskich paradoksów, tak samo płodny i dostojny jak paradoks krzyża. Z tego punktu widzenia osoba żydowskiego arcybiskupa stanowi bardzo wymowny symbol, podkreślający jeden z fundamentów chrześcijaństwa.

Obiekcje rozmówców kardynała nie tego dotyczą. Są dość liberalni, by respektować jego fundamentalne przekonania. Choć sami są raczej dziećmi Oświecenia, które kardynał często atakuje jako kolebkę współczesnego bezbożnictwa, ich laicki system wartości, intelektualnych i moralnych, nie odbiega bardzo od systemu wartości ich chrześcijańskiego rozmówcy. Krytykują i żądają

wyjaśnień, gdy wydaje im się, że Lustiger tym wspólnym wartościom nie pozostaje dostatecznie wierny. Tego rodzaju sytuacje powstają nie wtedy, gdy kardynał broni swych przekonań czy swoich decyzji, ale gdy broni instytucji, którą reprezentuje. Gwałtowne zaprzeczenia, jakoby kiedykolwiek istniał doktrynalny chrześcijański antysemityzm, są tylko jednym tego przykładem. Rozmówcy wytykają mu, że antysemityzm jest już widoczny w pismach Ojców Kościoła, a trudno przecież zaciekłe ataki na Żydów św. Jana Chryzostoma traktować jako stosunkowo nieszkodliwy antyjudaizm. To samo się dzieje, gdy rozmowa schodzi na inkwizycję, wojny religijne czy stosunkowo niedawną kampanię anty-modernistyczną Piusa X. Kardynał ucieka się do konwencjonalnych wymówek, że to były inne czasy, ekscesy władzy świeckiej raczej niż kościelnej, i że ostatecznie ludzie są grzeszni. Nie dopuszcza myśli, by instytucja popełniła grzech. Również gdy chodzi o problemy współczesnego Kościoła, o reformę posoborową, centralizm papieski versus zasada kolegialności czy dialog ekumeniczny, arcybiskup Paryża nie wychodzi poza konwencjonalnie lojalne stwierdzenia. Jako konwertyta arcybiskup jest klasycznym przykładem bardzo częstej instytucyjnej i kulturowej adaptacji. Polega ona na tym, że wraz z wiarą religijną akceptuje się cały kulturowy apanaż, w jakim ta wiara w danym kręgu kulturowym się wyraża — w przypadku łacińskiego katolicyzmu od dogmatów i sakramentów po różaniec i święte obrazki. Innym przykładem tak uderzającej adaptacji była beatyfikowana niedawno karmelitanka i również Żydówka, Edyta Stein. Rzadkim przykładem oporu przeciw kulturowej adaptacji, przy równocześnie silnym zaangażowaniu religijnym, była inna Żydówka, Simone Weil. Wewnętrzny protest przeciw elementom kulturowej otoczki nie pozwolił Simone nawet na przyjęcie chrztu. W przypadku kardynała Lustigera czynnikiem ułatwiającym adaptację był niewątpliwie jego głęboki francuski patriotyzm. Upokorzenie Francji w czasie wojny młody Lustiger przeżył prawie tak samo boleśnie jak śmierć matki w obozie zagłady. A Francja, którą Lustiger kocha, to Francja katolicka, „najstarsza córka Kościoła".

Łatwość i gruntowność adaptacji kulturowej nic nie ujmuje z autentyczności i głębi wiary Lustigera. Konformistyczna wiara też jest wiarą. Swemu żydowskiemu pochodzeniu chyba zawdzięcza owo szczególne wyczulenie na pojęcie historii jako historii świętej, historii zbawienia, które mu pozwala widzieć problemy współczesności, z bronią atomową włącznie, realistycznie, ale nigdy jako beznadziejne. W końcowej części książki rozmówcy, w ślad za Raymondem Aronem (z którym na krótko przed jego śmiercią skomponowali podobną książkę-dialog), podejmują problem *„le salut laïc — le salut divin"*. Na pytanie o sens wizji Królestwa Bożego arcybiskup odpowiada:

„Królestwo Boże jest celem nadziei. Jego oczekiwanie jest światłem historii, którego blask stale nam się wymyka. Nic nie wiem o historii ludzi, moja pamięć jest cząstkowa, moja wizja ludzkości fragmentaryczna, jej

zrozumienie ciemne. Zamiar Boży, który widzę jako suwerenny akt miłości wobec wszystkich ludzi, pozostaje dla mnie nieprzeniknioną tajemnicą, ale nie wydaje mi się dlatego czymś nieracjonalnym czy niezrozumiałym. To jest mądrość wprowadzona w ten świat, którego pojąć nie potrafię".

To jest esencja wszelkiej wiary.

Antoni POSPIESZALSKI

Ballada o zaginionym plemieniu

Nawrócenie[1], najnowsza powieść Andrzeja Kuśniewicza, wyróżniona została w styczniu ubiegłego roku jako książka miesiąca. Z tej okazji w Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie odbyło się spotkanie pisarza z czytelnikami. Jeden z nich (cytuję za *Kurierem Polskim* z 3 lutego 1987) zapytał: „Dlaczego ta książka została napisana?". Kuśniewicz odpowiedział: „Chciałem nawrócić zawrócić, zawrócić końmi w Tamten Czas, bo miałem Tam bardzo wielu przyjaciół. Zdaję sobie sprawę, że moje zafascynowanie egzotyką tego środowiska, mój allosemityzm, to chodzenie po linie. Musiałem jednak to wszystko zanotować..., gdyż zostałem wtedy 'nawrócony' na coś, z czego trzeba zdać sprawę... I nie spodziewałem się, przyznam, że właśnie ta książka zostanie zauważona i będzie nagradzana".

Andrzej Kuśniewicz już wcześniej, np. w *Witrażu* (1980), pisał w podobny sposób o Żydach: z czułością, tęsknotą i bólem. Niemniej wypada nadmienić, że *Nawrócenie* — co nie jest winą pisarza — wpadło jak śliwka w kompot aktualnej, „prożydowskiej" polityki polskiego reżymu; wręcz nachalnego flirtu z Żydami, szczególnie dewizowymi. Nie jest także winą Kuśniewicza, że napisał książkę na temat, który dla polskich pisarzy emigracyjnych od lat był chlebem powszednim. Mam tu na myśli Vincenza, Stempowskiego, Miłosza, Mrożka i Grynberga. Zgładzony, od dawna nieistniejący już świat opisany został również przez pisarzy krajowych: Stryjkowskiego i Buczkowskiego. Izaak Singer opisuje Żydów polskich od ponad pięćdziesięciu lat. Kuśniewicz poszerzył wizję tego świata o lata powojenne, o rok 1956 i 1957 (również opisane wcześniej przez pisarzy emigracyjnych, a tu i ówdzie przebąkiwane nawet przez pisarzy krajowych). Być może jednak jest to temat, którego nie można wyczerpać. Być może im dalej w czas, im słabsza pamięć, tym dotkliwsza nieobecność,

1. Andrzej Kuśniewicz, *Nawrócenie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, str. 213.

tym większa tęsknota i zafascynowanie. Tam nas kochają, gdzie nas nie ma. Dwadzieścia lat temu żegnając się z Krakowem oglądałam z przyjaciółmi wystawy księgarni. Właśnie ukazała się książka Wiktora Woroszylskiego dla młodzieży pt. *I ty zostaniesz Indianinem*. Zmieniliśmy jej tytuł na: *I ty zostaniesz Żydem. Et voilà!*

Jako że w żadnym słowniku nie znalazłam hasła „allosemityzm", ucieszyłam się natrafiwszy pod koniec powieści na rodzaj wyjaśnienia. „Po wielu latach — pisze Kuśniewicz — przeczytałem uczony referat na temat tak zwanego 'allosemityzmu'. Że polega on na wyróżnieniu pochodzenia żydowskiego i na przeświadczeniu o jego wyjątkowości. Z takiego założenia prowadzą dwie drogi: ku antysemityzmowi, aż po pełny rasizm, i do filosemityzmu. Ten jednak ma pewne cechy podejrzane dla czujnych". Autorem „uczonego referatu" okazał się Artur Sandauer, jak zwykle udający, że odkrywa i definiuje coś, czego nikt przed nim jeszcze nie odkrył i nie zdefiniował. Jakkolwiek by było, „allosemityzm" nie wydaje się niczym szczególnym różnić od żydowskiego mesjanizmu i trochę głupio, że Kuśniewicz, oczytany, obyty w świecie, prawdziwy Europejczyk, dał się na to nabrać: „Zrozumiałem te wywody jako potwierdzenie odgrodzenia. Zapora, i to świadoma, uzasadniająca odrębność, uznawana przez nich samych jako wyższość. Niższość — wyższość. Błędne koło. Absurd".

W pierwszym tomie *Dziennika* Gombrowicz cytuje list, który napisał do kogoś w Londynie: „... Zresztą muszę się Panu przyznać, że i mnie — choć łatwo wywnioskować z mojej literatury, że niewiele mam wspólnego z antysemityzmem — czasami wymknie się nawet słowo 'parch', gdy jakiś poszczególny Semita da mi się we znaki. Dzieje się tak, ponieważ nie jestem filosemitą sztywnym, wysilonym, ale filosemitą w stanie luźnym, ze wszystkimi atawizmami szlachcica, panie święty, ze wsi".

Nawróceniu patronują Gombrowicz i Leopold Buczkowski (m.in. autor książek o partyzantce żydowskiej na wschodzie, *Czarnego potoku* i *Doryckiego krużganka)*. Rówieśnik Gombrowicza, urodzony w roku 1904 w Kowenicach koło Sambora, Kuśniewicz należy do trzech wielkich nestorów polskiej prozy; dwaj pozostali to właśnie Buczkowski (urodzony w roku 1905 w Nakwaszy na Podolu) i Stryjkowski, z tego samego rocznika, pochodzący ze Stryja. Pisarze z Kresów — owego tygla mniejszości narodowych — zawsze lubili i umieli pisać o Żydach. Autor *Nawrócenia* debiutował w roku 1957 zbiorem wierszy, miał wtedy 51 lat. Pierwszą powieść, pt. *Korupcja*, z podtytułem *Kryminał heroiczny*, opublikował w roku 1961. Później ukazały się: *Eroica*, *W drodze do Koryntu*, *Król obojga Sycylii* i *Witraż*. Wszystkie można określić modnym dziś terminem jako typowo centralnoeuropejskie.

Nawrócenie jest książką napisaną z potrzeby serca i na zamówienie zmarłych. W jednej ze scen Żydzi z „naszego Miasteczka" — tak określa autor miejsce swojego dzieciństwa i młodości —

domagają się od narratora, żeby o nich napisał. Narrator: „— Kiedy ja nic nie widziałem na własne oczy!... Mnie przecież tu nie było, kiedy... — próbuję się wytłumaczyć. Bronię się zaskoczony tym zamówieniem, za które chcieliby się wywdzięczyć płynną monetą. Więc powoli wycofuję się na trotuar. Aż opieram się w końcu plecami o wielką szybę zamkniętej apteki. Czuć stamtąd wyraźnie walerianą i jakimiś ostrymi ziółkami, mimo że wszystko pozamykane... Stoją tak pełni spodziewania, nadziei w oczach, wyczekiwania na moją zgodę. Ufają mi. Że ich w końcu nie zawiodę. Że na tyle, na ile mnie stać... Że postaram się w jakiś sposób... Że w ostateczności zapożyczę z prawa i z lewa".

Henryk Grynberg napisał kiedyś: „Każdemu antysemicie powinno się raz przyśnić, że jest Żydem". Kłopot w tym, że antysemici z reguły miewają inne sny. Kuśniewiczowi w *Nawróceniu* przyśniło się, że powinien być Żydem i nawrócić z drogi własnego życia, aby podzielić ich los. Główną obok narratora postacią powieści jest niejaki Rudek Pordes, niegdyś przyjaciel ze szkoły, po latach spotkany w Paryżu, który podobnie jak on sam nie spędził wojny w Miasteczku.

Kuśniewicz wymusił na sobie ten sen, wprowadził się niejako w najsmutniejszy z możliwych transów: w luźno porozrzucanych po książce obrazach wyobraził sobie los tych, których znał, w okresie okupacji. Te sceny, piękne od strony literackiej, wstrząsające w swojej wyrazistości, za każdym razem kończą się — bo jakże mogą się kończyć inaczej — kapitulacją i osobistą klęską. Nie można nawrócić tam, gdzie nas nie było, nie można stać się kimś, kim się nie jest. (O czym w książce nie ma: Kuśniewicz spędził wojnę w trzech obozach koncentracyjnych, m.in. w Mauthausen). A jednak pisarz mógł sobie to wszystko stosunkowo łatwo wyobrazić, bo miał do czego wracać pamięcią. Żył wśród Żydów przez wiele lat, w miejscu ich autentycznego współżycia z innymi, choć to współżycie, jak wszędzie gdzie indziej, przerywane było bojkotami sklepów i okazyjnymi pogromami. W tym mieście przez jakiś czas wojewodą był niejaki Porembalski, który długie godziny spędzał w swoim gabinecie na rozmowach z rabinem Kohnem (na wynurzenia wojewody i jego niespokojne pytania Kohn zwykł odpowiadać: „Jest źle. Jest bardzo źle") i co rano odwiedzał na targu żydowską sprzedawczynię kasztanów, szczycącą się wspólną datą urodzin z cesarzem Franciszkiem Józefem. Inna rzecz, że mało kto poczytywał mu to za cnotę.

Książka Kuśniewicza ma zbyt skomplikowaną narrację, zbyt wiele planów, zbyt burzliwą chronologię. Celowość tych meandrów nie wydaje się przekonywująca: to samo można było osiągnąć znacznie prostszymi środkami. Przyznam, że przy tym szczególnie temacie wolę jak najmniej literackich sztuczek. Ale z drugiej strony: jest to książka o obsesji, a od literatury obsesyjnej trudno wymagać prostoty i klarowności. *Nawrócenie* rozpoczyna się od podróży narratora koleją z przyjacielem, który więcej w książce nie powraca, w nieokreślonym czasie. Jest tu

rozmowa o śmierci i wspomnienie bierzmowania, kiedy to zamiast imienia Jerzy (ten, który walczył ze smokiem) narrator otrzymuje na imię Grzegorz (co po łacinie znaczy: strażnik). Nie wiem, czy Kuśniewicz chciał, aby takie znaczenie nadać owej — później już niewspomnianej — pomyłce. Tłumaczyłoby to jednak częściowo koncepcję całej książki, ofiarowując do niej rodzaj psychologicznego i mitycznego klucza. (Inna rzecz, czy ten klucz jest rzeczywiście potrzebny). Zamiast tego, którym pragnął być później — rycerzem walczącym z potworem, który zgładził jego przyjaciół i świat jego młodości — stał się tym, który pisząc, ocalił od niepamięci. Realistyczny początek kończy się skokiem w dół: upadkiem w sen, w pamięć, w wyobraźnię. Pierwszy, istotny dla symboliki książki obraz, to jazda z ojcem małym wiedeńskim powozem. Ojciec jest tym, który pierwszy każe mu nawrócić. Prowadzi to do jednej z licznych w książce definicji tytułu: „Nawracanie — pisze Kuśniewicz — tym bowiem różni się od zawracania, że nie decyduje o powrocie na przebyty szlak, lecz w bok, w prawo czy też w lewo, wedle woli. Pochodzi zaś od słowa nawrót, a nie od słowa obrót, i kończy się pełnym nawróceniem".

Drugi obraz — to nałożenie symbolicznego kostiumu, niemal gombrowiczowskiej „gęby", tyle że w pozytywnym znaczeniu. Jest to „paletot" z epoki Zielonego Balonika, komiczny, zbyt długi na dziecko stojące przed popękanym lustrem w wielkiej i z jakichś powodów historycznej sali. Kuśniewicz: „Sytuacja stawała się z minuty na minutę już nie dwuznaczna, lecz najwyraźniej jednoznaczna. Mianowicie wywodząca się wprost od pana Itka, inaczej Gombrowicza". W kieszeni dziwacznego okrycia znajduje się stary weksel na nazwisko Moszka Grynsztajna: „Pismo zamazane, rozmazane deszczem czy może czyimiś łzami... Łza wdowy lub sieroty? Rany boskie! A cóżem ja temu winien? Glejt? Dokument nader ważny, wagi narodowej?...". Od tego niewyraźnego zdarzenia upłynie wiele czasu — historycznego i powieściowego — zanim funkcja „glejtu" trochę się wyjaśni. Dzieje się to za pomocą jednego z typowych dla Kuśniewicza, nieoczekiwanych skoków wyobraźni, bardziej może umotywowanych zamierzoną, symboliczną strukturą powieści, niż logicznym rozwojem samej fabuły. Kuśniewicz opowiada o przedziwnej — i dla mnie niezrozumiałej — pielgrzymce, którą jego narrator odbył kiedyś w Hiszpanii do miejscowości Zamora. Po procesji z cudownym obrazem mnisi żądają, aby się wylegitymował. Narrator: „Wysupłałem zmięty świstek zza pazuchy... Niechże mi pobożni braciszkowie łaskawie wybaczą. Ledwo czytelny papierek pokreślony kulfonami liter na ukos. Jakiś meldunek z drogi? Czy ja już sam dobrze wiem?". Zapytany przez spowiednika, czy zadawał się z maranami *(sic!)*, usiłuje opowiedzieć, skąd przyszedł, z jakich doświadczeń i czasu: „...nie stanąłem na wysokości zadania. By zbliżyć się, jakby wejść pomiędzy, czy jak. Sam nie wiem... Śmiałem się, gdyż nie sądziłem, że ten mój śmiech... — Kiedy? — Nim się to wydarzyło, ojcze... — Co? — Wielka zaraza. Wielki strach... Zagarnięcie...". Zapytany, czy ża-

łuje swoich grzechów, odpowiada twierdząco, ale ku zdumieniu spowiednika dodaje: „Za niemożność przekroczenia bariery, to zwłaszcza...".

Rasowy prozaik, Kuśniewicz najlepszy jest wtedy, kiedy opisuje — nie za bardzo teoretyzując — miasto swojej młodości. Tutaj też najwyraźniejsza jest postać narratora, młodego arystokraty i snoba, „osobnego" na modłę Gombrowicza, pozorującego obcość, bratającego się z Żydami bardziej niż z innymi, bo na to pozwala mu dobre urodzenie („bycie obok", „letniość"). Jest to wspaniały obraz życia kresowego miasta od czasów cesarsko-austriackich, poprzez Dwudziestolecie, poprzez wszystkie sfery społeczne i geografię miasta, z całą gamą żydostwa, arystokracji, mieszczaństwa, inteligencji i ich wzajemnych stosunków. Narrator przechadza się po Miasteczku, mając za powiernika swoje żydowskie *alter ego:* równie beznamiętnego i chodzącego własnymi drogami Rudka. Sztuczny, ale w swojej sztuczności prawdziwy. Oczarowany żydowską egzotyką, ale zachowujący narzucony sobie dystans. Wzdychający — dokładnie na gombrowiczowskiej zasadzie urzeczenia „parobkiem" — do małej Fajgi, niedorozwiniętej krewnej Pordesów, którą podgląda myjącą podłogę. Odległy wszystkiemu, dobrodusznie wykpiwany przez mecenasa Pordesa i jego syna za całkowitą nieznajomość spraw majątkowych ojca. Niby spoisty, a jednak rozszczepiony. Obserwator cudzego życia, nie biorący w nim udziału i jakby sam żyjący na zwolnionych obrotach. Odnotowujący znaki nadchodzącej zagłady, ale nie umiejący ich właściwie odczytać. Stąd później owa obsesyjna chęć nawrócenia: miejscami wstrząsająca, miejscami rozgadana, czasem sentymentalna.

Nie jest to książka łatwa w lekturze, bo Kuśniewicz — we własnym mniemaniu tragicznie zadłużony — za wiele chciał od siebie i w sensie literackim, i w sensie ludzkim. Fascynacja Gombrowiczem okazała się owocna, nadając realistycznej części książki głębszy wymiar psychologiczny: wyrazistą, oryginalną konstrukcję sylwetki narratora. Fascynacja stylistyką i skokami wyobraźni Leopolda Buczkowskiego zawiodła. Najlepsze partie *Nawrócenia* napisane są stylem szlacheckiej gawędy, gdzieś na granicy jej parodii i pastiszu, co dobrze współgra z charakterem opowiadającego. Ale pewna, świadoma zresztą, niechlujność i impresyjność stylu, tendencja do wiernej rejestracji „strumienia świadomości" wnosi tu sztuczny zamęt. A już najmniej odpowiada mi stylizacja na uroczyste prostactwo; niektóre fragmenty *Nawrócenia* brzmią zgoła jak parodia Marka Nowakowskiego.

Z tym wszystkim, cóż mogę mieć przeciw książce, która próbuje ocalić to, co już rychło coraz trudniej będzie wiarygodnie zrekonstruować. *Nawrócenie* to niewdzięczna lektura, za którą pisarzowi należy się wdzięczność: jest w niej autentyczny wysiłek i ból. Więc może tylko to, że książka nie została napisana i wydana dwadzieścia lat temu. Ale nawet mnie wydaje się to bardzo małostkowe.

Janina KATZ HEWETSON

Tadeusz Konwicki: szósta pieczęć

W szóstym rozdziale Apokalipsy według św. Jana czytamy: *„I widziałem, gdy otworzył szóstą pieczęć, a oto się stało wielkie trzęsienie ziemi, i słońce się stało czarne jako wór włosiany, i księżyc wszystek stał się jako krew. / A gwiazdy z nieba upadły na ziemię, jako drzewo figowe zrzuca niedojrzałe figi swoje, gdy od wiatru wielkiego bywa zatrzęsione. / A niebo odstąpiło jako księgi zwinione, a wszelka góra i wyspy z swoich miejsc poruszone są"* (przekład Jakóba Wujka).

W najnowszej powieści Tadeusza Konwickiego pod tytułem „Bohiń"* z ziemi i niebios dobywa się grzmot i promieniuje dziwna jaskrawość, do niczego niepodobna, a straszna.

I panoszy się upał końca lata zawieszonego pośród wyblakłych kolorów, w bezczasie. Ów straszny dźwięk słyszy babka autora, pani Helena Konwicka i on sam, bo poprzez czas znalazł się sam na skrawku wileńskiej ziemi w wigilię wielkiej apokalipsy, by tropić własny los i dzieje nas wszystkich. *„A ja przedzieram się przez zaułki czasu, przez drętwotę wyobraźni* — pisał Konwicki w pierwszym rozdziale powieści — *przez moją własną rzekę jakiegoś bólu i muszę się przedostać na tamten brzeg, do mojej babki, Heleny Konwickiej, starzejącej się powoli panny w smutnym czasie, w posępnej epoce, w beznadziejnej chwili beznamiętnej historii, co płynie jak powódź za nami, obok nas, przed nami".*

Opowiadający, narrator — Tadeusz Konwicki — śpieszy przez czas nie tylko na uroczystość urodzin swojej babki, ale także na tajemnicze misterium poczęcia swojego ojca. Na święto miłości związane ze świętem śmierci i proroctwem zagłady. W jakimś głębszym sensie książka Tadeusza Konwickiego nie jest powieścią, ale dramatem liturgicznym i przypomina Mickiewiczowskie „Dziady", chociaż uważny czytelnik dostrzeże w niej również bez trudu odniesienia do „Pana Tadeusza".

Zwróćmy uwagę na sposób istnienia zarówno bohaterów jak i opowiadającego. Narrator, niczym upiór krąży pomiędzy postaciami, którym nadaje żywot dwuznaczny, powrotniczy, duchowy i duszny. Sam, jak guślarz i mag, przywołuje duchy, ale nie wie do końca, co powiedzą i co zrobią. Przypomnijmy ostatnie trzy

---

* Tadeusz Konwicki, *Bohiń*, Warszawa 1987, „Czytelnik", str. 183. Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na tempo wydania powieści Konwickiego przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik". Z metryczki książki wynika, że oddano ją do składania 22 stycznia 1987 roku. Druk ukończono w 1987 roku. Niezłe osiągnięcie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że średni czas druku książek w wydawnictwach oficjalnych wynosi od 4 do 8 lat.

akapity książki Konwickiego: *„Jest noc, moja pora, zbliża się godzina duchów wymyślonych przeze mnie oraz duchów rzeczywistych, które mnie szukają cierpliwie w stogu gwiazd i planet.*

Chciałem coś powiedzieć ważnego, przez tyle dni i nocy chowałem w zanadrzu duszy jakąś myśl, przestrogę lub słowa pożegnania, bo zbliża się czas pożegnań, więc chciałem coś wyskrobać na ścianie naszej wspólnej pamięci i teraz zapomniałem, i jestem w pół drogi, bo już nie jestem tam, lecz i nie wróciłem już tutaj, i wiszę gdzieś pod niebem, i czekam nie wiadomo na co.

Wszystko się jednak dobrze skończyło, bo ja przecież mimo wszystko jestem, bo ja wszak żyję. Ale czy ja mogę być pozytywnym zakończeniem jakiejkolwiek historii?".

Co się mianowicie skończyło? Podróż podniebna i paradoksalna przez pamięć i czas? Nie tylko. Skończył się również świat, do którego opowiadający wracał, by odnaleźć siebie samego, podwójnie nienarodzonego. Wszystko dobrze się skończyło, bo Eliasz Szyva począł w łonie babki — Heleny Konwickiej — ojca, który począł jego, podróżującego przez czas i przestrzeń nad Wilię? Ale skoro z piekielnym łomotem skończył się tamten świat, to jakże można żyć po końcu świata? Wnuk Heleny Konwickiej ma w gruncie rzeczy niebezpieczny status widma, które żyje i nie żyje równocześnie, mówi i w mówieniu widzi swoje ocalenie; poza mówieniem — martwieje.

Trzeba to dobrze zrozumieć, bo właśnie w dwuznaczności opowiadającego tkwi tajemnica „Bohini". Opowiadający jest — powtarzam — *upiorem*. Ale kim jest upiór?

Ryszard Przybylski w eseju pt. „Słowo i światło w IV części 'Dziadów' ", zamieszczonym w *Pamiętniku Literackim* nr 1 z roku 1987, analizował upiorność Mickiewiczowskiego bohatera następująco: *„Podobnie jak w rytach przejścia, upiór (...) został więc wyalienowany z konkretnego 'ja' w formie oddzielnego bytu, który z łatwością przekracza sfery, czego nie jest w stanie uczynić człowiek jako osoba. Istnieje jednocześnie w sferze ducha i w sferze materii. Można go wziąć i za żywą postać, która jest wszakże bezcielesnym duchem. A może to być również czysty umysł, który objawia się jako żywa osoba. (...) Upiór jest taką formą bytu, która istnieje jednocześnie w dwóch sferach, niewidzialnej i widzialnej, jak czysty umysł bez ciała i konkretne myślące ciało. Upiór ma byt paradoksalny i zapewne dlatego właśnie zainteresował Mickiewicza. Romantyzm był bowiem triumfem paradoksu nad sylogizmem".*

Jeśli więc opowiadający wyznaje, że chciał coś napisać na ścianie pamięci wracając z dalekiej podróży, będącej rytuałem i obrzędem przejścia, powrócił, ale nie całkiem — to chętnie mu wierzę, bo misteryjny sens książki Konwickiego nie ulega wątpliwości. Taki sens ma zresztą prawie cała twórczość autora „Sennika współczesnego", z wyjątkiem nieudanego „Nowego Światu i okolic". Inaczej trudno wyjaśnić obsesyjny motyw powrotu narratora do wileńskich stron rodzinnych. Obsesję nieciągłego czasu. Dla Konwickiego czas wiąże się nierozerwalnie z przywoływaniem sacrum, z religią i magią. Powrót do przeszłości daje życie i siłę potrzebną do zwyciężenia apokaliptycznej Bestii.

Jak słusznie zauważył Andrzej Werner w eseju poświęconym „Małej apokalipsie", w większości utworów i we wszystkich filmach Konwickiego konstrukcja czasowa i fabularna jest podobna. Zasadnicza akcja dzieje się we współczesności, a następstwo zdarzeń jest wyraźne. Ale jednocześnie owa teraźniejszość owinięta jest wspomnieniami jak kokonem, zdarzenia rzeczywiste, wymyślone i domyślone napierają na tkankę fabuły rozrywając ją niekiedy lub mieszając jej porządek jak — na przykład — we „Wschodach i zachodach księżyca". Różnoraki czas dominuje nad teraźniejszością. Ale dzieje się również odwrotnie: jak pisał Andrzej Werner: *„przeszłość jest oglądana z punktu widzenia teraźniejszości i całego przebiegu zdarzeń, który do dnia dzisiejszego prowadził, wszystkich późniejszych doznań i niepokojów".*

W powieściach Tadeusza Konwickiego z największą siłą atakuje, obok wspomnień wojennych, mit ogrodu dzieciństwa, Wileńszczyzny, krainy rojstów, kaplic i cieni. Napór ten zwiększa się coraz bardziej, od „Dziury w niebie", aż do „Kroniki wypadków miłosnych". Ale przecież lustrzanym odbiciem owej ciągle ponawianej przez Konwickiego próby powrotu, odbiciem uczynionym w krzywym zwierciadle, jest zarówno „Wniebowstąpienie" jak i „Mała apokalipsa". Obie powieści są bowiem odmianą lamentu nad nieruchomymi szczątkami tego, co zrodzone nad Wilią, bezpowrotnie obumarło.

W istocie wizja Kresów wileńskich u Konwickiego nie łączy się bezpośrednio z mitem dzieciństwa, a przynajmniej nie to jest u niego najważniejsze. Chodzi raczej o poszukiwanie takiego miejsca, w którym dokonać się może przemiana umarłego w żyjące, przeszłego w przyszłe, bezpłodnego w brzemienne. Konwicki stale szuka przez słowa, przez literackie wypowiadanie, tajemniczej formuły i zaklęcia, które pomogłoby w odprawieniu obrzędu Dziadów w najgłębszym jego znaczeniu: odnowienia dusz żyjących poprzez kontakt ze zmarłymi.

Innymi słowy, dzieło Konwickiego ma w sobie wiele z szamańskiego obrzędu, nie mnie sądzić, czy świętokradczego, i wielce użyteczna może być rozprawa o guślarskim aspekcie pisarstwa autora „Bohini". Konwicki realizuje to, co wypraszał u Matki Boskiej Ostrobramskiej Adam Mickiewicz w „Inwokacji" do „Pana Tadeusza" — przenosi swoją duszę utęsknioną, nie po to, by ją zatapiać w marzeniu o straconym dzieciństwie, lecz aby wyzwolić siły, które nam dzisiaj pozwolą przezwyciężyć przeszkody.

Mówiąc o najnowszej książce Tadeusza Konwickiego jako o tekście obrzędowym, nie chciałbym pominąć innego aspektu tego dzieła, które — powiedzmy jasno — wypadnie chyba uznać za jedno z najważniejszych osiągnięć prozy polskiej ostatnich lat. Myślę o złożoności artystycznej utworu, którego warstwy sym-

boliczne podkreślają i wzmacniają nadrzędną funkcję książki. Postacie występujące w „Bohini" mają, podobnie jak opowiadający, status niejednoznaczny. Pani Helena Konwicka stąpa tak lekko jak duch; nawet zawsze skrzypiąca podłoga pod jej stopą milczy. Eliasz Szyva — to Ahaswer, Żyd wieczny tułacz ,który nie tylko w powstaniu styczniowym dowodził własną partią, uciekał z Syberii, pracował w domu Ulianowych gdy urodził się skośnooki Wołodia zwany później Leninem, którego tak wszyscy lubili; nie tylko był Szyva w Australii i Ameryce, ale także w Jerozolimie przy burzeniu świątyni, przy jej odbudowie, przejściu przez Morze Czerwone itd., itd.

Kim jest stary sługa Konstanty, co ma 180 lat i zielone wąsy, gdy naszeptuje z Eliaszem Szyvą, jakby się od dawna znali? Kim jest zaprzaniec Korsakow? Czy aby nie ma w nim czegoś z Szymona Kossakowskiego, hetmana litewskiego? Postacie u Konwickiego mienią się, przechodzą w różne powidoki, odsyłają do dramatów Słowackiego, poematu Mickiewicza i starych kronik rodzinnych Konwickich. W tej dziwnej i skazanej na zagładę przestrzeni, z upału i nocnego cienia wyłaniają się strzygi, południce i larwy najgorsze — przeto nie należy się dziwić, że powiatowy isprawnik nosi nazwisko Dżugaszwili, ma świńskie oczka, ślady po ospie na gębie, niskie czoło i mówi po rosyjsku z okropnym gruzińskim akcentem. Nie dziwmy się, że wśród zamarłego z upału lasu pani Helena spotyka małego Ziuka Piłsudskiego, który szedł oglądać powstańczą mogiłę. Czytając świetną książkę Konwickiego, w ogóle dziwić się nie należy, bo przecież paradoks leży u podstaw odprawianego przez autora obrzędu.

„A ja błądzę za moją babką, Heleną Konwicką — pisał guślarz, jej wnuk — po tych ustroniach, pustkowiach, uroczyskach nad Wilią pod koniec dziewiętnastego wieku. Całe życie skradałem się w wyobraźni za ojcem, chciałem zobaczyć jego żywot, pragnąłem poznać jego tajemnicę, którą zdołał ukryć przede mną i zabrać do grobu, do tej mogiły na cmentarzu górującym na rozległym wzniesieniu nad Nową Wilejką (...). Ale ja nie szukam pocieszenia i niepotrzebna mi jest prawda, bo ja ją sam tworzę. Lepszą czy gorszą, mniej czy bardziej wiarygodną, ja ją sam układam z zapamiętań, z wyobraźni i z jakichś tęsknot oraz przeczuć, żeby zostawić za sobą i po sobie nagrobek, mały pomniczek z polnego kamienia (...) i w tę martwotę usiłuję tchnąć ducha (...). Gdzież jest moja babka, moja stworzona przeze mnie babka, Helena Konwicka, która razem ze mną przeżyje swoją miłość i razem ze mną któregoś dnia umrze".

Tadeusz Konwicki wraca pod zwiniętym niebem do ziemi suchej i poruszonej, by zrozumieć los swój i nas wszystkich po czasie, gdy złamano szóstą pieczęć.

Krzysztof RUTKOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Czyńcie to na moją pamiątkę. Trasa trzeciej pielgrzymiej wędrówki Ojca Świętego poprzez Polskę. Opr. Z. MODZELEWSKI, SAC, D. SZUMSKA, W. URBANOWICZ, SAC. Str. 274 i 4 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1988).

Człowiek w nauce współczesnej. Rozmowy w Castelgandolfo 1983. Przygotował i przedmową opatrzył K. MICHALSKI. Str. 241 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1988).

Listy pasterskie Prymasa Polski oraz Episkopatu 1975-1981. Str. 507 i 7 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1988).

„Osiemnastacy" w walce. Wspomnienia. Str. 222. Opr. i wyd. Koło oddziałowe 18 Lwowskiego Batalionu Strzelców, 1988.

BUCHACKA-LAUFER (Helena). *Współczesny świat i człowiek.* Wiersze. Str. 144. (Wyd. nakładem Autorki, Islington, Kanada 1988).

KOŁAKOWSKI (Leszek). *Jeśli Boga nie ma... O Bogu, Diable, Grzechu i innych zmartwieniach tak zwanej filozofii religii.* Str. 252 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 560).

KOZEŃSKI (Jerzy). *Opozycja w III Rzeszy.* Str. 201 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1987, cena zł 250).

PIOTROWSKI (Bernard). *O Polskę nad Odrą i Bałtykiem. Myśl zachodnia i badania niemcoznawcze Uniwersytetu Poznańskiego (1919-1939).* Str. 438 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1987, cena zł 550).

RUTOWSKA (M.), SERWAŃSKI (E.). *Losy polskich środowisk artystycznych 1939-1945. Architektura, sztuki plastyczne, muzyka i teatr. Problemy metodologiczne strat osobowych.* Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, poznań 1987, cena zł 180).

SZYMANOWSKI (Teodor, red.), RZEPLIŃSKI (Andrzej, red.). *Doświadczenia i perspektywy systemu penitencjarnego w Polsce.* Str. 441 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji, Uniwersytet Warszawski, 1987).

WASYLKOWSKI (Janusz, opr.). *Antologia piosenki lwowskiej ulicy.* Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. „Oto kalambur", Wrocław 1987, cena zł 350).

Sprawa niepodległości Polski. Str. 83 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego w Kraju, 1988).

KAMIŃSKI (Marek K.), ZACHARIAS (Michał J.). *Polityka zagraniczna II Rzeczypospolitej 1918-1939.* Str. 312 + 46 nlb. (Wyd. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987, cena zł 500).

KOSZEL (Bogdan). *Rywalizacja niemiecko-włoska w Europie środkowej i na Bałkanach w latach 1933-1941.* Str. 373 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1987, cena zł 465).

SUCHODOLSCY (Maria i Bogdan). *Polska. Naród a sztuka. Dzieje polskiej świadomości narodowej i jej wyraz w sztuce.* Album. Str. 467 i 5 nlb. (Wyd. Arkady, Warszawa 1988).

BORZOBOHATY (Wojciech). *„Jodła". Okręg radomsko-kielecki ZWZ-AK, 1939-1945.* Wyd. II poprawione. Str. 585 i 3 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1988, cena zł 2.600).

KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Legenda Somosierry i inne prace krytyczne.* Str. 242 i 2 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1987, cena zł 470).

GROSS (Jan Tomasz). *Revolution from Abroad. The Soviet Conquest of Poland's Western Ukraine and Western Belorussia.* Str. XXII i 33 + 5 nlb. (Wyd. Princeton University Press, Princeton 1988).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

26-4-88
Zmarł w Warszawie w wieku 93 lat płk Marian Porwit, autor szeregu prac dotyczących Kampanii Wrześniowej i Powstania Warszawskiego.

7-5-88
Zmarła w Warszawie Maria Renata Mayenowa, wybitny znawca literatury, autorka szeregu prac historyczno-językowych.

10-5-88
W Ministerstwie Edukacji Narodowej PRL odbyło się inauguracyjne posiedzenie Fundacji im. Stefana Batorego, założonej przez George Sorosa. Głównym celem Fundacji jest popieranie rozwoju kultury, nauki i oświaty społeczeństwa polskiego. Służyć temu będą stypendia dla młodych twórców i naukowców na studia w zagranicznych ośrodkach akademickich, a także zaopatrywanie uczelni i szpitali w nowoczesną aparaturę badawczo-leczniczą. Fundusze te pozwolą również na zaopatrywanie bibliotek w fachowe pisma i książki zagraniczne oraz na zakup instrumentów niezbędnych młodym artystom.

30-5-88
W miesięczniku *Firma* w Warszawie ukazał się wywiad z p. Józefem Klasą, sekretarzem generalnym Towarzystwa „Polonia". Wbrew poprzednim entuzjastycznym wypowiedziom, p. Klasa stwierdził obecnie, że „Towarzystwo nasze nie jest instytucją, która cieszy się zaufaniem wśród emigracji. Jest wąska grupa starej emigracji kochającej folklor, pasiaki i nas. My jesteśmy instytucją dla wychodźstwa, a nie ich instytucją. Największą naszą słabością jest brak współdziałania, kontaktów i wzajemnego szacunku w Kongresie Polonii Amerykańskiej. Mamy ograniczone kontakty z drugą co do wielkości Polonią radziecką. Pora już przestać się ośmieszać przed światem. Wreszcie po czterdziestu latach trzeba usiąść z tą naszą całą emigracją również niepodległościową i porozmawiać. I pogodzić się z myślą, że niektórzy z nich nigdy nie zaakceptują socjalizmu i obecnej racji stanu".

31-5-88
Odznaczenia w PRL. Dotychczas nie były publikowane informacje dotyczące ilości nadawanych odznaczeń i orderów w PRL. Podobno w *Roczniku Statystycznym* za bież. rok będą podane te dane, tak jak to miało miejsce w okresie międzywojennym. Tymczasem podajemy za *Polityką:* ordery i odznaczenia nadane za zasługi w pracy zawodowej i działalności społeczno-politycznej za okres 1944-1987. Ogółem nadano 4.295.949 odznaczeń (Order Budowniczego Polski Ludowej, order Odrodzenia Polski, order Sztandaru Pracy, order Zasługi, medal „Za ofiarność i odwagę", medal „Za długoletnie pożycie małżeńskie"). Jeśli idzie o ordery i odznaczenia za zasługi wojenne, to w okresie 1943-1987 nadano ich 1.981.884. Są to odznaczenia: Virtuti Militari, Krzyż Grunwaldu, Krzyż Walecznych, medal „Zasłużonym na Polu Chwały", Krzyż Partyzancki, Śląski, Wielkopolski i Warszawski Krzyż Powstańczy, Krzyż Oświęcimski, medal „Za Waszą Wolność i Naszą", medal „Za Warszawę 1939-1943", medal „Za udział w wojnie obronnej 1939", medal „Za udział w walkach w obronie Władzy Ludowej", medal Rodła. — Zwraca tu uwagę fakt, że Wielki Krzyż orderu Virtuti Militari (Gwiazda i wstęga) w okresie 1792-1945 otrzymały tylko trzy osoby: Książę Józef Poniatowski za bitwę pod Zieleńcami, Marszałek Piłsudski i Marszałek Foch. W okresie PRL nadano tych orderów trzynaście. Brak informacji, kto je otrzymał.

12-6-88
Nagrodę ZAIKS-u otrzymał Jerzy Pomianowski, znany i ceniony krytyk teatralny, eseista i tłumacz literatury rosyjskiej (przełożył m.in. świetnie Babla). Pomianowski przetłumaczył dla naszego wydawnictwa, pod pseudonimem Michał Kaniowski, *Archipelag GUŁag* i *Pierwszy krąg* Sołżenicyna.

ZACHÓD — EMIGRACJA

21-3-88
Na Uniwersytecie British Columbia w Vancouverze (Kanada) zostało zarejestrowane Zrzeszenie Studentów Polskich (The Polish Student's Association AT UBC). ■ Z opóźnieniem otrzymaliśmy wiadomość o śmierci dr. Igora Manna, który zmarł w październiku 1987 roku w Nairobi w wieku 82 lat. Pięćdziesiąt lat swojego życia poświęcił walce z epidemiami, głodem i analfabetyzmem w Afryce.

1-5-88
Rząd R.P. na Wygnaniu mianował swoim delegatem w Szwecji p. Zofię Stadfors, która była dotąd prezesem S.P.K., Oddział Szwecja. Poprzedni delegat, p. Wiesław Patek, objął funkcję reprezentowania Rządu R.P. wobec środowisk Bałtów.

9-5-88
Na zebraniu Rady POSK-u wybrano nowy zarząd. Przewodniczącym został p. Szymon Zaremba.

14-5-88
Jury dorocznej nagrody *Wiadomości* za książkę pisarza polskiego wydaną na emigracji przyznało ją Jarosławowi M. Rymkiewiczowi za książkę „Żmut", wydaną przez Instytut Literacki w Paryżu. Fundatorem tej nagrody (£ 500) jest p. Feliks Laski. Specjalną nagrodę, ufundowaną przez p. Jana Badeniego (F. 5.000) otrzymał prof. Daniel Beauvois za całokształt twórczości.

26-5-88
W Paryżu odbył się XIV Zjazd 36-ciu organizacji pomocy „Solidarności", skupionych w *Conference of Solidarity Support Organizations* (CSSO).

29-5-88
Organizacja polonijna w New Bedford, MA (USA) — „Przyjaciele Polski" — przekazała polskim uczelniom medycznym książki wartości 1,5 mln dolarów. Jest to już trzeci dar tego rodzaju z Bedford.

30-5-88
XIX Kongres Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy, obradujący w Mastrych w Holandii przyjął w poczet swoich członków Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich zdelegalizowane przez rząd PRL w marcu 1982 roku. Tak więc działająca w podziemiu niezależna organizacja dziennikarzy uzyskała międzynarodowe uznanie. Jednocześnie Kongres uchwalił rezolucję, wzywającą rząd PRL do legalizacji Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

3-6-88
Staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu odbył się w Bibliotece Polskiej odczyt prof. Wieńczysława Wagnera z Detroit na temat „Dwie najstarsze konstytucje: amerykańska (1787 r.) i polska (1791 r.). ■

W siedzibie Stowarzyszenia Muzeum Sztuki Współczesnej w Chamaliers we Francji odbyło się I Światowe Triennale Grafiki małego formatu. Organizatorami wystawy ze strony polskiej byli: Jerzy Bruchwicki i Aleksander Wojciechowski. Wystawiono 1.000 prac 250 artystów z 40 krajów w tym prace pięciu osób z Polski. *Grand Prix* przyznano Ireneuszowi Walczakowi z Siemianowic, studentowi Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jedną z 15 nagród otrzymał Andrzej Budek z Warszawy za najlepszą pracę wykonaną techniką suchej igły.

7-6-88
Zmarł w Paryżu w wieku 75 lat Aleksander Benigsen, jeden z najwybitniejszych znawców problemów Islamu.

9-6-88
W Foyer Jean Paul II w Paryżu została otwarta wystawa fotograficzna, ilustrująca życie i twórczość wybitnego rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego.

10-6-88
Z okazji wydania dzieła zbiorowego pt. „Les confins de l'ancienne Pologne" w opracowaniu prof. Daniela Beauvois, z przedmową Czesława Miłosza, w księgarni „Libella" w Paryżu odbył się wieczór autorski prof. Beauvois, w czasie którego podpisywał on swoje książki.

16-6-88
Zmarł w Londynie Wojciech Trojanowski, ur. w roku 1905 w Krakowie, znany sportowiec (był rekordzistą Polski w biegach z płotkami na 110 i 200 m) i sprawozdawca sportowy. Do wojny współpracował z *Expressem Porannym* i *Przeglądem sportowym*, będąc reporterem Radia Polskiego. Uczestnik kampanii wrześniowej, następnie w niewoli niemieckiej. Po wojnie osiadł w Londynie, a po pewnym czasie rozpoczął współpracę z Radiem Wolna Europa, prowadząc audycje „latającego reportera".

17-6-88
Z inicjatywy Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Paryżu odbyła się w kościele polskim msza żałobna za Józefa Łobodowskiego, odprawiona wspólnie przez Władykę Kir Mychajło i rektora ks. Stanisława Jeża.

24-6-88
W Centre du Dialogue w Paryżu ks. Eugeniusz Plater-Zyberk mówił na temat: jak Francuzi pomagają Polsce, a 1 lipca br. ks. bp Józef Michalik, ordynariusz gorzowski, wygłosił odczyt na temat roli laikatu w Kościele.

KRONIKA AUSTRIACKA

Austriackim tematem numer jeden pozostaje wciąż kwestia uchodźców. Od 1 stycznia do 30 kwietnia złożonych zostało 4.700 wniosków o azyl, z czego większość przez obywateli PRL i WRL. W tej sytuacji władze austriackie wprowadziły od 9 maja tryb przyspieszony w postępowaniu w stosunku do Polaków i Węgrów. W myśl nowych przepisów pierwsza decyzja ma zapaść najpóźniej w trzy dni od chwili złożenia wniosku o azyl. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Austrii przygotowało ponadto ulotkę dla tych, którzy zamierzają taki wniosek złożyć. W ulotce tej potencjalni uchodźcy informowani są po polsku lub węgiersku o znikomych szansach na azyl bądź dalszą emigrację i zachęcani do ponownego przemyślenia swej decyzji. Po pierwszym tygodniu nowych praktyk minister spraw wewnętrznych Karl Blecha zameldował o sukcesie tej metody: połowa spośród 150 osób zamierzających po-

zostać w Austrii zrezygnowała bądź ze składania wniosku o azyl w ogóle, bądź z odwoływania się od negatywnej decyzji pierwszej instancji. ■ Fala strajków w Polsce odbiła się szerokim echem w austriackich *mass-mediach*. Wolfgang Broer w wiedeńskim *Kurierze* z 1 maja pisał o Polsce jako kraju skazanym na błędne koło kryzysów. Analizując wydarzenia tamtych dni stwierdził on, iż nawet jeśli teraz nie dojdzie do większego konfliktu, kiedyś wreszcie będzie musiało się to tak skończyć. Tydzień później komentator wiedeńskiej popołudniówki *Neue Kronen Zeitung* stwierdził, iż „żeby się wyrwać z błędnego koła komunistycznego upadku, konieczne jest jeszcze większe zaostrzenie kryzysu". W kilka dni później, już po zakończeniu strajku w stoczni, zauważył iż najnowszy polski konflikt przegrali wszyscy jego uczestnicy. „Teraz polskie kierownictwo chce zrealizować reformę gospodarczą przy pomocy specjalnych pełnomocnictw. Jak gdyby reformy dawały się pejczem przeforsować...". ■ Władysław Bartoszewski był gościem zorganizowanego w kwietniu przez Austriacką Partię Ludową „Kongresu Europejskiego", imprezy mającej ukazać korzyści, jakie Austrii przyniosłoby wstąpienie do Wspólnoty Europejskiej. Bartoszewski mówił o znaczeniu małych narodów, takich jak austriacki, i roli jaką mają do spełnienia w Europie — nie tyle na arenie politycznej, co na obszarze kultury. Dla Austriaków Polacy, Słowacy, Czesi czy Węgrzy nie są żadną egzotyką, zauważył, toteż właśnie oni mogą odegrać doniosłą rolę w likwidowaniu, a przynajmniej łagodzeniu podziału Epuropy. ■ Jan Nowak-Jeziorański w ramach swego europejskiego *tournée* autorskiego odwiedził również Wiedeń, gdzie 27 maja prezentował swe książki. Głównym tematem spotkania była jednak aktualna sytuacja polityczna w Polsce i całym obozie komunistycznym. Jego zdaniem jesteśmy dziś świadkami rozpadu systemu sowieckiego, zaś sytuacja w samym imperium przypomina wydarzenia w Polsce w roku '56. ■ Z repertuaru wiedeńskich teatrów: teatr „Forum" wystawia komedię „Arat" zmarłego 26 kwietnia 1965 roku w Wiedniu Artura Marii Swinarskiego w tłumaczeniu Gerdy Hagenau. (Swinarski opuścił Polskę w 1959 i poprosił o azyl w Austrii, gdzie zmarł 26 kwietnia 1965 roku. Pochowany jest na Cmentarzu Centralnym w Wiedniu. Dzięki staraniom Kazimierza Dejmka prawdopodobnie jeszcze w tym roku dojdzie do przeniesienia jego zwłok do Polski). Drugą polską sztuką pokazywaną w Wiedniu jest „Iwona, księżniczka Burgunda" Gombrowicza. Spektakl ten można oglądać na scenie Muzeum Technicznego. ■ W ramach festiwalu „Wiener Festwochen" występowało szereg teatrów zza żelaznej kurtyny, wśród nich dwa zespoły z Polski. Założona w 1973 roku przez Wojciecha Krukowskiego Warszawska Akademia Ruchu przedstawiła pantomimę „Cartharge", a krakowski teatr KTO zaprezentował inscenizację dramatu Petera Muellera „Przedstawienie pożegnalne". ■ Po raz pierwszy zaczyna się rysować możliwość zakończenia trwającej od listopada '86 roku pohelsińskiej konferencji bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Ministrowie spraw zagranicznych dziewięciu europejskich krajów neutralnych i niezaangażowanych zaprezentowali projekt aktu końcowego wiedeńskiej konferencji. Istotnymi punktami tego dokumentu są problemy swobód religijnych (włączając kwestię dostępu grup religijnych do środków masowego przekazu) i poruszania się (prawo nieskrępowanego podróżowania wewnątrz państwa, jak też prawo do opuszczenia i powrotu do własnego kraju), rola organizacji i osób nadzorujących poszanowanie praw człowieka i zobowiązań helsińskich, oraz międzynarodowych mechanizmów kontroli tychże. Nowością jest także ustanowienie precyzyjnych terminów, w jakich władze muszą załatwić wnioski obywateli o połączenie rodziny czy zawarcie małżeństwa między obywatelami różnych krajów.

(amp)

We Wiedniu, 3 czerwca 1988

KRONIKA KANADYJSKA

Prof. M. G. Finlayson, dziekan wydziału historii University of Toronto, poinformował inż. B. Orłowskiego, prezesa Zarządu Głównego KPK, że powołanie wykładowcy historii Polski jest uzależnione od prywatnych dotacji. Uniwersytet przedstawił konkretny projekt: dotacje w ciągu pięciu lat w wysokości $ c. 350.000 pozwolą na zabezpieczenie katedry historii Polski. Uzyskanie $ c. 40.000 umożliwi powołanie odpowiedniego kandydata, a dodatkowa kwota $ c. 350.000 winna być zadeklarowana i uiszczona w ciągu pięciu lat. Po tym okresie Uniwersytet będzie pokrywał wszelkie koszty związane z katedrą historii Polski z własnych zasobów. Kongres zaapelował do Polonii o datki, które należy wysyłać bezpośrednio do Uniwersytetu na konto: *Polish History Professorship.* ■ Parafia pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbe w Missisauga pod Toronto założyła Fundację im. Kolbego, której celem jest budowa ośrodka kulturalnego. Proboszcz parafii, ks. Bąk, przewiduje rozrost parafii i potrzeb parafian. Koszt budowy tego ośrodka oblicza się na $ c. 500.000 (połowę już zebrano). Na innej, znacznie szerszej platformie, przygotowywany jest projekt budowy polonijnego centrum kulturalnego w Toronto. W tym projekcie mają uczestniczyć wszystkie organizacje polonijne. Podstawą ma być wkład Związku Polaków w Kanadzie (parcela w Toronto wartości około $ c. 5.000.000), a inne organizacje zadeklarują odpowiedni udział. Koszt budowy centrum oblicza się na kilkanaście milionów dolarów. Projektodawcy oczekują wysokiej dotacji państwowej, tj. federalnej i prowincjonalnej. ■ Ukazała się luksusowo wydana książka poświęcona Eugeniuszowi Chruścickiemu, artyście zmarłemu w Toronto w lipcu 1984 roku. E. Chruścicki, malarz, rzeźbiarz i scenograf, był twórcą dzieł historycznych i religijnych. Publikacja prezentuje szereg zdjęć kolorowych, obrazujących jego twórczość, a tekst Andrzeja Pawłowskiego analizuje ją. Życiorys artysty jest pióra Benedykta Heydenkorna.

B. H.

WSZYSTKIM, KTÓRZY ZASILILI FUNDUSZ NASZEGO WYDAWNICTWA SKŁADAMY SERDECZNE PODZIĘKOWANIA LICZĄC, ŻE CIĄG DALSZY NASTĄPI.

NASZYM PRZEDSTAWICIELEM NA ZACHODZIE JEST:

Teresa Affeltowicz
8, Brunswick Road, London W5 1BD
Telefon: 01-997 4721.

WPŁATY MOŻNA PRZEKAZYWAĆ WPROST NA KONTO:

CDN PRESS
National Westminster Bank
North Ealing Branch
London
No 45268517

Listy do Redakcji

Chicago, 15 maja 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

W wydaniu *Kultury* z marca br. ukazał się cenny artykuł Józefa Mirskiego na temat spotkania Episkopatów — polskiego i ukraińskiego — w Rzymie jesienią 1987 roku. W konkluzji pod każdym względem pozytywnego artykułu autor zwrócił uwagę na „niepokojący w swej wymowie fakt, że w przemówieniu kardynała Lubacziwskiego uderza zaskakujący brak w porównaniu z przemówieniem Prymasa Polski", a mianowicie to, że Lubacziwski nie użył słynnej „niemieckiej" formuły — „przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Autor uważa, że przez to zmarnowano historyczną szansę leczenia obustronnych kompleksów.

Kilka miesięcy temu kardynał Lubacziwski, prawdopodobnie za podszeptem Wschodniej Kongregacji, użył słynnej „niemieckiej" formuły w stosunku do Patriarchy rosyjskiego Kościoła prawosławnego, Pimena. Poprzednik tego Patriarchy jest współodpowiedzialny z NKWD za śmierć męczenników: dziesięciu biskupów i tysiąca księży Kościoła greckokatolickiego. Jakże więc mógłby kardynał Lubacziwski nie zwrócić się z takim samym błaganem do współbrata z Kolegium Kardynałów, z którym wymieniał „pocałunek pokoju"?

Mam przed sobą tekst przemówienia kardynała Lubacziwskiego i czytam: „... również i my wyciągamy braterską dłoń do Braci Polaków w geście pojednania, wzajemnego przebaczenia i miłości".

Uważam, że p. Mirski przydaje za duże znaczenie semantyce. Nie jest to ta sama intencja innymi słowy? Istotnym jest duchowe nastawienie. Społeczeństwo ukraińskie przyjęło z ulgą i uznaniem enuncjacje kardynała Lubacziwskiego i moim zdaniem Kardynał wyraził szczerze uczucia, które od dawna nurtują to społeczeństwo. Dlatego też obawy p. Mirskiego, że zmarnowano „historyczną szansę", nie mają uzasadnienia. Ojcowie naszych Kościołów bez wątpienia torują drogę do zgody i współpracy.

Przy tej okazji niech mi będzie wolno wyrazić Panu, Panie Redaktorze, szczere uznanie za budowanie na stronicach *Kultury* pomostów między naszymi narodami. Czekam na każdy nowy zeszyt *Kultury*. Na szczególne uznanie zasługuje kronika p. J. Darskiego, w której znajduję często informacje, których mi nie przynosi prasa ukraińska.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Dr Mykoła BARABOLAK

◆

Haga, 14 maja 1988.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem i odrobiną niesmaku przeczytałem notatkę o sprawach polsko-holenderskich w zeszycie kwietniowym *Kultury* i radbym zaopatrzyć ją w niezbędny przypis.

Szkoda, że autor nie zauważył że jesienią ub. roku przeszli na emeryturę po ćwierć wieku pracy dwaj profesorowie uniwersytetu w Nijmegen, dr Ma-

rian Albinski i dr Antoni Dymanus, ten drugi — pierwszy w Holandii profesor fizyki atomowej (spośród 8 Polaków studiujących w Holandii w latach 50-tych trzech otrzymało stopnie doktorskie). Zmarły w latach 70-tych dr Komar był profesorem Wyższej Szkoły Wojennej w Hadze, po latach spędzonych uprzednio w Akademii Wojskowej w Bredzie. Misja katolicka istniała i istnieje w Holandii od roku 1946, do czasów zmarłego w roku 1979 ogólnie znanego ks. Platera prowadzona przez księży na emigracji, obecnie przez przybyłych z Polski. W Holandii w latach 50-tych było około 8.000 Polaków, potem liczba ich znacznie się zmniejszyła poprzez emigrację do krajów pozaeuropejskich. Wreszcie, co do bieżących stosunków, należałoby odnotować dwa *week-end*'y na tematy polskie, zorganizowane przez Pax Christi; trzeci *week-end* ma mieć miejsce w najbliższych tygodniach.

W świetle tego przynajmniej dwa podtytuły w notatce wydają się niewłaściwe, nie mówiąc o wielu niefortunnych sformułowaniach.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Dr Jan Andrzej BETLEY

◆

Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwą przykrością znalazłem w czerwcowym numerze *Kultury* określenie „ocenzurowany" w tekście odnoszącym się do rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Określenia tego użyto w notce o skróceniu przeze mnie tekstu oświadczenia Rady Politycznej Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość" z 4 maja br. Tekst ten otrzymaliśmy w okresie, kiedy docierała do nas z różnych źródeł ogromna masa materiałów dotyczących bezpośrednio lub pośrednio strajków w Polsce. Kierując się chęcią zapoznawania słuchaczy z jak najszerszym wachlarzem poglądów na aktualne wydarzenia, zmuszeni byliśmy dokonywać ostrej selekcji tych materiałów. Streszczaliśmy je więc albo skracaliśmy, powiadamiając o tym zawsze słuchaczy. Tyle o tej sprawie.

Bardziej generalnie chciałbym zauważyć, że prawo do streszczania i skracania jest suwerennym prawem każdej redakcji na świecie. Jest takim prawem również samodzielna ocena oświadczeń wydawanych przez różne organizacje i grupy polityczne, a także ocena znaczenia i zasięgu wpływów tych organizacji i grup. Od tej oceny zależy przecież, czy konkretny dokument ogłasza się w całości czy też go się tylko omawia albo streszcza.

Będę wdzięczny Panu Redaktorowi za wydrukowanie tego listu.

Z wyrazami prawdziwego poważania

Marek ŁATYŃSKI
Dyrektor Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa

Niewątpliwie „suwerennym prawem każdej redakcji na świecie" jest prawo do streszczania. Jeśli idzie o skracanie, to w każdym razie nie może ono zmieniać sensu oświadczenia, a w tym wypadku został opuszczony ustęp dla autorów apelu najistotniejszy. Rozumiem, że radio jest zasypywane najrozmaitszymi deklaracjami, których nie jest w stanie wykorzystać, ale wtedy rzeczą najprostszą jest nie zamieszczanie tego apelu w ogóle. *REDAKTOR.*

———

LIST DO REDAKTORA *KULTURY*

Jadąc do Maisons-Laffitte na rozmowę z Panem, która zawsze jest przeżyciem ciekawym i pobudzającym do myślenia, przeczytałem w pociągu artykuł Wacława Zbyszewskiego sprzed lat trzydziestu pięciu w czerwcowym numerze *Kultury*. Postanowił Pan przypomnieć ten artykuł czytelnikom, ponieważ zawarta w nim ostra krytyka polskich audycji radiostacji zachodnich nie straciła, zdaniem Pana, na aktualności.

Zbyszewski bardzo surowo ocenił ówczesnych kierowników polskich programów radiowych, określając ich jako *„na wpół piśmiennych, przeważnie nieokrzesanych szefów... niegramotnych hebesów..., których ignorancję przewyższa tylko ich zarozumiałość"*. Oburzało go szczególnie rekrutowanie na kierowników *„ludzi według klucza partyjnego, dwójkarzy, kurierów armii krajowej, lub urzędników prasowych"*.

Nie mam najmniejszego zamiaru obrażać się na *Kulturę* za powtórzenie tych niepochlebnych rzeczowników i przymiotników, ani polemizować ze śp. Wacławem Zbyszewskim. Miarodajny sąd o audycjach wydawać mogą tylko słuchacze. Zbyszewski przyznawał otwarcie, że polskich audycji zachodniego radia nie słuchał, argumentując, że woli czytać *Le Monde*. Ze swojego punktu widzenia miał rację. Gdyby w Polsce ukazywał się choćby jeden dziennik powszechnie dostępny, wydawany na tych samych zasadach, co *Le Monde* — Wolna Europa nie byłaby potrzebna, a inne radiostacje zachodnie znalazłyby się na marginesie.

Ograniczę się zatem tylko do kilku uzupełnień. Ponieważ Zbyszewski nie wymienia nazwisk, więc warto przypomnieć, że jego szefem w Głosie Ameryki był w roku 1953 znany przedwojenny adwokat i działacz polityczny z Poznania, Józef Gidyński, którego artykuły ukazywały się na łamach *Kultury*. Szefem polskiej sekcji BBC był Stanisław Faecher, doświadczony dziennikarz, przed wojną wieloletni pracownik *IKC*. Polskim Madrytem kierował Karol Wagner-Pieńkowski, były dyrektor Polskiego Radia w Londynie, jeden z najbardziej doświadczonych fachowców radiowego rzemiosła. I wreszcie kierownikiem polskim RWE był niżej podpisany kurier AK.

W. Zbyszewski twierdził, że rola radia jest przeceniana, a „wysiłki radiotów muszą pozostać pracą syzyfową". Warto więc przypomnieć, że artykuł pisany był we wrześniu 1953 roku, dokładnie na rok przed rozpoczęciem cyklu ponad stu audycji Józefa Światły, ocenionych dość powszechnie jako katalizator procesów, które doprowadziły do polskiego Października.

Pisze Pan na wstępie, że artykuł Zbyszewskiego ukazał się pod pseudonimem, ponieważ autor mógł oczekiwać negatywnej reakcji krytykowanych przez siebie kierowników audycji.

Wiedziałem doskonale, kto się ukrywał pod pseudonimem Józef Pritwic, bo Zbyszewski najpierw przyznał się w tajemnicy do autorstwa przyjaciołom, którzy dyskrecją nigdy nie grzeszyli, a w kilka lat później w liście napisanym do mnie, gdy po zamknięciu redakcji „Głosu Ameryki" w Monachium znalazł się bez pracy. Zaproponowałem mu bez wahania pisanie z Paryża tygodniowych felietonów radiowych „Wędrówki po Europie" i nigdy tego nie żałowałem. Wprawdzie autor był z reguły na bakier z faktami, datami, personaliami itd., ale okazał się prawdziwym klasykiem radiowego stylu, niezrównanym gawędziarzem, przyciągającym do głośników tysiące słuchaczy. Zbyszewski także chyba nie miał powodu do narzekań. Dzięki Wolnej Europie przetrwał trzydzieści kilka ostatnich lat swego życia. Dopóki budżet pozwalał, umożliwiałem mu od czasu do czasu wędrówki po Europie, które odbywał w towarzystwie swego brata Karola, także zasilającego nas w doskonałe audycje, nagrywane w Londynie.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Jan NOWAK

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

X.W., Francja; Z.O., RFN; M.Ch., RFN; I.M., RFN; A.F., USA; J.S., Szwajcaria; P.K., Francja, J.W.S., USA; B.K., Włochy; W.W. w Kraju; D.W., RFN; A.L., USA. — Z wierszy nie skorzystamy.

J.W.T., RFN. — *Miniatury* wydają nam się puste, pozbawione wszelkiego wyrazu.

I.M., RFN. — Trzy krótkie opowiadania są zupełnie niezrozumiałe.

S.B., Hiszpania. — Zdarzenie jest z pewnością autentyczne, niestety, *Greckie wino* trudno nazwać opowiadaniem.

M.W., Francja. — Zanadto migawkowe i wątłe są te „teksty poetyckie". Może jeden tylko, *W Sikkimie*, zdaje się coś zapowiadać, ale też nie wychodzi poza zapowiedź.

J.N., Austria. — *Zbrodnia, seks i kara* nie nadaje się do druku w *Kulturze*.

J.O., Kanada. — Prosi Pan o ocenę: jest negatywna.

Z.Sz., Austria. — Nasze możliwości wydawnicze są na tyle ograniczone, że trudno nam brać w rachubę wydanie książki z zakresu teorii sztuki i estetyki.

R.G., Australia. — Nie wątpimy, że opisał Pan ściśle i zgodnie z prawdą swoje przykre doświadczenie. Pana opis jednak ma charakter prywatnej skargi, dla której nie widzimy miejsca na łamach *Kultury*.

B.Sz., USA. — Niepotrzebnie Pan ironizuje: opowiadanie Marka Nowakowskiego *Pod gwiazdami* jest istotnie „relacją z przyjęcia u malarza", ale jest także czymś *więcej*, właśnie opowiadaniem. Nie da się tego powiedzieć o *Zerwanej nici*, która jest *wyłącznie* zapisem „rozmowy ojca z synem". Nasz „klucz" (jak go Pan ironicznie nazywa) opiera się więc po prostu na ocenie wartości narracyjnych tekstu.

I.S., Lacke Gluff, USA. — Pana tekstu „O rozbijaniu Polonii słów kilka" nie zamieścimy.

J.B.-I., Hamburg, RFN. — Pani list do Redakcji należałoby skierować do zachodnioniemieckiej telewizji czy któregoś z pism zachodnioniemieckich. Drukowanie go w *Kulturze* mijałoby się z celem.

Andrzej Akuratny, Lodi, USA. — Nie zamieścimy. Wyliczenie dezinformacji z Małej Encyklopedii Powszechnej i Encyklopedii Popularnej wymagałoby bardzo szczegółowego opracowania, a nie ograniczenia się do wyrywkowych obserwacji.

WYJAŚNIENIE

Na prośbę Autora wyjaśniamy, że dwa artykuły, które ukazały się w *Kulturze* anonimowo, a mianowicie: „Poroniona generacja" *(Kultura* Nr 1/484-2/485 — styczeń-luty br.) oraz „Pomarańczowa Alternatywa" (Nr 3/486 — marzec br.) napisał Tomasz Jerz. — *Redakcja.*

Z ostatniej chwili

MILLENIUM RUSI-UKRAINY W RAWENNIE I W RZYMIE

W końcu kwietnia i z początkiem maja odbyły się we Włoszech dwa ważne kongresy naukowe, poświęcone tysiącleciu chrztu Rusi-Ukrainy. Pierwszy z nich, pod takim właśnie tytułem, zorganizowany został przez najwyżej dziś stojący ukraiński instytut naukowy na świecie: Ukrainian Research Institute uniwersytetu Harvard, na którego czele stoją dwaj uczeni światowej klasy historyk Omeljan Pricak i bizantynista Ihor Ševčenko. W Rawennie, wybranej symbolicznie jako dawna stolica bizantyńskich Włoch, zgromadziło się ponad pięćdziesięciu bizantynistów, slawistów, historyków Kościoła, a przede wszystkim historyków *tout court* ze Stanów Zjednoczonych, Europy (w tym też Węgier, Czech, Polski i Bułgarii), a nawet ze Związku Sowieckiego. Najważniejszym może tematem obrad były uwarunkowania chronologiczne, geograficzne, religijne i kulturalne chrztu św. Włodzimierza poczynając od Bizancjum i Bułgarii, a więc dwu krajów, z których chrześcijaństwo w wersji bizantyńsko-słowiańskiej przyszło do Kijowa. Ciekawym pomysłem organizatorów był szereg wykładów porównawczych, poświęconych początkom chrześcijaństwa w Polsce (prof. Jerzy Kłoczowski z KUL), na Węgrzech, w Skandynawii i w Armenii. Inne ważne tematy odnosiły się do pierwszych wieków chrześcijaństwa na Rusi, do jej bogatej literatury teologicznej, do jej samoświadomości (o czym mówił m.in. prof. Andrzej Poppe z Warszawy), temu jak widziała ona chrześcijaństwo zachodnie i jak ono ją widziało.

Kongres otworzył uczony ukraiński Ihor Ševčenko wykładem o tym jak Bizancjum odnosiło się do misji wśród pogan, wykład końcowy powierzono prof. Aleksandrowi Geysztorowi z Warszawy, autorowi sensacyjnej (w sensie naukowym) rekonstrukcji religii Słowian, który mówił o współżyciu tradycji pogańskich z chrześcijaństwem po roku 988.

Kongres zorganizowany był na skalę i miarę amerykańską. Nie szczędzono zachodu ani pieniędzy, dostarczonych przez społeczność ukraińską w Stanach i w Kanadzie, która na te sprawy grosza nie żałuje. Zadokumentował on też, że Ukraina istnieje, jeśli nie w polityce, to w nauce światowej (znaczące tu było, że na kongresie było dwu wybitnych uczonych rosyjskich ze starej emigracji).

Kongres rzymski, urządzony w ramach nieporównanie skromniejszych, gdyż nie przez Amerykanów, lecz przez włoski instytut studiów średniowiecznych oraz polski instytut kultury chrześcijańskiej w Rzymie (przy współpracy prof. Jerzego Kłoczowskiego z KUL) zgromadził też mniejszą ilość uczonych, co pozwoliło za to na pogłębienie niektórych problemów. Tematem kongresu były przede wszystkim konsekwencje chrztu Kijowa, zarówno bliż-

sze jak i dalsze. Tak więc mowa była o całkiem innym rozwoju tradycji chrztu Rusi kijowskiej w Moskwie, a innym na Rusi polsko-litewskiej, i nic dziwnego, że ważną rolę grał tutaj spór między prawosławiem a katolicyzmem oraz między prawosławiem a unią w wiekach XVI-XVIII.

Dyskusja przy okrągłym stole na zakończenie sesji przyniosła zaskakujące wypowiedzi ukraińskich uczonych z Harvardu nie tylko przyznających się do dziedzictwa Rzeczypospolitej, ale też podkreślających że ich zdaniem Ukraina po dziś dzień jest tym dziedzictwem naznaczona. Było to więc ważne europejskie spotkanie, w którym wprawdzie podkreślano (jako rzecz samo przez się zrozumiałą) odrębność tradycji ukraińskiej i białoruskiej, ale w którym brali też udział Rosjanie-Europejczycy i to nie tylko z Oxfordu, ale też z Moskwy i Leningradu.

Ważnym akcentem była też audiencja u Ojca Świętego i jego przemówienie, które uzupełniało dwa wcześniejsze dokumenty ogłoszone z okazji chrztu Kijowa. Dopiero w świetle tych trzech wypowiedzi razem wziętych jasne jest stanowisko Jana Pawła II wobec katolickiego Kościoła ukraińskiego (tzw. unickiego) jak i wobec rosyjskiej cerkwi prawosławnej.

Andrzej VINCENZ

OŚWIADCZENIE

W tym roku mija 1000 lat od chwili, gdy wielkie dzieło św. Włodzimierza, chrzest Kijowa i kijowskiej Rusi, wprowadziło Ruś-Ukrainę do wielkiej rodziny narodów chrześcijańskich. W przeddzień tej rocznicy odbyło się w Rzymie historyczne spotkanie: kardynałowie i biskupi ukraińscy i polscy podali sobie dłonie na znak pojednania i chrześcijańskiej miłości. Wyrażamy nadzieję, że to historyczne spotkanie stanie się początkiem nowej ery, natchnieniem dla ludzi dobrej woli, szukających dróg pojednania między obu sąsiednimi, niegdyś bratnimi narodami. Między Ukraińcami a Polakami były w przeszłości sprawy bolesne i straszne, były obopólne winy, dzieliły nas wspomnienia doznanych i wyrządzonych krzywd, łez i przelanej krwi. Ale były też karty przyjaźni, miłości i dobrej woli, poczynając od ruskoukraińskich księżniczek w Krakowie, Sandomierzu i Poznaniu, a polskich w Kijowie i Haliczu od wieku XI aż po XIV, poprzez malarzy cerkiewnych w Lublinie i Krakowie w wieku XV, poprzez wielkich mężów wspólnej mimo wszystko Rzeczypospolitej, jak zwycięzca spod Orszy 1514 roku hetman Konstanty Ostrogski, jak Piotr Mohyła, założyciel w roku 1632 sławnej Akademii w Kijowie, jak patron obu narodów święty Jozafat Kuncewicz, poprzez przymierze polsko-kozackie za czasów hetmana Ukrainy, Iwana Mazepy, aż po wiek XIX, po druha poetów polskich Tarasa Szewczenkę, po polskich pieweców Ukrainy, Juliusza Słowackiego i Bohdana Zaleskiego, a wreszcie takich budowniczych mostów w naszym stuleciu jak Iwan Franko, Bohdan Łepkyj i Maksym Rylśkyj, a z polskiej strony Bolesław Wysłouch, Stanisław Stempowski, Stanisław Vincenz.

Pamiętni tego dziedzictwa wyciągamy do siebie dłonie i powtarzamy te chrześcijańskie słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Niech gest naszych biskupów będzie początkiem niełatwej drogi do pojednania między naszymi narodami.

Spotkawszy się w Rawennie i w Rzymie na kongresach poświęconych Millenium Rusi-Ukrainy

1) wyrażamy ufność, że stosunki obu narodów w przyszłości potrafimy ułożyć w duchu zasad wolności narodowej i tolerancji religijnej i że prawa mniejszości narodowych w obu krajach zostaną zapewnione;

2) apelujemy o zwrot świątyń ukraińskich w Polsce i polskich na Ukrainie ich prawowitym właścicielom, tam zaś gdzie tych ostatnich już nie ma, o ich zachowanie i pełną odnowę jako wspólnego dziedzictwa kulturalnego;

3) wyrażamy nadzieję, że Ukraiński Kościół Katolicki i Ukraińska Autokefaliczna Prawosławna Cerkiew odzyskają na Ukrainie pełnię praw, że w Polsce pełnię praw otrzyma Ukraiński Kościół Katolicki, zaś ukraińskim wiernym w Polskim Autokafelicznym Kościele Prawosławnym zapewnione zostanie należne im prawo do własnego języka oraz ojczystej tradycji kulturalnej.

Rzym, dnia 8 maja 1988 roku

Stanisław BYLINA, Aleksander GIEYSZTOR, Jerzy KŁOCZOWSKI, Stanisław LITAK, Ryszard ŁUŻNY, Antoni MĄCZAK, Włodzimierz MOKRY, Wiesław MÜLLER, Jarosław PEŁENSKYJ, Andrzej POPPE, Omeljan PRICAK, Marian RADWAN, Anna RÓŻYCKA-BRYZEK, Sophia SENYK, Ihor ŠEVČENKO, Frank SYSYN, Andrzej VINCENZ, Tadeusz WASILEWSKI, Zbigniew WÓJCIK

DALSZY CIĄG WPŁAT

Ku uczczeniu pamięci mego Męża, Henryka Weynerowskiego — zamiast kwiatów od Jego Przyjaciół obecnych na mszy żałobnej w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej w Sanfranciszkańskiej katedrze, zebrano $ US 500,00 na pomoc dla rodzin uwięzionych Polskich Bojowników o Wolność. W imieniu Henryka i własnym: serdeczne — Bóg zapłać. Hanka Kali Weynerowska F.2.850,00

Polskie Ugrupowanie Polityczno-Społeczne „Niepodległość — Solidarność" w Calgary (Kanada) — na rzecz robotników pobitych przez ZOMO podczas strajku w Hucie im. Lenina, sumy wpłacone przez Henryka Łagana, Jana Moczulaka i Marka Siwego — po $ c. 50,00 — r a z e m : $ c. 150,00 .. F. 690,00

Sumę zebraną z okazji wyświetlania filmów polskich w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów, Koło Nr 13 w Winnipegu, MB (Kanada) — na Kulturę Niezależną w Polsce (nadesłał K. Patalas) — $ c. 194,50 ..... F. 394,70

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚCI"

Grupa Działania na rzecz NSZZ „Solidarność" w Montrealu (nadesłał Marek Przykorski) — $ US 300,00 ..... F.1.710,00

Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności" (Friends of Solidarity) w Winnipegu, MB (Kanada) — sumy zebrane: w czasie mszy św. za Ojczyznę 29 maja br. — $ c. 196,00 i na akademii z okazji 3 Maja — $ c. 209,00 — r a z e m : $ c. 405,00 (nadesłała Anna Iłowiecka) F.1.863,00

◆

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 224)

Grupa Pomocy „Solidarności", Cleveland, OH (USA) — sumę zebraną na comiesięcznych mszach św. za Ojczyznę w kościele św. Kazimierza w Cleveland — na „Solidarność Walczącą" w Kraju (nadesłała Aleksandra Zdulska) — $ 400,00 F.2.280,00

Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności" (Friends of Solidarity) w Winnipegu, MB (Kanada) — na „Solidarność Walczącą" w Gdańsku, Krakowie, Wrocławiu i Warszawie — po $ c. 100,00 — razem: $ c. 400,00 (nadesłała Anna Iłowiecka) F.1.840,00

◆

Anonimowo ze Szwecji na pomoc dla „Solidarności" Chłopskiej F.2.000,00

◆

Dr Wojciech M. Szczygielski, Markham, ON (Kanada) — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — $ c. 30,00 F. 138,00

◆

M.A., Perth, W.A. (Australia) — dla uczczenia śp. Tadeusza Andrzejaczka:

— na Fundusz „Solidarności" — $ A. 200,00 ..... F. 886,00
— na pomoc dla walczących w Kraju — $ A. 300,00 .. F.1.329,00
— na pomoc dla rodzin aresztowanych w ostatnich strajkach — $ A. 200,00 ..... F. 886,00
— na Fundusz drukarski im. Władysława Głowackiego — $ A. 150,00 ..... F. 664,50
— na Fundusz *Kultury* — $ A. 100,00 ..... F. 443,00

◆

Kazimierz A. Rożankowski, Ocean Grove, NJ (USA):

— na Fundusz *Kultury*, po raz 12-ty — $ 55,00 ..... F. 313,50
— na pomoc rodzinom uwięzionych działaczy niepodległościowych „Solidarności" — $ 55,00 ..... F. 313,50

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3e trimestre 1988.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 9090.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
		Ceny na rok 1988	
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Ksiegarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$ A. 10,00	$ A. 60,00	$ A. 110,00
AUSTRIA: Ksiegarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysylanie naleznosci za prenumerate do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przesylanie czekow do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w ksiegarniach polskich w Paryzu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Ksiegarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D. M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604)338-80-40; **Z. Micherdzinski,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **J. Korwin-Lopuszanski,** 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; **« Polish Voice Publishing » Co.,** 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; **Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowiec »),** 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	$ can. 10,00	$ can. 50,00	$ can. 98,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **T. Konopacki,** 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kosciuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wojcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Ksiegarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Ksiegarnia « Nowego Dziennika »,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$ US 7,50	$ US 40,00	$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WLOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 440 — JAKUB KARPIŃSKI

TATERNICTWO NIZINNE

Autor czterech książek opublikowanych w „Kulturze" (pod nazwiskiem MAREK TARNIEWSKI) tym razem opisuje wydarzenia z powojennej historii Polski z perspektywy osobistej. Odpowiadając na pytanie, jak doszło do „sprawy taterników", Jakub Karpiński opisuje szkołę w latach stalinowskich, październik 1956, Uniwersytet Warszawski, marzec 1968.

Str. 128. Cena F. 55,00.

◆

TOM 441 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

zawiera opracowania: Z. S. Siemaszko: *Biskup wileński (1918-1925) Matulewicz na tle ówczesnych stosunków polsko-litewsko-białoruskich;* Andrzej Suchcitz: *Komandor Świrski i sanacja Marynarki Wojennej w 1925 roku;* Benedykt Heydenkorn: *50-dniowa Republika Sowiecka;* Jerzy Drobnik: *Diariusz. Berlin 19 marca 1932 - 5 sierpnia 1934;* Józef Hlebowicz: *Wspomnienia z Ostaszkowa;* Vincenzo Mario Palmieri: *Rezultaty dochodzenia w lesie katyńskim;* Dąb-Biernacki, gen. dyw.: *List do gen. Władysława Sikorskiego;* J. Łukasiewicz: *List do prezydenta Raczkiewicza;* Anna M. Cienciała: *Wspomnienie o Domanie Rogoyskim (1903-1987);* Z. S. Siemaszko: *O kampanii wrześniowej;* Michał Heller: *Geneza Rosji;* Jacek Kubiak: *O porachunkach polsko-niemieckich;* J. Ciechanowski: *Korzenie i popioły (uwagi i refleksje nad historią Polski Adama Zamoyskiego);* Z. S. Siemaszko *O okupacjach Wilna inaczej;* E. Halicz: *Polska XIX wieku;* Jan Dierick: *Lelewel wytrwały;* P. Wandycz: *Telegram ambasadora Steinhardta;* Marszałek Śmigły-Rydz: *Instrukcja dla rozmów z francuskim Sztabem Generalnym;* T. Wyrwa: *Gen. Anders i demobilizacja Wojska Polskiego na Zachodzie w raportach dyplomatów francuskich;* T. Wyrwa: *Przedstawiciel „Wolnej Francji" w Hiszpanii o zmianach w poselstwie polskim w Madrycie w 1944 roku;* J. Ciechanowski: *Notatka z rozmowy z płk. dypl. Kazimierzem Irankiem-Osmeckim, szefem Oddziału II KG AK w latach 1943-1944;* T. Wyrwa: *Dzieje Polski na ekranie* oraz dział LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 80,00.

RICHARD S.A. - Paris - 46.06.88.26

Cena 70 F